MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 4 kwietnia 2021 nr 14 (3743)
cena 11 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest corocznie, od 1991 r., za dokonania w dziedzinie literatury żyjącym twórcom, w dwóch kategoriach:

- ***za najlepszą książkę roku***, spośród wszystkich gatunków literackich, twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania, publikacje naukowe oraz albumowe;
- ***za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku***, rozumiany jako pierwszy wydany tom danego autora.

Laureatów Nagrody poznamy w maju 2021 r.

Książki nominowane do nagrody za 2020 rok

- ***w kategorii najlepsza książka roku***

„Pod słońcem”
Julia Fiedorczuk
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2020

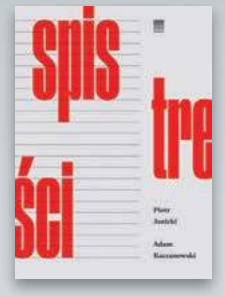

„Spis treści”
Piotr Janicki,
Adam Kaczanowski
Wydawnictwo Warstwy
Wrocław 2020

„Kruchość. Sonetti a corona”
Krystyna Konecka
Polski Fundusz
Wydawniczy w Kanadzie
Toronto 2020

- ***w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku***

„Boję się o ostatnią kobietę”
Joanna Bociąg
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział w Łodzi we współpracy
z Domem Literatury w Łodzi
Łódź 2020

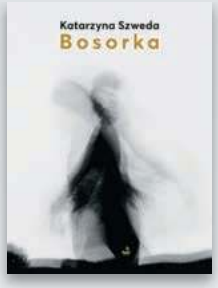

„Bosorka”
Katarzyna Szweda
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2020

„Parkingi podziemne jako miasta spotkań”
Aleksander Trojanowski
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2020

„Kwiaty Rozłączki”
Aleksandra Wstecz
Korporacja Ha!art
Kraków 2020

Zostań w domu

odbierz „Tygodnik” prosto ze swojej skrzynki pocztowej!

Tylko teraz: prezent na 76. urodziny „Tygodnika Powszechnego”!
Kup dowolną prenumeratę wydania papierowego, a otrzymasz w prezencie 2 wyjątkowe notesy* – „Książki do pisania” Jerzego Turowicza i ks. Adama Bonieckiego

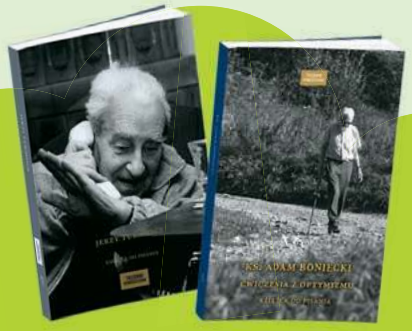

* Oferta dotyczy tylko zamówień realizowanych na terenie Polski i jest ważna do **15 kwietnia** lub wyczerpania nakładu książek.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

weź, czytaj!

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Jeden wymiar więcej*

Chrześcijaństwo w dzisiejszym świecie, świeccy, papież (kontrowersyjny?), księża, biskupi, wierzący, niewierzący, odchodzący od Kościoła i tak dalej. Wśród tylu tematów do podjęcia w katolickim tygodniku nie można zapomnieć o najważniejszym – że „jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczyliśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa" (1 Kor 15, 14).

„Jeśli się usunie tę prawdę, z tradycji chrześcijańskiej z pewnością można zawsze zestawić całą serię godnych uwagi idei dotyczących Boga i człowieka, jego istoty i powinności – stworzyć swoistą religijną koncepcję świata – jednak wiara chrześcijańska będzie wtedy martwa. Jezus nadal pozostanie religijną osobistością, która poniosła porażkę; będzie ona wielka nawet w swej porażce i może nas zmuszać do refleksji. Będzie miała wymiar wyłącznie ludzki, a miarą Jego autorytetu będzie przekonująca siła Jego orędzia" (Joseph Ratzinger – Benedykt XVI, „Jezus z Nazaretu", cz. II). Dlatego na Wielkanoc piszę o Zmartwychwstaniu. Nie piszę sam. Pozostając pod wrażeniem wspomnianej książki Papieża Emeryta (tak się podpisuje Benedykt XVI), robię z niej wypisy. On sam w rozmowie z Peterem Seewaldem opowiedział, jak ją pisał. Kiedy (zapewne wieczorem) kończył program papieskich czynności, natychmiast, bez specjalnych przygotowań, siadał do pisania dalszego ciągu od miejsca, w którym poprzedniego dnia skończył. Nie, nie bez przygotowania. Ratzinger zajmował się Jezusem całe życie. Sam zaś proces powstawania książki tak opisał: „Najpierw trzeba wszystko jeszcze raz przeczytać i przemyśleć. Z jednej strony teksty Ewangelii, z drugiej – dyskusję prezentowaną przez najważniejsze opracowania egzegetyczne. Tym sposobem poznaje się je poniekąd na nowo". I dodał: „dopiero umiejętność sformułowania i wypowiedzenia świadczy o wewnętrznym poznaniu". Ta książka jest owocem „wewnętrznego poznania" i tym poznaniem się dzieli z nami. Z niej zaczerpnąłem kilka myśli o Zmartwychwstaniu.

Co się wydarzyło? Świadkowie stanęli wobec rzeczywistości dla nich samych porażającej i zupełnie nowej. „Był to nieopisany paradoks: On był zupełnie inny – nie reanimowane zwłoki, lecz Ktoś, kogo Bóg uczynił żyjącym na nowy sposób i na zawsze. I jako taki – nie należący już do naszego świata – jednocześnie był rzeczywiście obecny, w całej swej tożsamości. Było to doświadczenie jedyne w swoim rodzaju, przekraczające horyzonty zwykłych doświadczeń, a jednak dla uczniów niezaprzeczalne. To tłumaczy specyficzny charakter świadectw Zmartwychwstania: mówią one o czymś paradoksalnym, o czymś, co wykracza poza granice doświadczenia, a mimo to jest obecne, w pełni realne".

Absolutna niezwykłość wydarzenia: „Gdybyśmy w Zmartwychwstaniu Jezusa mieli do czynienia tylko z cudem reanimacji zwłok, wcale by nas ono w gruncie rzeczy nie interesowało (...) W świecie jako takim i w naszej egzystencji nic by się nie zmieniło. Cud przywrócenia życia oznaczałby, że Zmartwychwstanie Jezusa było tym samym, co wskrzeszenia [opisane w Ewangelii: młodzieńca z Naim, córki Jaira czy Łazarza]. Po krótszej lub dłuższej przerwie wracali oni do swego dotychczasowego życia, żeby później któregoś dnia umrzeć definitywnie". Być może brzmi to dla kogoś jak piękny mit. Ale przedmiot wiary?!

Papież Ratzinger zdaje sobie z tego sprawę. On, zdecydowany obrońca „wiary szukającej zrozumienia", pisze i dla wątpiących. Z nimi pyta: „Czy jednak coś takiego mogło się rzeczywiście wydarzyć? Czy my, zwłaszcza jako ludzie nowocześni, możemy dać wiarę takim świadectwom? Myśl »oświecona« mówi: nie". I dalej odpowiada: „Oczywiście, nie może tu zachodzić sprzeczność z tym, co jest jasnym twierdzeniem naukowym. W świadectwach zmartwychwstania jest mowa o czymś, co nie mieści się w granicach naszego doświadczenia. Jest mowa o czymś nowym, czymś do tej chwili jedynym – jest mowa o ukazującym się nowym wymiarze rzeczywi-

TYGODNIK POWSZECHNY

Jeszcze będzie przepięknie!

Szczegóły wkrótce na łamach „Tygodnika"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

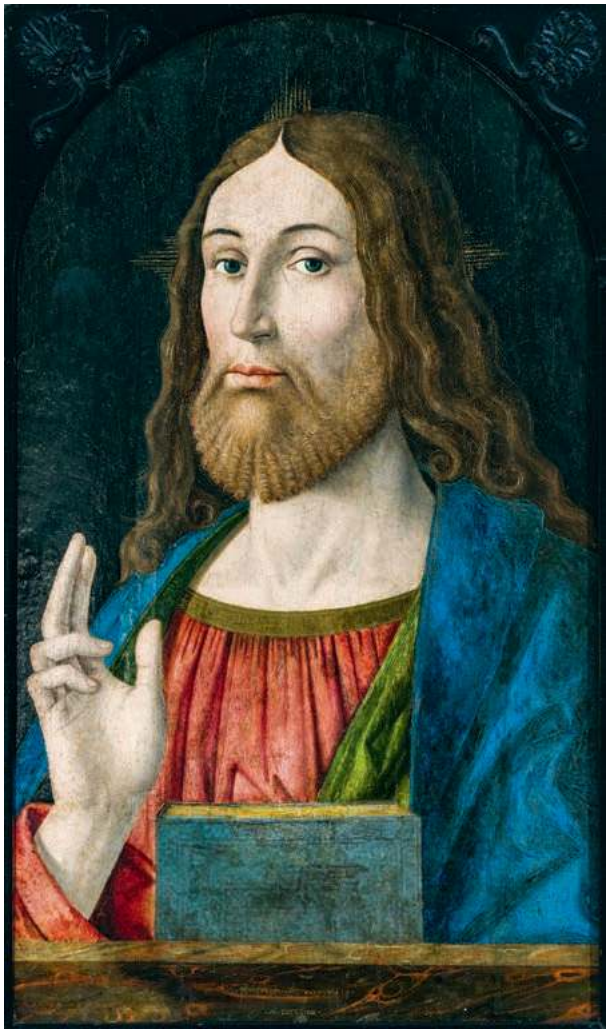

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MUZEUM NARODOWEGO W POZNANIU

Filippo Mazzola „Chrystus błogosławiący", 1504 r. Własność Fundacji im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu

stości. Nie kwestionuje się istniejącej rzeczywistości. Zostało nam raczej powiedziane: istnieje jeden wymiar więcej, niż znaliśmy do tej pory. Czy jest to sprzeczne z nauką? Czy rzeczywiście może istnieć to tylko, co istniało od początku? Czy nie może zaistnieć coś nieoczekiwane, coś niewyobrażalne, jakaś rzecz nowa? Jeśli jest Bóg, czy nie może On stworzyć również nowego wymiaru człowieczeństwa, czy całej nawet rzeczywistości? Czy stworzenie nie czeka w gruncie rzeczy na tę ostatnią i najwyższą »mutację«? Na zjednoczenie skończonego z Nieskończonym, na zjednoczenie Człowieka z Bogiem, na pokonanie śmierci?".

Zmartwychwstanie Jezusa oznacza więc zainicjowanie nowego wymiaru człowieczeństwa, tego „jednego więcej, niż znaliśmy do tej pory": „Wydarzyło się coś zupełnie nowego, Zmartwychwstanie Jezusa było przejściem do całkowicie nowego rodzaju życia (...) niepodlegającego już prawu śmierci i stawania się, (...) zainicjowało nowy wymiar człowieczeństwa. (...) W Zmartwychwstaniu Jezusa zostały zrealizowane nowe możliwości bycia człowiekiem". Podsumowując, powtórzymy: „Jezus nie jest kimś, kto powrócił do normalnego życia biologicznego i (...) będzie musiał któregoś dnia umrzeć. Jezus nie jest zjawą (»duchem«). Znaczy to: nie jest kimś, kto w rzeczywistości należy do świata umarłych, może jednak w jakiś sposób ukazywać się w świecie żyjących. Spotkania ze Zmartwychwstałym są czymś innym niż doświadczenia mistyczne, w których duch ludzki zostaje na chwilę uniesiony ponad siebie samego oraz doświadcza świata Boskiego i wiecznego, by potem znowu powrócić do normalnego wymiaru swej egzystencji (...). Zmartwychwstanie wyprowadza poza historię, jednak pozostawiło w niej jakiś ślad. Dlatego świadkowie mogą je poświadczyć jako wydarzenie zupełnie nowego rodzaju".

Jest jeszcze jeden rys istnienia w „nowym wymiarze", na który nasz przewodnik wskazuje w rozdziale o wniebowstąpieniu. Pisze o Apostołach: „Spodziewalibyśmy się, że okażą się bezradni i smutni. Świat się nie zmienił, Jezus odszedł definitywnie. Otrzymali zadanie, które wydawało się niewykonalne i ponad ich siły. (...) Jak jego definitywne odejście mogło nie napełnić ich smutkiem? A jednak czytamy, że wrócili do Jerozolimy z wielką radością (...). Możemy (...) wywnioskować, że uczniowie nie czują się opuszczeni. (...) Są najwidoczniej pewni jego nowej obecności. Mają pewność, że (...) Jezus jest teraz właśnie wśród nich obecny na nowy, pełen mocy, sposób".

Papież Ratzinger wie, w jakim świecie żyjemy. W „Ostatnich rozmowach" z Peterem Seewaldem powiedział m.in.: „Nie przystajemy już do współczesnej kultury, a chrześcijańskie wzorce przestały być decydującym wskazaniem, to oczywiste (...). Tym bardziej więc wierzący będą musieli zabiegać o to, aby dalej formować i utrzymać świadomość istnienia wartości oraz życie według wiary". Wiary w Zmartwychwstanie. ©℗

Kryzys w Kościele – upadek czy odnowa?

Nazwanie po imieniu swoich grzechów jest już aktem pokuty. Bóg nie ma co przebaczać naszych słabości, jeśli nas stworzył słabymi! Przepraszamy za winy.

Ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalne „Kryzys w Kościele" dostępne w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**, także jako e-book.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIELKANOC

14 Było ich wiele
KALINA WOJCIECHOWSKA
To kobiety przekazały nam informacje o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Spróbujmy zrekonstruować główną wielkanocną narrację.

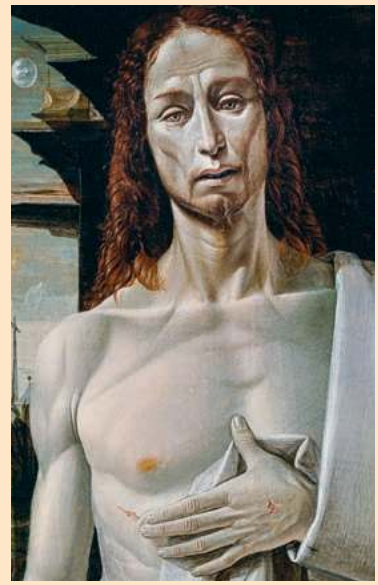

18 Miej życie w sobie
PIOTR SIKORA
Święto zmartwychwstania. Ewangelia, gdy o nim wspomina, prowadzi nas do bardzo cielesnego doświadczenia. Tu i teraz.

21 To także nasza pascha
ROZMOWA Z O. DOMINIKIEM JURCZAKIEM OP:
Przez Wieczernik, Ogrójec, Golgotę i pusty grób docieramy do końca. Po drodze odkrywamy rzeczy absolutnie podstawowe w naszym życiu.

24 Pod światło
MARCIN ŻYŁA
Tu ludzie i ich kościół byli ze sobą sprzężeni. Gdy tłum śpiewał zimą, skroplona para z ust spływała strużkami po polichromiach, jak po błonach żywego ciała. Aż ściany zmęczyły się od modlitw.

26 Bóg bez boga
KS. JACEK PRUSAK
Płaczemy, krzyczymy, bluźnimy – a „niebo milczy" i słyszymy tylko własne echo. Jedynie poprzez krzyż własnego życia możemy się przekonać, że „śmierć Boga" jest śmiercią ego.

29 Wybrałam życie
ROZMOWA Z MAGDALENĄ SIPOWICZ:
Nie brakuje takich historii, gdy lekarze mówili, że ktoś nie ma szans, a ten ktoś ozdrowiał. Czuję, że mamy moc samouzdrawiania. Pytanie, czy chcemy ją wykorzystać.

DEA / A. DAGLI ORTI / GETTY IMAGES // HERITAGE / ALAMY / BEW // MARCIN ŻYŁA // JACEK TARAN // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // ARCHIWUM DOMINIKAŃSKIEGO OŚRODKA LITURGICZNEGO

8 Nieszczelna obrona
MACIEJ MÜLLER

9-13 Obraz tygodnia

34-35 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

36 Dajcie nam się rozwijać
BARTOSZ RUMIEŃCZYK:
Radom chce wrócić na mapę Polski. Czy lotnisko mu w tym pomoże?

40 Ryzykowna gra o fundusz
KAROLINA LEWICKA:
Opozycja poczuła szansę na wyjście ze stanu wyuczonej bezradności

43 Pół godzinki dla siebie
ROZMOWA Z PIOTREM OCZKO

46 Pod powierzchnią
MARCIN CHODUŃ

ROZMOWA

50 Albo równość, albo pokój
ROZMOWA Z WALTEREM SCHEIDELEM: *Pandemia nie zmniejszy nierówności w świecie*

ŚWIAT

54 Życie pod kipą
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z JEROZOLIMY: *Laiccy Żydzi z przekąsem mówią o swoich ortodoksyjnych współobywatelach*

58 Nie możemy się chować
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU:
Aktywne publicznie Afganki wciąż są celami ataków

60 W odbiciu Wodospadów Wiktorii
ALEXIO RASHIRAI Z VICTORIA FALLS, WOJCIECH JAGIELSKI

64 Portret artysty w czasie marnym
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

ROZMOWY „TYGODNIKA”

URSZULA DĄBROWSKA DLA „TP”

96 Misterium mostu
KRZYSZTOF CZYŻEWSKI:
Dobra pamięć nie ma swojego państwa ani lobby, nie stawia jej się pomników, ani nie uczy o niej w szkołach. I nie znajdziesz dla niej dowodów w archiwach.

43 Pół godzinki dla siebie
PIOTR OCZKO:
Sprzątanie daje iluzję panowania nad rzeczywistością, nadaje jej bezpieczną strukturę. Ale też może stać się niebezpieczną metaforą.

91 DODATEK
Powróciły. Wielka Gala Arrasów na Wawelu

FELIETONY

49 JACEK PODSIADŁO
67 WOJCIECH BONOWICZ **84** HANNA KRALL
116 JAN KLATA **117** PAWEŁ BRAVO
122 STANISŁAW MANCEWICZ
122 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:
Filippo Mazzola, „Chrystus błogosławiący”, 1504 r.
FUNDACJA IM. RACZYŃSKICH
PRZY MUZEUM NARODOWYM W POZNANIU

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

Z ODDECHEM

68 Wdzięczność
MICHAŁ KOMAR

86 Koniec epoki dystansu
MACIEJ JAKUBOWIAK:
Obiektywizm i bezstronność nie gwarantują już powodzenia

HISTORIA

74 O krok od korony
MACIEJ MÜLLER *o tym, co by było, gdyby Polskę zjednoczyli Ślązacy*

NAUKA

80 Problemy z ekspansją
SEBASTIAN J. SZYBKA:
Nowe obserwacje nie pasują do tego, co wiemy o kosmosie

KULTURA

96 Misterium mostu
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM CZYŻEWSKIM

102 Płomień, wysoki, jasny
EDWARD HIRSCH
wspomina swojego przyjaciela, Adama Zagajewskiego

106 Efekt motyli
MAREK RABIJ *o tym, jak na kanwie filmu uznanego za dokument powstał reportaż udający powieść*

111 Tryzna
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Teatr Jana Klaty nie jest już narodowy, ale polski z pewnością: realnie i do bólu*

114 Złoty kołowrotek
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Sweat” Magnusa von Horna*

116 Powrót po półwieczu
LEKTOR
o książce „Najada” Zyty Oryszyn

ZMYSŁY

118 Więcej ludzi niż gór
ROZMOWA Z PAWŁEM SKAWIŃSKIM
o Tatrach i sposobie bycia, który je obraża

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Samorządy dysponują ponad 50 tysiącami pustostanów. A gdyby tak tchnąć w nie nowe życie przy pomocy unijnych pieniędzy na pocovidowy rozwój? – o inicjatywie organizacji socjalnych pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Nie dręczą mnie już wyrzuty sumienia, że nie przytuliłem mojej mamy i ojca przed śmiercią, że nie pocałowałem matki i właściwie chyba nie powiedziałem, że ją kocham – opowiada reżyser **MARIUSZ WILCZYŃSKI** w cyklu rozmów **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NIESZCZELNA OBRONA

Ogłaszanie kolejnych restrykcji można porównać do osłaniania głowy gardą. Tylko że żaden bokser nie wygra meczu, nie wyprowadzając ciosów.

MACIEJ MÜLLER

Jesteśmy w gorszej sytuacji niż kiedykolwiek: trzecia fala pandemiczna wspina się i wciąż nie sięga szczytu. Wskaźniki zakażeń powyżej 30 tys. dziennie i zgonów powyżej 500 każą nazwać to, co się dzieje, klęską żywiołową. I humanitarną – bo szpitale są przepełnione, a cierpiący na inne niż COVID-19 choroby pozostaną na długo bez dostępu do diagnostyki i leczenia.

Czy w ciągu roku pandemii rząd czegoś się nauczył? Może tego, że nie ma sensu zamykać lasów. Ale większość krytyki kierowanej jeszcze wobec Łukasza Szumowskiego pozostaje aktualna. Decydenci nie słuchają ekspertów (szef doradców premiera prof. Horban nie jest epidemiologiem). Nie walczą aktywnie z epidemią: bo narzędzia w tej walce to testowanie na szeroką skalę (nie tylko pacjentów objawowych), dochodzenia epidemiologiczne i izolowanie ognisk, a także sekwencjonowanie wirusa. Akcja szczepień jest ciągle w przedbiegach i nie chroni nas przed trzecią falą. Ogłaszanie kolejnych restrykcji można porównać do osłaniania głowy gardą. Tylko że żaden bokser nie wygra meczu, nie wyprowadzając ciosów.

Konferencja premiera i ministra zdrowia dotycząca nowych obostrzeń w związku z trzecią falą pandemii koronawirusa. Warszawa, 25 marca 2020 r.

Ta garda jest w dodatku nieszczelna. Resort zdrowia powinien okleić całą Polskę – równie skutecznie, jak zrobiły to środowiska walczące z aborcją i rozwodami – billboardami na temat nagminnie ignorowanych zasad sanitarnych (maska, dystans, dezynfekcja). Zamykanie szkół i sklepów nie powstrzyma wirusa, jeśli wciąż będziemy używać nieprofesjonalnych, szmacianych masek i nie zaczniemy zasłaniać całej twarzy. Funkcją maski jest filtracja oddechu; kto nie zakrywa nosa, stanowi epidemiczne zagrożenie dla wszystkich, których spotka.

Finlandia, która bije nas na głowę, jeśli chodzi o skuteczność walki z SARS-CoV-2, postawiła na miękkie regulacje prawne, ale połączone z akcją edukacyjną i uczciwą komunikacją rządu ze społeczeństwem. W Polsce tymczasem premier podczas konferencji o nowych obostrzeniach nie przedstawia podstaw epidemiologicznych ogłaszanych decyzji, tylko atakuje opozycję i... szpitale prywatne. Niezrozumiałe są utyskiwania na braki kadry medycznej w sytuacji, kiedy minister Niedzielski idzie na zwarcie ze środowiskiem w kwestii egzaminów specjalizacyjnych (odwołanie części ustnej przyspieszyłoby powrót do pracy ponad 2,5 tys. młodych lekarzy).

Obecnemu stanowi epidemicznemu nie jest zaś winna opozycja, tylko rządzący właśnie. Mimo że w grudniu było wiadomo, że w Wielkiej Brytanii pojawił się nowy, bardzo zakaźny wariant koronawirusa, przed Bożym Narodzeniem wysłano na Wyspy samoloty po Polaków chcących świętować w domu. Nie przetestowano ich ani nie skierowano na kwarantannę. Jeśli Polskę pustoszy dzisiaj wariant brytyjski, to m.in. z powodu tamtej beztroski.

Przed zeszłoroczną Wielkanocą napisaliśmy, że nadzieja wisi w powietrzu, ale sama sobie nie poradzi – musimy jej pomóc. Odpowiedzią na niekompetencję rządzących może być nasza wzajemna odpowiedzialność i solidarność. Troska o sąsiadów w starszym wieku, o własne dzieci zmęczone ślęczeniem przed ekranami, o rodzinne relacje czy wreszcie – o własne zdrowie psychiczne i fizyczne. Jak powiedział dr Paweł Grzesiowski, „jeśli chcemy dożyć następnych świąt, zostańmy w domu”. ©℗

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Uwięzieni w DPS-ach. Na wszelki wypadek

„MIJA ROK, od kiedy mieszkańcy/nki domów pomocy społecznej zostali (...) odcięci od świata. (...) Tak daleko idące ograniczenie kontaktów i relacji skutkuje znacznym pogorszeniem jakości ich życia, a nawet (...) wpływa na [jego] długość” – napisali do premiera przedstawiciele organizacji, głównie na rzecz osób z niepełnosprawnościami, protestując przeciw utrzymującym się restrykcjom. W wielu placówkach nadal nie można ani przyjmować gości, ani wychodzić.

To jedyna taka grupa. Najpierw, wiosną 2020 r., przeżyli traumę zbiorowych zachorowań i śmierci – bywało, że zostawieni przez dziesiątkowaną koronawirusem kadrę. Na jesieni były kolejne ofiary (wyliczono, że ryzyko zachorowania i śmierci w placówce jest kilkudziesięciokrotnie wyższe niż poza nią, a np. w Łodzi zmarło... 5 proc. mieszkańców wszystkich DPS-ów). Przez cały ten czas z zamkniętych placówek dochodziły dramatyczne sygnały o fali kryzysów psychicznych. Wreszcie nadeszły szczepienia – w DPS-ach zrealizowano już dwie dawki.

– I ogromny zawód, bo wszyscy byli przekonani, że to koniec zamknięcia. Pewien mieszkaniec DPS-u powiedział mi, że długo żył nadzieją, a teraz się czuje oszukany – mówi dr Krzysztof Kurowski, przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami, który napisał list w imieniu 28 organizacji.

– Ci ludzie mogliby robić wszystko, co robią inni obywatele, np. wyjść na spacer w maseczce. A są pozbawieni swoich praw, i to w sposób nieuprawniony. Od roku w niemal więziennym rygorze, są obywatelami drugiej kategorii – dodaje sygnatariusz listu Adam Zawisny ze Stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia.

– Ministerstwo przerzuciło decyzję o zdjęciu restrykcji na wojewodów, wojewodowie przerzucili ją na dyrektorów placówek, a ci uznali, że skoro na żadnym szczeblu nie zapadły rozstrzygnięcia, to na wszelki wypadek nie należy robić nic – ocenia inny sygnatariusz, dr hab. Paweł Kubicki, gerontolog ze Szkoły Głównej Handlowej.

Dlatego autorzy listu chcą rządowej decyzji lub choćby impulsu do poluzowania restrykcji. A w dalszej perspektywie: przebudowy opartego na molochach systemu, którym dodatkowo zatrzęsła pandemia (chodzi o alternatywne wobec DPS-ów, świadczone w miejscu zamieszkania formy pomocy osobom niesamodzielnym). Rząd, od dawna zapowiadający tzw. deinstytucjonalizację, ma ogłosić dotyczącą jej strategię do końca kwietnia. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pandemiczna gra na czas

PAWEŁ BRAVO

W ubiegły czwartek Izba Cywilna Sądu Najwyższego miała odpowiedzieć na pytania I prezes Małgorzaty Manowskiej w sprawach kluczowych dla rozstrzygania sporów między bankami a tzw. frankowiczami. Jakiś czas temu pojawiła się ramowa propozycja ugody z dłużnikami. Banki jednak przyjęły postawę wyczekującą, bo dopiero po 25 marca miało się okazać, czy owa ugoda im się opłaca. W oczekiwaniu na decyzję widać było wzmożoną ofensywę medialną banków (czego objawem był np. głośny artykuł prasowy Leszka Balcerowicza). Potrwa ona parę tygodni dłużej, ponieważ z powodu choroby prezes Manowskiej posiedzenie przełożono na 13 kwietnia.

Na później odłożono (już po raz trzeci) przewidziane również na 25 marca ogłoszenie przez Trybunał Konstytucyjny wyroku w sprawie kadencji Rzecznika Praw Obywatelskich. Posłowie PiS na jesieni złożyli wniosek o zbadanie przepisu, który stanowi, że RPO (w tym przypadku Adam Bodnar) pozostaje na urzędzie aż do chwili wyboru następcy. Z uwagi na to, że na razie PiS-owi nie udało się znaleźć kandydata, który zyskałby poparcie Senatu (gdzie niewielką i kruchą przewagę ma opozycja), ta pozornie dość abstrakcyjna prawnicza kwestia ma fundamentalne znaczenie dla tego, czy Polska zachowa ten kluczowy organ kontrolny w jakiejkolwiek postaci, czy też zostanie *de facto* zamrożony.

Choć sytuacja pandemiczna i zdrowotna stanowi dobry powód dla przesunięcia terminu, trudno nie zauważyć, że pozwala to obozowi władzy grać na czas i testować różne rozwiązania. Zarówno rozprawa przed SN, jak i TK to dwa ważne społecznie powody, dla których warto wypatrywać szybkiego końca tej fali pandemii. ©℗

Rowerowy szlak dla ciężarówek

GREEN VELO to najdłuższy szlak rowerowy w Polsce i jeden z dłuższych w Europie. Licząca ponad 2 tys. km trasa biegnie przez obszar pięciu województw: wyruszając z Elbląga i trzymając się wschodniej granicy kraju dojeżdżamy aż na Podkarpacie, po czym, skręcając w świętokrzyskie, pniemy się w górę aż po Końskie. Infrastruktura, sfinansowana w większości z funduszy unijnych, powstawała dziesięć lat. W tym czasie zbudowano i oznakowano drogi oraz miejsca obsługi rowerzystów, przysposobiono także bazę pensjonatów i agroturystyk, którym – jako ujętym na mapie Green Velo – zapewniono środki na modernizację (więcej w tekście „Kraj w sakwach": powszech.net/greenvelo). Unia wsparła projekt, oczekując od beneficjentów, że przekazane fundusze rozkręcą turystykę regionu.

Ponieważ w połowie roku Bruksela powie „sprawdzam", NIK wybrała się wzdłuż szlaku z gospodarską wizytą, wystawiając trasie dość mierną ocenę. Jak wynika z zaprezentowanego właśnie raportu, urzędy marszałkowskie, zarządy dróg wojewódzkich, a także odpowiadające za trasę 23 gminy i powiaty nie dbały o utrzymanie jej w dobrym stanie, nie planowały także w swoich budżetach środków na ten cel. Zabrakło zarówno przeglądów gwarancyjnych, jak i kontroli przewidzianych przepisami prawa budowlanego; dróg i mostów znajdujących się na trasie szlaku nie sprawdzał co piąty samorząd. Z wielu odcinków Green Velo korzystali kierowcy samochodów, również ciężarowych, co stwarzało nie tylko zagrożenie dla rowerzystów, ale mogło doprowadzić do katastrofy budowlanej. Spośród pięciu województw zadania związane z rozbudową i rozwojem szlaku zrealizowało jedynie warmińsko-mazurskie.

NIK w postanowieniach pokontrolnych zalecił odebranie gminom i powiatom opieki nad trasą i powołanie jednego podmiotu do zarządzania Green Velo.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

KRAJ W SKRÓCIE

ORDER PIŁKARZA
Robert Lewandowski został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, co wzbudziło krytykę dwojakiego rodzaju: że piłkarz przyjął go z rąk Andrzeja Dudy i że w ogóle odznacza się sportowca. Rzecznikom pierwszego stanowiska chcielibyśmy przypomnieć, że prawo do przyznawania orderów jest prerogatywą wynikającą z wyboru na urząd prezydenta, rzecznikom drugiego – że w Wlk. Brytanii wybitnym sportowcom przyznaje się nie tylko ordery, ale nawet tytuły szlacheckie.

JAKUB SZYMCZUK / MATERIAŁY PRASOWE KPRP

JĘZYK PISARZA
Pisarz Jakub Żulczyk określił na Facebooku Andrzeja Dudę mianem „debila" i został oskarżony o znieważenie głowy państwa. Nie popierając stygmatyzowania kogokolwiek językiem odnoszącym się do niepełnosprawności i kryzysów psychicznych, zauważmy jednak, że wyrok w podobnej sprawie dotyczącej znieważenia Bronisława Komorowskiego obecny prezydent określił mianem „dyktatury nadludzi z PO".

KOMPETENCJA MINISTRA
Ubolewając nad rzekomym brakiem „porządnych badań naukowych nad II wojną światową", Przemysław Czarnek zauważył pojawienie się „różnego rodzaju antypolskich szmatławców, jak to »Dalej jest noc«". W trosce o podtrzymanie poziomu debaty publicznej zrezygnujemy z poszukiwania słowa odpowiadającego kompetencji ministra.

Na Wyspach wraca normalność

PATRYCJA BUKALSKA

Brytyjczycy finiszują ze szczepieniami obywateli powyżej 50. roku życia. Wśród zaszczepionych pod koniec marca był 56-letni premier Boris Johnson – swoją dawkę otrzymał w tym samym londyńskim szpitalu, do którego trafił przed rokiem, ciężko przechodząc COVID-19.

Johnsonowi wstrzyknięto szczepionkę Oxford/AstraZeneca, która na Wyspach – inaczej niż w Europie kontynentalnej – nie wywołuje większych emocji i jest powszechnie uważana za bezpieczną. Najnowsze dane przekazane przez producenta wskazują, że preparat w 76 proc. zapobiega objawowemu przechodzeniu choroby, w 100 proc. zaś zapobiega ciężkiemu przebiegowi zakażenia SARS-CoV-2 i śmierci. Według firmy nie ma też obaw co do bezpieczeństwa szczepionki, co już wcześniej stwierdziła Europejska Agencja Leków.

Skala i tempo brytyjskich szczepień robią wrażenie. Pod koniec marca zaszczepionych było ponad 30 mln mieszkańców kraju, czyli więcej niż połowa dorosłej populacji. Zdecydowana większość otrzymała jednak tylko pierwszą dawkę, dlatego priorytetem jest teraz podanie im drugiej. Dopiero potem rozpoczną się szczepienia 49-latków i osób młodszych, które planowo powinny zakończyć się do końca lipca (podanie pierwszej dawki). Sukces akcji szczepień widać w codziennych statystykach – zakażenia spadły do kilku tysięcy dziennie, podczas gdy na początku stycznia przekraczały 50 tysięcy. Do kilkudziesięciu dziennie spadła też liczba zgonów osób z COVID-19. Powrót do normalności na Wyspach będzie jednak odbywać się stopniowo – powoli i ostrożnie. ©℗

ZUS i pandemia

WPŁYWOWI KORONAWIRUSA na rozmaite sfery życia poświęcono wiele uwagi, ale dopiero teraz głos w tej sprawie zabiera ZUS, w specyficzny dla siebie sposób. Okazuje się, że pandemia może mieć chwilowy, ale korzystny wpływ na wysokość emerytur.

W ub.r. zmarło w Polsce o 76 tys. osób więcej niż rok wcześniej. W tej grupie aż 72 tys. stanowiły zgony osób po 65. roku życia. W rezultacie w ciągu zaledwie roku średnia spodziewana długość życia od momentu przejścia na emeryturę zmalała według ZUS z 261 do 248 miesięcy w przypadku kobiet oraz z 218 do 204 miesięcy u mężczyzn.

Powyższy wskaźnik, szacowany co roku na podstawie danych GUS, służy zakładowi do obliczania wysokości świadczenia (kapitał zebrany przez pracownika dzieli się przez średnią spodziewaną długość życia). Przejście na emeryturę może się więc w tym roku opłacać. W przypadku 65-latka, który zebrał 400 tys. zł kapitału, świadczenie wzrośnie o 119 zł miesięcznie. 60-letnia Polka z identycznym kapitałem liczyć może natomiast na emeryturę wyższą o 85 zł miesięcznie. ©℗ MR

LOREN ELLIOTT / REUTERS / FORUM

OSTATNIE DNI LATA w Nowej Południowej Walii (Australia) przyniosły największe od sześciu dekad ulewy – są miejsca, gdzie przez kilka dni spadł metr deszczu. Ewakuowano 40 tysięcy ludzi, z których wielu jeszcze niedawno walczyło ze skutkami suszy. Pogorzeliska po wielkich pożarach lasów sprzed roku słabo wchłaniają wodę – to jedna z przyczyn obecnej katastrofy. Na zdjęciu: rodzina uratowana z powodzi przez australijską marynarkę wojenną, Sackville North, dalekie przedmieścia Sydney, 23 marca 2021 r. ©℗

Izrael: i znów chodzi o Bibiego

DŁUGO NIE BYŁO jasności, jak po ostatnich wyborach będzie wyglądał nowy izraelski rząd. Mimo że partia Likud premiera Beniamina Netanjahu otrzymała największą liczbę mandatów, nie oznacza to, że zwyciężyła – w wyścigu o Kneset wygrywa bowiem to ugrupowanie lub blok, który zdobywa większość, czyli co najmniej 61 mandatów. Blok premiera Netanjahu, w którym obok Likudu znalazły się partie ortodoksyjne i prawicowe, otrzymał zaledwie 52 mandaty.

Do zwycięstwa więc daleko – a przecież w ciągu ostatniego roku premier zrobił w swoim mniemaniu wszystko, by je zapewnić. Doprowadził do normalizacji relacji z kilkoma krajami arabskimi, zbliżył się do arabskich wyborców i zyskał sympatię ich części. I największy chyba sukces: zorganizował narodowi szczepionki przeciw COVID-19, pod jego okiem przeprowadzono świetną kampanię szczepień, wreszcie – osiągnięto cel: zbiorową odporność w pandemii. W wyborczym sukcesie miały mu też pomóc tarapaty centrolewicy i kompletna porażka jego największego rywala z czasów trzech poprzednich wyborów – Beniego Ganca z Niebiesko-Białych (w obecnych wyborach otrzymał on ledwie 8 mandatów).

Nieco bliżej zwycięstwa – z 57 mandatami – jest blok partii opozycyjnych wobec premiera. Jednak ich światopoglądowa rozbieżność (prawica, lewica, partie arabskie) raczej nie wskazuje na to, by miały potencjał utworzenia silnego rządu. Języczkiem u wagi pozostają dwie partie, które nie poparły dotąd żadnego z obozów: to Jamina z Naftalim Bennettem na czele oraz największe zaskoczenie tych wyborów – islamistyczny Raam na czele z Mansourem Abbasem, dentystą z druzyjskiego miasta na północy Izraela, który w ostatnich latach zrobił karierę w polityce.

Netanjahu zrobi wszystko, by utrzymać się przy władzy. Jedynie większość przychylnych partii w Knesecie pozwoli mu uchwalić prawo gwarantujące immunitet, a to dla niego kluczowe: już na początku kwietnia wróci do sądu w związku z toczącym się wobec niego głośnym procesem korupcyjnym. Dziennikarze przebąkują o piątych w ciągu trzech lat wyborach, które mogłyby się odbyć jesienią. Izraelczycy mają dość – w końcu po raz kolejny chodzi tylko o jedno: o „być czy nie być" Bibiego.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

Rohingowie: ogień zabrał spokój

CO NAJMNIEJ 15 OSÓB ZGINĘŁO w pożarze, który w minionym tygodniu strawił część obozu Rohingów w Balukhali, przy granicy bangladesko-birmańskiej. Ponad pół tysiąca poparzonych i rannych trafiło do szpitali. Nadal nieznany jest los przynajmniej 400 mieszkańców obozu.

Pożar wybuchł 22 marca po południu, prawdopodobnie wskutek eksplozji butli z gazem w jednym z szałasów. W Bangladeszu trwa właśnie pora sucha. Wysokie temperatury, które utrzymują się od końca lutego, wysuszyły większość oczek i strumyczków znajdujących się na terenie obozu. Ogień błyskawicznie rozprzestrzenił się wśród gęstej zabudowy tzw. Camp 9 będącego od prawie czterech lat domem 40-60 tys. osób. Pożar strawił ok. 10 tys. szałasów zbudowanych najczęściej z bambusowych kratownic i wyłożonych plandekami z tworzywa sztucznego. Administracja obozu szacuje, że bez dachu nad głową pozostało 40-50 tys. osób.

„Ogień mamy pod kontrolą, ale tli się jeszcze w wielu miejscach i co chwilę musimy dusić lokalne ogniska" – mówił BBC Mohammad Abdullah, zastępca szefa obozowej straży pożarnej. Dodał, że mieszkańcy obozu zaczynają wracać na spalony teren w poszukiwaniu ocalałego dobytku. Wielu z nich ulega przy tym zatruciu toksycznymi oparami wydzielającymi się z pogorzeliska.

W części obozu, w której wybuchł pożar, działała świetlica założona i prowadzona przez polską fundację Dobra Fabryka. Organizacja uruchomiła na swojej stronie zbiórkę na odbudowę placówki. ©℗ MAREK RABIJ

AFP / EAST NEWS

Dominikanie mogą odbić się od dna

ARTUR SPORNIAK

Coraz więcej wiemy o przestępstwach dominikanina Pawła M., który prowadząc duszpasterstwo akademickie we wrocławskim klasztorze w latach 1996–2000 zniewolił duchowo i psychicznie grupę studentek i w sposób drastyczny wykorzystywał je seksualnie. Opowiedziały o tym dwie skrzywdzone kobiety na łamach „Gazety Wyborczej". Trzecia ofiara zakonnika dodała kolejne szczegóły w tekście „Dominikańska recydywa" opublikowanym na łamach portalu „Więź". A do autorki tekstu z „Więzi" zgłosiła się siostra zakonna, która była przez Pawła M. gwałcona w roku 2011 i 2018. Te przestępstwa nie uległy przedawnieniu, jest zatem szansa, że zakonnik nie uniknie kary.

Coraz więcej wiadomo także o reakcjach na owe przestępstwa przełożonych Pawła M. Po upublicznieniu drastycznych faktów wyrażają oni skruchę, ale ich pierwszym odruchem było ratowanie siebie i wizerunku zakonu.

Co powinno się teraz stać? Przede wszystkim dominikanie powinni jak najszybciej zaproponować konkretne, wszechstronne i hojne wsparcie osobom skrzywdzonym. Ten historycznie żebrzący zakon stać dzisiaj materialnie na założenie sprawnego funduszu pomocowego lub wręcz odszkodowawczego. Na tym nie wolno im oszczędzać.

Duszpasterski autorytet dominikanów wisi dziś na włosku. Od nich samych zależy, co się będzie działo dalej. Dramatyczną porażkę mogą przekuć w nową jakość funkcjonowania zakonu w Kościele. W przeciwieństwie bowiem do sztywnych struktur biskupich, wplątanych w odpowiedzialność za ukrywanie nadużyć, funkcjonowanie zakonu nie jest ograniczone obecną doktryną – dominikanie mogą eksperymentować w reformach. Poczynając od zapraszania zewnętrznych audytów, po ustanawianie stałych mieszanych, świecko-zakonnych zarządów mających wgląd w funkcjonowanie zakonu.

Przy odpowiedniej determinacji Zakon Kaznodziejski może stać się nową awangardą w polskim Kościele. Jego obecna sytuacja w pewnym stopniu przypomina alkoholika, który dotknął dna. Gdy oprzytomnieje, może się od niego odbić. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOBIETA W WATYKANIE
Siostra Alessandra Smerilli (na zdjęciu) została nowym podsekretarzem Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Włoska salezjanka ma 47 lat i dwa doktoraty z ekonomii. Wykłada ekonomię polityczną na Papieskim Wydziale Nauk Pedagogicznych Auxilium w Rzymie. Należy do watykańskiej komisji ds. COVID-19. Uważa, że patrzenie „na świat tylko jednym [męskim] okiem nie daje poprawnego obrazu".

HUMANDEVELOPMENT.VA

STATYSTYKI NADUŻYĆ
Legioniści Chrystusa opublikowali listę członków zgromadzenia, którzy w latach 1941–2020 dopuścili się wykorzystywania seksualnego małoletnich. W ciągu 70 lat było 170 ofiar 27 duchownych. Dokument jest częścią „drogi odnowy", podjętej 10 lat temu przez zgromadzenie w wyniku ujawnienia nadużyć seksualnych, których dopuścił się jego założyciel, o. Marcial Maciel Degollado (1920–2008). On sam odpowiada za 60 przypadków wykorzystywania seksualnego.

KS. SZOSTEK WYRÓŻNIONY
Były asystent Karola Wojtyły, a potem jego następca w Katedrze Etyki KUL oraz były rektor tej uczelni ks. Andrzej Szostek został honorowym obywatelem Lublina. Tytuł jest wyrazem uznania dla zasług profesora w budowaniu międzynarodowego prestiżu tego miasta jako ośrodka akademickiego, społecznego i wielokulturowego.

Triduum w Watykanie z ograniczeniami

CZEKA NAS DRUGA WIELKANOC w pandemii. Udział w liturgii Niedzieli Palmowej i Triduum Paschalnego kolejny raz będzie bardzo utrudniony. Formy celebracji także będą musiały być skromniejsze.

Podobnie będzie w naszych kościołach, jak i w Rzymie. Watykan dostosuje się do reżimu sanitarnego obowiązującego w stolicy Włoch. Udział wiernych w nabożeństwach Wielkiego Tygodnia będzie bardzo ograniczony.

W Wielki Czwartek rano papież odprawi Mszę Krzyżma – której nie było w zeszłym roku. Mszę Wieczerzy Pańskiej – rozpoczynającą Triduum Paschalne – odprawi jednak nie Franciszek, lecz Dziekan Kolegium Kardynalskiego, kard. Giovanni Batista Re. Papież będzie przewodniczył dwóm pozostałym celebracjom paschalnym – Liturgii Wielkiego Piątku i Wigilii Paschalnej. Wielkopiątkowa droga krzyżowa odbędzie się nie w Koloseum, lecz na placu św. Piotra.

Widząc podobieństwo tegorocznej i poprzedniej Wielkanocy w Watykanie, warto przypomnieć sobie słowa Franciszka z zeszłorocznego orędzia wielkanocnego. Papież próbował rozbudzić wówczas nadzieję, ale wskazywał także wyraźnie, że ma ona sens tylko w powiązaniu z solidarnością i wzajemną troską – zarówno na poziomie indywidualnym, jak i społecznym – „Wielkanoc to nie czas obojętności, egoizmów, podziałów, zapomnienia".

Warto mieć te słowa w pamięci rozważając, w jaki sposób świętować Święta Paschalne w bardzo trudnym okresie pandemii.

©℗ PIOTR SIKORA

Dante i pragnienie szczęścia

„W TYM SZCZEGÓLNYM MOMENCIE dziejowym, naznaczonym wieloma cieniami, sytuacjami, które upodlają ludzkość, brakiem zaufania i perspektyw na przyszłość, postać Dantego, proroka nadziei i świadka ludzkiego pragnienia szczęścia, może wciąż dać nam słowa i wzorce, które staną się impulsem do naszej wędrówki" – zachęca Franciszek w liście apostolskim „Candor lucis aeternae" wystosowanym z okazji 700. rocznicy śmierci Dantego Alighieri, autora „Boskiej komedii".

Próby nowego odczytania arcydzieła Dantego mają miejsce i bez apeli papieskich. W najnowszym holenderskim tłumaczeniu, które ukazało się 1 marca, z ósmego kręgu piekielnego zniknął prorok Mahomet. Tłumaczka Lies Lavrijsen wyjaśnia, że zdecydowała się na taką ingerencję, żeby nie urażać czytelników-muzułmanów, którzy stanowią znaczną część holenderskiego społeczeństwa.

©℗ MAREK RABIJ

KULTURA W SKRÓCIE

„CZĄSTKI KOBIETY" W AWINIONIE
Po 14 latach zespół TR Warszawa wraca na Festiwal Awinioński ze spektaklem „Cząstki kobiety" Katy Wéber w reż. Kornéla Mundruczó. Najbardziej znana francuska impreza teatralna organizowana jest od 1947 r. Rokrocznie do średniowiecznego miasta przyjeżdżają najważniejsi twórcy i twórczynie oraz zespoły teatralne z całego świata.

POLSKIE ANIMACJE W AUSTIN
„Własne śmieci" Darii Kopiec otrzymały wyróżnienie specjalne w konkursie krótkometrażowych animacji amerykańskiego festiwalu South by Southwest. To – obok Sundance – jedno z najważniejszych wydarzeń kina niezależnego w Stanach Zjednoczonych. Do konkursu zaproszono 12 produkcji, w tym dwie z Polski.

KADR Z FILMU

NOWY „DEKAMERON" W KSIĘGARNIACH
Margaret Atwood, John Grisham, Emma Donoghue i in. piszą książkę poświęconą pandemii COVID-19. Ich zebrane opowieści ukażą się wiosną 2022 r. i będą miały formę zbliżoną do „Dekameronu". Inicjatorem projektu był pisarz Douglas Preston, stojący na czele najstarszej w USA organizacji zrzeszającej literatów. Dochód wesprze twórców poszkodowanych finansowo w trakcie pandemii.

Magnetyzm czarnej dziury

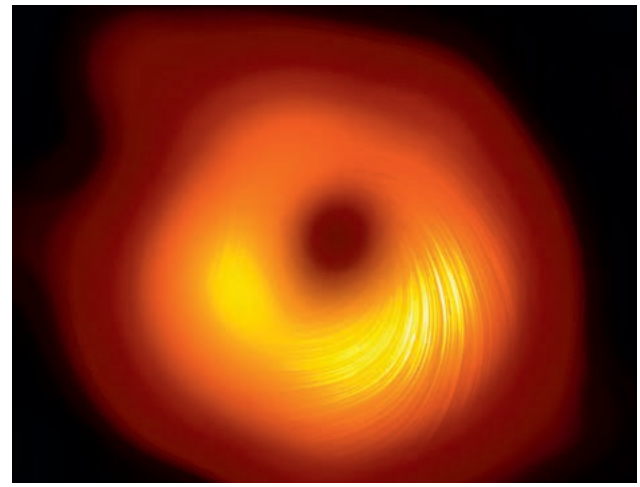
EHT COLLABORATION / MATERIAŁY PRASOWE

SŁYNNE PIERWSZE ZDJĘCIE supermasywnej czarnej dziury – a właściwie jej ciemnej sylwetki okolonej świecącym dyskiem rozgrzanej materii – zyskało właśnie nowe oblicze. Niemal dwa lata po tym, jak globalna sieć radioteleskopów zwana Teleskopem Horyzontu Zdarzeń (Event Horizon Telescope, EHT) zadziwiła świat obrazem charakterystycznej, pierścieniowej struktury w jądrze galaktyki M87, badacze ukończyli analizę polaryzacji światła uchwyconego na tym obrazie.

Zjawisko polaryzacji (dobrze znane fotografom i miłośnikom okularów przeciwsłonecznych) dostarcza astrofizykom cennych informacji o ekstremalnych warunkach panujących w pobliżu czarnej dziury. Pozwala np. określić natężenie i kierunek pola magnetycznego, generowanego przez opadający ku niej po spirali zjonizowany gaz (to właśnie linie tego pola widać na zdjęciu). Uczeni mają nadzieję, że nowe dane pomogą rozwikłać jedną z licznych tajemnic wokół czarnych dziur. Chodzi o mechanizm powstawania tzw. dżetów, czyli strug wysokoenergetycznych cząstek „wystrzeliwanych" z biegunów tych obiektów na tysiące, a nawet miliony lat świetlnych w przestrzeń międzygalaktyczną. © TOMASZ MILLER

Goryle górskie opiekują się sierotami

U WIELU GATUNKÓW SSAKÓW utrata matki kończy się dla niesamodzielnego potomstwa bardzo źle. Nawet jeśli osierocone młode nie padną łupem drapieżników, to mogą wolniej się rozwijać i słabiej radzić sobie w interakcjach społecznych. W efekcie w dorosłości ich dostosowanie, mierzone liczbą spłodzonego potomstwa, jest niższe niż u osobników, które cieszyły się opieką rodziców.

U goryli górskich wygląda to inaczej. Żyją one w stadach złożonych z dominującego samca (rzadziej: z kilku samców) oraz jednej lub kilku samic i ich dzieci, które są żywieniowo zależne od dorosłych do ok. 4. roku życia. Na podstawie danych zbieranych przez Fundację Dian Fossey przez 53 lata, Robin Morrison i współpracownicy ustalili, że młode, które straciły matki w wieku przynajmniej dwóch lat, w dorosłości radzą sobie nie gorzej niż wszystkie pozostałe osobniki. Badacze twierdzą, że u tych goryli więzi grupowe są na tyle silne, że obowiązki wychowawcze mogą brać na siebie inni członkowie stada, w tym samiec alfa. ©℗ ŁK

Mutacje i szczepionki

W CIĄGU ROKU PANDEMII SARS-COV-2 zaraził przynajmniej 125 mln osób – w każdym organizmie tworzył nawet setki miliardów swoich kopii i wielokrotnie mutował. Kumulacje korzystnych dla wirusa mutacji dały rozmaite warianty, które zaczęły dominować w określonych populacjach. Nie wszystkie spędzają naukowcom sen z powiek. Warianty dzieli się na wzbudzające niepokój (*variants of concern*) i zainteresowanie (*variants of interest*). Do pierwszej grupy należą te, które obecnie doskwierają najbardziej – brytyjski, południowoafrykański, brazylijski i od niedawna kalifornijski. Niektóre cechuje większa zakaźność, inne teoretycznie mogą zarażać ozdrowieńców. Jak pokazują pierwsze badania, wariant brytyjski wyróżnia też ryzyko zgonu większe o 64 proc.

Najnowsze doniesienia mówią o mieszaniu się wariantów wewnątrz komórek, gdy chory zakażony jest dwoma. Z drugiej strony, mikrobiolog Vaughn Cooper sugeruje, że wirus ewoluuje konwergentnie: liczba mutacji wydaje się ograniczona, a warianty to różne kombinacje tych samych mutacji. To miałoby ograniczyć zmienność SARS-CoV-2.

Najważniejszy będzie wpływ tych zmian na skuteczność szczepień. Wciąż jest zbyt wcześnie, by rozstrzygać, ale pierwsze dane pokazują, że przed wariantem brytyjskim, który ostatnio dominuje również w Polsce, chroni zarówno Pfizer, jak i AstraZeneca. Za to skuteczność tej ostatniej wobec wariantu z RPA wyniosła zaledwie 10 proc. © BARTOSZ KABAŁA

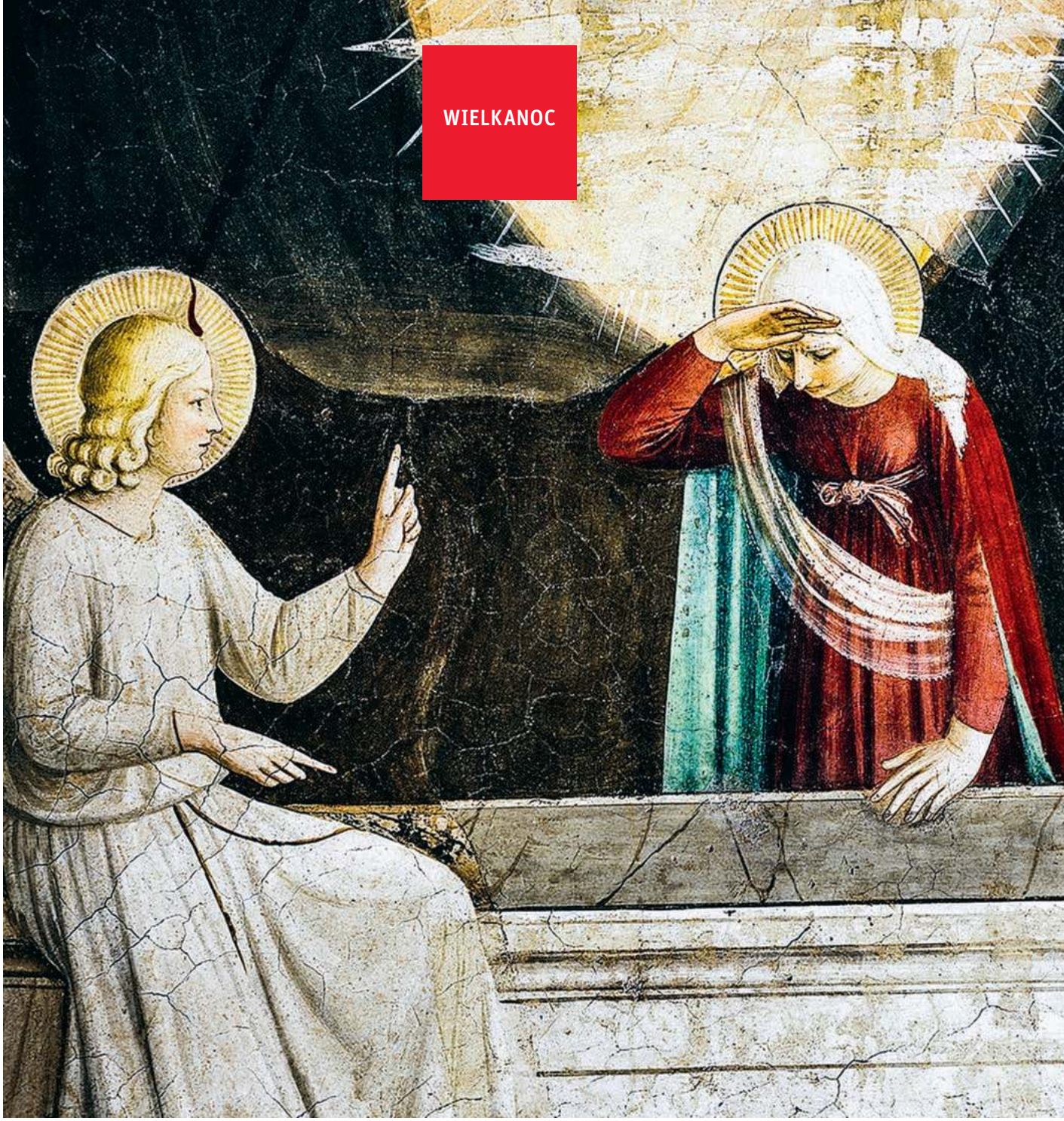

BYŁO ICH WIELE

To one przekazały nam informacje o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Spróbujmy zrekonstruować główną wielkanocną narrację.

KALINA WOJCIECHOWSKA

DEA / A. DAGLI ORTI / GETTY IMAGES

Fra Angelico, Zmartwychwstanie Chrystusa, 1438–1447. Kobiety przy pustym grobie, fragment fresku znajdującego się w celi klasztoru św. Marka we Florencji

Trudno sobie wyobrazić chrześcijański przekaz bez szczegółowej opowieści o męce i zmartwychwstaniu. A jednak najstarsza nowotestamentowa wzmianka o tych wydarzeniach jest bardzo lakoniczna: „Przekazałem wam bowiem na początku to, co i ja przejąłem, że zgodnie z Pismem Chrystus umarł za nasze grzechy, że został pogrzebany i trzeciego dnia wskrzeszony z martwych zgodnie z Pismem, że ukazał się Piotrowi, potem Dwunastu" (1 Kor 15, 3-5). Choć tekst Pawłowy powstał co najmniej dwadzieścia lat przed narracjami ewangelicznymi, nosi ślady zapośredniczenia. Informacje o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Paweł przejął zapewne w takiej właśnie formie – z jednej strony niemal hasłowej, z drugiej już mocno naznaczonej teologiczną refleksją (por. Dz 2, 22-26; 3, 13-15; 4, 10-12).

Uderza tu męski punkt widzenia. Apostoł wspomina o chrystofaniach, których świadkami byli sami mężczyźni (1 Kor 15, 5-8). Pomija fakt, że zanim Zmartwychwstały ukazał się Piotrowi, był widziany przez kobiety, co więcej: rozmawiał z nimi jak za dawnych czasów. Maskulinizacja ma tu podłoże kulturowe. Zarówno w środowiskach żydowskich, jak i greckich pozycja kobiet była wyraźnie niższa. Józef Flawiusz przekonuje, że „kobieta – jak głosi prawo – jest pod każdym względem niższa od mężczyzny", i dodaje, że „od kobiet nie wolno przyjmować żadnych zeznań, ze względu na lekkomyślność ich płci".

Pierwszym chrześcijanom zależało na wiarygodności. Nic dziwnego, że szczegóły dotyczące śmierci i zmartwychwstania Jezusa przekazane przez kobiety pomijali milczeniem i skupiali się na zbawczych skutkach tych wydarzeń.

Świadectwa kobiet

Sytuacja zmieniła się nieco po kilkudziesięciu latach, kiedy w drugim i trzecim pokoleniu chrześcijan wzrastało zainteresowanie życiem i nauką Jezusa. Uwagę zwracała też egalitarność wspólnot chrześcijańskich i wysoka – zwłaszcza na tle ówczesnych społeczeństw – pozycja kobiet. Uzasadniano ją m.in. postawą samego Jezusa, a także rolą kobiet w Jego otoczeniu oraz w przekazywaniu dobrej nowiny o zmartwychwstaniu. Nie zdecydowano się oprzeć całej narracji o Jezusie na relacjach kobiet. To było zbyt wielkie ryzyko wizerunkowe. Co innego z historią męki, śmierci i zmartwychwstania.

Złożyły się na to dwie zasadnicze przyczyny. Po pierwsze – prawo żydowskie, jak to później potwierdza Talmud, dopuszczało uznanie mężczyzny za zmarłego lub zaginionego na podstawie oświadczenia bliskich mu kobiet. Jeśli zaginiony powrócił lub znaleziono jego ciało, ustalenie tożsamości również opierano na zeznaniach żony lub matki. Po drugie – męska narracja urywa się w momencie aresztowania Jezusa, kiedy „wszyscy uczniowie opuścili Go i uciekli"; podjęta zostaje dopiero po zmartwychwstaniu, kiedy uczniowie dowiadują się od kobiet, że Jezus zmartwychwstał, i sami doświadczają chrystofanii. Świadectwo kobiet potwierdza więc, że Jezus naprawdę umarł i że to naprawdę On ukazywał się później uczniom, oraz pozwala odtworzyć ostatnie godziny Jego życia. ↦

↦ Oczywiście ewangeliści uzupełniali i przekształcali świadectwo kobiet tak, aby odpowiadało ich koncepcji literackiej i teologicznej. Można jednak próbować rekonstruować kobiecą opowieść o męce i zmartwychwstaniu.

Autorki i bohaterki

Choć ewangeliści dopiero na końcu opisu męki wspominają o kobietach, rekonstrukcję „kobiecej" narracji pasyjnej należy zacząć od tej wzmianki: „One właśnie towarzyszyły Mu i usługiwały, kiedy był w Galilei, i wiele innych, które przyszły razem z Nim do Jerozolimy" (Mk 15, 41; por. Mt 27, 56n; Łk 23, 49; częściowo J 19, 25). Chodzi więc o dwie grupy kobiet.

Jedna to uczennice Jezusa, które towarzyszą Mu od czasów galilejskich. Ich status i działanie zostały opisane dwoma czasownikami. Pierwszy – *akolutheo* – wskazuje nie tylko na przebywanie w pobliżu kogoś. Często pojawia się w narracjach o męskich uczniach Jezusa jako wskazówka dotycząca ich statusu. Tak samo trzeba go traktować w narracjach o kobietach. Na podstawie drugiego czasownika – *diakoneo* – można odtworzyć, na czym polegała rola kobiet w tej wspólnocie: troszczyły się o zapewnienie grupie jedzenia i picia. Łukasz w innym miejscu mówi również o „usługiwaniu z majątku", co oznacza wsparcie finansowe i rzeczowe (Łk 8, 2).

Druga grupa to kobiety, które „razem z Nim weszły do Jerozolimy". Mogły to być mieszkanki otaczających Jerozolimę miejscowości, takich jak Betania. Może były świadkami królewskiego wjazdu Jezusa do Jerozolimy kilka dni wcześniej i wtedy rozpoznały w Nim Mesjasza. Potem chłonęły każde Jego słowo i gest. Zapamiętały gniew, z jakim wypędzał kupców z dziedzińca świątynnego, i dziwne zapowiedzi zburzenia świątyni. Obie grupy musiały doznać wstrząsu dowiadując się, że Nauczyciel i Mesjasz został aresztowany. Nie uciekły jednak jak uczniowie, lecz z daleka przyglądały się kolejnym aktom dramatu.

Proces

Najmniej elementów pierwotnej kobiecej narracji znajduje się w relacji z procesu. Wmieszane w tłum kobiety obserwowały tylko jego publiczne fragmenty. Nie znały dobrze ani jurysdykcji rzymskiej, ani niuansów religijnego prawa żydowskiego. Ponadto proces toczył się najprawdopodobniej w obcym dla nich języku greckim. Na pewno jednak zapamiętały szukanie świadków, którzy zgodnie zeznawaliby przeciw Jezusowi, i trudność w znalezieniu przynajmniej dwóch lub trzech takich mężczyzn, podburzanie tłumu przez przywódców religijnych, aby domagał się ukrzyżowania Jezusa, może pewne niezdecydowanie Piłata, a wreszcie wyrok – skazanie na ubiczowanie i śmierć przez ukrzyżowanie.

Mateusz wprowadza tu na scenę jeszcze jedną kobiecą postać – żonę Piłata. Nie wiadomo, na ile jest to epizod oparty na faktach, a na ile koncept literacki. Sama obecność i wstawiennictwo żony dostojnika oczywiście są możliwe. Prawo rzymskie zezwalało kobietom towarzyszyć podczas podróży służbowych mężom sprawującym urzędy w prowincjach. Rezydujący stale w Cezarei Nadmorskiej Piłat, jadąc do Jerozolimy rozpatrzeć skargę przeciw Jezusowi wniesioną przez Żydów, zabrał ze sobą żonę. Może była to dla niej okazja, by zobaczyć miasto podczas święta Paschy? Jeśli żona Piłata rzeczywiście wstawiła się za oskarżonym Jezusem, trudno powiedzieć, jakimi kierowała się względami: współczuciem, przekonaniem o niewinności Oskarżonego czy może zniecierpliwieniem i niepokojem, że skazanie Jezusa zakłóci religijne uroczystości, które chciała zobaczyć.

Kobiety z Jerozolimy

Mateusz, Marek i Jan podają, że Piłat kazał ubiczować Jezusa i wydał Go na ukrzyżowanie. Zanim Jezus wziął krzyż, został przez żołnierzy publicznie odarty nie tylko z ubrania, ale również z godności. Źródeł tej narracji należałoby szukać w relacjach kobiet z Jerozolimy i okolic. Znały one miasto lepiej niż Galilejki, wiedziały, skąd można widzieć, co dzieje się na dziedzińcu praetorium. Szokiem musiały być dla nich szyderstwa z Jezusa, założenie cierniowej korony, a ponadto plucie i bicie trzciną tego, którego tak niedawno witano jako Mesjasza.

Kiedy ubiczowanego Jezusa wyprowadzono za miejskie mury, przymuszono Szymona Cyrenejczyka, aby pomógł Mu dźwigać krzyż. To również relacja, która może pochodzić od kobiet. Do ich świadectwa nawiązuje potem Łukasz (23, 27) w stwierdzeniu: „A szedł za Nim wielki tłum, w tym także kobiety, które lamentowały i płakały nad Nim". Tłumy mężczyzn i kobiet towarzyszyły każdej egzekucji. Tworzyły je zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy skazańca. Pierwsi mu złorzeczyli, drudzy okazywali współczucie, jak kobiety nieprzypadkowo nazwane córami jerozolimskimi. Obok znaczenia symbolicznego określenie to ma znaczenie zupełnie dosłowne – jasno wskazuje na mieszkanki Jerozolimy i okolic.

Ich lament to nie tylko wyraz emocji, ale również element typowy dla żydowskiej obyczajowości. Zawodowe płaczki pojawiały się w czasie uroczystości pogrzebowych; ich zawodzenie łączyło się z płaczem pogrążonej w bólu rodziny. Kobiety z Jerozolimy doskonale wiedziały, że zmarłych na krzyżu chowano w zbiorowej mogile. Ich lament łączący osobisty ból i rytualne funeralia miał najprawdopodobniej stanowić namiastkę prawdziwego, godnego, żydowskiego pogrzebu. Płaczące kobiety nie musiały wcale podchodzić do Jezusa. Bardziej nawet prawdopodobne, że lamentowały gdzieś w tłumie, z daleka, aby się nie narażać.

Naprawdę umarł

„Z daleka" jest kluczowym wyrażeniem kończącym synoptyczne narracje pasyjne: „Stały tam też kobiety, które z daleka przypatrywały się temu" (Mk 14, 40). Relacja ta znajduje potwierdzenie psychologiczne i historyczne. Przyznawanie się do związków ze skazańcem było niebezpieczne nie tylko dla mężczyzn, również dla kobiet. Rzymski historyk Tacyt odnotowuje, że za panowania cesarza Tyberiusza, kiedy dokonywano masowych egzekucji, „ani krewnym, ani znajomym nie wolno było podejść bliżej (...). Dookoła rozstawione były straże, które obserwowały, czy ktoś zdradza jakiekolwiek oznaki żałoby".

Kobiety obserwowały egzekucję Jezusa z daleka. Stały jednak na tyle blisko krzyża, aby widzieć, jak Umierającemu podawano gąbkę nasączoną octem, a następnie usłyszeć Jego krzyk i stwierdzić, że naprawdę umarł. Stwierdzenie śmierci to jeden z nielicznych wyjątków, kiedy zeznania kobiet można było uznać za wiarygodne. Teraz potwierdzały je zarówno kobiety z Galilei, które trzeba potraktować jako najbliższe Jezusa, jak też kobiety z Jerozolimy i okolic, wśród których były może zawodowe płaczki.

W miejscu egzekucji

Pozostaje ustalić tożsamość przynajmniej niektórych kobiet towarzyszących Je-

BEW

Francesco di Cristofano Franciabigio, Noli me tangere, fragment fresku. Florencja, ok. 1520 r.

Ewangelie są zgodne, że wśród świadków śmierci i zmartwychwstania Jezusa znajdowała się **Maria Magdalena. Wymieniana jest na pierwszym miejscu,** co dowodzi, że w pierwotnym Kościele cieszyła się autorytetem.

zusowi do końca. Ewangeliści nie są tu zgodni, zapewne każdy wymienił imiona tych, których relacje stanowiły dla niego źródło, albo tych, które cieszyły się szczególnym autorytetem. Na to nałożyły się też różne kompozycje literackie poszczególnych ewangelii i różnie rozłożone akcenty teologiczne. Niewątpliwie kobiet pod krzyżem było wiele (Mt 27, 55; Mk 15, 40; Łk 23, 49. 55). Wśród nich Mateusz wymienia Marię Magdalenę i drugą Marię; Marek – Marię Magdalenę, Marię, matkę Jakuba i Jozesa, oraz Salome. Łukasz imiona kobiet wymienia dopiero przy opisie wielkanocnego poranka.

Synoptycy nie wspominają o obecności pod krzyżem Marii, matki Jezusa. Robi to dopiero ewangelista Jan, który stosuje pewnego rodzaju zoom: kobiety, które stały z daleka, przybliża do krzyża i sytuuje tuż pod nim. Pod krzyżem stały więc: Matka Jezusa, której imienia ewangelista nie wymienia, siostra Jego Matki, Maria Kleofasowa oraz Maria Magdalena (J 19, 25).

Ten zoom jest Janowi potrzebny, aby zaprezentować słowa wypowiadane przez umierającego Jezusa do Matki i ucznia: „Oto syn twój; oto matka twoja" (J 19, 26-27). Z oddali nie byłyby one słyszane; z bliska mogły być nawet wyszeptane. Symbolicznego znaczenia nadaje im Janowa redakcja i kontekst. Jeśli były wypowiedziane, niezależnie od tego, czy miało to miejsce w opisanych przez Jana okolicznościach, czy wcześniej, świadkowie rozumieli je przede wszystkim jako wyraz troski syna o samotną matkę. Pozycja bezdzietnych wdów w Palestynie była nie do pozazdroszczenia. Cierpiały biedę lub egzystowały na obrzeżach domów bogatszych krewnych jako rezydentki.

Jan zakłada, że Matka Jezusa podczas święta Paschy przebywała w Jerozolimie. Na co dzień mieszkała jednak w oddalonym o ok. 130 km Nazarecie. Możliwe, że odbywała coroczną pielgrzymkę, choć nie było to obowiązkiem kobiet, i zatrzymała się u krewnych (według Łukasza była przecież spokrewniona z rodziną kapłana Zachariasza i Elżbiety). Matczyny ból, jakiego doznała, widząc umierającego Syna, należałoby wtedy uznać za przyczynę jej późniejszej nieobecności wśród kobiet przybywających do grobu.

Wszystkie ewangelie są zgodne, że wśród kobiet przyglądających się egzekucji Jezusa znajdowała się Maria Magdalena. Synoptycy wymieniają ją na pierwszym miejscu, co dowodzi, że w pierwotnym Kościele cieszyła się szacunkiem i autorytetem. Może pełniła w nim jakieś funkcje przywódcze? Na pewno przewodziła kobietom wędrującym za Jezusem z Galilei i materialnie wspierała Jego ruch. Pozostała do końca wierna Nauczycielowi, któremu nie tylko była wdzięczna za uwolnienie od siedmiu demonów, ale do którego była szczerze przywiązana.

Przy pustym grobie

Pierwotna kobieca relacja musiała zawierać wyprzedzającą obronę przed zarzutem, że po szabacie pomyliły grobowce i odwiedziły inny grób niż ten, w którym Józef z Arymatei złożył ciało Jezusa. „Zostały tam i siedziały naprzeciw grobu" (Mt 27, 61), a niektóre mogły nawet towarzyszyć Józefowi, gdy dokonywał pochówku: „obejrzały grób i to, w jaki sposób złożono Jego ciało" (Łk 23, 55).

Po szabacie, rankiem pierwszego dnia tygodnia kobiety przyszły więc do właściwego grobu. Podobnie jak pod krzyżem, również przy pustym grobie musiało być ich więcej niż tylko te wymienione z imienia. Wszyscy ewangeliści zgodnie twierdzą, że na pewno była wśród nich Maria Magdalena. To najprawdopodobniej od niej pochodzi główna wielkanocna narracja. Ale o pustym grobie i zmartwychwstaniu opowiadały apostołom również inne kobiety – zarówno te wymienione z imienia (druga Maria u Mateusza, Maria matka Jakuba i Salome wymienione przez Marka, i jeszcze Joanna, którą zamiast Salome wymienia Łukasz), jak i „pozostałe, które z nimi były" (Łk 24, 10b). Nawet w Ewangelii Jana, który koncentruje się na relacji Marii Magdaleny, można dopatrzeć się śladów obecności jej towarzyszek. Kiedy po odkryciu pustego grobu Maria mówi o tym Piotrowi i umiłowanemu uczniowi, formułuje swoją wypowiedź ↦

↦ tak, jakby przemawiała w imieniu wielu kobiet: „Zabrali Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położyli" (J 20, 2).

Niewątpliwie od kobiet pochodzi wzmianka o bardzo prozaicznej trosce, kto im odsunie ciężki kamień zamykający wejście do grobu. Na miejscu okazuje się, że kamień jest odsunięty. Czujemy emocje bohaterek: zmartwienie w drodze do grobu; nadzieję, że jednak uda się spełnić obowiązek wobec Zmarłego na progu otwartego grobowca; wielki niepokój pomieszany z bezradnością (Łk 24, 4; J 20, 2), kiedy odkrywają, że grób jest pusty. Jan dodaje, jakie domysły towarzyszyły temu odkryciu – ktoś musiał zabrać ciało Jezusa i położyć je w innym grobie.

Odpowiedzią na kobiecy smutek i niepokój są kojące słowa anioła/aniołów: „Nie bójcie się!" (Mt 28, 5; Mk 16, 6) lub mające bardzo podobny wydźwięk pytanie: „Czemu płaczesz?" (J 20, 13). Potem następuje wyjaśnienie tajemnicy pustego grobu – Jezus zmartwychwstał. Wydaje się, że najbardziej pierwotna kobieca relacja zachowała się u Łukasza, który dwa razy podkreśla, iż zmartwychwstanie jest wypełnieniem słów samego Jezusa. Najpierw przypomina o tym anioł (Łk 24, 6), a potem ewangelista potwierdza, że kobiety rzeczywiście przypomniały sobie słowa Nauczyciela (Łk 24, 8). Odwołanie się do tego, co kobiety słyszały od samego Jezusa, świadczy, że rzeczywiście już od czasów galilejskich znajdowały się one w kręgu Jego najbliższych uczniów. Cieszyły się Jego zaufaniem na równi z Dwunastoma, do których Jezus kierował zapowiedzi swojej męki, śmierci i zmartwychwstania (Mt 16, 21; 17, 22; 20, 17-19; Mk 8, 31-32; 9, 31-32; 10, 32-34; Łk 9, 22. 43-44; 18, 31-34).

Kobiety musiały być bardzo umocnione tym przypomnieniem, skoro opowiedziały o wszystkim apostołom. Wydaje się, że tutaj znów Łukasz sięgnął po pierwotne kobiece źródło. Mateuszowa i Markowa wzmianka, że to anioł nakazał kobietom powiedzieć o wszystkim apostołom (Mt 28, 7; Mk 16, 7), jest najprawdopodobniej próbą wzmocnienia wiarygodności ich świadectwa, może nawet usprawiedliwienia „zuchwałości" wobec męskich uczniów, których odważyły się pouczać, że oto właśnie nastąpiło spełnienie Jezusowych zapowiedzi.

Łukasz wspomina, że ich opowieść została uznana przez apostołów za brednie (*leros*). Potem trudno się było mężczyznom przyznać do tej niewiary. Lojalnie jednak przyznają, że to kobiety przyszły do grobu, nie znalazły ciała i od aniołów dowiedziały się, że Jezus żyje (Łk 24, 23).

Rozpoznanie Zaginionego

Dalsza historia wiąże się z chrystofaniami. Rozpoznania Jezusa dokonały najpewniej Galilejki. Dobrze znały Jego zwyczaje i szczególny sposób mówienia. Rozpoznanie nie odbyło się natychmiast; należy przypuszczać, że był to raczej proces. Jego echa pobrzmiewają u Jana, kiedy Maria Magdalena początkowo nie poznaje Jezusa, ale wszystkie jej wątpliwości znikają, gdy Nieznajomy odzywa się do niej w niepowtarzalny, Jezusowy sposób.

Rozpoznanie Zmartwychwstałego pozwoliło kobietom umocnić się wewnętrznie na tyle, żeby – mimo strachu – opowiedzieć wszystko Jedenastu. Umocnienie to Mateusz opisuje jako powtórzenie przez Jezusa anielskiego nakazu: „Idźcie i powiedzcie braciom" (Mt 28, 10). Marek, który jak Jan opiera się na świadectwie Marii Magdaleny, konkluduje po prostu, że po rozpoznaniu Jezusa Maria przyniosła pogrążonym w smutku uczniom dobrą nowinę o zmartwychwstaniu. Jan wykorzystuje kobiecy przekaz w typowy dla siebie sposób – bardziej symboliczny i niejednoznaczny. Jednak nawet w jego relacji udaje się uchwycić pierwotne emocje towarzyszące rozpoznaniu: niepewność, tęsknotę, potrzebę bliskości, także fizycznej (stąd przemożna chęć dotknięcia Jezusa i objęcie Jego nóg), i stopniowe dochodzenie do zrozumienia, jak wielkiego, zbawczego wydarzenia są pierwszymi i jedynymi świadkami, i jak wielka spoczywa na nich odpowiedzialność, by to oznajmić światu.

© KALINA WOJCIECHOWSKA

Autorka jest profesorem teologii w Katedrze Wiedzy Nowotestamentowej i Języka Greckiego Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie; popularyzatorka Biblii, z wyznania ewangeliczka.

Miej życie w sobie

PIOTR SIKORA

Wielkanoc – święto zmartwychwstania. Ewangelia, gdy o nim wspomina, prowadzi nas do bardzo cielesnego doświadczenia. Tu i teraz.

Obudziłem się bez lewej ręki. Gdy spałem, tętnica pod pachą musiała naciskać krawędź materaca. Miękką – przez sen nic nie poczułem. Ale dostatecznie twardą, by ugiąć ściankę krwionośnego naczynia i zablokować przepływ.

Zadzwonił budzik, otworzyłem oczy. Mózg wykonał ruch ręką w stronę komórki, by wyłączyć wesołą, wkurzającą rano muzyczkę. Umysł po ułamku sekundy zorientował się, że kończyna nie tylko się nie poruszyła, ale że w ogóle jej nie czuć. Sięgnąłem prawą. Opuszki palców dotknęły lekko uginającą się powierzchnię walca, który, jak podpowiedziała pamięć ciała, był moim lewym przedramieniem.

Umysł, dotąd ledwo obudzony, rozjaśniło zaskoczenie sprzecznymi sygnałami: „Tu leży twoja ręka!" – krzyknęła pamięć. „Jakieś obce ciało!" – wołał dotyk, bo opuszki prawej dłoni czuły skórę, lecz skóra lewej ręki nie czuła ich nacisku. „Zbyt długo to trwa – zaniepokoiłem się – dlaczego czucie nie wraca?". Lęk narastał przez kilka oddechów. W końcu z ulgą poczułem pierwsze ukłucia bólu w lewej dłoni. Znak, że krew znowu płynie, a wraz z nią – życie.

Rozbić lustro

Przedziwny jest nasz stosunek do krwi. Hektolitry czerwonej farby w filmach klasy B – o, to tak! Ale widoku prawdziwej krwi raczej unikamy. Trudno ją zobaczyć nawet w reklamach środków opatrunkowych, a płyn, który wsiąka w zachwalany, nowy model podpaski, ma kolor bladoniebieski – żeby nawet się nie kojarzył.

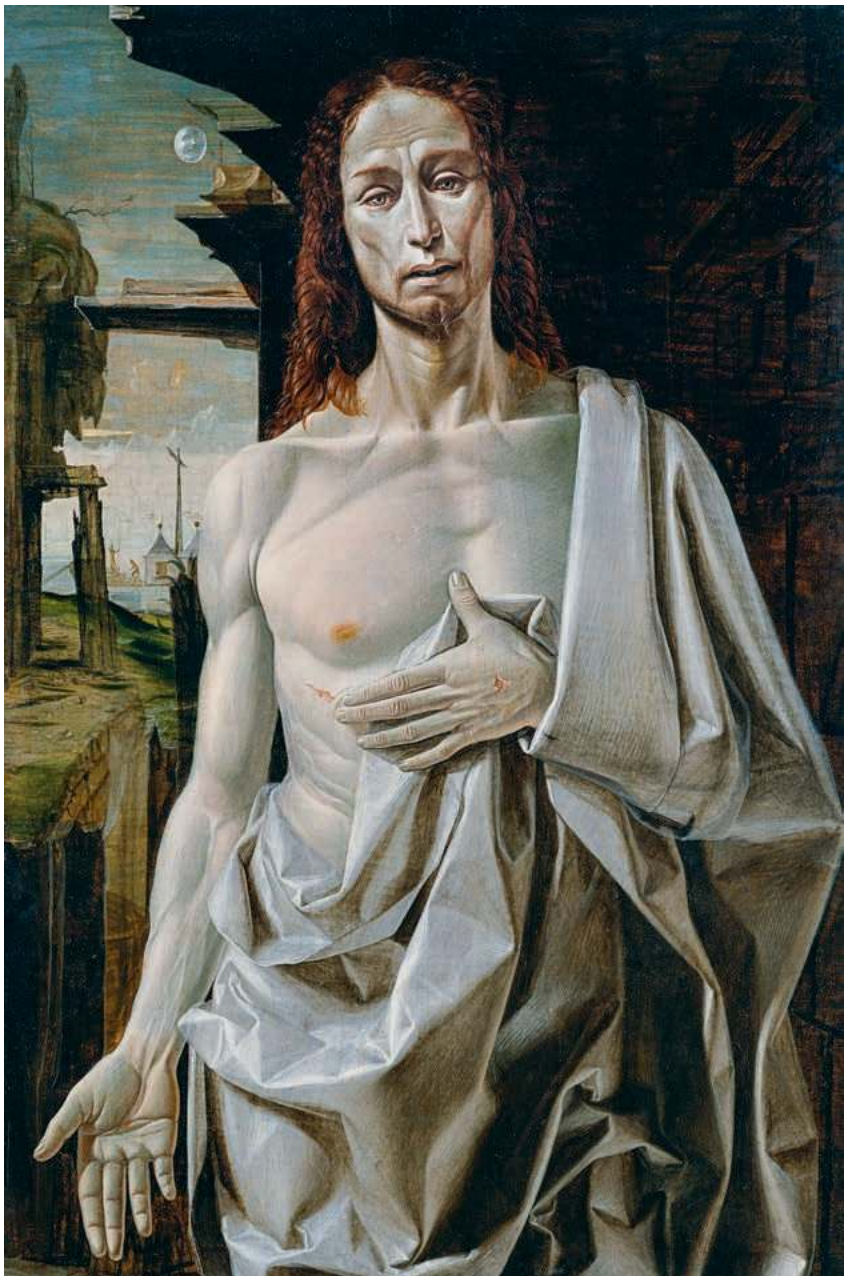

HERITAGE / ALAMY / BEW

Bramantino, Chrystus Zmartwychwstał, ok. 1490 r., ze zbiorów Muzeum Thyssen-Bornemisza w Madrycie

A przecież już starożytni dostrzegli związek życia i krwi. Był on też oczywisty dla autorów biblijnych, widzieli oni jego wyższy sens. Być może zatem nasze napawanie się sztuczną filmową krwią i niedostrzeganie krwi prawdziwej ma znaczenie symboliczne – jest objawem i wskazówką naszego stosunku do życia. Zanurzeni jesteśmy w sztuczne, pozorne; z prawdziwym nie mamy kontaktu, choć mamy je w sobie.

Życie jest w ciele, lecz czy my tam jesteśmy? Czyż nie uwiódł nas, i to nie przypadkiem, zmyślny wynalazek – lustro? To w nim, tak sądzimy, widzimy siebie: twarz, fryzurę, pryszcz na nosie. Rzeźbę mięśni, atrakcyjną sylwetkę, zmarszczki, obwisły brzuch. Czy dobrze krawat zawiązany. Ciało nagie, ciało wystrojone. Ale lustro łudzi nas nie tylko tym, że zmienia lewe na prawe. Lustro oddala nas od samych siebie na dystans dwa razy większy niż odległość, która dzieli oko od pokrytego srebrem szkła. Lustrzane poznanie wyrzuca każdą i każdego z nas na zewnątrz tego, kim jesteśmy.

W życiu osobistym, kulturze, a nawet religii za dużo władzy oddaliśmy lustrom i lustrzanemu sposobowi poznawania siebie. Niby znamy siebie, jednak jakby z oddali, niczym w oku kamery. Postrzegamy siebie tak, jak widzą nas inni. Odbijamy się w ich wzroku, w opiniach, na tle społecznej siatki ról i hierarchii.

A przecież można inaczej. Spróbuj, na przykład, zaznajomić się ze swoją twarzą. Nie patrz na posrebrzane szkło, poznaj ją od wewnątrz. Poczuj: oto czoło. Jaka jest temperatura powietrza, którego dotyka? Rozszerz uwagę, zauważ skronie. Uświadom sobie, jak ułożone są twoje brwi. Podnoszą się? Marszczą? Nie przeocz tej małej przestrzeni między brwiami, często spiętej. Czy masz tam pionową kreskę? Nie patrz w lustro. Poczuj. Potem przejdź łagodnie do powiek. Uświadom sobie ich delikatny ciężar. Opuść i podnieś powoli. A teraz nos – od nasady po czubek i nozdrza. Są spięte czy luźne? Pod nosem jest górna warga. Dotyka zębów? Napięta ściska się z wargą dolną czy luźna niemal się od niej odrywa, trzymana tylko lekko klejącą, prawie zaschniętą warstewką śliny? A kąciki ust – unoszą się nieznacznie czy opadają? Broda – wysuwasz ją do przodu czy może cofasz ku szyi? Co robią twoje policzki? Co czują uszy?

Czy słyszysz w uszach cichy szum? Nawet jeśli, zajmując się mnóstwem spraw, nie zdajesz sobie z niego sprawy, brzmi stale i nieprzerwanie. Tak bowiem dźwięczy płynąca do mózgu krew. Ustanie tego dźwięku zwiastuje śmierć. To życie szumi ci w głowie.

Wcielenie Logosu

Długo nie zdawałem sobie sprawy z tego, że takie proste, zmysłowe ćwiczenie ma głębokie religijne znaczenie. A przecież wyrosłem w chrześcijańskiej tradycji. W religii Wcielenia, opartej na zdaniu z Prologu Ewangelii Jana: „Słowo stało się ciałem" (J 1, 14), gdzie napisano *sarks*, co dosłownie znaczy: „mięso". W tradycji, której najstarsze powszechnie przyjęte wyznanie wiary – wkuwane na pamięć przez dzieci, gdy uczą się pacierza – głosi: „wierzę w ciała zmartwychwstanie", *en sarkos anastasin*. Czytałem Pawła z Tarsu, który uświadamiał Koryntianom: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest" (1 Kor 6, 19). A jednak: przez długie lata żyłem tylko półświadomy swego ↦

↦ ciała oraz życia, które w nim płynie, płonie, tętni, bulgoce.

To, że brak kontaktu z własnym ciałem jest możliwy i zarazem szkodliwy, przekonałem się kilka lat temu. Była to sytuacja przedłużającego się, ciągnącego przez kilkanaście tygodni bardzo silnego stresu. A ja cały czas byłem nad podziw spokojny – to znaczy: tak mi się wydawało – aż wylądowałem w szpitalu, z bólem w klatce piersiowej i trudnościami w oddychaniu. Podejrzenie zawału albo zatoru płucnego. Seria badań, które nic nie wykazały: płuca czyste, serce jak dzwon.

Przez ostatnie kilka lat zapoznałem się bliżej ze swoim ciałem, wiem już, co wówczas się stało. Żyłem tylko „w głowie". Z lękiem i frustracją rozprawiałem się racjonalnymi argumentami i – trochę – siłą woli. Ale one tylko pozornie znikały. Wycofywały się w zakamarki ciała, którego nie byłem świadomy. Nie czułem lekko ściśniętego żołądka, spięcia mięśni w barkach i między żebrami, podwyższonego ciśnienia i tętna krwi.

I było tak: stresowy bodziec – dajmy na to wzbudzona widokiem kalendarza myśl, że czas ucieka, a ktoś nie podjął kluczowej dla mnie decyzji; wokół tej myśli rozchodzi się fala lęku; na jej grzbiecie wyobrażenie, co będzie, jeśli nie zdążę; za nią druga fala emocji, tym razem złość na tych, przez których opieszałość rozsypać się mogą moje ważne życiowe plany. A wszystko to działo się w konkretnych przestrzeniach ciała: łączyło się z biciem serca, napięciem mięśni, przepływem soków w żołądku. Wtedy nie zwracałem na ciało uwagi, aż musiało krzyknąć: „dość!".

Cielesność: zatrważająca, ożywiająca

Dziwne to trochę, że nie byłem uczony życia w ciele ani na katechezie, ani w kościele. Jak cielesna bowiem jest Dobra Nowina! Weźmy choćby szósty rozdział Ewangelii Jana. Zdanie, w którym Jezus mówi: „»Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu«. Rzekli więc do Niego: »Panie, dawaj nam zawsze tego chleba!«. Odpowiedział im Jezus: »Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie«" (J 6, 33-35).

Czyż nie jest to nowina o jedzeniu? I o tym, co wcześniej – o pragnieniu i o głodzie? Kto nie doświadczył, jak najbardziej świadomie, ssania w pustym żołądku, rozdrażnienia mięśni osłabionych brakiem środków odżywczych, bólu głowy, wyschniętych ust i sztywniejącego języka pozbawionego wody, nie zrozumie w pełni przesłania Jezusa.

> W życiu osobistym, kulturze i religii **za dużo władzy oddaliśmy** lustrzanemu sposobowi poznawania siebie.

A mówi On dalej coś, czego sens jest tak cieleśnie zatrważający, że umysł w naturalny sposób broni się, uciekając od dosłownego znaczenia słów w spekulatywne uwznioślenia: „Rzekł do nich Jezus: »Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie jedli ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto zjada moje ciało i pije moją krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja jest prawdziwym napojem. Kto zjada moje ciało i krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie zjada, będzie żył przeze Mnie«" (J 6, 53-57).

Tu nawet nie chodzi o to, że reguły koszerności zabraniały Żydom jeść mięsa z krwią. Jezus nie mówi o jedzeniu jakiegokolwiek mięsa – mówi o jedzeniu mięsa (*sarks*) swego ciała i piciu swojej krwi. Przecież to jest mowa kanibalistyczna! Nie powinna więc dziwić reakcja zgorszonych uczniów: „A spośród Jego uczniów, którzy to usłyszeli, wielu mówiło: »Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?«" (J 6, 60). „Trudna" to za mało powiedziane. Grecki przymiotnik *skleros* znaczy zawsze coś bardzo nieprzyjemnego: jeśli wiatr – to ostry; jeśli klimat – to surowy; jeśli głos – szorstki; smak – cierpki; jeśli człowiek – to ponury albo okrutny.

Zastanawiający jest więc komentarz Mistrza na temat reakcji uczniów: „Jezus jednak świadom tego, że uczniowie Jego na to szemrali, rzekł do nich: »To was gorszy? A gdy ujrzycie Syna Człowieczego, jak będzie wstępował tam, gdzie był przedtem? Duch tworzy życie; ciało nic nie pomoże. Słowa, które Ja wam powiedziałem, są duchem i są życiem«" (J 6, 61-63).

W perspektywie czwartej Ewangelii drogą, którą Jezus wstępuje, „gdzie był przedtem", jest podniesienie jego ciała przybitego do krzyża, agonia ponad głowami tłumów i śmierć. On wiedział, że ten widok zgorszy uczniów – i to wcale nie z powodu fizycznego cierpienia. Śmierć na krzyżu była losem złoczyńców i – w perspektywie pobożnych Żydów – znakiem odrzucenia przez Boga.

Zauważywszy zaznaczony przez Jezusa związek mowy o jedzeniu Jego ciała i piciu krwi ze śmiercią na krzyżu i zmartwychwstaniem (opisywanym w czwartej Ewangelii obrazem wstępowania do Ojca), nie przeoczmy słów Mistrza, którymi kończy swój komentarz: że samo ciało jest bierne, a to Duch tworzy życie, oraz że wcześniejsze odrzucające, kanibalistycznie brzmiące słowa są właśnie „duchem i życiem".

Warto mieć świadomość, że w polskim przekładzie ginie cielesno-zmysłowa warstwa sensu i tego zdania Ewangelii. Przyzwyczajeni do frazy „Duch daje życie", możemy nie zauważyć, że zdanie to równie dobrze można przetłumaczyć: „to oddech jest życiodajny". Ewangelista nieprzypadkowo skonstruował tekst łącząc sferę Najwyższego z podstawową, fizjologiczną aktywnością organizmu. Chcesz doświadczyć Ducha – oddychaj, świadomie. Podążaj uwagą za powietrzem wchodzącym ze świata w ciebie przez nos, krtań, tchawicę, płuca – jak napełnia ciało tlenem, energią, życiem. Poczuj wydech i jak wraz z wydechem rozluźniają się spięcia i blokady w mięśniach, stawach. Wdech i wydech, wdech i wydech – zawsze teraz, wieczne połączenie twego ciała – ciebie! – z tym, co cię otacza. Z życiem świata.

Zmartwychwstanie

W Wielkanoc Jezus zwraca się do nas jak do Marty opłakującej śmierć brata, Łazarza: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?" (J 11, 25-26). Ale mówi też: „Bo kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma" (Mt 13, 12).

Wierzysz w zmartwychwstanie ciała? Ale czy twoje ciało żywe jest teraz?

©℗ PIOTR SIKORA

To także nasza pascha

O. DOMINIK JURCZAK OP, TEOLOG:

Treścią świąt paschalnych jest wspomnienie chrztu. Chrystus zmartwychwstał i my poprzez chrzest jesteśmy w to zmartwychwstanie włączeni.

ARTUR SPORNIAK: Liturgia Wielkiego Tygodnia pojawiła się dopiero w IV wieku – co było wcześniej?

O. DOMINIK JURCZAK OP: Na pewno celebrowano paschę w dwóch cyklach: raz w ciągu roku, co wiązało się z kontynuowaniem tradycji żydowskiej świętującej w dniu 14 nisan wspomnienie wyjścia z Egiptu, oraz co niedzielę, jako cotygodniowe wspomnienie zmartwychwstania Jezusa.

Ten drugi sposób jest wcześniejszy. W 20. rozdziale Ewangelii św. Jana przeczytamy, że apostołowie zgromadzili się „po ośmiu dniach" od zmartwychwstania. To świadectwo wczesnej praktyki gromadzenia się chrześcijan co tydzień, by wspominać zmartwychwstanie.

Czy pascha pierwszych chrześcijan różniła się od żydowskiej?

Trudność sprawia inne pytanie: czy żydowska pascha przeżywana przez Jezusa w Wieczerniku była już pierwszą mszą, czy jeszcze nie była? Nie ma na nie jasnej odpowiedzi. Za tym, że jeszcze nią nie była, przemawia to, że Wieczernik trzeba widzieć w świetle tego, co się dokonuje potem na krzyżu. To, co zaczyna się w Wieczerniku, dopełnia się i nabiera pełnego sensu dopiero w tajemnicy krzyża i tajemnicy zmartwychwstania.

Pierwsi chrześcijanie jako Żydzi czerpali z doświadczeń narodu wybranego i wyrastali z ich schematu kulturowego. Ale już w 49 r. młody Kościół na tzw. soborze jerozolimskim rozstrzygnął, że nie trzeba przechodzić przez tradycję żydowską, by być chrześcijaninem. Co nie oznaczało, że ją ignorował bądź odrzucał. Chociaż pod koniec IV wieku Kościół wyraźnie się już od niej dystansuje.

Co z paschy przeszło do mszy?

Przede wszystkim błogosławieństwo kielicha i chleba. Z czasem chrześcijańska liturgia nabierała własnego charakteru. Ale jeszcze w pochodzącym z II wieku anonimowym traktacie „Didache", zawierającym m.in. zbiory modlitw, Żydzi odnaleźliby wiele znajomych sformułowań.

Pascha jako najważniejsze święto żydowskie to wspomnienie wyzwolenia z niewoli egipskiej. Chrześcijaństwo ten motyw uogólnia – pascha Jezusa wyzwala nas z więzów śmierci.

Wspominanie wydarzeń zapisanych w Księdze Wyjścia – ofiarowania baranka, pokropienia jego krwią drzwi, przejścia anioła śmierci, a potem przejścia przez Morze Czerwone – uświadamiało, że Izraelici swoje życie zawdzięczają Bogu. Podczas Wigilii Paschalnej czytamy te same teksty co Żydzi, ale w kluczu Jezusa Chrystusa i Jego zmartwychwstania. Przejście przez Morze Czerwone jest przejściem przez wody chrztu.

Różnica między lekturą chrześcijańską a żydowską polega na tym, że czytamy ↦

Liturgia Wigilii Paschalnej w kościele Sainte-Croix w Saint-Malo, Francja, marzec 2018 r.

JEAN-MATTHIEU GAUTIER / HANS LUCAS AGENCY / FORUM

↦ zapowiedzi w Starym Testamencie i widzimy ich wypełnienie w Jezusie. Celowali w tym zwłaszcza Ojcowie Kościoła, którzy na przykład w drewnie przeznaczonym na ofiarę Izaaka widzą drzewo krzyża, w górze Moria dostrzegają Golgotę, a w baranku ofiarnym – Jezusa. Warto dopowiedzieć, że te zapowiedzi wcale nie są dla Żydów oczywiste. A i nam dzisiaj często trudno dostrzec te paralele.

Dlaczego?

Bo od czasów dojrzałego średniowiecza, czyli filozofii scholastycznej, poszliśmy w stronę bardziej intelektualnego rozumienia tajemnic zbawienia. Gdy mówimy o sakramentach w Kościele czy o tajemnicy Chrystusa, posługujemy się kategoriami filozoficznymi, jak np. forma czy materia. One są ważne, bo porządkują rzeczywistość naszej wiary, ale istnieje ryzyko, że utracimy delikatność i głębię, którą mieli Ojcowie Kościoła.

IV wiek był dla liturgii wielkanocnej przełomowy – dlaczego?

Najstarsze teksty liturgiczne pochodzą z późniejszych wieków – z VI i z VII. Ale one nie spadły z nieba – są świadectwem już ugruntowanego doświadczenia Kościoła. Z IV wieku pochodzi dokument zatytułowany „Tradycja apostolska", przypisywany Hipolitowi Rzymskiemu. Znajdziemy w nim świadectwa tego, co działo się w Noc Paschalną – a dodajmy, że w tamtym czasie to jedyna noc, w której Kościół udzielał chrztu świętego. Inaczej niż dzisiaj, kiedy chrzty mamy co niedzielę albo raz w miesiącu. Za czasów „Tradycji" chrzczono głównie dorosłych, i to raz w roku. Hipolit pokazuje przygotowanie katechumena przez cały okres Wielkiego Postu oraz obrzęd chrztu w Noc Paschalną. Dzisiaj wiemy, że „Tradycja apostolska" nie jest tradycją rzymską, tylko syryjską, a jego autorem nie jest wspomniany Hipolit.

Jakie jej elementy dotrwały do naszych czasów?

Właśnie liturgia chrztu. Chrzest jest tym, co stoi w centrum Nocy Paschalnej. Z naszego punktu widzenia treścią świąt paschalnych jest wspomnienie naszego chrztu. Chrystus zmartwychwstał i poprzez chrzest jesteśmy w to zmartwychwstanie włączeni. Kiedy świętujemy Wielkanoc, świętujemy rzeczywistość, której doświadczamy dzisiaj. Wszystko, co się podczas celebracji dzieje, ma nas doprowadzić do odkrycia rzeczywistości naszego chrztu i poprowadzić do stołu Eucharystii.

Kiedy zatem zaczęto świętować przez trzy dni?

W Jerozolimie w IV wieku. Rzecz ciekawa, nie była to jedna długa celebracja, ale celebracje osobne – związane z poszczególnymi miejscami, na przykład z grobem Pańskim.

Wielki Czwartek ma skomplikowaną historię. W średniowieczu pierwsza msza w tym dniu była mszą pojednania publicznych pokutników. Co wskazuje na to, że w ogóle Wielki Post miał podwójny wymiar: był przygotowaniem katechumenów do chrztu w Noc Paschalną oraz okresem, w którym publiczni pokutnicy odbywali pokutę. Pamiętajmy, że nie było jeszcze takiej spowiedzi, jaką znamy dzisiaj. W Środę Popielcową pokutnicy wyznawali grzechy biskupowi, a on posypywał im głowy popiołem. Okres pokuty kończył się w Wielki Czwartek rano. Kolejna eucharystia związana była ze święceniem olejów – tak zrodziła się dzisiejsza msza krzyżma. A wieczorem odprawiano mszę, która od XIII wieku odwołuje się przede wszystkim do tajemnicy Wieczernika.

Msza Wieczerzy Pańskiej różni się od normalnej eucharystii tym, że się nie kończy.

Różni się przede wszystkim obrzędem umycia nóg, czyli wspomnieniem wydarzenia z Wieczernika. Rano przyjmowano do wspólnoty Kościoła publicznych grzeszników, a wieczorem w różnych wspólnotach, także zakonnych, przełożeni umywali nogi podwładnym, potwierdzając tym samym przeświadczenie, że mają służyć. Sensem Wielkiego Czwartku jest więc wezwanie wszystkich do pojednania. Jezus umywający nogi jest Bogiem, który klęka przed grzechem. Tylko On jest w stanie wyzwolić nas z grzechu.

Drugim elementem różniącym mszę Wieczerzy Pańskiej od zwykłej eucharystii jest uroczyste przeniesienie Najświętszego Sakramentu po liturgii do ciemnicy, gdzie adoruje się go do północy.

Ta liturgia ma dalszy ciąg w Wielki Piątek.

Czasem się mówi, że Wielki Piątek i Wielka Sobota to dni aliturgiczne. To nieprawda, one są dniami liturgicznymi, gdyż odprawia się w nie Liturgię Godzin, czyli modlitwę psalmami, tylko nie odprawia się eucharystii.

Zresztą można na ten fakt popatrzeć ekumenicznie – łączy on nas z liturgiami wschodnimi. Kościoły wschodnie w Wielkim Poście nie odprawiają eucharystii codziennie. W liturgii zachodniej było inaczej – to był jedyny czas, w którym Kościół w pierwszym tysiącleciu prawie codziennie odprawiał mszę. W Kościołach wschodnich uznawano, że ponieważ eucharystia jest celebrowaniem święta, nie można tego robić w czasie postu, zwłaszcza Wielkiego Postu. Na Zachodzie poszliśmy w innym kierunku – celebrujemy eucharystię, bo mamy codziennie przygotowywać się do postu. Natomiast od XIII wieku codzienną celebrację rozciągnięto na cały rok.

A jaki sens ma zamilknięcie dzwonów i organów w Wielki Czwartek?

Milczenie dzwonów i organów można wytłumaczyć tym, że misterium męki Chrystusa należy przeżywać w skupieniu, ale owo milczenie odwołuje nas też do tych czasów w Kościele, kiedy nie było

POŻEGNANIE

Drogiej Przyjaciółce Agacie Kasprolewicz

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składa

Dariusz Rosiak

Agu, łączę się z Tobą w smutku i bólu.

jeszcze ani dzwonów, ani organów. Tym samym podkreśla, że zasadniczym elementem każdej liturgii jest śpiew, co powinno nas też bardziej angażować.

Taką starożytną tradycją jest też spożycie w Wielki Czwartek rano całości Najświętszego Sakramentu. Tabernakulum pozostaje puste. W Wielki Piątek komunia rozdawana jest z komunikantów konsekrowanych podczas wielkoczwartkowej mszy Wieczerzy Pańskiej. I tu znowu co do symboliki można dać łatwą odpowiedź, że Pan Jezus przechodzi przez Ogrójec, Golgotę i śmierć. Ale faktycznie jest to przypomnienie czasów, kiedy nie było tabernakulów w kościołach – na pewno nie na ołtarzu, jak od czasów baroku – a Najświętszy Sakrament przechowywano dla chorych i umierających.

Czy głównym sensem liturgii wielkopiątkowej jest adoracja krzyża?

W centrum staje męka Pana Jezusa, którą odczytuje się podczas liturgii i to jest jej pierwszy ważny element. Dawniej mękę czytano niemal przez cały Wielki Tydzień. Pozostałością z tych czasów jest odczytywanie męki także w Niedzielę Palmową. Drugim elementem jest adoracja krzyża. A trzecim – modlitwa pod krzyżem za wszystkie potrzeby Kościoła i świata. Stąd tak bardzo rozbudowana wielkopiątkowa modlitwa wiernych.

Liturgię zaczyna prostracja – kapłan pada na ziemię.

Ten mocny gest uświadamia, że sami nic nie możemy. Ponieważ nie ma eucharystii, nie ma też łatwego teologicznego wytłumaczenia, że kapłan działa *in persona Christi*. To przypomnienie, że jesteśmy całkowicie zdani na Boga i nasza modlitwa zależy wyłącznie od Niego.

Po Wielkim Piątku przychodzi Wielka Sobota – w Polsce paradoksalnie dzień radosny dla dzieci, bo mamy święconkę.

Święconka w naszej tradycji wzięła się z czasów, gdy Wigilia Paschalna z historycznych motywów przestała być celebrowana w nocy z soboty na niedzielę i została przesunięta na sobotę w ciągu dnia. Podczas Wigilii święcona była woda, którą można było później poświęcić koszyczek z jedzeniem. Kiedy Pius XII w 1951 r. przywrócił nocne celebrowanie Wigilii Paschalnej, ze święconką zrobił się problem, bo *de facto* przed Wigilią nie

MACIEK MAZIARKA / / MATERIAŁY PRASOWE

DOMINIK JURCZAK
jest dominikaninem, dyrektorem Dominikańskiego Ośrodka Liturgicznego w Krakowie. Wykłada liturgikę w Papieskim Instytucie Liturgicznym „Anselmianum" oraz na Papieskim Uniwersytecie „Angelicum" w Rzymie.

mamy jeszcze wody chrzcielnej, a to nią święcono pokarmy.

Druga ciekawa sprawa związana jest z tym, co wkładano do koszyczka. Trafiały tam wszystkie te produkty, których odmawiano sobie w czasie Wielkiego Postu i przygotowania do świąt, m.in. mięso, jajka, nabiał. I one w Wielką Sobotę były błogosławione wodą chrzcielną.

Jajko jest symbolem nowego życia.

To dla tamtych ludzi było oczywiste. My musimy tę symbolikę przywoływać, ponieważ żyjemy w sztucznym świecie.

Symbolika wskazująca, że życie pojawia się samo, niezależnie od nas, nie odgrywa tu ważnej roli?

Oczywiście odgrywa, ale sensem Wielkanocy jest przypomnienie znaczenia chrztu. Nie bylibyśmy chrześcijanami, gdyby nie nasz chrzest, bez niego też nie uczestniczylibyśmy w Eucharystii. Idąc za Chrystusem – tym jest Triduum: Wieczernik, Ogrójec, Golgota, pusty grób – docieramy do zmartwychwstania. Po drodze odkrywamy rzeczy absolutnie podstawowe w naszym życiu, bo chrześcijaństwo samo w sobie nie jest skomplikowane.

W takim razie spróbujmy dotrzeć do zmartwychwstania. Wigilia Paschalna rozpoczyna się liturgią światła, która ma bogatą symbolikę.

Przed kościołem rozpala się ognisko, błogosławi ogień, od którego zapala się paschał, symbolizujący zmartwychwstałego Chrystusa, czyli Światło. Fenomenem tej nocy jest Baranek Boży, który jest umarły, a żyjący. Mamy zobaczyć, że Ten, który został ukrzyżowany, żyje – i wszystko ma nam o tym przypominać. Pięć bolców wbijanych w paschał symbolizuje pięć ran Chrystusa. Wniesienie zapalonego paschału do ciemnego kościoła symbolizuje światło, które pokonuje mrok. Zapalanie naszych świec od paschału wskazuje, że nasze zbawienie pochodzi od Niego. Mamy rozbłysnąć Jego światłem i przekazywać je dalej. Ważnym elementem liturgii światła jest śpiewany przez diakona starożytny hymn Exsultet...

...chwalący pracowitą pszczołę, wytwarzającą wosk, z którego możemy uczynić paschał.

Od razu widać, że nie jest to element rzymski – jest długi, bogaty w treść, z wieloma dygresjami, natomiast Rzymianie byli konkretni. Exsultet powstał w Galii, gdzie starożytna liturgia rzymska błogosławienia paschału została dopracowana. Następnie wróciła do Rzymu, a ten hymn stał się charakterystycznym jej elementem.

Po liturgii światła jest liturgia słowa i aż dziewięć czytań przeplatanych psalmami responsoryjnymi.

Każde z tych czytań, opowiadając historię zbawienia, przygotowuje nas do kulminacyjnego jej punktu, czyli zmartwychwstania. Sens tej rozbudowanej liturgii słowa przedstawia modlitwa początkowa: „Rozważajmy, jak to Bóg w minionych czasach wybawił swój lud i jak w końcu zesłał nam swojego Syna jako Odkupiciela". Słuchając tych tekstów, mamy zobaczyć Zmartwychwstałego.

Orędzie o zmartwychwstaniu ogłaszane jest radośnie podczas procesji rezurekcyjnej. I dotarliśmy do końca.

Jeszcze nie. Nie zapominajmy o liturgii Niedzieli Wielkanocnej, która jest niedoceniana, gdyż uczestnicy nocnej Wigilii Paschalnej nie mają obowiązku w niej uczestniczyć. Ona też należy do logiki kroczenia za Chrystusem – już zmartwychwstałym. Triduum Paschalne kończą dopiero niedzielne nieszpory.

Jak uratować choć cząstkę tego bogactwa, pozostając w pandemii w domu?

Zróbmy wszystko, by odnowić świadomość tego, czym jest dla nas nasz chrzest. To wcale nie tak mało!

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Pod światło

MARCIN ŻYŁA

Tu ludzie i ich kościół byli ze sobą sprzężeni. Gdy tłum śpiewał zimą, skroplona para z ust spływała strużkami po polichromiach, jak po błonach żywego ciała. Aż ściany zmęczyły się od modlitw.

Postawili go Polacy, mówiący językiem, który Słowacy uznają za swój, na Węgrzech. W połowie XVII wieku, jakieś sto lat po tym, gdy dziesięciorgu wołoskim pasterzom, w zamian za szesnaście lat wolności od danin, pozwolono wykarczować las i zbudować domy.

Kościół był nowym założeniem świata. Miejscem, gdzie – choć nikt jeszcze nie słyszał o Wielkim Wybuchu – czas znów dążył ku początkowi. Otrzymał wezwanie św. Jana Chrzciciela *in desertum*, czyli „na puszczy", bo na rubieżach królestwa, przy drodze, którą od sąsiadów z północy sprowadzano sól i miedź, działo się tak niewiele, że z początku wszystkie wsie nazwano tak samo, od rzeki i krainy, do której należały – Orawka.

NAJSTARSZA KURTYNA ma datę: 1676. Mierzy prawie cztery na pięć metrów. Powstała z kilku zszytych ze sobą pasów, które, pewnie wcześniej, uzyskaną z kory farbą zabarwiono na brązowo. Potem nałożono kleisty podkład. Na nim, temperą, cierpliwie malowano Maryję trzymającą ciało Jezusa po zdjęciu z krzyża i aniołów obecnych na Golgocie.

Znacznie większe musiało być to płótno w oczach tych, którzy palili świecami. Płomienie, drgające od ruchomego powietrza – nieszczelny kościół stał na wichrowym wzgórzu – choć same słabe, wspólnie rzucały poblask na Matkę i Syna. Krzyż w tle niknął już w mroku. Kurtyna zwisała luźno i na ściany w drewnie, wtedy jeszcze bez polichromii, musiał padać wahliwy cień.

Większe też drżenie budziła wtedy historia Męki, większe niż teraz, gdy elektryczny żyrandol oświetla równo szczegóły czterech tkanin – najstarszej z Pietą, i trzech młodszych, wykonanych w XIX wieku, ze sceną biczowania, Matką Boską Bolesną i Marią Magdaleną Pokutującą. Są to jedne z ostatnich, wciąż pełniących funkcję liturgiczną zasłon wielkopostnych na terenie dzisiejszej Polski.

Sprawności sześciu mężczyzn trzeba, żeby w piątek przed piątą niedzielą Wielkiego Postu, po wieczornej drodze krzyżowej, zawiesić je w kościele. Wychodzi się na wieżę, podnosi włazy w podwójnej podłodze i tak dostaje do warstwy z polichromią. Przez nią przepycha się sznury, spuszcza je do podłogi, tam inni wiążą je do drągów, ostrożnie, żeby nie szarpnęło, równo, by na żadnym końcu tkanina nie została – „powoli, panowie, powoli!" – zanim zaczęto korzystać z telefonów, krzyki niosły się daleko po wzgórzu.

Aż do Wielkiej Środy, kiedy nawinie się je z powrotem na bale i odstawi na rok w bezpieczne miejsce, wiszą tak cztery kurtyny w orawczańskim kościele.

PÓŹNIEJ, WIELE LAT PÓŹNIEJ, każda strona miała własną interpretację, czym jest ta stara, drewniana świątynia.

Dla Polaków stała się symbolem rekatolizacji Górnej Orawy, na której wtedy, gdy go budowano, stało więcej kościołów protestanckich. Aż w końcu: „Luterani, kie widzieli, że nie ma żartów, zaczeni zmykać po jednym, gdzie który mógł. No i prawie szyćcy pouciekali, ba jacy ten ik pastor nie chciał opuścić swojego kościoła i tam na progu zginął od siekiery".

Dla Węgrów została najdalej na północ wysuniętym pomnikiem ich kultury. Do dawnej granicy z Galicją jest stąd tylko sześć kilometrów. Przyjeżdżają tu do dziś, na swoje groby, patrzą na swoich królów, niektórzy myślą może o Siedmiogrodzie albo równinach Wojwodiny, innych kresach dawnej potęgi.

Słowacy patrzyli na kościół jak na symbol pogranicza *gorali*, ludzi stąd, na którym czymś zwykłym była wielowiara – czerpanie z tradycji sięgających tu religii, odprawianie obrzędów i rytuałów, których źródła tkwiły jeszcze w czasach archaicznych.

Różne były te interpretacje, ale zostawiano je na zewnątrz, przed drzwiami.

WSPOMNIENIA: „Były bardzo grube kotary, które izolowały chłód. Tak grube, że nikt ich nigdy nie prał. Kurz siedział w tych kotarach, nie byłam w stanie ich odsłonić, bo były ciężkie, próbowałam je przepchnąć siłą ciała, nie dało się nie dotknąć ich nosem, zapach tamtego kurzu czuję do dziś".

„I wilgotnego drewna. Te wszystkie drewniane podłogi przed Wielkanocą szorowano szczotkami ryżowymi. Woń drewnianych kościółków z kotarami to

RDC POLSKIE RADIO
MARCIN ŻYŁA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 31 marca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

MARCIN ŻYŁA

Zasłona wielkopostna z przedstawieniem biczowania Chrystusa, początek XIX w., kościół św. Jana Chrzciciela w Orawce, marzec 2021 r.

właśnie kurz i, równocześnie, te czyste, drewniane podłogi".

W Orawce nie ma już kotar. Proboszcz mówi, że na nic by się zdały, zimą chłód bije od posadzki w kamieniu i kościół jest wtedy jak świat wokół – cichszy, na granicy zamarznięcia. I szorować nie ma czego. Na którejś ze starych grafik była podłoga z desek, ale jaki sens ma poprawianie doskonałego? Opiekunka kościoła zmierzyła wysokość do stropu. Przy chórze jest o dziesięć centymetrów mniejsza niż przy ołtarzu. Stojący z tyłu nie musieli podnosić się na palcach, by patrzeć na cień księdza za ciemną zasłoną.

A może, dzięki tej mniejszej o dziesięć centymetrów przestrzeni, zyskiwały też śpiewy i dźwięk z jednych z najstarszych teraz w Polsce organów? Tu, z tyłu, ludzie i ich kościół byli ze sobą sprzężeni. Gdy tłum śpiewał zimą, skroplona para z ust spływała strużkami po polichromiach, jak po błonach żywego ciała. Aż ściany zmęczyły się od modlitw.

Ten chłód ocalił orawczańskie malowidła – tak prawdziwe, że chce się dotknąć, by uwierzyć, że to nie mur, nie kamień. Od 360 lat kościół był nieustannie wietrzony, oszczędziły go katastrofy naturalne, fronty przesuwały się niżej. Kilka zaraz, gwałty i rabunki armii Sobieskiego, dwa „zamarznięte lata" pod rząd bez okresu wegetacyjnego – krótka jest jak na tę część świata lista skarg do historii.

Co roku wieszano więc wciąż wielkopostne kurtyny. Choć nie było nakazu, stosowano je jako dekoracje. Pomagały w kontemplacji, uczyły, przygotowywały do Wielkanocy. Do Orawki dotarły jako część starej tradycji, rozpoczętej dawno temu przez Żydów, później kontynuowanej w alpejskich klasztorach, z roku na rok zwiększającej zasięg o kolejne parafie Europy.

ALE BYŁY TEŻ STĄD, bo liturgiczny zwyczaj spotkał się, po drugiej stronie drogi, z tradycjami regionu.

W połowie XVIII wieku w okolicznych wsiach aż ćwierć tysiąca rodzin utrzymywało się z tkania płótna. Jeszcze za Austro-Węgier produkowano tu dwa tysiące kilometrów materiału rocznie. Platenicy – handlarze płótnem oraz mieszankami lnu i bawełny – po Wielkanocy pakowali na wozy drewniane skrzynie z towarem i ruszali w dal. Do Chorwacji, na Krym, a nawet do północnego Egiptu. Chcieli być z powrotem przed Bożym Narodzeniem. Wracali w innych strojach, przywozili kawę i herbatę. Niektórzy nie wracali w ogóle.

W 1786 r., z Zamku Orawskiego, siedziby komitatu, nadeszło zarządzenie cesarza Józefa II. Uprawą lnu trzeba się zająć „nie tylko kobietom, ale i mężczyznom, a zwłaszcza młodzieży, którą praca uchroni przed bezczynnością, złymi manierami i wynikającymi z nich potem występkami i nieprawością".

Moczono więc len w kadziach z indygo, w farbiarni naprzeciw kościoła, tak długo i tak wiele razy, aż niebieski przeszedł w granat, a granat stał się czarnym.

STO JEDEN LAT TEMU, gdy na nowo rysowano mapy, Orawkę pierwszy raz objęły granice Polski. Ale ile by tu flag nie wywieszono, potoki ciągle płyną na południe, do Wagu i Dunaju, droga – szersza przecież, szybsza, międzynarodowa – wciąż prowadzi do Wiednia. Tam, od poniedziałku do piątku, mieszka i pracuje wielu parafian.

Czasem zaskrzypią jeszcze drzwi starego kościoła. Jakoś wyjątkowo ludzie lubią się w nim modlić. ©℗

Korzystałem z monografii „Sacrum na płótnie malowane" Ewy Kocój, Marii Borczuch-Białkowskiej i Lucyny Borczuch (Kraków 2021). Fragment podania o wypędzeniu luteran z Podwilka w opracowaniu Andrzeja Jazowskiego („Powieści ludu orawskiego", Kraków 1960).

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Wystawa „Skarby baroku. Między Bratysławą a Krakowem" w Muzeum Narodowym w Krakowie, luty 2017 r.

Bóg bez boga

KS. JACEK PRUSAK SJ

Modlimy się, płaczemy, krzyczymy, bluźnimy – a „niebo milczy" i słyszymy tylko własne echo. Jedynie poprzez krzyż własnego życia możemy się przekonać, że „śmierć Boga" jest śmiercią ego.

Wielu z nas powtórzyłoby za Pascalem: „Jestem zmęczony mówieniem »Bóg«, ja chcę Go czuć" („Myśli", 617). Zacznijmy jednak od samego Jezusa, bo w życiu duchowym trafia do nas tylko to, co jest poparte doświadczeniem. W Ewangeliach Mateusza (27, 45) i Marka (15, 33) okrzyk Jezusa „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?" to jego jedyne i ostatnie słowa, które wypowiedział przed zakończeniem ziemskiego życia. Dla pierwszej generacji chrześcijan były one tak szokujące, że nie odnajdujemy ich w Ewangeliach Łukasza i Jana. Łukasz złagodził tę straszliwą pustkę nieobecności – milczenia Ojca wobec ukrzyżowanego Syna – pełnym ufności wołaniem umierającego Jezusa do Ojca, którym jest jego siódme i ostatnie słowo: „Ojcze, w Twoje ręce oddaję mojego ducha" (23, 46). Również apokryficzna Ewangelia Piotra wspomina go w sposób złagodzony. W tym starożytnym podaniu, być może już z II wieku n.e., Jezus krzyczy: „Mocy moja, mocy moja, opuściłaś mnie!" (Ewangelia Piotra, 19). Skarży się więc nie dlatego, że czuje się opuszczony przez Boga, nie krzyczy też z bólu, ale dlatego, że opuściły Go siły.

Milczenie Boga – wtedy i dziś – pozostaje największym skandalem (dla) naszej wiary. To, co łączy obie te wersje ostatnich słów Jezusa, „surową" i „złagodzoną", a zarazem pozwala pójść w głąb Jego duchowego doświadczenia, dzieje się jednak poza słowami – dosłownie i w przenośni.

Uważność na krzyżu

Po modlitewnym okrzyku Jezusa słowami Psalmu 22, a przed ostatnim przedśmiertnym krzykiem, Mateusz pisze (27, 34), że Chrystus na szczycie Golgoty otrzymał do picia „wino zaprawione goryczą", Marek natomiast (15, 23), że było to „wino zmieszane z mirrą". Gest ten, jak spekulują egzegeci, mógł być wykonany przez bractwo wspierające umierających, być może przez te „pobożne kobiety", które przywołuje opis Łukasza (23, 27-28).

Egzegeci mają pewną trudność w ostatecznym odszyfrowaniu celu tej czynności, z wyjątkiem złagodzenia bólu śmierci, nawet jeśli sam w sobie ostry zapach kwaśnego wina mógł w zasadzie ożywić wrażliwość konającego, przedłużając śmiertelną walkę. Mirra to aromatyczna żywica o intensywnym i ostrym

zapachu, którą w czasach Jezusa importowano z Indii, Arabii i Etiopii. Służyła do różnych celów, w tym sakralnych, oczyszczających i pogrzebowych, jak również w perfumerii. W połączeniu z winem miała funkcję znieczulającą.

Z kolei żółć jest w istocie trucizną mogącą prowadzić nawet do otępienia świadomości, egzegeci podkreślają jednak, że Mateusz wprowadzając żółć zamiast mirry użył jej symbolicznie do teologicznego wyjaśnienia proroczego „spełnienia" zapowiedzianego w Psalmie 69. Psalm ten to wielki lament przesycony poczuciem głębokiej rozpaczy – „Dali mi jako pokarm truciznę, a gdy byłem spragniony, poili mnie octem" (w. 22) – ale w swoim finale niepozbawiony nadziei (zob. G. Ravasi „Siedem słów Jezusa na krzyżu", Kraków 2020).

Bez względu jednak na to, czy wino było zaprawione żółcią, czy mirrą, miało pełnić funkcję łagodzącą cierpienie. Było więc aktem współczucia wobec Niego – „lecz On nie przyjął" (według Marka), „skosztował, ale nie chciał pić" (według Łukasza). Pozostawiając na boku retrospektywną analizę proroctw starotestamentalnych i zatrzymując się na historycznej rzeczywistości tego gestu, którą potwierdza również tradycja Janowa, nasuwa się pytanie: dlaczego Jezus w obliczu bólu i cierpienia, jakiego doświadczał, odmówił znieczulenia? Nie był przecież religijnym masochistą, co potwierdzają wszystkie Ewangelie.

Intuicja Newmana

Z pytaniem tym w oryginalny sposób zmierzył się św. John Henry Newman, dając intrygującą odpowiedź. Uważał on, że Jezus nie chciał ograniczyć swojego cierpienia do bólu chwili obecnej, dokonał więc świadomego wyboru, aby doświadczyć bólu wspomnień. Uzasadniając swoją tezę, Newman wyszedł od przekonania, iż w ludzkim doświadczeniu możemy znieść prawie każdą ilość bólu, jeśli trwa tylko przez krótką chwilę, a potem znika. Tak więc ból staje się nie do zniesienia tylko wtedy, gdy nie ustaje. Stąd pacjenci, którzy są poddawani jakiemuś zabiegowi medycznemu, odczuwają chęć powstrzymania ręki lekarza, mają bowiem wrażenie – pisze Newman – że „znieśli tyle, ile są w stanie znieść; jak gdyby to ciągłość, a nie intensywność bólu sprawiała, że nie mogą go wytrzymać". Dzieje się tak, ponieważ „pamięć poprzednich chwil bólu pozostaje żywa i (jak gdyby) wyostrza zmysły na ból, który przychodzi potem".

Newman kontynuuje: „Gdyby trzeci, czwarty czy dwudziesty moment bólu można było przyjąć niezależnie, gdyby można było zapomnieć te momenty, które go poprzedzały, nie byłby on niczym więcej jak pierwszym momentem, równie znośnym jak on (pomijając szok, który temu pierwszemu towarzyszy); to, co czyni go nieznośnym, to fakt, że jest dwudziestym; że pierwszy, drugi, trzeci, aż po dziewiętnasty, wszystkie momenty bólu skupiają się w tym dwudziestym; tak że każdy dodatkowy posiada całą, ciągle wzmagającą się siłę tego, co go poprzedziło". Zdaniem Newmana Jezus odmówił przyjęcia zaprawionego wina, ponieważ – wiedząc, że Jego cierpienie nas zbawi – był „zdecydowany znosić ten ból w całej jego goryczy" („Mental Sufferings of Our Lord in His Passions"). Ze świadectw Biblii wiemy, że po zmartwychwstaniu Jezus zachował rany fizyczne, które zadano mu na krzyżu (J 20, 20. 27). Newman podążając tym tropem, doszedł więc do logicznego wniosku, że Chrystus nosi również niewidoczne rany – wspomnienie każdego momentu swego cierpienia.

Tutaj pojawia się jednak kolejne pytanie: jak Jezus może zachować wspomnienia bólu, skoro w niebie nie ma łez (por. Ap 21, 4)? Jest to możliwe, jeśli ich wspomnienie nie wywołuje już uczucia bólu, ale staje się podstawą współczucia. Można więc powiedzieć, że wszystkie cierpienia Jezusa pozostają wyryte w Jego pamięci, ale po zmartwychwstaniu zarówno rany widzialne (fizyczne), jak i niewidzialne (psychiczne) zostały przemienione w taki sposób, że kiedy Jezus „przypomina sobie" swą mękę, pamięta tylko swoją pasję – przemożną miłość, której nie pokonały ból i cierpienie krzyża w obliczu opuszczenia ze strony ludzi i Boga.

Pamiętać, aby ocalać

Nie musimy jednak przyjmować, że chodziło tu o tzw. zastępcze cierpienie, które miał na myśli świątobliwy kardynał. W Starym Testamencie nie ma żadnego proroctwa o śmierci Mesjasza, a cierpiący sługa Jahwe, którego „tradycyjnie" łączymy z Mesjaszem, nie wydaje się nim być dla Izajasza, bo ten wiąże go z Cyrusem. W apostolskim wyznaniu wiary (Symbolu Apostolskim), najwcześniejszym wyznaniu wiary w Kościele katolickim, nie ma żadnej interpretacji ukrzyżowania Jezusa. Z kolei zawarta w wyznaniu wiary (Credo nicejsko-konstantynopolitańskim) interpretacja „za nasze grzechy" musi być spójna z Jezusowym obrazem Boga jako „kochającego Ojca" – nie może więc sprowadzać się do „zastępczej kary", „wyrównania boskiego gniewu" i tym podobnych ludzkich projekcji.

Nawet jeśli przyjmiemy, że postać cierpiącego Mesjasza prawdopodobnie była obecna już w judaizmie I wieku i nie była prerogatywą interpretacji chrześcijańskiej, to dalej chodziło o interpretacje Pism. Dopiero w Emaus – jak podkreśla to włoski biblista o. Giulio Michelini OFM – „mamy spojrzenie Zmartwychwstałego, który widzi dalszy bieg wydarzeń – »inny bieg wydarzeń« – utkany po Jego śmierci; bieg wydarzeń, w którym potężny i dobry Ojciec w swoim miłosierdziu nawet ze zła potrafi wyprowadzić dobro" („Stać przy Jezusie. Rekolekcje papieskie", Kraków 2018).

Jeśli będziemy pamiętać, że ból to organiczna czy też realna część tego, co nas rani, a cierpienie jest psychologicznym oddźwiękiem tego bólu, możemy postawić tezę, że odmawiając przyjęcia środka odurzającego Jezus „medytował" na krzyżu, by być w pełni świadomym. Nie po to, żeby mniej cierpieć, tylko by cierpieć „lepiej" – czyli po to, aby to cierpienie nie zmieniło go na gorsze, skoro stało się faktem, a nie było Jego celem. Ukrzyżowany Jezus – jak pięknie to ujął włoski kaznodzieja o. Ermes Ronchi OSM – „nie przełamuje nikogo, przełamuje siebie. Nie przelewa niczyjej krwi, tylko swoją. Nie poświęca nikogo, poświęca tylko siebie" („Naga prawda Ewangelii. Rekolekcje papieskie", Kraków 2017).

Wybitny teolog Johann Baptist Metz zauważył niezwykłą rzecz: pierwsze spojrzenie Jezusa w Ewangelii nigdy nie kieruje się na grzech osoby, ale zawsze na jej cierpienie i potrzeby, aby nieść pomoc. Zachowanie bólu wspomnień przez Jezusa nie jest negatywną pamięcią, bowiem „Bóg przebacza nie jako zapominalski, ale jako wyzwoliciel" (Ronchi). Ból wspomnień, które Jezus przyjął i zaakceptował, jest bowiem przypomnieniem, że cierpienia nie można pokonać pozostawiając ból za sobą. Cierpienie można przezwyciężyć przez znoszenie bólu dla innych, i to był Jego akt współczucia. ↦

↦ Być w stanie spojrzeć na całe swe życie, zarówno radości, jak i cierpienia, i zobaczyć tylko miłość Boga do siebie możliwe jest w Chrystusie, ponieważ tylko jego świadomość obejmuje wszystko – niczego nie odrzucając i nie niszcząc. „Wiele osób – jak powiedział to w homilii do papieża Franciszka i kardynałów o. Ronchi – żyje jak na wewnętrznym dożywociu, jakby wchodząc na szafot, który same sobie zbudowały, przygniecione poczuciem winy z powodu dawnych błędów, niszcząc obraz Boży, który w ich wnętrzu domaga się, aby wyjść na światło. Jezus otwiera drzwi naszych więzień, rozwala szubienice, na których często wieszamy samych siebie i innych. On dobrze wie, że tylko mężczyźni i kobiety wyzwoleni, którym przebaczono, mogą nieść światu wolność i pokój". Żeby to się stało naszym udziałem, pozostaje On na krzyżu świadomy do końca w największej dla siebie, i dla nas, próbie – gdy Bóg milczy, choć go całym sobą przyzywamy.

Pustka bez znieczulenia

Najgłębszy paradoks całej Biblii ujawnił się bowiem z całą swą siłą w Jego lamencie. Jeśli więc teraz powrócimy do Jego wyznania: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?", to widzimy, że Jezus był również w pełni świadomy swojego cierpienia duchowego. Ale jak je rozumiał? W opisach męki u synoptyków pod krzyżem nie ma matki ani ucznia, jak ma to miejsce w Ewangelii Janowej, która w łagodniejszy sposób opisuje cierpienie Jezusa. I choć kobiety towarzyszą Mu w chwili śmierci, to jednak stoją daleko (por. Mt 27, 55). Jezus czuje się opuszczony i osamotniony, i owo poczucie ma nawet swoje zewnętrzne odzwierciedlenie w naturze poprzez ciemność, która zawładnęła światem. Pogłębia go jeszcze fakt, co podkreślają wszystkie ewangelie synoptyczne, że osoby stojące pod krzyżem nie rozumieją tego, co się dzieje, i mylnie interpretują modlitwę Jezusa, myśląc, że wzywa Eliasza, a nie Boga. Opacznie bowiem rozumieją hebrajskie słowo *eloí* („Boże mój"), biorąc je za imię Eliasza.

Jezus jest sam, jest bowiem pierwszym mistykiem chrześcijaństwa, i wszyscy ci, którzy poznali „zamysł Chrystusowy" (1 Kor 2, 16), doświadczyli na sobie, że aby Bóg w nich w pełni zamieszkał, musi nie tylko umrzeć ich „ego", ale sam „Bóg" musi w nich umrzeć. To bowiem, co nazywamy Bogiem „do tego momentu", jest zawsze naszym ego w przebraniu, choć nigdy nie jesteśmy w pełni tego świadomi. Modlimy się, wzdychamy, płaczemy, krzyczymy, bluźnimy – a „niebo milczy" i słyszymy tylko własne echo. Jedynie poprzez krzyż własnego życia możemy się przekonać, że „śmierć Boga" jest śmiercią ego.

> Krzyż, który sami sobie tworzymy, nie jest prawdziwym krzyżem, tylko brzemieniem.
> **Wierność Bogu bez względu na cenę to realny krzyż naszego życia.**

Lament Jezusa był częścią modlitewnej tradycji Izraela, która dla jego ludzkiej świadomości była „zewnętrzną podpórką" w doświadczeniu pustki Boga. Wszystko, co Jezus znał, co było jego doświadczeniem, co było jego pamięcią i nadzieją, wypełniło się „milczeniem Boga". Jego krzyk nie pozostawia złudzeń, że aby doświadczyć w pełni obecności Siły spoza naszego ego, którą nazywamy Bogiem, musimy powierzyć swoje „ja" Bogu. Nigdy to nie jest proces bezbolesny, ale tylko Bóg poza bogiem jest nas w stanie „wskrzesić", przywracając do pełni życia. To jest paradoks krzyża, ponieważ „normalnie" będziemy bronili Boga, jakiego znamy, do przysłowiowej grobowej deski. Będziemy o „Niego" walczyć nawet tam, gdzie On już „skapitulował" swoim milczeniem.

Bóg nie jest obiektem naszych zmysłów ani wyobraźni, przekracza nasze zdolności poznawcze, dlatego Bóg „musi" być „Milczącą Pustką". Bóg nigdy nie milczy, Jest-Milczeniem. Wszystkich nas to jednak najpierw przeraża i/albo gorszy. Dlatego Jezus dokonał tego „odkrycia" jako Pierwszy w naszym imieniu, dając nam nadzieję, że Milcząca Pustka to nie kolejna religijna iluzja, tylko Źródło Życia manifestujące się w różnych formach. Lament Jezusa jest bowiem „ostatecznym" dowodem, że Bogu trzeba dać siebie, bo Bóg też daje siebie i nic innego dać nie może, a istota modlitwy tkwi głębiej, w milczącej obecności Boga, który po prostu jest.

Nasz krzyż

O. David Maria Turoldo napisał kiedyś: „Pomylić się co do Boga to najgorsze, co nam się może przydarzyć, ponieważ potem mylimy się co do wszystkiego – historii, człowieka, nas samych, dobra i zła, życia...". Bardzo łatwo jest wierzyć wobec cudu, który cię ocala. Dodał jednak: „Nie, wiara w Wielkanoc nie jest / właściwą wiarą: / jesteś zbyt piękny w Wielkanoc! // Prawdziwa wiara / jest w Wielki Piątek".

Poza słowami dzieje się to, co najważniejsze, ale to jest agonia wszelkich naszych wyobrażeń o Bogu i Boga bez boga. Miarą bowiem ufności Boga wobec nas nie jest nasza ufność w Niego, ponieważ On nam ufa i kocha, dając się całkowicie na krzyżu. A my nie wiemy dobrze, co to oznacza (tajemnica Krzyża), gdy odnosimy te słowa do Boga – dlatego lament Jezusa jest zawsze naszym lamentem, ale tylko Jego śmierć jest naszym wyzwoleniem.

Pasja Jezusa pokazuje, że trzeba dać całego siebie, nie coś tam od siebie, bo tu nie chodzi o to, żeby się Bogu przypodobać czy Go udobruchać. W świetle Zmartwychwstania obietnica pozostaje aktualna: jeśli ofiarujesz siebie całkowicie, wejdziesz z Bogiem w relację równości, bo i On daje się cały, a nie w kawałkach. Tak więc to, co łączy nasz krzyż z krzyżem Jezusa, to nasza wierność wobec tego „planu" Boga. Jezus uczynił wszystko, czego wymagała Jego relacja do Boga, i my mamy uczynić to samo bez względu na to, jak różne jest nasze życie od Jego.

Krzyż, który sami sobie stworzymy, nie jest prawdziwym krzyżem, tylko brzemieniem. Wierność Bogu bez względu na cenę to realny krzyż naszego życia, który symbolizuje to poświęcenie. Noszenie go w swoim życiu na wzór Jezusa, a więc nasza pascha, jest chrześcijańskim sposobem przejścia przez Wielki Piątek do pełni życia. Nie można zrobić tego na skróty, bo nie zobaczy się światła przed doświadczeniem ciemności. Bóg milczy, bo krzyż mówi: „pozwól Bogu być Bogiem w tobie", kiedy życie i śmierć „łączą się" w jedno.

©℗ JACEK PRUSAK

JACEK TARAN

Magdalena Sipowicz, na fotelu obok Prezes. Skawina, marzec 2021 r.

Wybrałam życie

MAGDALENA SIPOWICZ:

Nie czułam strachu. Gdy się umiera, jest głęboki spokój.

ANNA GOC: Co Ci najpierw podsuwa pamięć?

MAGDALENA SIPOWICZ: Bardzo wyraźny obraz. Ale może od razu powiem, że kiedy wracam pamięcią do tamtych wydarzeń, nie przeżywam ich znowu. Jestem ich obserwatorem.

Leżę na plecach, nie mogę się ruszać. Wokół dzieją się różne rzeczy. Czuję, że dzieje się dużo. Pomyślałam wtedy o pamiętniku, który pisałam dla mojej dwuletniej córki Wiktorii. Chciałam, żeby Adam, mój mąż, pisał go dalej.

Sam?

No właśnie... Chyba jednak ze mną. Czułam na pewno, że nie chcę umierać. A ponieważ jestem piekielnie uparta, coś takiego nawet krzyczałam.

I już wtedy zobaczyłam siebie idącą o kulach. Z protezą zamiast nogi. Przed wypadkiem dużo czasu spędzałam z ludźmi z różnymi dysfunkcjami, więc może dlatego od razu pomyślałam, że tak to się skończy.

Co się działo wokół?

To, co tam się działo, a co zachował mój umysł, to mogą być dwie różne rzeczy.

Wracałam z Warszawy, z walnego zebrania Stowarzyszenia Tłumaczy Polskiego Języka Migowego. Zostałam właśnie wybrana sekretarzem zarządu. Miałam na sobie nową bluzkę i nowe kozaki. Czułam się taka „wow". W przedziale siedziała ze mną starsza kobieta, której przeszkadzało, że uchylam okno, więc gdy zadzwonił mój kolega, wyszłam na korytarz. Po dwóch minutach poczułam straszny smród.

Od tego się zaczęło?

Tak, najpierw był zapach. Po latach, gdy miałam przebłyski z wypadku, wracał tamten smród. Po zapachu rozpoznawałam niebezpieczeństwo.

Światła na korytarzu i w przedziałach zaczęły zapalać się i gasnąć. Na końcu było już zupełnie ciemno. Nagle poczułam, że moje ciało się pali. A ja schodzę w dół, jakbym się zapadała. Jakby mnie coś wciągało.

To nie było tylko wrażenie.

Nie, rozstąpiła się pode mną podłoga. Stałam przodem do okna, więc zobaczyłam jeszcze w szybie swoją przerażoną twarz. Mój kolega cały czas był na linii, a ja zaciskałam w dłoni telefon, jakbym przeczuwała, że będzie mi jeszcze ↦

↦ potrzebny. „Nie puszczaj go, nie puszczaj” – myślałam. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Teraz wiem, że pociąg był gnieciony. Koła, na które wpadłam, zaczęły mielić moje ciało. W końcu upadłam, bardzo gwałtownie. Wypadł mi telefon. Gdy leżałam na plecach, zobaczyłam, że moja jedna noga wygląda tak, jakby ktoś przepuścił ją przez maszynkę do mięsa. Krew tryskała. Mój nowy but leżał obok. Było mi go wtedy strasznie szkoda, bo wydałam na nie chyba z pięćset złotych.

Druga noga była rozpłatana do kości, dyndała. Zaczęła mnie wkurzać, bo nie wiedziałam, co z nią zrobić. Jak zatamować krew. Czułam, że jestem coraz słabsza.

Byli jacyś ludzie obok?

Wypadł na mnie z pociągu jakiś mężczyzna, ale udało mi się go z siebie zrzucić. Widziałam, że doczłapał się na nasyp, który był obok. Zaczęłam się rozglądać, gdzie jestem. Wokół było szaro. Jakieś pięćdziesiąt metrów za mną zaczynał się las. Po prawej był zgnieciony pociąg. Ktoś nagle podbiegł i powiedział, że dzwoni mój telefon. Był w kawałkach, została tylko szybka i klawisze. Potem się dowiedziałam, że mój kolega był cały czas na linii, słyszał same jęki, zakłócenia, nie wiedział, co się dzieje.

Z pociągu zaczęła wołać jakaś dziewczyna, żeby jej pomóc, bo coś ją przygniotło. Zerwałam się, chciałam wstać i do niej pobiec. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nie mam nóg. Zaczęłam krzyczeć: „Ja nie mam nóg!”. Nie mogłam oddychać.

Jak długo to trwało?

Nie wiem, czas chyba wtedy biegł jakoś inaczej. Wydawało mi się, że byłam przytomna, ale musiałam tracić przytomność.

Zadzwoniłam do Adama. Mówiłam powoli: że był wypadek, że nie mam nóg, że go bardzo kocham. Poprosiłam, żeby kontynuował pisanie pamiętnika dla Wiktorii. Chyba wtedy pomyślałam, że chcę, by o mnie pamiętała. Rozłączyłam się. Czułam, że jestem coraz słabsza. Stwierdziłam, że muszę jakoś zatamować krew.

Po chwili zobaczyłam dwie postaci, które próbowały reanimować mężczyznę leżącego obok. Ja już wiedziałam, że umarł. Widziałam, jak zapadła mu się klatka piersiowa.

Gdy przechodzili obok mnie, złapałam jedną z osób za rękę i powiedziałam, że musi mi pomóc. Nie widziałam jej twarzy, zapytałam, jak ma na imię. „Paweł” – odpowiedział. „Paweł, słuchaj – mówiłam – musisz mi pomóc zatamować krew”. Któryś z nich zdjął kurtkę i obwiązał ją wokół mojej nogi. Potem pobiegł po ratowników, ale za chwilę wrócił i powiedział, że wszystkie karetki odjechały z ludźmi z pierwszych wagonów.

Moment krytyczny.

Powiedziałam mu znowu: „Słuchaj, Paweł, musisz kogoś sprowadzić. Musisz”. Pobiegł. Chcieli mnie czymś przykryć, ale się nie zgodziłam. Bałam się, że nikt mnie w tej ciemności nie znajdzie.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zadzwonić do mojej mamy. Była po zawale. Ale w końcu stwierdziłam, że skoro ja teraz umieram, to chcę się z nią pożegnać.

Odebrała?

Tak.

I zobacz, tyle lat minęło, a mi dalej chce się płakać, gdy o tym mówię.

(*Po chwili*)

Bardzo ją kocham, jest wspaniałą mamą. Pożegnałyśmy się.

Chciałam jeszcze zadzwonić do siostry, ale wiedziałam, że jest w pracy i na pewno nie odbierze. Potem musiałam stracić przytomność.

Wtedy założyli Ci czarną opaskę.

Tak, przeszła najpewniej pierwsza brygada ratownicza, która segregowała ludzi. Za nią szła kolejna. Patrzyli na kolor opasek i na tej podstawie decydowali, komu pomóc najpierw, a kto się już raczej nie kwalifikuje do udzielenia pomocy.

Kolor czarny – ofiara prawdopodobnie nie do uratowania.

Ocknęłam się, gdy stało nade mną kilka osób. Ktoś krzyczał: „Kurwa, zabierajcie ją, bo ja przed chwilą z nią rozmawiałem. Ona żyje i ma dwuletnią córkę”. To był Paweł. Powiedziałam: „Jestem, żyję”.

Pamiętam, jak podnieśli mnie na nosze. Nie widziałam twarzy tych ludzi, ale czułam ich emocje.

Potrafisz je nazwać?

To była beznadzieja. Beznadzieja, w której wtedy byłam. „Zabierzcie moją nogę” – krzyknęłam jeszcze z tych no-

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

pani Lonny Glaser

Żegnamy wspaniałego człowieka.
Jej szlachetność, dobroć, przyjaźń i kultura
stanowią dla nas wielkie ubogacenie,
a Jej przykład miłości bliźniego – wzór do naśladowania.
Dziękujemy za stypendia otrzymane dzięki Jej staraniom,
które umożliwiły nam niedostępne wówczas badania
na terenie Austrii.

Łączymy się w bólu z Jej córką Anną.

Stypendyści Instytutu „Janineum”
przyrodnicy Róża i Tadeusz Kaźmierczakowie,
Marta i Andrzej Kosiorowie,
Tadeusz Niedźwiedź, Barbara Pieronek,
Danuta Tumidajowicz

szy. Nie wiem, po co mi ona była. Zresztą wtedy chyba bardziej szkoda mi było tego buta, który tam został. Do mojego mózgu musiała nie dotrzeć jeszcze informacja, że nie mam nogi.

Zanieśli mnie do karetki. Podałam numer telefonu do męża, żeby wiedział, do którego szpitala mnie zabierają. Zobaczyłam przerażoną minę ratowniczki medycznej. Powiedziałam im jeszcze, jaką mam grupę krwi. I że od urodzenia nie mam jednej nerki. No i stwierdziłam, że teraz już nie mam wpływu na nic więcej, po prostu odpuszczam. Takie głębokie zaufanie. Wiara w to, że zrobiłam wszystko, co mogłam. Podobno jeszcze w szpitalu byłam świadoma, ale tego już nie pamiętam.

Nie mówisz o bólu.

Bo wtedy go nie było. Ból czuję teraz. Dwadzieścia cztery godziny na dobę mam bóle fantomowe. Więc dopiero teraz wiem, jaki to mógł być ból.

Myślę, że gdyby organizm dopuścił ból, to z samego bólu bym umarła.

Bałaś się?

Czy czułam strach? Nie, nie czułam. Gdy się umiera, jest głęboki spokój.

Mówię o umieraniu, ale ja się nie zgodziłam na to, że umieram. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że mamy ciało. Ale przecież nie jesteśmy tylko ciałem. Ciało jest dla nas pojazdem. Więc ty, jako ty, jesteś duszą, istotą, jaźnią, cząstką boską, świadomością – można to nazwać jakkolwiek. W tym sensie z tobą zawsze wszystko jest okej, niezależnie od tego, co się stało z twoim ciałem. Myślimy o pewnych sprawach, że są negatywne, innym razem, że są pozytywne. Ale to są w pewnym sensie nakładki na rzeczywistość, które podpowiada nam nasz mózg. A sprawy po prostu są, jakie są. Więc ja teraz rozumiem, że ja, jako moja jaźń, jako moja dusza, byłam spokojna.

Po ilu dniach się obudziłaś?

Lekarze pierwszą próbę wybudzenia podjęli po kilku dniach. Ale od razu wprowadzili mnie w śpiączkę ponownie. Ból był tak duży.

Miałam wewnętrzny krwotok, więc znowu umierałam. W ogóle umierałam chyba sześć razy. Na nasypie raz. W Zawierciu – szpitalu, do którego trafiłam najpierw – drugi. I w Siemianowicach, gdzie leżałam w komorze hiperbarycznej, cztery kolejne razy.

Nie brakuje takich historii, gdy lekarze mówili, że ktoś nie ma szans, a ten ktoś zdrowiał. **Czuję, że mamy moc samouzdrawiania.** Pytanie, czy chcemy ją wykorzystać.

Powiedział mi o tym lekarz, gdy mnie wybudzili po raz drugi. „Czy pani magister wie, że umierała cztery razy?" – rzucił z lekką pretensją.

Który ze świętych pilnuje bramy? Piotr?

Podobno.

No więc lekarz powiedział, że najwyraźniej on mnie tam nie chce.

Najbardziej niekomfortowe w takich sytuacjach jest nie to, że leżysz bez nogi, tylko że ktoś musi po tobie posprzątać, bo nie możesz podnieść się do toalety. Więc za każdym razem, gdy się załatwiasz, sześć osób przychodzi, żeby cię umyć i przebrać. Opiekę w szpitalu w Siemianowicach miałam taką, że po prostu... Czułam, że jestem w niebie i opiekują się mną anioły. Wszystkie pielęgniarki, takie ciepłe, takie pachnące, takie świeże.

Marzyłam, żeby być taka pachnąca jak one. Od wypadku nie mogli mnie umyć, więc na głowie miałam wielkiego śmierdzącego strupa.

Jak się dowiadywałaś, co się wydarzyło z Twoim ciałem?

Streścił mi to jeden z lekarzy. W Zawierciu amputowali mi nogę, drugą zaszyli. Miałam przesuniętą szczękę, rozerwany łuk brwiowy, złamaną miednicę. Adam mi potem powiedział, że byłam kilka razy większa i cała sina. Wielka bania mięsa. Podobno jestem nawet na którymś z materiałów dziennikarskich w tym stanie. Nie rozpoznali mnie ani Adam, ani mama.

Jednego z lekarzy, który sprawdzał stan mojej jamy brzusznej, zapytałam, czy jak tu już jestem, to nie usunęliby mi przy okazji kamieni z woreczka żółciowego. Spojrzał tak na mnie, powiedział: „Wiesz, Madziu, może brzucha to my już nie ruszajmy, dobrze?".

O, zobacz, gołąb przyleciał!

Co się działo u Ciebie, gdy byłaś w śpiączce?

Bardzo dużo. Do tego stopnia, że przez kolejny rok mieszały mi się dwa światy: ten rzeczywisty z tym ze śpiączki. Jakbym miała dwa równoległe życia.

Tamto było lepsze?

Myślę raczej, że większość traumy powypadkowej przepracowałam w śpiączce.

Miałam tam zderzenie pociągu z tankowcem. Potem zderzenie pociągu z jakimś innym pociągiem w czasie wojny, na której byłam weteranką o kulach.

Widziałam Adama, miał nową rodzinę.

W innym śnie byłam w sieci rybackiej, wkładali mnie do rzeki i w niej wirowali, dzięki czemu z krwi uwalniały się ołów, toksyny. Byłam też rybakiem na lagunie, a ryby przypływały do mnie same, mówiły: „Weź nasze życie, dajemy ci je jako pokarm. Ale pamiętaj, jeśli którąś z nas zmarnotrawisz, więcej do ciebie nie przypłyniemy".

Kiedy sobie przypomniałaś te sny?

Pamiętałam je od razu po wybudzeniu. To była moja rzeczywistość, z którą się wybudziłam. Tutaj, w tym szpitalnym życiu, byłam nieaktywna. Żyłam tam.

Śpiączka i utraty przytomności naprawdę ratują. Gdy się wybudziłam drugi raz, też poczułam zapach, jedzenia. Powiedziałam od razu pielęgniarce: „Jezu, ja chcę jeść". Przyniosła mi coś, ale po zjedzeniu dwóch łyżek poczułam, że znowu wychodzę ze swojego ciała. Ono zwracało pokarm, ale mnie już w nim nie było.

Obudziłam się znów. Nie wiedziałam, kim jestem. Co to znaczy, że są święta wielkanocne. „Jajka, jakie jajka?" – myślałam. Zaczęli do mnie dzwonić różni ludzie. Dostałam tyle wsparcia, że nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić.

Znów zasypiałam. We śnie popełniam samobójstwo razem z Adamem i Wiktorią. Nabijaliśmy się wszyscy na róg, który wisiał na ścianie. Robiliśmy to według ustalonego porządku, najpierw Wiktoria, potem Adam, na końcu ja. W tym śnie przyjechało pogotowie, zdjęli najpierw mnie i zapytali, czy chcę żyć, czy nie. ↦

Co odpowiedziałaś?

Chyba wybrałam życie, bo w tym śnie nagle zobaczyłam cały świat jako wielką kulę ziemską, zaczęłam spotykać różnych ludzi, byli wśród nich też moi znajomi sprzed wielu lat. Ci ludzie modlili się o mój powrót.

I tak przez ponad miesiąc. Wypadek był trzeciego marca, odzyskałam przytomność na dobre czternastego kwietnia. Ósmego maja przewieźli mnie do kliniki w Krakowie, a pod koniec maja wróciłam do domu.

Jak się wraca do życia?

Wiedziałam, że muszę wykonać jakieś zadania, więc podeszłam do sprawy bardzo zadaniowo. Jeśli kazali mi ruszać stopą dwa razy dziennie, to ruszałam tyle, ile dawałam radę.

Wtedy też pojawił się ból, więc byłam skoncentrowana na tym, co tu i teraz. Dzwonili różni ludzie, płakali, czasami ich pocieszałam. Opowiadali o tym, co tam się dokładnie wydarzyło. Ile osób nie żyje. Że była żałoba narodowa.

Podeszłam do tej historii w ten sposób: „Jestem, żyję". Dokładnie to odpowiedziałam ludziom, którzy stali nade mną na nasypie. Powtarzałam sobie: „Nie mam nogi, ale przecież nic się nie stało".

Co teraz myślisz o tym zdaniu: „Nie mam nogi, ale przecież nic się nie stało"?

Ono nie było prawdziwe. Stało się. Cały mój dotychczasowy świat został, jak ten pociąg, zgnieciony. Nie miałam do czego wracać, bo czegokolwiek bym się chwyciła, okazało się dla mnie za trudne.

Próbowałam wrócić do pracy w szkole, ale byłam wyczerpana.

Próbowałam znów tłumaczyć, ale polskiego języka migowego musiałam się uczyć właściwie od nowa. Wszystkie moje umiejętności zostały zatracone. Prowadzący zajęcia mówił, ja dostawałam te informacje, próbowałam je zrozumieć i przetłumaczyć, ale zanim zaczęłam migać, on był już dziesięć zdań dalej.

Byłam na mocnych lekach. Przeciwdepresyjnych. I na bóle fantomowe. Mój mózg pracował w zwolnionym trybie.

Jeden z lekarzy dał mi plastry z morfiną, powiedział: „Będzie pani mogła normalnie funkcjonować". Nakleiłam plaster wieczorem, kolejnego dnia miałam mieć tłumaczenie na uniwersytecie. O siódmej rano zadzwonił telefon, słyszę głos mężczyzny: „Pani Magdo, nie będzie dzisiaj zajęć, bo pociąg ma duże opóźnienie". Myślę sobie: „Jaki znowu pociąg? Co się dzieje?". Przestałam funkcjonować na trzy dni.

Gdy potem zadzwoniłam do lekarza, że źle znoszę plastry z morfiną, powiedział, że przesadzam i że tak wygląda głęboka depresja.

Obraz mnie, jaki narysowali ci, którzy oceniali moje szanse, był mniej więcej taki: nie pracuję, jeżdżę na wózku, mam drewnianą nogę, a na ramieniu papugę.

Tymczasem ja zrobiłam prawo jazdy po wypadku, założyłam firmę, pracuję. Wiesz, że nawet ostatnio zaczęłam tańczyć? Całe życie tańczyłam, i teraz próbuję znów.

Przemieszczam się po całej Polsce. Oczywiście, wszystko wymaga większego przygotowania i zaplanowania. Jeśli tłumaczę konferencję, pytam, na którym jest piętrze i czy w budynku jest winda. Jeśli się z kimś umawiam, staram się dopasować miejsce do swoich możliwości.

JACEK TARAN

MAGDALENA SIPOWICZ
jest dyplomowaną tłumaczką polskiego języka migowego, surdo- i oligofrenopedagożką. Od 2020 r. prezeską Stowarzyszenia Tłumaczy Polskiego Języka Migowego. Przeżyła katastrofę kolejową pod Szczekocinami, do której doszło 3 marca 2012 r.

Czy czegoś mi w życiu brakuje? Mieszkam na drugim piętrze w bloku, więc bardzo bym chciała się przenieść gdzieś, gdzie nie musiałabym się wdrapywać. Nie jest fajnie nie mieć nogi. Ale jak się odpowiednio do tego podejdzie i skupi swoją uwagę na tym, co się ma, to może być naprawdę fajnie.

Skąd masz siłę?

Każdy człowiek ją ma. Nie ma ani jednego, który by nie miał tej siły. Pytanie jest inne: kto decyduje o tym, czy masz siłę. Kto decyduje o tym, że ja rano wstaję i się uśmiecham? Kto? Kto decyduje o tym, że ja się denerwuję? Kto decyduje o tym, że ja mogę coś zrobić, albo nie?

Nie brakuje przecież takich historii, gdy lekarze mówili, że ktoś nie ma szans, a ten ktoś zdrowiał. Czuję, że mamy moc samouzdrawiania. Pytanie, czy chcemy ją wykorzystać.

Jeszcze po wypadku myślałam sobie, że jak dużo pracuję, to znaczy, że jestem ważna i wartościowa. Potrafiłam pracować niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłam dumna z tego, że pracuję siedem dni w tygodniu. W ten sposób sobie udowadniałam, że wróciłam do swojego życia, że coś znaczę. Ale to była tylko iluzja, próbowałam raczej ratować swoje ego.

Tym bardziej że na początku wszyscy cię wspierają. Ale jak już widzą, że zaczynasz sobie jakoś radzić, to wsparcie jest coraz mniejsze. Każdy wraca do swoich spraw. A ja byłam cały czas na dnie.

Zaczęły się problemy z ubezpieczycielem. Problemy z moim ego, które bardzo chciało wrócić do dawnych rzeczy. Próbowałam chwytać przeszłość, te wszystkie relacje, wyjazdy, pilne sprawy. No i przyszedł taki moment, kiedy musiałam się zreflektować i zacząć pracować nad tym, co mogę mieć.

Jak się odczuwa fantom?

Jak by ci to wytłumaczyć... Fantom jest jak luneta. Na początku jest rozciągnięty tak daleko, jak sięgała moja dawna noga. Praca polega więc na tym, żeby ściągnąć lunetę na wysokość kikuta. Czucie fantomu a jego odczucie bólu to dwie różne sprawy. Czucie pomaga mi chodzić na protezie, ból już niekoniecznie. Czasami ból jest tak duży, że całe moje ciało jest nim przesiąknięte. Ale to nie jest taki fizyczny ból, jakby cię bolał ząb

albo głowa. Trudno go do czegokolwiek porównać.

Komisja, która przyznaje rentę, od dziewięciu lat bada, czy mam nogę, czy jej nie mam, i czy mi się ta renta należy, czy nie. Ostatnio się popłakałam, bo zobaczyłam, jaką ja mam moc, żeby z takiej katastrofy przetransformować moje życie na życie pełne szczęścia, miłości, zadowolenia.

Zobacz, chciałam mieć drugie dziecko, ale od lekarza usłyszałam: „Zajście w ciążę jest raczej niemożliwe. A jeśli już, to ciążę spędzi pani w pozycji leżącej”.

To z powodu złamanej miednicy?

Tak. Ale ja chciałam mieć drugie dziecko. Mój syn, Leonard, urodził się pięć lat po wypadku. A ja do szóstego miesiąca ciąży pracowałam.

Starałam się go karmić piersią, za wszelką cenę. Byłam wyczerpana, a on jadł, jadł, jadł. Gdy miał dwa miesiące, siedziałam z nim przy piersi o trzeciej nad ranem i nagle zobaczyłam pociąg. Był zmielony, a ja leżałam obok, bez nóg. Zamknęłam oczy, znowu otworzyłam. W pokoju był półmrok, a ja dalej widziałam pociąg. Patrzę na ten pociąg, to znowu patrzę tu, na Leonarda, i znowu na pociąg. Zawołałam Adama, powiedziałam mu, że musi zaopiekować się naszym synem, bo ja nie dam rady.

Przez jakiś czas myślałam, że odrzuciłam syna. Matkom się wmawia, że muszą być matkami za wszelką cenę. Odtąd Leonard dostawał mleko z butelki i zasypiał z mężem.

Co teraz o tym myślisz?

Koleżanka powiedziała mi kiedyś, że być może w ten sposób uratowałam moje dziecko. Znalazłam mu opiekę na czas, kiedy sama nie mogłam się nim zająć.

To był przełom?

Nie, przełom był chwilę później, jakieś trzy lata temu. Już nie chciałam się taplać w cierpieniu, smutku i obwinianiu. Zaczęłam odkrywać, że gdy odmawiam przyjęcia kolejnego zlecenia, to świat się nie zawala. Wspieram innych i to wsparcie do mnie wraca. Banalnie brzmi, prawda? Ale wcale takie banalne nie jest. Nie oczekując nic w zamian, dostałam taką obfitość, o jakiej nigdy w życiu nie marzyłam.

Mogę sobie myśleć, że nie mam nogi i jest okej. Ale kość w kikucie jest za krótka. Gdy idę i ociera mnie proteza, rany na nodze i na pośladku zaczynają krwawić, a kolejny komplet bielizny jest zniszczony, to dla mojego ciała wcale nie jest okej. Mogę wypierać to, co cielesne. Powtarzać sobie, że jestem istotą duchową. Ale tak się da na krótką chwilę. Dużo więcej daje szukanie równowagi między tym, co tu, w ciele, od czego nie da się uciec, a tym, co mamy w głowie.

Rozmawiałaś z dziećmi o tamtym dniu?

Mój syn zauważył dopiero ostatnio: „Ojej, mamusiu, dlaczego masz tutaj takiego bąbla?”. Tak mówi na kikuta. Ja na to: „To jest moja nóżka”. On: „Aha, a co ci się stało?”. Ja: „A, wiesz, mama miała wypadek”. A on mówi tak: „A dlaczego to sobie zrobiłaś?”.

Co za pytanie.

Prawda? Z kim ja rozmawiam? On ma chyba rację. Może ja sama to sobie zrobiłam, bo potrzebowałam takich doświadczeń? Wybrałam dla siebie taką lekcję do przerobienia. Odpowiedziałam mu: „Synu, każdy wybiera inne doświadczenia w życiu. Mama wybrała takie”.

U nas w domu nie robimy tragedii z tego, że ja nie mam nogi. Rano krzyczę: „Adam, pomożesz mi z nogą?”. Nie dam rady sama założyć protezy. Wiktoria przychodzi i smaruje mi ranę przy kikucie.

Twoja córka pamiętała tamtą noc?

Długo nie chciała o tym rozmawiać. Mam mądrych ludzi wokół siebie – męża, mamę, siostrę, teściową. Oni nie pokazywali jej wszystkich wiadomości telewizyjnych. Gdy Wiktoria miała sześć lat, zapytałam ją, czy wie, co mi się stało. Odpowiedziała, że tak, że miałam wypadek. Oswoiliśmy go razem.

Jeździsz pociągiem?

W marcu, w pierwszą rocznicę katastrofy pod Szczekocinami, kupiłam bilet do Warszawy i z powrotem. Dostałam miejsce w pierwszym wagonie, w pierwszym przedziale. Musiałam być blado-zielono-fioletowa. Ale pojechałam. Po to, żeby wrócić z tej podróży jak należy.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Spór o ofiary

Ofiary, nie tylko ze zwierząt, towarzyszą ludzkości od jej zarania. Dań Bogu przynoszą już Kain i Abel, synowie Adama i Ewy, co okazuje się brzemienne w skutki. W kontekście zwierząt złożonych przez Noego na ołtarzu po bezpiecznym opuszczeniu arki po raz pierwszy pojawia się wyrażenie „miła woń dla Pana". Żydowski komentator wszech czasów w innym miejscu Biblii wyjaśnia je tak: jestem kontent, że powiedziałem i Moja wola została wypełniona. Jeśli uznać jego słowa za głos w dyskusji dotyczącej ofiar ze zwierząt, postrzeganych jako problematyczne nie od dziś, można ująć to w następujący sposób: niepotrzebne nam logiczne uzasadnienie, albowiem składanie ich stanowi wyraz naszego oddania Bogu. Przez analogię do relacji z drugim człowiekiem: wiem, że ci na tym zależy, choć nie rozumiem, dlaczego, i zrobię to dla ciebie.

Ofiary, już w sposób zorganizowany, są składane w Przybytku na pustyni, następnie w Ziemi Izraela w kolejnych miejscach pobytu Arki Przymierza, po czym w Pierwszej i Drugiej Świątyni. Próbuję sobie wyobrazić swąd towarzyszący spalaniu tłuszczu i wnętrzności, nie mówiąc już o ofierze całopalnej... Zapewne kadzidło w znaczący sposób przyczynia się do modyfikacji tych wyziewów. Wróćmy do dyskusji. Żydowski filozof z XII wieku Majmonides twierdzi, że ofiary służą oduczeniu ludzi tego, co znają od ościennych bałwochwalczych ludów. Najwyższy używa znajomych elementów – świątynia, ołtarz, ofiary – ale odtąd mają one służyć wyłącznie oddawaniu czci Jemu w jednym centralnym miejscu. Dzięki temu bałwochwalstwo zanika, bez potrzeby wprowadzania nowych form kultu. Konkurencyjne wyjaśnienie przedstawia Nachmanides (XIII wiek). Za to, co zrobiliśmy, winniśmy sami znaleźć się na ołtarzu. To nasza krew byłaby przelewana, gdyby w swoim miłosierdziu Najwyższy nie pozwolił nam złożyć zwierzęcia w naszym zastępstwie. Z kolei mistycyzm mówi o poddaniu naszego wewnętrznego zwierzęcia Bożej woli, o wyniesieniu na inny poziom świata przyrody i poświęceniu go wyższym celom.

To znamienne, że już w księgach prorockich (np. 1 Sm 15, 22; Iz 1, 11; Oz 6, 6) właściwe postępowanie zdaje się mieć większą wagę niż ofiary. Po zburzeniu Drugiej Świątyni w roku 70 ery chrześcijańskiej nie wszyscy z rozpaczą pytają, jak uzyskać Boże przebaczenie, skoro nie ma gdzie przynieść ofiary. Niektórzy wskazują na uczynki miłosierne jako zadośćuczynienie Bogu za grzechy, inni wręcz porównują studiowanie Tory do składania ofiarnych zwierząt. Dwóm codziennym ofiarom (porannej i popołudniowej) oraz wieczornemu spalaniu resztek zaczynają odpowiadać trzy codzienne nabożeństwa. Ostatecznie miejsce służby świątynnej zajmuje „służba w sercu" – modlitwa. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
O tym jest Wielkanoc

Za około 5,4 miliarda lat Słońce zużyje wszystek wodór, niemiłosiernie spuchnie i pochłonie Ziemię. Dlatego kombinujemy, jak wynieść się z umierającej Ziemi i zamieszkać gdzie indziej. Gdzie, na razie tego nie wiemy, ale niebezpieczeństwo uśmiercenia Ziemi wcale nie jest takie dalekie. Nie bez powodu Franciszek w encyklice „Laudato si" pyta: „Co się dzieje w naszym domu?". „Nigdy nie traktowaliśmy tak źle i nie okaleczyliśmy tak naszego wspólnego domu, jak miało to miejsce w ciągu ostatnich dwóch stuleci. A jesteśmy wezwani, aby być narzędziami Boga Ojca, żeby nasza planeta była tym, co On wymarzył, stwarzając ją, i by odpowiadała na Jego projekt pokoju, piękna i pełni. Problem polega na tym, że nie mamy jeszcze kultury niezbędnej, by stawić czoło temu kryzysowi". Z tego nie wynika, że nie możemy już niczego zrobić. Możemy – papieska encyklika jest podpowiedzią, jak tego dokonać.

Tak czy inaczej, nasza Ziemia za miliardy lat – czy może już jutro, wystarczy odpalenie nagromadzonych przez nas zapasów broni atomowej – przestanie być naszym domem, i nie będzie w tym nic nadzwyczajnego. Tak dzieje się świat, a Ziemia nie jest wyjątkiem, jak nie jest czymś niezwykłym, że rodzimy się, starzejemy, chorujemy, umieramy. Jeśli w tym wszystkim jest coś nadzwyczajnego, wprost nienaturalnego, to niezgoda na taki scenariusz istnienia nas i wszystkiego innego. Niezgoda z jednej strony, a z drugiej marzenie o świecie bez „wzdychania i jęczenia", bez łez, chyba że ze szczęścia, świadczą o tym, że nie mieścimy się w żadnej wymiarowości. I nie chodzi tylko o religijnych, ale też ateistów i tych, których się nazywa nonami. Ktoś powiedział, że jesteśmy dziećmi gwiazd; to prawda, ale mówiąc za Pierre'em Teilhardem de Chardin: „świat współczesny – zarówno z punktu widzenia człowieka współczesnego, jak i z punktu widzenia chrześcijanina – będzie niezadowalający".

Idąc dalej za Teilhardem, nie sposób nie widzieć, że kosmos wciąż się rozpada i staje się dla samego siebie grobem, jednocześnie staje się sobie – żeby użyć starego, już zapomnianego, ale jakże miłego określenia – kołyską, kolebką. A to pozwala wierzyć, że, jak to ktoś powiedział, u podstaw świata jest informacja. Nie będzie więc chyba błędem, jeśli się powie, że owa informacja organizuje rzeczywistość ku istnieniu, ku życiu. Tak że każdy grób świata nie tylko okazuje się być pusty, ale staje się macierzą życia. Wygląda na to, że również o tym jest Wielkanoc, skoro mamy odwagę śpiewać: „O, zaiste błogosławiona noc, w której się łączy niebo z ziemią, sprawy boskie ze sprawami ludzkimi". Łączą się nierozerwalnie, gdyż nigdy nie były rozdzielone, choć na takie mogły wyglądać. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Między kazaniem a działaniem

Boże,
jesteś burzą mojego serca.
I największym mym
bezpieczeństwem.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Jedyny Ukochany
objawia się
w licznych stworzeniach.

IBN 'ARABI

Liturgia uczyniła nas w ostatnim czasie świadkami ostrej rozmowy Jezusa z „Żydami, którzy Mu uwierzyli" (zob. J 8, 31nn). Takie ich określenie (ci, „którzy uwierzyli") musi zdumiewać: ani przebieg, ani ton tej rozmowy nie wskazuje raczej na tę wiarę... Może jednak chodzi tu ostatecznie o pytanie skierowane do nas, którzy łatwo deklarujemy, że jesteśmy wierzący, a przecież (być może) równie łatwo możemy znaleźć w sobie zaprezentowane przez nich w tamtym dialogu schematy myślenia?

Jezus mówi do nich: „Prawda was wyzwoli". A oni: „Jesteśmy potomstwem Abrahama i nigdy nie byliśmy poddani w niczyją niewolę". Jezus: „Co Ja widziałem u mego Ojca, to głoszę; wy czynicie to, co usłyszeliście od waszego ojca". Oni: „Ojcem naszym jest Abraham". Na co Jezus: „Gdybyście byli dziećmi Abrahama, to dokonywalibyście czynów Abrahama".

Czytałem ten tekst i myślałem o tym, jak łatwo jest się powoływać na ojców. Więcej: jak łatwo jest się chować za ojców. Kiedy nas przykładowo oskarżają o brak tolerancji – natychmiast odpowiadamy długim wywodem o wielowiekowej tradycji tolerancji polskiej, zamykając ów wywód pointą: nie nas będziecie uczyć, co znaczy tolerancja! Popatrzcie wpierw na siebie.

Wywód jest prawdziwy. I dobrze jest z dumą o nim pamiętać; słuszne również jest o nim opowiadać. Nie od rzeczy będzie wszakże zapytać: czym ostatecznie ów wywód ma być? Pokornym opisem naszego najbardziej wewnętrznego DNA, generującego (lub przynajmniej dyscyplinującego) wszystkie nasze postawy? Czy też fasadą lub rodzajem tarczy, za którą można ukryć zgoła nie schodzące się z nim własne przekonania? A jeszcze bardziej działania?

Przypomina się ostatnie zdanie „Napomnienia VI" św. Franciszka, które brzmi: „Stąd słusznie [należy] nam się wstyd, iż święci dokonywali [wielkich] dzieł, a my chcemy otrzymać cześć i chwałę, recytując czy głosząc o nich [tzn. o tych dziełach] kazania".

Obnoszenie się pochodzeniem od Abrahama i świętych (także od Franciszka) może nam przynieść w odpowiedzi Jezusową opinię dotyczącą naszego postępowania: „Tego Abraham nie czynił!". Franciszek tak nie postępował!

Rozziew między powoływaniem się na świętych ojców a jakością naszych czynów Jezus ocenia bardzo ostro – nazywa wprost postawą diabelską: „macie diabła za ojca" (J 8, 44).

Przesada? Nie. To diabeł jest „ojcem kłamstwa", a tu właśnie z kłamstwem mamy do czynienia.

Bogu niech będą dzięki za Abrahama. Za Franciszka. Za wszystkich świętych. Za każdego z naszych ojców w wierze. Za zakorzenienie. I za płynące w naszą stronę od nich zobowiązanie. Co najmniej równie wielkie, jak zachwyt i poczucie dumy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 IV)

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9;
Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;
Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
2. Niedziela Wielkanocna: Dz 4, 32-35; Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

DAJCIE NAM SIĘ ROZWIJAĆ

Radom chce wrócić na mapę Polski. Czy powstające – kolejny już raz – lotnisko mu w tym pomoże?

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Niemal całe życie towarzyskie przeniosło się przez ostatni rok do sieci, dlatego zanim zacząłem dzwonić po znajomych z dawnych lat, napisałem kilka postów na lokalnych grupach w internecie. By przyciągnąć uwagę, dołączyłem mem z napisem: „Radom odwołał loty, zanim to było modne". Zebrałem kilka lajków i parę komentarzy, w tym jeden dość przykry. „Tu diabeł splunął i powiedział dobranoc".

Ale gdy kilka dni później rozmawiałem o lotnisku w Radomiu z Radosławem Foglem – kiedyś po prostu Radkiem, moim kolegą z liceum, dziś ważnym młodym politykiem w PiS – zareagowałem na jego słowa tak samo, jak autor komentarza, który mnie zabolał.

Kto się z nas śmieje?

– Jeżeli miasto zadba o to, by zatrzymać przesiadających się pasażerów na noc...

– Radek – przerwałem mu, śmiejąc się – kiedy ostatnio byłeś w Radomiu nocą na mieście?

Moje miasto kojarzy się z „chytrą babą" i lotniskiem, z którego latają puste samoloty. Sieciowa kultura memów potęguje ten obraz, ale i sami radomianie potrafią świetnie zadbać o ten czarny PR. Choć faktycznie: miasto miało swoje trudne chwile w nowej Polsce. Dwucyfrowe bezrobocie, masowa emigracja zarówno do oddalonej o zaledwie sto kilometrów Warszawy, jak i na Wyspy Brytyjskie już po wejściu do Unii. Wreszcie przestępczość.

Gdy ja i Radek kończyliśmy liceum, memów jeszcze nie było – ale o Radomiu mówiło się, że to wioska olimpijska, i że z kosmosu widać dwie rzeczy: mur chiński oraz trzy paski nad miastem. I nie było w tym zbytniej przesady – wyjście na miasto po lekcjach groziło „skrojeniem" i „sklepaniem". A dziś?

– I tu cię zaskoczę – odparł Radek. – Jeszcze przed pandemią zabrałem dziewczynę do Radomia. Tak jej się spodobało, że gdy wracaliśmy wieczorem do domu, zaczęła się kłócić z taksówkarzem, który oczywiście, po radomsku, wieszał psy na całym mieście.

Wielkie było moje zaskoczenie, gdy przeszukując cyfrowe archiwa gazet, natrafiłem na felieton pióra dziennikarza lokalnej „Wyborczej", który o wznowieniu działania lotniska w Radomiu pisał i ciepło, i z dużą nadzieją.

To było tuż przed pandemią, 1 marca 2020 r. Z Tomaszem Dybalskim rozmawiam rok później.

– Pisałem tak, bo uważam, że jeśli ktoś chce nam dać szansę, to musimy zrobić wszystko, by ją wykorzystać – mówi. Dybalski, dziś niezwiązany już z „Wyborczą", w swoim felietonie apelował m.in. o otwieranie połączeń lotniczych do miasta i z miasta. Taka propozycja, wraz z nadziejami entuzjastów lotniska, zapowiedziami polityków oraz obietnicami nowego inwestora – Państwowych Portów Lotniczych – składa się w wizję na miarę szklanych domów Żeromskiego. Tak też zresztą postrzegana jest przez przeciwników idei lotniska. Jak motywowana politycznie utopia.

Spełniony sen

Trzy miliony pasażerów rocznie, samoloty co kilka minut, doskonałe skomunikowanie lotniska z resztą Polski, nowoczesny terminal, do tego nowe miejsca pracy, inwestycje wokół, no i wielka szansa dla miasta – to zapowiedzi PPL, które przejęły port w 2018 r. I owszem, prace idą do przodu, nowy terminal jest już niemal w całości oszklony, a z pokrytych wczesnowiosenną wilgocią okien widać gotowy już pas startowy.

Inwestor nakazał ułożenie na nim ogromnych znaków w kształcie litery X – dla bezpieczeństwa, by piloci widzieli, że tu lądować jeszcze nie można. Na bu-

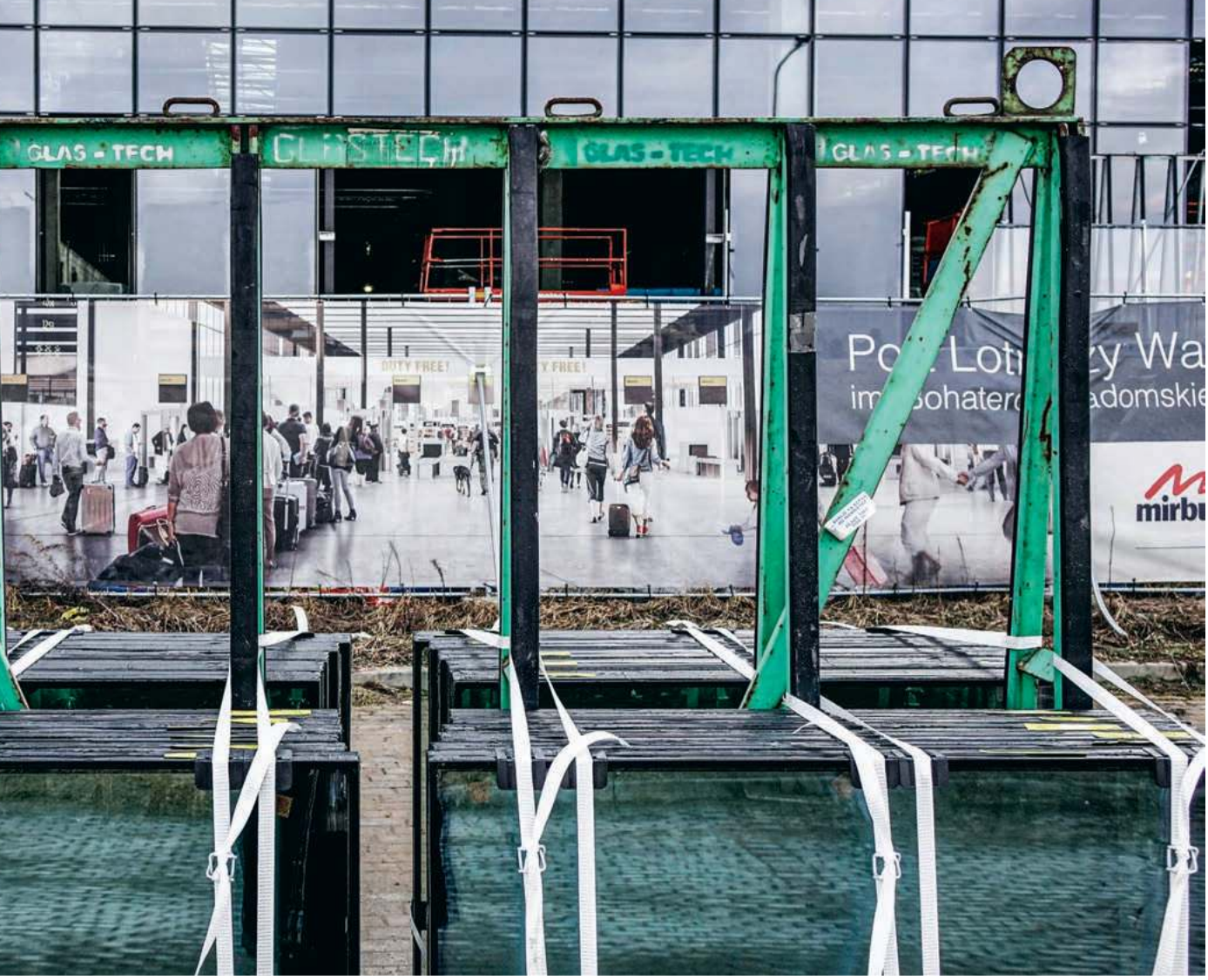

ANNA MIKULSKA

Plac budowy na terenie Portu Lotniczego Radom, 6 marca 2021 r.

dowie słyszę, że prace idą zgodnie z planem i że za chwilę powstanie wieża kontroli lotów.

Tylko kiedy pojawią się tu te trzy miliony pasażerów – nie wiadomo, bo pandemia wywróciła świat do góry nogami.

– Dziś nie jestem już takim optymistą, jak w marcu ubiegłego roku – przyznaje Dybalski, ale przekonuje, że ten projekt w rzeczywistości postpandemicznej ma szanse powodzenia.

– Teraz jest inwestor, który wie, jak budować lotniska. W logiczną całość układa się i sam projekt, i polityka – mówi. PPL to główny gracz na krajowym rynku i co ważne: zarządzający warszawskim Okęciem, dla którego Radom ma być uzupełnieniem.

O polityce mówią też przeciwnicy lotniska, ale w zupełnie innym tonie. – Wybujałe ambicje, a nie realna potrzeba – mówi pracujący w LOT ekspert od siatki połączeń, który prosi o anonimowość. – Ogromne parcie lobby radomskiego, mafii radomskiej, jak to nazywam – dodaje.

Kogo mój rozmówca ma na myśli? Marka Suskiego i Adama Bielana między innymi.

Dybalski uśmiecha się, gdy wspominam o Marku Suskim. – Ja sobie to nawet kiedyś policzyłem i faktycznie, z Radomia jest bliżej na wakacje do Egiptu, tak jak mówił, więc linie jakieś pieniądze zaoszczędzą, no ale to przecież nie jest kluczowy argument za lotniskiem w Radomiu.

Kluczowym argumentem jest: kto będzie chciał z Radomia latać?

– Niech pan zapyta krakowian, czy chcą latać z Katowic – proponuje Adam Bielan. – Każdy powie, że nie, bo przecież pod Krakowem są Balice. A skąd krakowianie latają na wakacje? Z Katowic-Pyrzowic, bo właśnie tam obsługiwane są czartery i część tzw. low-costów, czyli tanich linii lotniczych. Radom ma szanse być właśnie takimi Pyrzowicami dla Polski centralnej – zapewnia i jednocześnie zaprzecza, by lotnisko w Radomiu było projektem politycznym.

– Przyznaję: gdy zobaczyłem, że jest szansa, uchwyciłem się jej i byłem politycznym taranem do usuwania wszelkich biurokratycznych trudności, ale to nie było żadne knucie. Nie było żadnego układu, by naciskać na podjęcie decyzji nieracjonalnej. Dla Radomia zrobiłbym bardzo dużo, ale ściągnąć blisko miliardową inwestycję, która byłaby nieuzasadniona? Nie dałbym rady. To oskarżenia niesprawiedliwe – mówi mi Bielan.

Nowe lotnisko w Radomiu ma być portem uzupełniającym dla Lotniska Chopina, a w przyszłości także dla Centralnego Portu Komunikacyjnego. Ma być również odpowiedzą na zapychające się – przed pandemią – lotnisko stołeczne oraz wzrost ruchu lotniczego w całym kraju.

– PPL ma zapowiedź ze strony PLL LOT, że jest zainteresowany uruchomieniem rejsów z portu. Z lotniska w Radomiu korzystać będą także linie niskokosztowe i czarterowe. Więcej konkretów będziemy mogli podać bliżej daty uruchomienia – słyszę od inwestora obiecujące ↦

↦ zapowiedzi. Tylko że w regionie są już lotniska: w Modlinie, Łodzi, Lublinie.

– To wyrzucenie pieniędzy w błoto, jeśli chodzi o podaż infrastruktury w okolicy – słyszę od krytyków. Entuzjaści kontrują, wyciągając kłopoty tej infrastruktury, choćby w Modlinie. Wyliczają niekorzystną umowę z Ryanairem czy konieczność gruntownego remontu terminalu i pasa startowego oraz grzech pierworodny – czyli samo położenie lotniska z uporczywie występującymi mgłami. A rozstrzygnięcie tego sporu utrudniają – oczywiście – polityka oraz interesy.

Miejsce przeklęte

– Pierwszy raz przyszła do nas taka inwestycja i co? Mamy cały czas myśleć o innych? – Jakub Mitek, aktywista miejski działający w stowarzyszeniu Zmieniamy Radom, odbija piłeczkę w odpowiedzi na moje pytania o to, czy radomskie lotnisko nie wykończy tych okolicznych.

– Dajcie nam wreszcie kromkę chleba i nie mówcie, że zabieramy tę kromkę innym. Tutaj chodzi o życie, o przetrwanie, o rozwój tego naszego miejsca na ziemi. Nie mam już siły się zastanawiać, czy ktoś na tym straci. My się liczymy. My jesteśmy ważni. Po prostu – dodaje z goryczą.

Z Jakubem rozmawiam także o tym, czym jest Radom. Stawia tezę, że radomianie są ofiarami, ale nie samego miasta, tylko sytuacji, w jakiej się znalazło. Genezę upatruje – nie on jeden zresztą – w wydarzeniach, które wpisały Radom na karty najnowszej historii i które jednocześnie mogą być kluczem do jego zrozumienia. Chodzi o Czerwiec ‘76 roku – robotniczy protest wywołany przez kryzys gospodarczy gierkowskiej epoki PRL i podwyżki cen podstawowych produktów spożywczych. Radom pośrednio dał wówczas Polsce KOR, który był podwaliną Solidarności, a sam wyniósł obite na ścieżkach zdrowia plecy i klątwę, która zawisła nad miastem na lata.

Moja mama była wówczas nastolatką. Wyszła na spacer z psem i zauważyła, że coś się dzieje. Niewiele myśląc poszła pod komitet partii, który już płonął. Gdy kilka godzin później wróciła do domu, dostała szlaban, a potem rodzice wysłali ją na wakacje na obóz, daleko poza Radom. Ludzie wiedzieli już, że helikopter, który krążył nad protestującymi, robił zdjęcia, że rozpoczęły się prześladowania, i dziadkowie o moją mamę po prostu się bali.

Gdy dojechała na obóz i wraz z innymi nastolatkami przedstawiała się na wieczorku zapoznawczym, od wychowawcy usłyszała: warchołów nam nie trzeba. To było już po wiecu potępiającym wichrzycieli, który zwołano na przebłaganie Edwarda Gierka na stadionie miejskim.

Ten warchoł przylgnął do radomian na lata, i choć obelgę można obrócić na swoją korzyść – tak robią choćby kibice lokalnej drużyny Radomiak Radom, z dumą śpiewający: „to my, warchoły” – to znacznie trudniej na swoją korzyść obrócić decyzje motywowane chęcią politycznej zemsty.

Mitek: – Do ’89 roku nie docierały tu żadne centralne inwestycje. Edward Gierek powiedział, że w Radomiu ma nie być niczego, i tego się trzymano. A po ‘89 roku kolejna tragedia, upadek przemysłu i gigantyczne bezrobocie, dalej utrata statusu miasta wojewódzkiego i postępująca degradacja.

Tylko że Radom w latach 90. i na początku XXI w. wyglądał znacznie gorzej niż Radom dziś. Miasto złagodziło swój charakter, wraz z migracją młodych, pozbawionych perspektyw i bezrobotnych mieszkańców blokowisk na Wyspy Brytyjskie tuż po wejściu do Unii. Z Unii popłynęły też pieniądze na różne inwestycje, więc miasto poszło do przodu, z czym Mitek się zgadza, ale podkreśla, że jest to znacznie wolniejsze tempo niż w reszcie kraju.

– Spójrzmy na mapę Polski pod kątem zarobków i siły nabywczej – proponuje. – Radom i region radomski to jedna z największych czerwonych plam, wraz z częścią Warmii i Mazur przy obwodzie kaliningradzkim i północno-wschodnią częścią mazowieckiego. Jesteśmy w statystycznie najbogatszym województwie, ale statystyki kompletnie nie oddają prawdy o Radomiu. Jeśli wytniemy z nich stolicę, to jesteśmy w jednym z najbiedniejszych regionów Unii Europejskiej.

Czy zatem Radom budując lotnisko chce leczyć swoje kompleksy?

Miało być pięknie, wyszło jak zwykle

– Sorry, ale ja się nie wpisuję w taką narrację. Radom nie musi leczyć żadnych kompleksów. To tak samo, jakby dziś mówić, że Warszawa musi leczyć kompleksy, bo jej prezydent nie radzi sobie z odprowadzaniem ścieków, a ludzie w Polsce się z tego śmieją – mówi mi Andrzej Kosztowniak, poseł PiS i były prezydent Radomia, który doprowadził do otwarcia pierwszego lotniska w mieście.

Tylko że z Warszawy ludzie się śmieją, jak coś się wydarzy, a Radom ma złą prasę, odkąd pamiętam. Zdaniem Jakuba Mitka tak kreowany obraz miasta odbija się na mentalności mieszkańców, którzy dawno przestali wierzyć, że cokolwiek może się tu udać. Z olbrzymią rezerwą podchodzili do lotniska w 2014 r., po jego upadku równie ostrożnie podchodzą do obecnej inwestycji.

– Wie pan, jak to Ruscy mówią? *Pasmatrim, uwidim*; pożyjemy, zobaczymy – mówi mi taksówkarz w drodze pod terminal. – Ponoć coś tam budują...

„Ponoć coś tam budują” – mówili też przed 2014, opowiada mi jedna z byłych pracownic lotniska. I choć wiary w ludziach nie było, to CV w odpowiedzi na ogłoszenia o pracę przychodziły. Inny z moich rozmówców zdecydował się nawet na powrót do miasta z Warszawy, ale gdy zorientował się, że lotnisko się nie rozwija, a wręcz przeciwnie – znów wyjechał. Jak to wyglądało?

Służby odśnieżały i odladzały nieużywany pas startowy, czasem przyleciała prywatna awionetka i obsługa mogła sobie poplotkować, czasem wystartowała wojskowa iskra z pobliskiej jednostki. Ale najczęściej ludzie podpisywali listę obecności i czekali do przysłowiowej szesnastej, a gdy lotnisko padło, Radom wzruszył ramionami. „Znowu nie wyszło”.

Spór o to, co poszło nie tak, trwa i żywo przypomina przepychanki w Sejmie.

Kosztowniak przekonuje mnie, że opierał się na konkretnych analizach. – A o samej zasadności budowy tamtego lotniska najchętniej wypowiadają się domorośli eksperci, jak to mówię, „od latania”.

Ale skoro tamten projekt był przemyślany i uzasadniony, to czemu się nie udało? – To już pytanie do mojego następcy, prezydenta Radosława Witkowskiego, który nie potrafił tego odpowiednio kontynuować. Ale to nie jedyny projekt w Polsce, który Platforma chciała zahamować, a wiele z nich niestety zahamowano bezpowrotnie – brzmi odpowiedź.

– Projekt, który wygasiliśmy w 2018 r., był oparty wyłącznie na finansowaniu samorządowym. Nie mieliśmy szans na pozyskanie żadnego finansowania zewnętrznego, czy to ze środków unijnych,

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Inauguracja budowy lotniska: Adam Bielan, Mateusz Morawiecki, Marek Suski, Mikołaj Wild. Radom, 7 maja 2019 r.

czy budżetowych – choćby z powodu wielu ograniczeń prawnych. Mówiąc wprost: tamto przedsięwzięcie było źle zaprojektowane, źle przeprowadzone i źle zrealizowane – przekonuje mnie obecny prezydent Radomia, Radosław Witkowski.

Obaj włodarze – mimo że przerzucają się odpowiedzialnością – zgadzają się co do jednego: gdyby nie lotnisko z 2014 r., nie byłoby szans na obecny projekt. Utopione pieniądze traktują jak inwestycję i podkreślają, że miasto pokonało konkurentów, bo już miało niezbędne zgody. Jednym głosem mówią o szansach dla miasta, choć już w szczegółach – jak przystało na przedstawicieli zwaśnionych plemion politycznych – mocno się różnią.

A może województwo?

Radosław Fogiel przyznaje, że nowe lotnisko to projekt nieoczywisty, i uważa, że wymaga pomysłu na miasto. Ale to miasto ma swój charakter, tylko przykryty grubą warstwą pesymizmu i gorzkiej autoironii.

– Czasem oprowadzam wycieczki zagraniczne, głównie potomków Żydów pochodzących z Radomia, i boli mnie, gdy widzę te piękne, ale rozsypujące się kamienice. Jest mi wręcz wstyd je pokazywać. Sam niekiedy zaczynam myśleć, że to miejsce jest przeklęte – wyznaje Mitek, by po chwili zreflektować się i dodać, że turyści w mieście potrafią dostrzec piękno.

Aktywista ożywia się, gdy opowiada o historii Radomia.

– To jednocześnie historia Polski. Każdy zna datę 1505 – konstytucja *Nihil Novi*, długo nazywana konstytucją radomską, przez dwa lata (1481-83) mieściła się tu nieformalna stolica królestwa, kiedy królewicz Kazimierz Jagiellończyk rządził nim z radomskiego zamku. Przed wojną bywał tu Charles de Gaulle. Specjalnie przyjeżdżał, by zjeść obiad u Wierzbickiego, w jednej z najlepszych restauracji II RP. Lokal był na liście Michelina – opowiada.

Samo lotnisko to też kawał historii. Rząd zdecydował, by je umiejscowić w Radomiu, jeszcze przed wojną z uwagi na wyjątkowe w skali kraju warunki atmosferyczne i największą ilość tzw. dni lotnych. „W 1927 uruchomienie pierwszego lotniska w dzielnicy Sadków" – czytamy na jednej z mosiężnych tabliczek z kluczowymi datami z historii miasta, które są wmurowane w centralnej części deptaku na ul. Żeromskiego, między urzędem miejskim a pomnikiem Jana Kochanowskiego (niecałą godzinę drogi stąd jest Czarnolas) i parkiem, którym dojdziemy pod drzwi radomskiej katedry (wzorowanej na krakowskim kościele Mariackim).

Ta część deptaku to dziś najładniejsza część centrum, ale gdy idzie się dalej, jest niestety coraz gorzej. A sam Rynek i tzw. Miasto Kazimierzowskie – czyli ta nieoficjalna kiedyś stolica Polski – to dziś ewenement: dzielnica kulturalnie martwa i ciesząca się jak najgorszą sławą. Tuż przed wejściem na ulicę Rwańską, u zbiegu z Żeromskiego, straszy spalony lata temu neon delikatesów Kasia. Jakby ostrzeżenie dla zbłąkanego turysty, który chciałby zapuścić się w te strony.

I właśnie ten obraz mam przed oczami, gdy słyszę od entuzjastów lotniska, że jeżeli Radom namówi choć drobny procent z tych zapowiadanych trzech milionów pasażerów, to zyska wizerunkowo. Owszem, jest grupa podróżnych, która będzie szukać tu mocnych wrażeń i egzotycznych zdjęć do swoich albumów z *poverty safari*, ale na tym miasto nic nie zyska, przeciwnie: będzie tracić dalej. Rośnie więc we mnie obawa, że lotnisko będzie funkcjonować autonomicznie, bez większego wpływu na miasto – zwłaszcza że od obecnego i byłego prezydenta słyszę, że to w zasadzie nie jest nic dziwnego.

– Czy pan zwiedza twierdzę Modlin, gdy leci z Modlina? – pyta mnie retorycznie obecny prezydent Witkowski, a były prezydent Kosztowniak mówi: – Ludzie nie będą przyjeżdżać wcześniej do Radomia, by siedzieć na Żeromskiego, jeść, pić i wypoczywać przed wylotem. Niestety, to tak nie działa. To lotnisko może nam pomóc, owszem, ale nie załatwi za nas wszystkiego.

I choć Witkowski zapewnia, że miasto się zmienia i będzie ludzi przyciągać sportem, kulturą i muzyką – wspomina choćby o budowanym Radomskim Centrum Sportowym z nowoczesną halą widowiskową, planowanym za unijne pieniądze remoncie amfiteatru i renowacji głównej płyty Rynku – to przyznaje, że na rewitalizacje zabytkowych kamienic (a to ich elewacje straszą na deptaku Rynku) pieniędzy w kasie miasta brakuje. Zresztą wiele z nich jest w rękach prywatnych, co sprawę dodatkowo komplikuje.

Kosztowniak mówi natomiast, że ma do miasta żal, iż zbyt wolno szykuje się do otwarcia samej inwestycji. Chodzi o plany strefy przylotniskowej, tzw. *airport city*, które musi być dobrze pomyślane, by po pierwsze ściągnąć biznesy, a po drugie, by obronić miasto przed chaosem przypadkowej zabudowy i narodzinami kolejnej dzielnicy, która może ludzi odstraszać.

Jakub Mitek chciałby z kolei, by do dyskusji o przyszłości miasta, którą prowokuje lotnisko, wprowadzić temat powrotu statusu miasta wojewódzkiego. Uważa, że jest to kwestia kluczowa i że tylko w ten sposób można rozwiązać problemy miasta. Ta *idée fixe* znajduje poparcie w PiS – choćby u Adama Bielana, ale przecież do otwarcia lotniska nie ma na to najmniejszych szans.

Co dalej? Radomianin we mnie mówi: pożyjemy, zobaczymy.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Ryzykowna gra o fundusz

KAROLINA LEWICKA

Opozycja poczuła szansę na wyjście ze stanu wyuczonej bezradności. Ale w tym celu musi stanąć na moment w szeregu z ziobrystami i zagrozić, że zagłosuje przeciw uruchomieniu programu pomocy dla gospodarki całej Unii.

Wybory na jesieni są pewne – przekonuje mnie polityk Koalicji Polskiej. Bo jesienią PiS ma wyjść na prostą. Jeśli faktycznie, jak obiecują producenci, w drugim kwartale do Polski dotrą większe ilości szczepionki, to epidemia pod koniec lata zostanie względnie opanowana. Tym samym ruszy gospodarka, co przewidują też ekonomiści niezwiązani z obozem władzy. W listopadzie na kontach dziewięciu milionów emerytów pojawi się „czternastka", bo Andrzej Duda na początku marca podpisał ustawę, która realizuje tę jego wyborczą obietnicę. PiS odbuduje się w sondażach. A jednocześnie Jarosław Kaczyński będzie coraz bardziej zmęczony nieustannymi koalicyjnymi targami, co może go skłonić do gry *va banque*.

Polityka transakcyjna, polegająca na konieczności zbierania większości drogą ustępstw i koncesji, przed każdym posiedzeniem Sejmu i każdym głosowaniem, będzie dla Kaczyńskiego torturą. W końcu zaryzykuje ucieczkę do przodu, wyrzuci Ziobrę i Gowina, a reszcie zaproponuje głosowanie nad skróceniem kadencji. Nie można odmówić, jeśli od lat się peroruje, że ta władza bezprecedensowo niszczy kraj. – Do wyborów zostanie maksymalnie 45 dni, zatem my – kończy wywód polityk KP – musimy już wtedy stać w blokach startowych.

Bo Kaczyński gotów będzie na pewno, skoro posługuje się swoją kalkulacją czasu, której reszta nie zna. Pozostają jej znaki na niebie i ziemi. Nieuzbrojonym okiem widać, że Nowy Polski Ład to klasyczny program wyborczy, serwujący to samo, co w 2015 i 2019 r., czyli żywą gotówkę. Prawdopodobnie z jednej strony waloryzacja 500 plus, zjadanego teraz przez inflację, z drugiej potężne ulgi podatkowe dla około 80 proc. obywateli.

Są i tacy po opozycyjnej stronie, którzy w ten scenariusz przyspieszonych wyborów nie wierzą, podpierając się głęboką traumą prezesa po nieudanym manewrze z 2007 r. oraz oporem działaczy, niechętnych ryzyku utraty mandatów i synekur. Przekonują, że przecież w dłuższej perspektywie czas jeszcze silniej zadziała na korzyść rządu. Za dwa i pół roku mało kto będzie pamiętał o pandemii, a władza triumfalnie będzie właśnie dzieliła ostatnią transzę z Funduszu Odbudowy. Opozycja już teraz nazywa go funduszem wyborczym PiS-u. Ale na razie pełni on inną ważną funkcję: tworzy pole, na którym wykpiwana przez Kaczyńskiego od lat opozycja ma szansę rozegrać swoją pierwszą od dawna poważną partię.

Uzgodnijcie z nami program

Zaczęło się niepozornie – od wspólnej konferencji liderów Platformy i ludowców. Borys Budka i Władysław Kosiniak-Kamysz zażądali zwołania nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu, na którym rząd miałby szczegółowo poinformować, jak chce wydawać unijne pieniądze. Od razu wyjaśnijmy: Sejm ma ratyfikować tylko Fundusz Odbudowy, czyli decyzję Rady Europejskiej z grudnia ubiegłego roku o uruchomieniu 750 mld euro wsparcia dla gospodarek po pandemii. Dopóki nie zrobią tego wszystkie państwa członkowskie, nikt nawet nie zobaczy pieniędzy, nie mówiąc o ich wydawaniu.

Krajowy Plan Odbudowy (KPO), o którym chcieli dyskutować liderzy PO i PSL-u, to dokument wykonawczy, który do końca kwietnia musi trafić do Brukseli. Rząd opisał w nim planowane wydatki, a KE sprawdzi, czy są one zgodne z celami Wspólnoty, np. 30 proc. środków musi iść na walkę ze zmianami klimatu. To Komisja akceptuje KPO, Mateusz Morawiecki nie potrzebuje nań niczyjej krajowej zgody. Dlatego opozycja chce obie te sprawy powiązać. „Zagłosujemy za Funduszem Odbudowy – mówili Budka i Kosiniak-Kamysz – jeśli rząd uzgodni KPO z opozycją, a nad wydawaniem pieniędzy będzie czuwać specjalna rządowo-samorządowa agencja". Powołującą ją ustawę przygotowano kilka tygodni temu w Senacie.

Opozycja mogła postawić takie ultimatum, bo Kaczyński nie ma w Sejmie większości, by ratyfikować Fundusz Odbudowy. Nie poprze go Solidarna Polska. Ta historia sięga zeszłego roku i unijnego szczytu, na którym premier zgodził się na powiązanie unijnych funduszy z mechanizmem praworządności. Zbigniew Ziobro nawoływał wtedy do weta.

Jasne jest, dlaczego akurat minister sprawiedliwości jest mechanizmowi praworządności tak bardzo przeciwny. To jego „reformy" wpędziły Warszawę w nieustanny spór z KE, toczony w luksemburskim Trybunale, i to one mogą zamrozić pieniądze dla Polski. A to, że Unia zdecydowała się na wspólne zaciągnięcie długu, by sfinansować gospodarczą pomoc, jest dla Ziobry pretekstem, by straszyć unijnym superpaństwem i utratą przez Polskę suwerenności.

Kaczyńskiemu brakuje zatem kilkunastu głosów, w czym początkowo nie dostrzegał problemu. Oczywiste było dla niego, że dotacje i pożyczki dla Polski wesprze stojąca frontem do Unii opozycja. Dlatego wystąpienie Budki i Kosiniaka wywołało szok. Chwilę później rzecznik rządu, nie zająknąwszy się o Ziobrze, oskarżył ich o polexit.

Elektorat chce na twardo

Ale dla dynamiki sytuacji politycznej ważniejszy był występ przed kamerami lidera SLD. Bo Włodzimierz Czarzasty oznajmił, że Lewica na pewno poprze Fundusz Odbudowy, i to bezwarunkowo. – Wyrwał się jak Filip z konopi – mówi członek władz klubu – z nikim tego nie przedyskutował, chciał jak najszybciej zrobić konferencję. Prawicowe media ją nagłośniły, Kaczyński odetchnął z ulgą. Nasz błąd.

– *Felix culpa* – podsumowuje sytuację polityk KO. Po reakcji wyborców, jaka przetoczyła się przez media społecznościowe, politycy opozycji zorientowali się bowiem, że ich elektorat oczekuje twardej polityki, a nie pomagania Kaczyńskiemu, nawet w tak fundamentalnej sprawie. Le-

wica wycofała się więc rakiem z deklaracji Czarzastego i też stawia rządowi warunki, a nawet proponuje, by KPO stał się projektem ustawy i musiał być w związku z tym przyjęty przez parlament.

Kaczyński najpierw usiłował przekonać, później zaszantażować rozpadem koalicji i wcześniejszymi wyborami Ziobrę – bezskutecznie. Teraz próbuje ciułać brakujące głosy, temu służą rozmowy z Pawłem Kukizem. Ale Kukiz to tylko pięć szabel. Do tego trzeba dorzucić cztery Szymona Hołowni. – Nie będziemy głosować razem z Ziobrą i karać wszystkich Europejczyków – mówi mi Hanna Gill-Piątek. To jednak wciąż nie sumuje się do 231 głosów, tymczasem niewykluczone, że Fundusz trzeba przyjąć aż 307 głosami.

Tak wynika z ekspertyzy prawnej, którą zamówił wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski u prof. Jacka Zaleśnego. Fundusz Odbudowy, jak dowodzi konstytucjonalista, to taka umowa międzynarodowa, w której przekazujemy część swoich kompetencji KE. A skoro tak, to wkracza art. 90 Konstytucji i konieczność uzyskania dla ratyfikacji dwóch trzecich głosów w Sejmie i tylu samo w Senacie. Rząd, z Ziobrą czy bez Ziobry, byłby wówczas całkowicie zdany na łaskę opozycji.

Zaleśny wskazuje, że np. godząc się na zaciąganie przez KE pożyczek i poręczając je, Warszawa oddaje Brukseli uprawnienia Ministra Finansów, a akceptując nałożenie przez Komisję podatku cyfrowego, odbiera kompetencje polskiemu Sejmowi, bo to on w Polsce nakłada daniny, nikt inny. PiS rozpaczliwie broni się przed taką interpretacją. „To jednorazowe przekazanie kompetencji, nie na stałe" – stwierdził w RMF FM Michał Dworczyk. Opozycja już czeka, by oskarżyć rząd o łamanie prawa.

– Nasi wyborcy oczekują od nas przede wszystkim skuteczności – odpowiada mi polityk KO na pytanie, czy ich elektorat jest w stanie zaakceptować głosowanie przeciwko Funduszowi Odbudowy. Podobna sytuacja, choć mniejszego kalibru, miała już miejsce podczas przyjmowania „piątki dla zwierząt". Kaczyńskiemu odmówili poparcia nawet posłowie PiS-u, ale z odsieczą przybyła opozycja, obawiająca się, że jej wyborcy nie zrozumieją, dlaczego sprzeciwia się poprawie losu zwierząt. – Mogliśmy upokorzyć prezesa, a pomogliśmy mu wyjść z twarzą. A „piątka dla zwierząt" i tak nie weszła w życie – opowiada posłanka KO.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Borys Budka w Sejmie, 17 marca 2021 r.

Europa nam podziękuje

Chociaż KO nie robiła na ten temat żadnych badań, jest przekonana, że jeśli zablokowanie Funduszu Odbudowy miałoby utrącić władzę Kaczyńskiego, to jej wyborcy tylko temu przyklasną. Podobnie uważa PSL, który od dawna usiłuje się umościć ze swoją polityczną ofertą wśród samorządowców i przedsiębiorców. A to te dwie grupy drżą o to, że PiS podzieli unijne miliardy tak, jak pieniądze z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Ta sprawa wciąż jest jątrzącą raną, bo PiS rozdał środki wśród swoich.

Szerokim echem odbiła się analiza wykonana dla Fundacji Batorego, z której wynikało, że gminy zarządzane przez Zjednoczoną Prawicę dostały – w przeliczeniu na głowę mieszkańca – dziesięć razy więcej środków niż pozostałe. A duże miasta, tradycyjne bastiony opozycji – nic. Kiedy olsztyńska posłanka Anna Wasilewska zapytała w Kancelarii Premiera o kryteria, jakimi kierowano się przy przyznawaniu dofinansowania projektom, odesłano ją z kwitkiem. Z unijnymi funduszami może być tak samo. Opozycja uważa, że PiS część rozkradnie, a resztę zmarnuje.

Ale pod uwagę brać też trzeba relacje z Europą, która potrzebuje tych pieniędzy i dla której weto polskiej opozycji może być, eufemistycznie rzecz ujmując, niezrozumiałe. Polityk Lewicy mówi mi, że trudno będzie polskim europosłom wytłumaczyć ten manewr swoim kolegom ↦

↦ z innych krajów, ale prominentny działacz KO jest dobrej myśli: – Jak obalimy PiS, to wyświadczymy przysługę nie tylko Polsce, ale całej Europie. Jeszcze nam podziękują.

Nieoczekiwanie zatem dla samej siebie opozycja stanęła wobec istotnego momentu psychologicznego: możliwości wyjścia ze stanu wyuczonej bezradności. Bo niektórzy – po latach bycia traktowanym przez PiS jak zawalidroga – odpuścili. Niby można zgłosić projekt ustawy, ale trafi on albo do zamrażarki, albo do kosza. Niby można wprowadzić w Senacie poprawki, ale Sejm i tak je odrzuci. Można organizować niezliczone konferencje, ale potem wyborcy się zżymają, że politycy nic innego nie robią, tylko w mediach występują.

Zresztą PiS też, jak tylko może, utrudnia opozycji życie. Symbolem takiej polityki jest nieustanne wyłączanie posłom opozycji mikrofonu. Samą zaś opozycję zbija z pantałyku teflonowość PiS-u, bo afery, które przewróciłyby słonia, nie wyrządzają prawie żadnej szkody Kaczyńskiemu. Wyborcy coraz natarczywiej domagają się od niej działań, czemu Borys Budka dał rozpaczliwy wyraz w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej": „Ludzie oczekują sprawczości i wciąż pytają: czemu wy nic nie robicie?! No tak, ale co można zrobić? Nie mamy większości w parlamencie. To armię mam przejąć? Zrobić zamach stanu? Sorry, ale nie jestem rewolucjonistą".

Kaczyńskiemu brakuje kilkunastu głosów, w czym początkowo nie dostrzegał problemu. Oczywiste było dla niego, że dotacje i pożyczki dla Polski wesprze opozycja. Dlatego wystąpienie Budki i Kosiniaka wywołało szok.

Gra wokół Funduszu Odbudowy to szansa na bycie sprawczym, na odzyskanie kontroli nad jakimś fragmentem politycznej rzeczywistości czy wreszcie upodmiotowienie się wobec Kaczyńskiego. Scenariusze rozwoju sytuacji są trzy, może cztery.

Jak obalić rząd

Plan minimum to zmuszenie Mateusza Morawieckiego do rozmów i zgoda rządu na współudział samorządów w rozdysponowywaniu pieniędzy z Unii. Scenariusz numer dwa to utrącenie Zbigniewa Ziobry. – Jeśli przyjdzie do nas premier i powie, że w imię interesu narodowego powinniśmy zagłosować za Funduszem, to my mu odpowiemy, że w imię interesu narodowego powinien wyrzucić z rządu Ziobrę – zdradza polityk PSL. To ma być korzystne dla opozycji w dłuższej perspektywie, bo Ziobro i Kaczyński, po tak brutalnym rozstaniu, zaczną ze sobą walczyć na prawicową ortodoksję. A niezdecydowanych wyborców, którzy zazwyczaj decydują o wyniku wyborów, radykalizm skutecznie odstręcza.

Opozycja nie zakłada, że Ziobro nagle zacznie „gowinować", mimo wcześniejszych tromtadracji, za to w obliczu utraty władzy cofnie się i zagłosuje za. – Byłby wówczas skompromitowany w tym elektoracie, który od miesięcy buduje i który ma mu dać pięć procent w następnych wyborach, bo jest bez szans na ponowny start z list PiS-u – twierdzi mój rozmówca.

Kolejny scenariusz to skarga do Komisji Europejskiej. Opozycja informuje Brukselę o swoich zarzutach wobec KPO i domaga się natychmiastowej reakcji. To Komisja daje zielone światło wszystkim Krajowym Planom Odbudowy, bez jej zgody nie można wystartować z ich realizacją. Stąd łatwo może skłonić polski rząd do ustępstw.

Ostatni scenariusz jest najmniej prawdopodobny, choć mocno brany pod uwagę. Opozycja, nic nie uzyskawszy od PiS-u, naciska guzik przeciwko Funduszowi Odbudowy, Kaczyński z Morawieckim przegrywają głosowanie, rząd upada sam z siebie albo pomaga mu w tym opozycja, składając wniosek o konstruktywne wotum nieufności. Tu wciąż trwają rozmowy z Jarosławem Gowinem i jego środowiskiem.

– Wcale nie chodzi o stworzenie egzotycznej koalicji od prawa do lewa, jak kpią niektórzy – mówi polityk KP – tylko o zebranie większości, która poprze konkretnego człowieka na premiera technicznego. Rząd, który miałby on utworzyć, byłby gabinetem tymczasowym. Jego głównym zadaniem byłoby odbicie PiS-owi mediów publicznych i przygotowanie wcześniejszych wyborów. Ten rząd miałby też doprowadzić do kolejnego głosowania nad Funduszem Odbudowy. Najtragiczniejsza dla nas sytuacja to taka, w której głosujemy przeciwko, ale Kaczyński jakimś cudem zbiera potrzebną większość.

Do głosowania zapewne dojdzie w kwietniu. Na razie projektu ustawy o ratyfikacji nie udało się przyjąć samemu rządowi, bo zablokował to minister sprawiedliwości. Wówczas, w połowie lutego, Morawiecki mówił, że nie ma pośpiechu. Ale teraz jest coraz bliżej pokerowego „sprawdzam".

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

Pół godzinki dla siebie

DR HAB. PIOTR OCZKO:

Sprzątanie daje iluzję panowania nad rzeczywistością, nadaje jej bezpieczną strukturę. Ale też może stać się niebezpieczną metaforą.

MONIKA OCHĘDOWSKA: U Pana zdejmuje się buty?

PIOTR OCZKO: Oj, to chyba będzie bardzo osobisty wywiad! Przyjaciele i znajomi zdejmują natychmiast, bez proszenia ich o to, jeden nawet na klatce schodowej. Oficjalni goście wchodzą oczywiście w butach, nawet jeśli pada deszcz i jest błoto, narażając mnie na straszliwe katusze.

Pani tego nie wie, ale jestem maniakalnie pedantyczny. Sprzątam codziennie. Żartuję, że odkurzacz jest moim życiowym partnerem, a stan, który mieszkania większości ludzi osiągają przed świętami, dwa razy w roku, jest u mnie normą. Prawdopodobnie zdiagnozowano by mnie gdzieś na granicy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

Wiem, że koszule sortuje Pan od linijki, według typów i kolorów.

Koszule, skarpetki, książki, notatki, kosmetyki w łazience. Gwoździe, śrubki, gumki recepturki, agrafki, wizytówki i wszystkie wihajstry trzymam posegregowane w pudełeczkach z naklejonymi, wydrukowanymi karteczkami z opisem. Nie przyznam się, co robię z frędzlami od dywanu.

Nie będę ciągnąć za język.

Potwór, prawda? Jako singiel, który od dwudziestu lat ma całą domową przestrzeń wyłącznie dla siebie i nie zaadoptował kota – bardzo by chciał, ale nie może, ponieważ zbiera dawne fajanse – mogę sobie na to pozwolić, nie robiąc nikomu krzywdy. Za to bardzo lubię niewysprzątane mieszkania przyjaciół. Chaos u innych mnie relaksuje.

A w domu jest zagrożeniem?

Owszem. Jeśli jest się urodzonym pesymistą, źle reaguje się na wszystkie zmiany i zdradza pewne tendencje anankastyczne, zewnętrzny świat i panujący w nim naturalny chaos oraz przypadkowość postrzega się jako niebezpieczeństwo. Banalne wypadnięcie tramwaju z kursu, zmiana sali wykładowej lub spóźnienie się przyjaciół na spotkanie to tragedia.

A co ma z tym wspólnego sprzątanie?

Daje iluzję panowania nad rzeczywistością, nadaje jej bezpieczną strukturę. W lutym złożyłem w wydawnictwie monografię „Miniaturowe światy. Historia domków dla lalek". Pisząc ją zdałem sobie sprawę, że dorosłe kobiety, które te domki zamawiały, urządzały lub kolekcjonowały, były często nieszczęśliwe, miały smutne dzieciństwo, nieudane życie osobiste, nie doczekały się upragnionych dzieci. Tworząc domki dla lalek budowały lepszy świat w skali mikro, idealnie uporządkowany i statyczny, przewidywalny i rekompensujący porażki. Taki, w którym nie umiera dziecko, a mąż nie odchodzi do innej kobiety. Myślę, że wysprzątany dom i domek dla lalek mogą świadczyć o podobnych traumach.

Dlatego postanowił się Pan habilitować ze sprzątania?

To był przypadek. Chciałem szybciutko napisać niedużą książkę na stopień, a holenderskie sprzątanie, które pojawiało się w moich niderlandzkich lekturach raz po raz, jakoś mnie intrygowało, zapewne dlatego, że holenderska obsesja porządku wydawała mi się podejrzanie znajoma. Już nie mówię o pokusie, że na pytanie: „A z czego się habilitowałeś?" – mógłbym zawadiacko odpowiadać.

„Aaa, ze sprzątania".

W tej dyscyplinie od dawna należy mi się profesura tytularna. Tymczasem temat wciągnął mnie bez reszty, na ↦

↦ kwerendach spędziłem lata, a w ich trakcie przekwalifikowałem się poniekąd z literaturoznawcy na kulturoznawcę i historyka sztuki. Ostatecznie wyszła poważna interdyscyplinarna cegła.

I?

Nauczyłem się chyba rozumieć prawdziwe przyczyny, które stoją za odkurzaniem mebli dwa razy dziennie, zamiast tłumaczyć sobie, że na mahoniowych biedermeierach kurz widać już po kilku godzinach.

Wracając do tej cegły: dawni Holendrzy wpuszczali w butach?

Cudzoziemscy podróżnicy z przerażeniem opisywali przenoszenie gości w zabłoconych butach na maty w przedpokoju i zmuszanie ich do ubrania pantofli. Albo zwyczaj przywiązywania krowom ogonów do sufitu w oborach, by machając nimi nie pokalały białych ścian. Kiedy goście jedli, patrzono, czy nie spadnie im na obrus jakiś okruszek lub kropla sosu, a gdy tak było, zaraz wzywano na pomoc służącą. Wysprzątane reprezentacyjne pokoje zamykano nawet dla domowników. Zresztą ulice Hagi czystością rzekomo przewyższały posadzki angielskich i francuskich rezydencji, chodniki myto mydlinami nawet parę razy na dzień.

Codziennie?

Sprzątano codziennie, ale w każdą sobotę od świtu do zmierzchu porządkowano i czyszczono domy od piwnic po strychy, polewano fasady wodą i szorowano je przy pomocy szczotek na długich kijach, trzepano dywany, polerowano rondle, wynoszono na zewnątrz sprzęty i zmywano z nich nawet najmniejszy brud.

Boję się Pana zapytać o przedświąteczne porządki.

Wiosną, w okolicach świąt, rzeczywiście robiono porządki gruntowniejsze, zwane wielkimi – *grote schoonmaak*, które trwały około miesiąca.

Było to pandemonium sprzątania, zmywania na mokro sufitów, czyszczenia każdego przedmiotu z osobna. A także rywalizacja pomiędzy sąsiadami, którzy stawali w walce o najczystszy dom. Zwycięstwo oznaczało szacunek społeczności i świadczyło o rzekomej moralności i pozycji społecznej rodziny. Zwyczaj ten zanikł dopiero w latach 70. XX wieku, a ci, którzy go doświadczyli, mówią o traumach, wyczerpaniu psychicznym i fizycznym oraz problemach zdrowotnych – bólach kręgosłupa, opuchliznach, zapaleniach stawów.

Wiemy o tym wszystkim właśnie z tych świadectw?

Holenderska troska o czystość zapisała się w dramatach, poezji, traktatach moralnych i teologicznych oraz setkach poradników domowych. Wymienię tylko „Huishouden op rolletjes" („Idealne prowadzenie domu") z 1955 r., w którym drobiazgowo, co do godziny, rozplanowano obowiązki wzorowych żon. Większość z nich stanowiło sprzątanie. Łaskawie dano kobietom „pół godzinki tylko dla siebie", jakby przeczuwano, że mogą paść z wycieńczenia lub depresji i osierocić dzieci. Na dziesiątkach tysięcy holenderskich rycin i obrazów od XVII do XX wieku znajdziemy też sprzątające kobiety i mężczyzn oraz niezliczone miotły.

Martwe natury ze szczotką.

Proszę pamiętać, że holenderskie malarstwo nie jest realistyczne. Przedmioty ukazane na obrazach są symbolami, nośnikami różnych ukrytych znaczeń. A żeby rzecz jeszcze bardziej skomplikować, tych znaczeń może być wiele i zależą one od kontekstu.

Na przykład?

Miotły bywają znakiem idealnej żony i matki. Ale funkcjonowały także jako nośnik treści seksualnych, pojawiały się w scenach z domów publicznych – są dawne niderlandzkie przysłowia, które taką interpretację uprawomocniają.

Wystawiać miotłę?

De bezem uitsteken. To przysłowie znaczyło akurat sygnalizowanie kochankowi, że czeka się na jego przyjście, na przyjemności. Eleganckie damy w pięknych, wydekoltowanych sukniach, koronkach i biżuterii, trzymające miotły lub eksponujące je w sypialni, były tak naprawdę przedstawicielkami najstarszej profesji świata. Jako ciekawostkę przytoczę zwyczaj, który na holenderskich wsiach istniał jeszcze po II wojnie. Otóż jeśli młodzież wystawiała przez okno miotłę, to sygnalizowała mniej więcej „starych nie ma w domu, wbijajcie na imprezę". Czy połączoną z seksem? Możemy snuć domysły.

Po takiej imprezie jest się już „zaślubionym nad miotłą".

Over de bezem getrouwd zijni, czyli żyć na kocią łapę. Artyści często bawili się zresztą różnymi znaczeniami, tworząc zagadki dla widzów. Nierzadko miotła stawała się bronią kobiety walczącej z Hisz-

Louis Henri de Fontenay, „Zamiatająca służąca", 1837 r. Rijksmuseum, Amsterdam

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

AMANDA WAITE / BEW

„Wiosenne porządki", Shirley Markham

panami o wolność kraju, albo z mężczyznami, którym chce odebrać atrybut ich władzy – spodnie. A czasem miotła po prostu była miotłą, która stoi sobie w kącie, ponieważ używa się jej cały czas.

Można nią też do kąta zagonić.

I nie tylko. Sprzątanie stało się z czasem niebezpieczną metaforą, używaną chętnie przez faszystów, narodowców i ugrupowania prawicowe wszelkiej maści. Zwrócił na to uwagę Zygmunt Bauman. Antysemickie, nazistowskie czasopismo w Austrii nazywało się „Der Eiserne Besen", „Żelazna Miotła"; holenderscy faszyści mieli jego odpowiednik „Bezem". Na plakacie wyborczym Obozu Zjednoczenia Narodowego z 1938 r. widzimy wielką miotłę i napis „Żydzi do ghetta". W polskiej prasie prawicowej i na forach internetowych znajdziemy bez liku rasistowskich apeli o wysprzątanie kraju z uchodźców, wyczyszczenie Polski z lewaków, ateistów, osób LGBT, a ostatnio – protestujących kobiet.

Dotarł Pan do źródła tych wszystkich holenderskich obsesji?

Jest ich wiele. To splot kulturowych przypadków i okoliczności. Przede wszystkim ewangelicko-reformowany etos pracy, w którym spełnienie się w życiowych sprawach i obowiązkach, choćby były one błahe, takie jak staranne zamiatanie podłóg, stanowiło potwierdzenie, że zostało się predysponowanym przez Boga, i dawało nadzieję na zbawienie. To ze względów konfesyjnych kraje protestanckie są zwykle o wiele czystsze niż katolickie.

Ponadto w XVII wieku powstała w Republice Zjednoczonych Prowincji pierwsza wczesnokapitalistyczna gospodarka. Konsekwencją tego były narodziny silnego etosu mieszczańskiego, którego wyznaczniki stanowiły cnoty takie jak porządek, pracowitość, solidność i oszczędność. W reszcie Europy zjawisko to skonsolidowało się dopiero w XIX wieku. Holenderskie klasy średnie i wyższe stały się wówczas niesłychanie zamożne, a musimy pamiętać, że dbanie o estetykę i czystość domu było dawniej luksusem, wymagało posiadania służby.

Mam wysprzątane, stać mnie.

W świecie detergentów, pralek, żelazek, magicznych ściereczek z mikrofibry i odkurzaczy sprzątanie jest nieomal błahostką w porównaniu z czasami, gdy wodę trzeba było przynosić ze studni, grzać ją na piecu, używać żrącego i niszczącego dłonie ługu oraz piasku. Czystość stała się dystynkcją w rozumieniu Pierre'a Bourdieu, znakiem klasowości, potwierdzeniem, że należy się do świata wybranych, którego nie dotyczą kwestie praktyczne i ekonomiczny przymus. Holenderscy biedacy, którzy stanowili większość społeczeństwa, a o których zapomina się snując wizje złotego wieku, żyli w nędzy i w brudzie.

A co na to Holenderki?

To dla mnie czynnik najciekawszy – rola kobiet i ich opór przeciwko patriarchatowi. Holenderki cieszą się, w porównaniu z resztą Europy, względnie dużą wolnością do około połowy XVII wieku. Potem następuje w Republice proces ograniczania ich niezależności, o czym świadczy wyodrębnienie się dwóch sfer: domowej – prywatnej i kobiecej; oraz męskiej – otwartej na świat. W tym samym czasie w piśmiennictwie i sztukach pięknych następuje ekspansja mioteł i szczotek, a także herod-bab terroryzujących porządkiem i czystością swoje rodziny. Wtedy też gwałtownie zwiększa się liczba relacji podróżnych, w których ↦

↦ pojawia się sprzątanie. Być może w taki sposób kobiety rekompensowały sobie coraz bardziej ograniczaną wolność osobistą.

Nazywa Pan to „falą mioteł". I fala ta opada dopiero w latach 70. Dlaczego?

Powodów było wiele. Po II wojnie światowej nastąpiły demokratyzacja społeczeństwa i postęp ekonomiczny, a zawód służącej przestał być jedyną możliwą profesją dla niewykształconych dziewczyn. Sprzątać nie miał kto. Na zmianę świadomości wpłynęły także ruchy feministyczne, a zwłaszcza rewolty studenckie lat 60., otwarcie kontestujące zmurszałe wartości dziadków i rodziców. Relikty dawnego, czystego świata znajdziemy jeszcze na prowincji – w domach moich znajomych panuje raczej nonszalancki, artystyczny nieład.

Ale podręczniki perfekcyjnych pań domu wciąż są bardzo popularne.

Obiecują lepsze życie, dają nadzieję. Opróżnij pawlacz, a znajdziesz męża, lepszą pracę, szczęście.

Mąż z pawlacza nie brzmi obiecująco.

Kupiłem sobie kiedyś, dla żartu, poradnik „Wszystko o sprzątaniu. Proste i sprawdzone metody, by dom lśnił czystością", co koleżanka zjadliwie natychmiast skomentowała: „A po co ci to, przecież wszystko już wiesz". Zacytuję pierwsze zdanie: „Każde nowe zadanie, jakiego się w życiu podejmujesz, każda decyzja i każdy uczynek jest niczym zegar z doczepionym wahadłem. Zewnętrzne krawędzie, do których dociera wahadło, oznaczają ekstrema".

Trudne. Jakie to ekstrema?

Szafa ze środkami do czyszczenia, których boimy się użyć.

Marie Kondo, japońska specjalistka od porządków, pisze o „magii sprzątania", a oglądając jej programy rzeczywiście można odnieść wrażenie, że obcujemy z wróżką. Jak Kopciuszek dostajemy obietnicę, że jeśli tylko oddzielimy mak od popiołu, nasze życie w cudowny i trwały sposób się odmieni.

Znam lepsze przykłady. Brytyjskie *reality show* „How Clean is Your House" z parą zachwycających sprzątających bogiń, Kim i Aggie, przybywających na ratunek ludziom, którzy przez lata nie wzięli do ręki szczotki. Jak to bywa w takich programach, na końcu pojawia się wdzięczność ocalonych, łzy i deklaracje, że życie będzie lepsze. I często tak się dzieje, ale dlatego, że punktem wyjścia były sytuacje skrajne.

Inny brytyjski program to „Obsessive Compulsive Cleaners" – ludzie paranoicznie sprzątający swoje mieszkania muszą spędzić pod okiem kamer jakiś czas u swoich antagonistów, notorycznych bałaganiarzy, mieszkających w pięknych angielskich rezydencjach. Rzadko kiedy jednak następuje obopólne zrozumienie, konstruktywna wymiana doświadczeń.

Nie można być szczęśliwym bałaganiarzem?

Bałaganiarze i bałaganiary są o niebo szczęśliwszymi ludźmi niż pedanci i pedantki. Żyją w zgodzie ze sobą i nie stają się niewolnikami społecznych norm. Pedanteria z kolei często idzie w parze z punktualnością, perfekcjonizmem i maksymalizmem, nierzadko też z pracoholizmem i nieumiejętnością pójścia na kompromis.

To sprzątać czy nie sprzątać, Panie Profesorze?

Maria Janion, moja największa mistrzyni i intelektualny autorytet, w wywiadzie rzece z Kazimierą Szczuką powiedziała: „Holocaust Holocaustem, a sprzątać w domu trzeba. Nie wolno się opuszczać".

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. PIOTR OCZKO, PROF. UJ jest pracownikiem Wydziału Polonistyki UJ, autorem dziesięciu monografii – w tym: „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii, albo historia pewnej obsesji" – oraz ponad stu artykułów naukowych.

Pod powierzchnią

MARCIN CHODUŃ

Od trzech lat grupa medyków udziela w Warszawie pomocy osobom bezdomnym. Dla wielu to pierwsza od lat szansa na kontakt z lekarzem.

NA NIEBIE DZIŚ ANI JEDNEJ CHMURY – a mimo to ziąb jak diabli. Wystarczyło kilka minut koło karetki na dziedzińcu schroniska na Żytniej w Warszawie, a nogi i ręce już zdrętwiałe na amen. Za chwilę karetka fundacji Ambulans z Serca, której wolontariusze opiekują się w Warszawie osobami bezdomnymi, wyjedzie na patrol.

Plan na dziś: odwiedziny trzech punktów na mapie miasta.

Franciszek

W patrolu oprócz kierowcy, Janusza Cholewińskiego, pojadą: Iwona Kiljan-Kaca (pielęgniarka), Adrian Szeląg (lekarz) i Emilia Wesołowska (pracownik socjalny, ratownik i prezes fundacji).

Najpierw pojedziemy do Franciszka, który przebywa stale pod murem Muzeum Powstania Warszawskiego. To od kilku lat jego dom.

– Mniej więcej od 2017 r. ratownik fundacji, Tomek, utrzymuje z nim stały kontakt – mówi Emilia. – To trudna relacja, Franciszek prawdopodobnie jest w kryzysie zdrowia psychicznego.

– Nie marznie?

– Nie aż tak bardzo, by chcieć opuścić to miejsce. Ludzie przynoszą mu różne rzeczy: a to żywność, a to śpiwór.

Emilia także zabrała dziś coś dla Franciszka: ciepłe buty.

Do rozmowy dołącza Iwona: gdy pierwszy raz przyjechały z Emilią do Franciszka, nie wiedziały, czy to ten człowiek. A przecież nie można było spytać: „Przepraszam, czy pan jest tym bezdomnym?". No więc patrzą na siebie i nie wiedzą, co począć. A tu pan zostawia wszyst-

EMILIA WESOŁOWSKA

Pielęgniarka Iwona Kiljan-Kaca i lekarz Adrian Szeląg udzielają pomocy bezdomnemu Ryszardowi. Warszawa, listopad 2019 r.

kie swoje rzeczy i ucieka. To tak, jakby ktoś nagle uciekł ze swojego mieszkania.

■■■

Wedle Emilii błędem przy pierwszych spotkaniach jest koncentrowanie się jedynie na kwestiach medycznych czy związanych z bezdomnością. Zamiast zarzucać pana Franciszka od początku pytaniami: „Jak pomóc? Jest jakaś rana?", trzeba raczej starać się nawiązać ciepłą relację.

– Czasami trwa to kilka dni, czasem wiele miesięcy, niekiedy nawet lata – mówi Emilia. – Ale to jest ważne w motywowaniu ludzi do zmiany. Bo czasami kontakt z nami jest pierwszą dobrą relacją w ich życiu.

– Ci ludzie są tak wykluczeni – dodaje Iwona – że uważają, iż nic im się nie należy. I tak się zachowują. Tak robi też Franciszek: on niczego nie chce, wszystko ma.

■■■

Ambulans wjeżdża na niewielki skwerek nieopodal muru Muzeum. Pod drzewem na czymś w rodzaju podłużnej skrzyni pokrytej jasną plandeką siedzi mężczyzna. Wiek? Czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt lat. Wokół sporo ludzi – tuż obok jest nowoczesny biurowiec.

Pośród ulicznego szumu do uszu dolatują poszarpane zdania wypowiadane przez Iwonę. Zszywali panu głowę? Za uszami? Ale już dobrze? Cieszę się.

Podchodzi też Emilia: – Dzień dobry, panie Franciszku. Czegoś pan potrzebuje?

Iwona: – Żadnych zadrapań? To naprawdę ważne: jak coś jest na paznokciu albo na pięcie, a skarpeta mokra, to nam się szybko problem zrobi.

Franciszek uśmiecha się bez słowa.

– Tomek mówił, że nie ma pan ciepłych butów. Proszę bardzo! – mówi Emilia, kładąc obok mężczyzny przywiezione obuwie.

A dowód osobisty? Gdy przyjechały do niego po raz pierwszy, jeszcze go miał. Emilia proponuje, że zgłosi jego sytuację do ośrodka pomocy społecznej: przyjdą streetworkerzy i pomogą wyrobić dokument.

Pytam, jakie zabiegi załoga ambulansu wykonuje najczęściej.

– Zdecydowana większość to opatrywanie ran – mówi Emilia. – Osoby bezdomne są wyjątkowo narażone na powstawanie owrzodzeń, zwłaszcza podudzi. Jest to związane nie tylko z higieną, ale też często z brakiem odpowiedniej pozycji do odpoczynku.

Wolontariusze ciągle monitorują stan zdrowia osób bezdomnych, wychwytując objawy poważnych chorób. – Ostatnio byliśmy u pani mieszkającej w domku w ogródku działkowym, powiedziała nam, że w ciągu dnia ciągle zasypia – dodaje Emilia. – Już wstępne badanie poziomu cukru pokazało, że choruje na cukrzycę. Prosto z działek została zabrana do szpitala.

Właśnie fakt, że do wielu bezdomnych osób nie trafia właściwie żadna pomoc medyczna, stał się inspiracją do działania dla pomysłodawcy Ambulansu z Serca, Tomasza Głażewskiego. Jeszcze podczas studiów, gdy pracował jako wolontariusz w Mokotowskim Hospicjum Świętego Krzyża, zauważył, że istnieje szara strefa osób pozostawionych bez pomocy. – Z powodu niepełnosprawności czy bólu nie byli zdolni dostać się do gabinetu pomocy przy którymś ze schronisk czy do zwykłej placówki służby zdrowia. A karetka też do nich nie mogła przyjechać, bo nie było bezpośredniego zagrożenia życia – mówi Głażewski.

Jego pomysł, by do nich dotrzeć, podchwyciło kilkoro znajomych: Ania, Karolina, Emilia. Szczęśliwym trafem był wśród nich Jacek, ratownik medyczny, posiadacz własnej karetki.

Przez rok funkcjonowali jako inicjatywa społeczna, od lipca 2019 r. są fundacją. Na początku wszystko finansowali z własnych środków. Wkrótce o akcji dowiedziały się instytucje, organizacje i pojedyncze osoby. – Dzięki temu mamy teraz np. duże ilości środka dezynfekującego – mówi Emilia.

Ambulans jeździ trzy razy w tygodniu i dociera do około 40 osób w miesiącu. Załogę stanowią zwykle trzy osoby. – Ale gdy jedziemy w nowe miejsca, wtedy cztery – tłumaczy Iwona. – I muszą w tej grupie być mężczyźni.

Bywa niebezpiecznie: Iwona pamięta, jak ktoś ich czasami zwyzywał czy zamachał złowrogo rękami. Zdarzyło się też, że weszli do pustostanu, a pod ścianą stała siekiera. – Ważne, by trzymać się reguł bezpieczeństwa. Np. jak w pustostanie nie ma drzwi, to i tak pukamy albo krzyczymy.

Według Emilii właśnie brak możliwości swobodnego kontaktu z osobami bezdomnymi jest w czasie pandemii głównym problemem w działalności ambulansu. Z powodu konieczności zachowywania odstępu bywało, że lekarze niemający na sobie kombinezonów zostawiali w znacznej odległości od potrzebujących zestawy opatrunkowe z opisem sposobu ↦

↦ ich użycia. Na szczęście to były tylko dwa, trzy tygodnie na początku pandemii. Potem wrócili do aktywnych działań w ambulansie, bo mieli już kombinezony. Ale to znowu było trudne. – Jak pracować z człowiekiem, który nas nie widzi? Ludzie mogli nas rozpoznać jedynie po głosie. Ciężko też być w kontakcie z człowiekiem, kiedy nie można go poklepać po ramieniu, przytulić – mówi Emilia.

Teraz jest lepiej. Kombinezony zakładają jedynie, gdy jest realne niebezpieczeństwo, że dana osoba miała kontakt z kimś zarażonym lub gdy ma objawy.

Rysiek

Ulica Racławicka. Mamy tu dziś spotkać pana Ryszarda. Gdy Emilia widziała go po raz pierwszy (dwa dni wcześniej w drodze do pracy), miał wyraźne problemy z oddychaniem.

Na chodniku sporo przechodniów, ale Ryszarda nie widać. Po chwili pojawia się: niewysoki mężczyzna z brodą, ciągnący za sobą wózek.

– Panie Ryszardzie, pamięta mnie pan? Mówiłam, że przyjadę z lekarzem – zagaduje Emilia.

Pamięta. Gdy mówi, co chwilę głośno chrząka i kaszle. Gdzie śpi? Gdzie się da. Czy pojedzie do schroniska na Żytnią, w którym lepiej by go zbadali i mógłby się wykąpać oraz przespać? Dziękuje, ale chyba raczej nie.

Iwona stara się założyć mężczyźnie pulsoksymetr na palec. Pan Ryszard przeprasza, że ma tak te palce poharatane – 35 lat pracował jako ślusarz.

O, tu kiedyś mieszkał! Ledwie ulicę dalej. Było dobrze, dopóki pracował. Alkohol? No, nie będzie ściemniał. Jakieś leki? Nie, żadnych nie bierze. Papierosy? A jakże! Teraz ma 66 lat, a palił przez 45. Choroby? To on coś panu doktorowi powie – w zeszłym roku miał trzy razy zapalenie płuc. Ale teraz stara się nie przeziębiać. Że to jest choroba przewlekła? Obturacyjna choroba płuc?! Że każde następne zapalenie może być ostatnie? No tak, on to wszystko rozumie, ale jednak nie... Bo co by zrobił z wózkiem – na pewno nie zmieściłby się do karetki. Zostawić? Przecież w środku jest całe jego życie. Więc Ryszard za wszystko podziękuje. Za pomoc. Za pamięć. Do widzenia!

Wychodzi z karetki i oddala się w stronę ulicy.

■■■

Emilia Wesołowska o osobach, którymi się zajmuje, może powiedzieć kilka rzeczy. Na pewno mężczyźni częściej kończą na ulicy. Jak to się dzieje? Zwykle w sytuacji narastających problemów. Zdarza się, że są to historie bezdomnych mężczyzn w wieku sześćdziesięciu kilku lat, którzy przyjechali w latach 90. do dużego miasta w poszukiwaniu zatrudnienia, mieszkali w nim jakieś 20 lat, a gdy podupadli na zdrowiu, trafili na ulicę. Nie mieli oszczędności, własnego mieszkania, a do rodzinnego domu też nie mogli wrócić – kontakt się zerwał.

Mężczyznom trudniej też pójść do schroniska. Głównie ze strachu przed zmianą i z braku wiary we własne możliwości. Bo jeśli ktoś włożył niewyobrażalny wysiłek, by nauczyć się żyć na ulicy w ekstremalnie trudnych warunkach – tu możesz się umyć, tu zjeść, tam przespać – to niełatwo go przekonać do zmiany.

Poza tym schronisko to dla wielu przyznanie: jestem osobą bezdomną.

Iza, Anna i Piotr

Z Racławickiej jedziemy na warszawskie Włochy, w okolice ulicy Potrzebnej. Kilka osób żyje tu od lat w starym wagonie kolejowym – bez elektryczności, przy świeczce. Fundacja Ambulans z Serca od początku udziela im wsparcia.

Pod nogami szeleści sucha trawa. W ciemnościach ledwo widać ścieżkę. W końcu w niewielkiej odległości pojawia się wagon. – Halo, dobry wieczór! – wołają Emilia i Iwona. W drzwiach pojawia się kobieta: Anna. Gestem ręki zaprasza do środka.

We wnętrzu oświetlonym jedną świecą niewyraźne kontury przedmiotów: stolik, krzywe krzesło, coś przypominającego ławę, łóżko. Na ścianie obrazek Anioła Stróża. Na łóżku pod kołdrą zarys ciała. Okazuje się, że to Iza. Oprócz kobiet, w pomieszczeniu jest jeszcze Piotr. Twarz mimo niemiłosiernej opuchlizny nadal młoda.

Emilia, widząc skuloną pod kołdrą Izę, pyta cicho: – Kiedy pani przestanie pić? Przecież to panią zabija.

– My pijemy po trochu, jak to się mówi – odzywa się zmieszana Anna.

Emilia odwraca głowę w stronę stojącego w drzwiach Piotra: – Jak tam rana na nodze?

Gdy Piotr schodził ostatnio po schodkach, jeden pod nim pękł i noga mu się między tymi schodkami zatrzymała. Cała spuchła. Że to nawet złamanie może być i bez ingerencji ortopedy źle się zrośnie? Ale on już był wczoraj u lekarzy, na Wolskiej. I co? Powiedzieli, że ma przyjść, jak będzie trzeźwy – wtedy mu skierowanie wypiszą. To on już woli pogotowie wezwać – wtedy od razu go przyjmą. Że na SOR tylko stany nagłe? On i tak woli karetkę.

Iza zaczyna się awanturować z Anną – chce więcej kołdry. Sytuacja staje się napięta i Emilia podejmuje decyzję o wycofaniu się. Wrócą najprawdopodobniej za tydzień, dwa.

■■■

Adrian Szeląg, w samochodzie: – Wiele z tych osób niestety często ma takie podejście: „Nie pójdę do poradni specjalistycznej, nie będę czekał – wolę wezwać karetkę". Gdy mówią, że nie mogą się ruszać, to dla dyspozytora pogotowia stan zagrożenia życia, bo bez ruchu można przecież zamarznąć. Więc karetka przyjeżdża.

Iza? Tak, Emilia ją zna. Długo przebywała w schronisku na Żytniej. Poszła na terapię, już bardzo dobrze funkcjonowała, podjęła pracę. Ale potem zdarzyła się jakaś gorsza chwila i wróciła na działki.

Wracamy do centrum. Karetka co chwilę przystaje: tu wysiada Emilia, tam Adrian, przy stacji metra Iwona. Mamy jeszcze chwilę na rozmowę z kierowcą, Januszem Cholewińskim. – Wie pan – mówi – jak się kogoś uda wyciągnąć na powierzchnię, to jest to fajne. Tak jak mnie jakiś czas temu uratował Tomek Głażewski.

– Jak to?

– Bo wie pan, ja też jestem osobą bezdomną.

Był podopiecznym w ośrodku. Dach nad głową stracił przez choroby. Miał niewydolność serca, nerek – od tego zaczęły się inne problemy. Przez pewien czas jeździł nawet na wózku.

– Czyli był pan w naprawdę ciężkim stanie.

– Tak, z zagrożeniem życia. A dziś chodzę, jestem uśmiechnięty.

■■■

Nie wszyscy bohaterowie mieli tyle szczęścia, co Janusz. Kilka dni temu dowiedziałem się o śmierci Izy.

© MARCIN CHODUŃ

JACEK

Podsiadło:
Maciek powiedział „łał”

Samotne chodzenie nocą po mieście ma w sobie dyskretny posmak czynu zabronionego. Rzeczy i miejsca tracą swą dzienną stosowność. Będąc nic nie robiącym nikim, nie wiadomo kiedy i gdzie można zostać zapytanym, co się TUTAJ robi o TEJ porze. Z taką intonacją, że samo miejsce i pora stają się świadkami oskarżenia. Jeśli pada, a zostanie się przyłapanym bez parasola, sytuacja stanie się też wstydliwa.

Zasadniczą pracę związaną z tłumaczeniem wiersza Roberta Frosta wykonałem całkowicie samodzielnie, co mi się rzadko zdarza ze względu na nieznajomość języków. To, że uważam się za oswojonego z nocą, niewiele mi ją ułatwiało, ale jednak ośmielało. I nawet do przekładu Barańczaka zajrzałem dopiero, kiedy skończyłem swój. „No nie, »I have walked out in rain – and back in rain« to w żadnym razie nie »Przez jej deszczowe krople niosłem gołą głowę«” – powiedziałem Maćkowi Miłkowskiemu i zakląłem szpetnie na dodatek. Ale dostrzegłem też, że jeden rym Barańczaka powtórzył się i u mnie: orzeka-czeka. Maćkowi pierwszemu pokazałem swoje tłumaczenie, gdyż to on je zamówił. Odpowiedział: „Łał. Robi wrażenie, ale coś mi tam w dwóch miejscach nie pasi”. Bo to była dopiero pierwsza próba, pierwsze podejście do tego ciężaru na tej wysokości. Bezecne uwagi mego pierwszego czytelnika okazały się bezcenne przy próbie decydującej.

Człowiek – przynajmniej ten, który jest Frostem – nosi też noc w sobie. Pogody i niepogody, długotrwałe opady. I nie ma na to rady. Jest nawet takie dość znane powiedzenie traktujące o tym, że w środku człowieka nie da się otworzyć parasola.

Maciek zwrócił mi uwagę, że nie jest to jedyny wiersz Frosta, po którym można się domyślać, że on się zastanawia, czy by się dzisiaj nie obwiesić, choć wcale tego nie rozgłasza. Nie robi scen, a już w żadnym razie nie ma u niego scen dantejskich. Z rzeczy dantejskich bierze tercynę i to mu wystarcza. Ten typ tak ma. Nawet to ode mnie pochodzące, że najsmutniejszą z dzielnic czy ulic przemierzył CAŁO (a nie całą, choć się to narzucało), jest (nad)interpretacją – oby choć w części usprawiedliwioną i oby nie tylko rymem.

Samotne chodzenie nocą po mieście jest w przypadku Frosta samotne ekstremalnie. „One” w otwierającym wiersz „I have been one” oznacza po prostu kogoś, ale może też znaczyć kogoś jedynego. Dlatego przekładu Ludmiły Marjańskiej, na którego początku narrator przedstawia się jako jeden z tych, którzy poznali noc, właściwie nie przeczytałem; mogłem tylko przelecieć oczami, od początku napełniony niezgodą.

Bo tu wszelka wspólnota jest niemożliwa. Wychodzi człowiek w noc taki, jakim go Pan Bóg stworzył, znaczy się z gołą głową, bez parasola i w podniszczonym obuwiu. I najgorsza jest wtedy obojętność świata. Że tak naprawdę ten policyjny cieć pyta całkowicie obojętnie, co wy tutaj robicie, obywatelu, w taką pogodę; nawet jego nieuprzejmość jest zawodowa. Że jak ktoś gdzieś krzyknie, to nie będzie to ani „Wróć do mnie, Robercie!”, ani „Nie waż się wracać, bydlaku!”, tylko krzyk cudzy, nie do nas adresowany, może nawet nieprzeznaczony dla naszych uszu. Czuje się człowiek niezręcznie, jakby podsłuchiwał albo kradł ten krzyk komuś.

Oczywiście ta „najgorsza” obojętność świata to najlepsze, co może nas spotkać. Czas nie jest sprzymierzeńcem ani wrogiem, nie goi ran, ale też ich nie rozjątrza. Jest tylko i aż świadectwem Wielkiej Neutralności zachowywanej przez kosmos, którego nic nie rusza. Co ja Wam zresztą będę tłumaczył. Frosta przetłumaczyłem i niech to wystarczy. ©

ROBERT FROST

Obeznany z nocą

Jestem kimś dobrze obeznanym z nocą.
Lało, gdy wyszedłem i gdy wracałem – lało.
Byłem tam, gdzie światła brzegi miasta złocą.

Najsmutniejszą z dzielnic przemierzyłem cało.
Spuściłem wzrok, mijając stróża na obchodzie,
bo niczego wyjaśniać już mi się nie chciało.

Znieruchomiałem niczym przyłapany złodziej,
Gdy urwany krzyk przypłynął z daleka,
Zza domów i ulic uszu moich dobiegł,

Lecz nie żegnał mnie ani nie kazał zaczekać;
I wtedy z nieziemskiej wysokości począł
Bić iluminowany zegar; orzekał,

Że czas nie jest przeszkodą i nie jest pomocą.
Jestem kimś dobrze obeznanym z nocą.

POŻEGNANIE

Arturowi Strzeleckiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ROZMOWA

ALBO RÓWNOŚĆ, ALBO POKÓJ

WALTER SCHEIDEL, HISTORYK:

Jeśli w najbliższej przyszłości dojdzie w świecie do zmniejszenia nierówności społecznych z użyciem przemocy, stanie się tak za sprawą kryzysu klimatycznego.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Nim przejdziemy do koronawirusa, porozmawiajmy o katastrofach w ogóle. Jak to się dzieje, że niektóre stają się, jak Pan to nazywa, „wielkimi wyrównywaczami" – znacznie zmniejszają nierówności społeczne?

WALTER SCHEIDEL: Najbardziej tradycyjnym i niezawodnym sposobem był upadek państwa. W epoce przednowoczesnej to państwa tworzyły i konserwowały nierówności, faworyzując ludzi bogatych i potężnych. Gdy upadały, ludzie ci tracili możliwość wyzyskiwania innych. W rezultacie nierówności się zmniejszały. Wszyscy stawali się biedniejsi, ale bogaci mieli więcej do stracenia.

W epoce przednowoczesnej do wyrównania społecznego dochodziło także na skutek pandemii. Z powodu czarnej śmierci zmarła jedna trzecia Europejczyków. Zaczęło brakować rąk do pracy. To spowodowało wzrost płac, spadło zapotrzebowanie na ziemię. Bogaci zarabiali mniej, a biedni więcej.

A jakie są nowoczesne sposoby?

Pierwszy to dwie wojny światowe, czyli wojny totalne z masową mobilizacją, a drugi – blisko z nimi związane – rewolucje komunistyczne. Jeśli chodzi o te drugie, nie wymagają wielu wyjaśnień. Komuniści chcieli zmniejszyć nierówności redystrybucji, nacjonalizować, kolektywizować itd.

A jak dwie wojny światowe zredukowały nierówności?

Z powodu wstrząsów, które załamały międzynarodowy system gospodarczy, nie można było liczyć na takie zwroty z kapitału i inwestycji, jak przed wojną. Rządy interweniowały w gospodarkę – znacząco podniosły podatki od majątku i przychodów dla najbogatszych, bo musiały zapłacić za wojnę. W tym samym celu drukowały dużo pieniędzy, przez co rosła inflacja. Było pełne zatrudnienie i do pracy potrzebny był każdy, niezależnie od wykształcenia. Zniszczono wiele fabryk i domów, których właścicielami często byli bogaci ludzie. Oni stracili swój majątek i nie uzyskali rekompensat.

Po wojnie powstały państwa dobrobytu, silne i dobrze zorganizowane związki zawodowe, a także solidarność będąca rezultatem strasznych doświadczeń. To spowodowało, że od roku 1914 do lat 70. XX w. nierówności zmniejszały się niemal na całym świecie.

Mówimy o dystrybucji bogactwa. Czy te wydarzenia wpływały też na zmniejszanie innych nierówności?

MICHAL CIZEK / AFP / EAST NEWS

Niekoniecznie. Komunistyczne reżimy zredukowały nierówności społeczne poprzez ograniczenie praw osobistych, masowe mordy i gospodarkę planową. W krajach zachodnich nierówności społeczne były mniejsze, a przy tym było więcej swobód demokratycznych – np. powszechne prawo głosu.

Czyli mniejsze nierówności ekonomiczne nie oznaczają z zasady lepszego miejsca do życia?

To zależy, czego się szuka. Na Zachodzie nierówności ekonomiczne rosną od

Czterogwiazdkowy hotel King Charles Boutique, niegdyś cel podróży zagranicznych turystów, w czasie pandemii przyjmuje bezdomnych, którzy są chorzy na COVID-19 lub przechodzą kwarantannę, Praga, marzec 2021 r.

ponad 40 lat. Jednak w wielu państwach mamy np. większą równość płci czy rasową, w niektórych miejscach pary tej samej płci mogą zawierać śluby. Pewne nierówności mogą się zmniejszyć, a inne wzrosnąć. I odwrotnie.

Jak długo utrzymuje się trend wyrównywania wywoływany wydarzeniami katastroficznymi?

Im dalej cofniemy się w przeszłość, tym wszystko porusza się wolniej. Gdy upadło Cesarstwo Rzymskie, nierówności zmniejszyły się prawdopodobnie na jakieś 500 lat. Potrzeba było dużo czasu, by nowi wpływowi ludzie odbudowali struktury wyzysku i opresji. W przypadku czarnej śmierci możemy śledzić płace pracowników rok po roku, więc wiemy, jak to się rozwijało. Ich sytuacja poprawiła się na jakieś 150 lat. Trzeba było czekać, aż epidemia się skończy i liczba ludności wróci do poziomu sprzed czarnej śmierci.

Jeśli spojrzymy na XX wiek, wszystko dzieje się znacznie szybciej. Kompresja nierówności wywołana przez wojny światowe i komunistów była gwałtowna. W niektórych przypadkach do ogromnych zmian doszło w ciągu pięciu, dziesięciu lat. Ale jednocześnie okres wielkiej równości – zależnie od kraju – trwał od 30 do 50 lat.

W latach 1918-20 grypa hiszpanka pochłonęła nawet 100 mln ofiar. Dotąd Pan o niej nie wspomniał.

Przez to, że pojawiła się pod koniec I wojny światowej, bardzo trudno rozdzielić skutki tych dwóch wydarzeń. Na państwach uprzemysłowionych hiszpanka nie odcisnęła dużego piętna ↦

↦ ani pod względem nierówności, ani PKB. Miała mniejszy wpływ na gospodarkę niż np. obecna pandemia.

Mimo tylu ofiar, nie była to skala porównywalna do czarnej śmierci. To nie hiszpanka doprowadziła do ogromnych braków siły roboczej, tylko wojna – z powodu masowego poboru. Szczególnie w krajach zachodnich znacznie więcej młodych mężczyzn udało się na wojnę, niż umarło z powodu grypy hiszpanki. Demograficznie wojna była w tych latach większą siłą. Grypa nie trwała też tak długo, bo ponad rok. Mogło to mieć wpływ na kraje takie jak Indie, gdzie śmiertelność była dużo wyższa, ale nie jest to jasne, bo brakuje danych.

Czyli to liczba ofiar decyduje o tym, czy pandemia stanie się wyrównywaczem?

Mówiąc wprost, musi umrzeć tylu ludzi, żeby płace wzrosły na długi czas. W przypadku hiszpanki do tego nie doszło. Pandemii na taką skalę nie było od XVI w., gdy większość ludności Ameryk została przetrzebiona przez choroby rozniesione przez europejskich kolonizatorów.

W eseju dla magazynu „Foreign Affairs" pisał Pan: „W październiku 1918 r. grypa hiszpanka pojawiła się na Uniwersytecie Stanforda. Mieszkańcy założyli maski, mecze footballu zostały anulowane, a studenci zostali poproszeni o poddanie się kwarantannie na kampusie". To brzmi jak rok 2020.

Grypa hiszpanka była bardzo niebezpieczna dla dwudziesto- i trzydziestolatków, co odróżnia ją od COVID-19. W tym sensie była bardziej przerażająca i zadawała większe szkody. Można było się obawiać, że będzie miała poważne skutki. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, wszystko powinno zostać zamknięte. Jednak działo się coś zupełnie odwrotnego.

„Zajęcia i zebrania nadal się odbywały. Oprócz wypełniania zwykłych obowiązków akademickich, uczniowie szkolili się do walki w I wojnie światowej przeciwko niemieckim karabinom maszynowym i gazowi trującemu" – pisał Pan dalej.

Trudno nam to dzisiaj zrozumieć, ale ludzie byli bardziej przyzwyczajeni do chorób zakaźnych, które były powszechne, nadchodziły znikąd i bez ostrzeżenia. Z ospą uporano się w XIX w., ale wówczas wciąż występowały żółta gorączka, odra, tyfus czy polio.

Oczywiście, ludzie bali się chorób, ale zazwyczaj kontynuowali pracę. Rządy były mniej skłonne do zamykania miast, a ich mieszkańcy bardziej gotowi, by podejmować ryzyko. W rezultacie nie miało to aż tak dużego wpływu na gospodarkę, choć jednocześnie oznaczało większą śmiertelność. Ludzie po prostu uznawali, że nic na to nie można poradzić. To zaczęło się zmieniać ponad 50 lat temu, gdy pojawiły się szczepienia i antybiotyki na masową skalę. Wówczas przywykliśmy do myśli, że nic nam nie grozi. Dlatego tak bardzo zaskoczyła nas obecna pandemia.

To zglobalizowana gospodarka i rozwój medycyny powodują, że pandemie nie mogą stać się wielkimi wyrównywaczami?

Myślę, że takich czynników jest więcej. Po pierwsze, wpływają na to mechanizmy redystrybucji bogactwa. Wsparcie zależy od tego, jak zamożny jest kraj, ale nawet w tych biednych jest zazwyczaj pewna ochrona socjalna, choćby dla bezrobotnych. W bogatych funkcjonuje państwo dobrobytu – ono często uniemożliwia gwałtowny wzrost biedy z powodu masowej utraty pracy, a tym samym stabilizuje sytuację. Przez to nie ma w społeczeństwie takiej złości, która mogłaby doprowadzić do rewolucji.

Drugi czynnik wiąże się z poluzowaniem polityki pieniężnej. Państwa mogą drukować miliardy dolarów czy euro, dzięki temu biznes się kręci, jest więcej zasiłków dla bezrobotnych i jest z czego zapłacić za szczepionki. *Status quo* zostaje podtrzymany, a jeśli w jego ramach nierówności były wysokie, to oznacza, że takie pozostaną. Wreszcie: nauka i technologie pozwalają szybko przeciwdziałać pandemii.

Dzięki technologiom wiele osób może też pracować nie wychodząc z domu.

Ale też zwiększyła się luka między korzystającymi z tego postępu – zarabiającymi z domu – a tymi, którzy muszą wciąż wychodzić na zewnątrz, spotykać się z innymi, załatwiać sprawy osobiście. Ci drudzy częściej chorują, ale także częściej tracą pracę, bo sektory gospodarki,

Tysiąc żyć to mało, czyli wirus z korzyścią dla bogatych

Pandemia napełnia kieszenie miliarderów i powiększa nieustannie rosnącą lukę między nimi a resztą społeczeństwa – to wnioski z raportu pt. „Wirus nierówności" przygotowanego przez międzynarodową organizację humanitarną Oxfam. Majątki tysiąca najbogatszych miliarderów, głównie białych mężczyzn, wróciły do poziomu sprzed pandemii w ciągu dziewięciu miesięcy (po kryzysie z 2008 r. trwało to 5 lat). Mało tego: gdyby we wrześniu 2020 r. Jeff Bezos wypłacił każdemu z 876 tys. pracowników należącego do niego Amazona premię w wysokości 105 tys. dolarów (niemal 400 tys. zł), to byłby tak samo zamożny jak przed początkiem pandemii. Od połowy marca do końca grudnia 2020 r. majątek wszystkich miliarderów wzrósł o 3,9 bln dolarów. Dzięki temu posiadają łącznie 12,9 bln dolarów, co jest kwotą porównywalną z wydatkami państw z grupy G20 na przeciwdziałanie pandemii. Już przed kryzysem wywołanym przez koronawirusa majątki dwóch tysięcy miliarderów były tak duże, że nie byliby oni w stanie wydać tych pieniędzy, nawet gdyby mieli po tysiąc żyć. Jednocześnie niemal połowa ludzkości musi przeżyć dzień za mniej niż 5,5 dolara (20,50 zł). Od 40 lat jeden procent najbogatszych zarabia ponad dwukrotnie więcej niż biedniejsza połowa ludzkości. I jak nikt inny dokłada się też do kryzysu klimatycznego – w ciągu ostatniego ćwierćwiecza prowadzone przez ten jeden procent biznesy wyemitowały dwa razy więcej dwutlenku węgla niż mniej zamożne 50 proc. populacji Ziemi.

w których znajdują zatrudnienie – usługi, restauracje czy turystyka – są najbardziej dotknięte przez kryzys. To częściej biedni, gorzej wykształceni i młodsi ludzie, a np. w Stanach Zjednoczonych także innego koloru skóry niż biały.

Są więc grupy, które znajdują się w niekorzystnej sytuacji i pandemia dotknęła je mocniej. Zamiast redukować nierówności, COVID-19 je zwiększył poprzez ochronę górnej połowy populacji, miliarderów uczynił jeszcze bogatszymi i bardziej wpływowymi.

Niedawno organizacja Oxfam opublikowała raport pt. „Wirus nierówności". Jego autorzy piszą: „Wzrost majątku 10 najbogatszych miliarderów od początku kryzysu jest bardziej niż wystarczający, aby zapobiec ubóstwu każdego mieszkańca Ziemi spowodowanemu przez wirus i zapłacić za szczepionkę przeciwko COVID-19 dla wszystkich". Czy był moment w historii, kiedy bogaci byli aż tak zamożni?

Trudno to obliczyć, ale prawdopodobnie dwa tysiące lat temu najbogatsi ludzie w Cesarstwie Rzymskim dysponowali mniej więcej takimi samymi udziałami w ogólnym majątku narodowym jak współcześni miliarderzy typu Jeffa Bezosa czy Elona Muska.

Wydaje mi się, że pandemia przyczynia się do dwóch rodzajów nierówności. Jedne, o których Pan mówił, to te wewnątrz państw. Są też inne – międzypaństwowe. Przykładem są szczepionki – im biedniejszy kraj, tym w dłuższej kolejce po nie musi czekać.

Może się okazać, że te zwiększające się nierówności międzypaństwowe będą bardziej długotrwałe. Jest to szczególnie niefortunne, bo one akurat spadały od jakiegoś czasu. Istnieje ryzyko, że pandemia ten proces spowolni czy nawet odwróci.

Tylko że nie ma tu oczywistej alternatywy. To naturalne dla krajów bogatych, by zaszczepić własnych obywateli w pierwszej kolejności, bo albo są demokracjami i głosujący tego wymagają, albo są paternalistycznymi autokracjami jak Chiny i Rosja, więc też muszą to robić.

Uważa Pan, że nierówności wewnątrzpaństwowe powstałe w wyniku pandemii będą trwały krótko?

DANIEL HINTERRAMSKOGLER / ARCHIWUM PRYWATNE

WALTER SCHEIDEL jest profesorem kultury klasycznej i historii na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Szczególnie interesuje go łączenie nauk humanistycznych, społecznych i przyrodniczych. Autor książek, w tym „The Great Leveler" (Princeton, 2017).

Jest szansa, że w miejscach takich jak Europa będą one tymczasowe. Gospodarka się ożywi, wszyscy ci młodzi i gorzej wykształceni ludzie będą mogli wrócić do sektorów gospodarki, w których znajdowali zatrudnienie, i po pewnym czasie sprawy wrócą na stare tory.

Na początku pandemii często było słychać, że pandemia może doprowadzić do dużych zmian. Spodziewano się nawet radykalnych reform.

To było modne przez jakiś czas, ale ludzie szybko spostrzegli, że nic takiego się nie dzieje. Zamiast głębokich zmian, instytucje i rządy robią, co mogą, by wszystko wróciło do tego miejsca, w którym znajdowaliśmy się przed rokiem. Radykalne reformy nie pojawiły się na horyzoncie.

Najlepszym przykładem były wybory w Stanach Zjednoczonych. Ludzie mówili, że teraz wybiorą postępowców, którzy dokonają reform na miarę Nowego Ładu z lat 30. XX w. – a zagłosowali na polityka bardzo konserwatywnego. Jakby tego było mało, w Kongresie trwa impas. Dużych zmian prawdopodobnie nie będzie. W innych krajach jest podobnie. To dlatego, że ten kryzys nie jest wystarczająco poważny, by zdestabilizować istniejący porządek i doprowadzić do radykalnych reform.

Pod tym względem wydaje się Pan pesymistą i nie widzi możliwości, by ludzie dokonali tych reform z własnej woli. Potrzebują do tego katastrofy.

Bo tak wynika z historii. Można podjąć pokojowe i polityczne działania na rzecz zmniejszania nierówności, ale są one skromniejsze, stopniowe i powstają w ramach kompromisu. Jeśli ktoś chce wielkich zmian, to pomoże mu w tym zryw, który przerwie ciągłość panującego porządku. To musi być ekstremalny wstrząs, jak wojna, rewolucja, upadek państwa czy zaraza. To bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe, by znaleźć alternatywne mechanizmy, które będą tak potężne i skuteczne w realizacji tego celu.

Pandemia to już drugie wydarzenie w ostatnich latach, które ma potencjał zmniejszenia nierówności, ale nic z tego nie wychodzi. Pierwszym był kryzys finansowy z 2008 r. Czy „wielki wyrównywacz" stracił swoją moc?

Czytelnicy mojej książki narzekają – i mają rację – że nie napisałem wiele o zmianach klimatu. Myślę, że kryzys ekologiczny może być prawdziwie destrukcyjną siłą. To nie będzie nagły, tylko stopniowy proces, ale bez wątpienia mogący wywrzeć ogromną presję na istniejący porządek. Może go zdestabilizować. Najpierw uderzy w uboższe kraje w strefie podzwrotnikowej, ale w kolejnych dekadach zapewne też w bogate państwa.

Zmiany klimatu mogą uruchomić na nowo wspominane przeze mnie procesy. Państwa mogą zacząć upadać, czego zapowiedź było widać w Syrii i Jemenie, gdzie susze napędziły wojny domowe. Zmiany klimatu mogą doprowadzić do powstania nowych chorób, ruchów rewolucyjnych i wywołać kolejne wojny. Jeśli w najbliższej przyszłości dojdzie w świecie do zmniejszenia nierówności społecznych z użyciem przemocy, stanie się tak za sprawą kryzysu klimatycznego.

Czyli jedyną nadzieją na zmniejszenie ogromnych nierówności jest totalna katastrofa?

Mam nadzieję, że to się nie wydarzy! Wolę mieć nierówne społeczeństwo niż kolejną wojnę światową. Trudno oczekiwać stabilności, pokoju i większej równości, bo to połączenie, którego raczej nie da się uświadczyć. Jeśli historia ma nas czegoś nauczyć, to tego, że są małe szanse, by mieć te wszystkie rzeczy naraz.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIĄŻEK

ŻYCIE POD KIPĄ

„Dosim" – tak o ortodoksyjnych współobywatelach mówią z przekąsem laiccy Żydzi. Religijny świat jest dla nich tyleż tajemniczy, co niedostępny, a wiedzę o nim czerpią głównie z telewizji.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z JEROZOLIMY

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

W Jerozolimie, 16 marca 2021 r.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem Pesach na ulicach ultraortodoksyjnych dzielnic Jerozolimy – Mea Szearim i Geula – ruch jest większy niż zwykle. Sklepowe witryny świadczą, że zbliża się święto: pokaźne pudełka okrągłej macy, wypiekanej tylko teraz, środki czystości po obniżonych cenach, a w sieciówce odświętne sukienki dla ortodoksyjnych kobiet (długość za kolano, dekolt zasłonięty, długie rękawy; w tym roku w modzie kolory pastelowe). Półki księgarń uginają się od wydań Hagady – uroczystej modlitwy czytanej przy świątecznym stole – i od książek kucharskich z przepisami bez chamecu – czyli zakazanego w tym okresie zakwasu.

Tłum ludzi przeciska się między sklepami: kobiety i mężczyźni o nakrytych głowach, dzieci spoglądające z wózków. Twarze zakrywają maseczki, choć w tłumie o dystansie nie ma nawet mowy. Sznury biało-czarnego prania ciągną się wzdłuż kamienic, jakby same wyznaczały granice w tej części miasta – między ulicami, dzielnicami, i te bardziej subtelne: między odcieniami ortodoksji, niemożliwymi do uchwycenia dla niewprawnego oka.

Razem, lecz osobno

Kilometr dalej, w przemysłowej dzielnicy Romema, Avrum Burstein przysłuchuje się lekcji muzyki klezmerskiej. Piwnica Klezmerska Bursteina – bo tak nazwał swój ośrodek zajmujący się muzyką i kulturą jidysz – jest znana w całej ortodoksyjnej Jerozolimie.

Avrum jest charedi, ultraortodoksyjny, choć – jak podkreśla – na tyle otwarty w swoich poglądach, że nie przeszkadza mu to w jeżdżeniu z koncertami po świecie. Na wszelki wypadek na spotkanie ubieram się skromnie: długa spódnica, czarne rajstopy, golf z długim rękawem. Nie to go jednak interesuje.

– Zaszczepiłaś się już? Dwie dawki? To dobrze, możemy porozmawiać w środku. To nie jest tak, jak mówią media, że ignorujemy zalecenia ministerstwa zdrowia – dodaje, widząc moje zaskoczenie.

W ciągu ostatniego roku o ultraortodoksyjnych dzielnicach Izraela było w mediach głośno. Choć ortodoksi to dziś nieco ponad 12 proc. całej populacji, stanowili aż jedną czwartą chorych na COVID-19 podczas trzeciej fali epidemii. Obrazy wielotysięcznych tłumów podczas pogrzebów rabinów, które odbywały się wbrew sanitarnym zaleceniom, albo działających podczas lockdownów pełną parą jesziw drażniły świeckich Izraelczyków, pozostających w domach z dziećmi. Media oskarżały rabinów o niestosowanie się do zaleceń i podsycały istniejącą już niechęć świeckich. Miały też pretensje do policji, która ich zdaniem niewystarczająco karała niesubordynację religijnych. Policja zrzucała odpowiedzialność na polityków, niezdecydowanych, czy ortodoksów karać, czy nie – stanowią bowiem ważną siłę wyborczą w kraju.

Niechęć świeckich wynika nie tylko z samoizolacji charedim, ale i z wzajemnego braku zainteresowania. Ich świat – tak bardzo odrębny pod kątem duchowości, stylu życia, kultury, a nawet języka – przeciętnemu Izraelczykowi, który nie pochodzi z religijnej rodziny, wydaje się skomplikowany i niedostępny. Ostatnio tę barierę przełamała emisja serialu „Shtisel". Jerozolimska Geula staje się w nim tłem dla uniwersalnej opowieści o poszukiwaniu miłości i trudnych rodzinnych relacjach. ↦

↦ W serialu, którego trzeci sezon lada dzień pojawi się na Netfliksie, Avrum Burstein gra Anshina, właściciela koszernej jadłodajni. Do obsady zaprosili go twórcy, którzy kiedyś przyszli do jego Piwnicy na koncert. Avrum od razu się zgodził, choć dla większości charedim to niewyobrażalne – w ultraortodoksyjnych dzielnicach nie ma telewizorów.

Avrum: – Autorem scenariusza jest chłopak z jesziwy, dziś już wprawdzie niereligijny, ale wciąż doskonale zna nasz świat. Owszem, sama koncepcja jest dla nas radykalna, bo to przecież serial, ale mi od razu się spodobało.

Prawo jest Boże

Żydowska społeczność religijna nie jest jednorodna. To wyznawcy judaizmu ultraortodoksyjnego, radykalnie stosujący się do zaleceń Talmudu (charedim), skupieni wokół cadyków chasydzi, neoortodoksi (datiim), a także ortodoksi otwarci, charakteryzujący się m.in. dopuszczaniem kobiet do ról duchowych przywódczyń (rabinek). W każdej z tych grup są podgrupy – w zależności od zaleceń rabinicznych, zwyczajów, pochodzenia – a w niektórych rodzinach te różnice się przenikają.

Osobnym odłamem jest judaizm reformowany, odnoszący się do pierwowzoru mniej więcej tak jak protestantyzm do katolicyzmu. Są też masortiim, czyli tradycjonaliści, dla których ważny jest judaizm, ale już nie przestrzeganie prawa halachicznego. Najbardziej konserwatywni Żydzi odrzucają państwo Izrael, izolują się od świata. Ci mniej radykalni akceptują istnienie państwa i pobór do armii.

Avrum: – My, Żydzi ultraortodoksyjni, nie mieszkamy tu z pobudek syjonistycznych. Jesteśmy tu, bo Bóg dał nam świętą ziemię. Wierzymy, że pewnego dnia cała będzie do nas należała – bez kłótni, bez wojen. Że wszyscy poznają, że to jest ziemia dana w Torze Żydom, i powiedzą: „weźcie ją sobie". Tu dochodzi państwo. W czasach mandatu brytyjskiego podporządkowaliśmy się prawom Anglików i Imperium Osmańskiego. Ale najważniejszym prawem pozostaje dla nas prawo Boże.

– Gdy Żydzi potem zaczęli tworzyć własny kraj, zaczęła się dyskusja, jak on ma wyglądać – kontynuuje Avrum. – Czy to ma być kraj, w którym obowiązuje prawo Tory, czy prawo świeckie? Stanęło na tym drugim. Stąd dziś w Jerozolimie są dzielnice, w których ludzie nie mają świadomości, że istnieje coś innego poza ich światem. To miasto, w którym istnieje jakieś dziesięć różnych krajów, i nie ma między nimi kontaktu.

Dwa procent więcej

– Jeszcze kilka kroków i jesteśmy w Geuli. Prawda, jaka różnica? – Ester Fuerster-Aszkenazi zerka na mnie, oczekując potwierdzenia. Rozglądam się, próbując zrozumieć, czym ulica pełna sklepów i ludzi w biało-czarnych ortodoksyjnych strojach różni się od tej, którą przed chwilą szłyśmy. – Nie widzisz? Inna postawa, inny chód, taki bardziej pewny, głowy ludzie podnoszą wyżej. Geula jest mniej ortodoksyjna. Ktoś, kto siedzi w środku, dostrzeże to błyskawicznie – mówi Ester. Sama wygląda inaczej niż otaczający nas przechodnie: krótka dżinsowa spódnica, włosy zakryte chustą o modnym wzorze. Rozmawiamy po polsku.

Jej historia jest wyjątkowa. Ester pochodzi z Rzeszowa. Jej tata jest Nigeryjczykiem, mama Polką o żydowskich korzeniach.

Pytam, czy jako religijna Żydówka czuje się w Izraelu w mniejszości.

– Nigdy nie czułam się mniejszością. Popatrz na mnie! Gdybym zaczęła tak myśleć, nie przetrwałabym – śmieje się. – Miałam kilkanaście lat, gdy mama lekko rzuciła: „twoja babcia była Żydówką". W rodzinie krążyły o niej legendy. Uratowana w czasie wojny przez mojego dziadka, nie mówiła o pochodzeniu. Z żarliwością biła pokłony przed świętymi obrazami – tak by nikt nigdy jej nie podejrzewał.

Z ortodoksyjną żydowską religijnością Ester zetknęła się w Anglii. O pierwszej wizycie w synagodze mówi: „tak jakbym weszła do domu". Myślała o babci, gdy zdecydowała się na konwersję ortodoksyjną. Zmieniła imię i nazwisko – na to po babci. Na aliję, czyli dzień, w którym wsiadła do samolotu do Izraela, by osiąść tu na stałe, założyła babcine kolczyki.

– Ludzie myślą, że judaizm jest czarno-biały, że wyklucza pewne rzeczy. A tymczasem jest dużo bardziej elastyczny, niż wielu chciałoby przyznać. To, w jaki sposób się modlimy, jak się ubieramy, co jemy, które z obrzędów są dla nas najważniejsze – to wszystko jest związane z pochodzeniem albo osobistym wyborem. Mój judaizm jest otwarty. Na pierwszej randce powiedziałam mojemu przyszłemu mężowi, że nie jest dla mnie konieczne, by był religijny, ale chciałabym, by pewne minimum zostało w domu zachowane. On uznał, że nie przeszkadza mu religijne wychowanie dzieci tak długo, jak będą otrzymywały edukację najlepszą z możliwych. Znaleźliśmy swój złoty środek: mąż zgodził się na religijne minimum, a ja uznałam to, że nie będzie żył ortodoksyjnie.

Ester uważa, że w taki sam sposób można byłoby osiągnąć zgodę wśród Żydów Izraela – tych religijnych i niereligijnych. – Rozumiem, że komuś może przeszkadzać np. to, że Jerozolima funkcjonuje według praw szabatu: w święto autobusy nie kursują, a w budynkach jeżdżą szabatowe windy. Ale osobie, która nie przestrzega szabatu, łatwiej jest żyć w miejscu, które tych reguł przestrzega, niż odwrotnie. Każdy może zrobić dwa procent więcej, żeby wszystkim było dobrze – mówi.

Pytam, jak się czuła czytając doniesienia o tym, że grupy ortodoksyjne przyczyniają się do rozprzestrzeniania wirusa.

Ester: – Media głównego nurtu w Izraelu nie są przychylne grupom ultraortodoksyjnym. Chciały uderzyć, więc znalazły bat w postaci negatywnych przykładów. Takich jak pogrzeb rabina z dwoma tysiącami uczestników. Przed szczepieniami podejmowano argumenty, które trudno podważyć: że te dzielnice są przeludnione, bo ortodoksi mają za dużo dzieci. Że wielkie religijne rodziny roznoszą po kraju zarazę. Ale media już nie pokazały pozytywnych przykładów: jak ludzie próbują sobie poradzić w tak trudnej sytuacji. Jak dzieci w chederach uczą się za plastikowymi parawanami. Jak w domach z dziesiątką maluchów na niewielkiej powierzchni rodzice robią, co mogą, by nie zwariować. Przez rok. Bez świadomości, ile potrwa kolejny lockdown, jak to będzie, i w strachu przed śmiertelną chorobą.

Co ciekawe, te same media pochlebnie wyrażały się o protestach przeciwko premierowi Netanjahu, które w tym czasie przetaczały się przez kraj. Niektórzy przychodzili na nie bez masek i trudno było mówić o dystansie.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz
w „Światopodglądzie" Radia Tok FM,
w środę 31 marca, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

Państwo w państwie

Zarzuty świeckich – chilonim – do ortodoksów są dużo głębsze i mają swoje źródła w początkach Izraela. Pierwszy premier, Dawid Ben Gurion, potwierdził, że jego kraj nie będzie wchodził w konflikt z judaizmem jako istotną częścią kulturowego dziedzictwa. Jeszcze przed powstaniem Izraela, w 1947 r., ustalono m.in., że dniem wolnym od pracy będzie sobota, małżeństwa będą zawierane wyłącznie według prawa religijnego, a państwo nie będzie ingerowało w ortodoksyjną edukację.

W kolejnych latach lista przywilejów dla religijnych grup się rozszerzała: Kneset godził się m.in. na to, by studenci jesziw nie musieli służyć w wojsku. Dziś w izraelskim parlamencie zasiadają religijne partie polityczne (Szas, Zjednoczony Judaizm Tory, Sztandar Tory), które troszczą się głównie o swoich wyborców.

Anshel Pfeffer, lewicowy izraelski publicysta zajmujący się tematem ultraortodoksji, zauważa, że przepaść między społecznościami religijną a laicką jest już utrwalona i że trudno z tym cokolwiek zrobić.

– Spójrz na społeczność żydowską w przedwojennej Polsce – mówi. – Grupy ultraortodoksyjne żyły obok tych bardziej zasymilowanych z resztą społeczeństwa; nie było między nimi większego kontaktu. Od założenia państwa Izrael Żydzi ortodoksyjni starali się odbudować życie religijne, zniszczone przez wojnę. Zamieszkiwali osobne dzielnice. Przedwojenny świat był dla nich punktem odniesienia – nadawali jesziwom nazwy ważnych dla siebie miejsc z Europy Wschodniej, ubierali się tak samo, jak ich społeczność 200 lat temu. Coraz bardziej izolowali się od reszty. Co więcej, izolacja jest korzystna: mają autonomię, nie doświadczają prześladowań, żyje im się dobrze, są w stanie ochronić prawdziwą twarz judaizmu – tłumaczy Pfeffer.

Jak zauważa publicysta, epidemia COVID-19 izolację pogłębiła. Wprawdzie obie społeczności wreszcie się spotykały – w szpitalach – ale to charedim mieli większą liczbę zakażeń. Nie bez przyczyny.

– Wściekłość chilonim dotyczyła głównie życia, jakie podczas epidemii wiedli ultraortodoksi, i ignorowania przez nich zaleceń. Gdy reszta kraju pozostawała zamknięta i płaciła za to ogromną cenę, w ich dzielnicach jesziwy działały normalnie.

ESTER FUERSTER-ASZKENAZI:

Na pierwszej randce powiedziałam przyszłemu mężowi, że nie jest dla mnie konieczne, by był religijny, ale chciałabym, by pewne minimum zostało zachowane.

Zapytany o to, czy w związku z demograficznym boomem w tej grupie Izraelczycy pewnego dnia obudzą się w ultraortodoksyjnym kraju, Pfeffer zaprzecza.

– Demografia rośnie, ale struktura tej grupy się zmienia. Już teraz obserwujemy falę odchodzenia od twardej religijności. Młodzież staje się mniej ortodoksyjna. Coraz więcej kobiet się uczy, pracuje, a co za tym idzie, później wychodzi za mąż i rodzi mniej dzieci. Izolacja jest u charedim sposobem wpływu na światopogląd młodych ludzi. Nie mają telewizorów, więc nie widzą, jak wygląda zewnętrzny świat, nie aspirują do niego. Ale sytuację powoli zmieniają smartfony. Dostęp do internetu rodzi pokusę, by stać się częścią większego świata – mówi Pfeffer.

W poszukiwaniu chamecu

Malki Blajtental należy do ruchu ortodoksji otwartej, którego szczególną cechą jest wzmocnienie roli kobiet. Od 8.30 rano jest wziętą prawniczką ze specjalizacją z prawa kryminalnego. Od 15.00 – żoną i matką trójki dzieci. Jej strój zdradza przynależność religijną i większą otwartość: t-shirt, dżinsowa kurtka, spódnica do kolan, na głowie peruka do złudzenia przypominająca naturalne włosy.

Jest pewna siebie, przebojowa. W biurze wszyscy wiedzą, że ten, kto zaczyna od „przeklęci dosim!", zaczyna z samą Malki. A ona, obeznana w świecie laickim z krzywymi spojrzeniami, zawsze mówi, co o tym myśli.

– Gdy występuję w świeckim sądzie, robię to z dumą, bo cieszę się z mojego pochodzenia – opowiada. – W ostatnich latach w naszej społeczności widzimy wiele kobiet, które zdobywają wyższe wykształcenie, idą do pracy. Szkoły zaczęły się dostosowywać do potrzeb osób ortodoksyjnych, tak by ułatwić im wejście na rynek pracy. Znam mnóstwo charedim, którzy odnoszą sukces.

W rodzinie Malki pracują kobiety i mężczyźni. Bracia zajmują wysokie pozycje w sektorze high-tech i banku. – Ale mam też braci w kojlel i jesziwie. Rozumiem złość świeckich, że studenci jesziw otrzymują stypendia z kieszeni podatników i nie idą do wojska. Ale w naszej kulturze studiowanie Tory ma szczególne znaczenie. Myślę, że jako wspólnota zawiedliśmy, nie tłumacząc dokładnie społeczności świeckiej, z czego wynika nasza potrzeba tej nauki. Ta mowa nienawiści w mediach poraża mnie – mówi Malki.

Nad Bnei Brak, ultraortodoksyjnym miastem przyległym do Tel Awiwu, zapada wprawdzie zmrok, ale dla Malki i jej męża dopiero zaczyna się praca domowa. Przed Pesach należy dokładnie posprzątać dom, z najodleglejszych zakątków szafek kuchennych wymieść najmniejsze okruszki. Koszerna kuchnia (dwa zlewy, osobno do naczyń „mięsnych" i „mlecznych", dwa piekarniki, osobne zestawy naczyń, w tym specjalny na Pesach) już teraz lśni czystością – ale Malki, perfekcjonistka, zapewnia, że pracy przed nią co niemiara. Przyznaje, że sprzątanie to najbardziej żmudna część przygotowań.

Na święta czeka też Avrum Burstein. – W tym roku kolacja sederowa odbywa się zaraz po zakończeniu szabasu. W szabat jemy chleb, podczas Pesach zakazany. Żeby przyjaciele mieli dom wolny od chamecu już dzień wcześniej, organizuję dla wszystkich szabatową kolację w pobliżu Ściany Płaczu.

Na Pesach nie zabraknie muzyki. W okresie świątecznym Avrum organizuje tradycyjny pochód z muzyką klezmerską ulicami Jerozolimy aż do grobu króla Dawida. W zeszłym roku w związku z epidemią klezmerzy jechali na ciężarówce. A teraz będzie jak dawniej.

– Z ludźmi, radośnie, normalnie – dodaje Avrum. – Jak przed tą pandemią, w zdrowiu. Z Bożą pomocą.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Słuchaj także podkastu Karoliny Przewrockiej-Aderet – dźwiękowej pocztówki z Jerozolimy przed świętem Pesach – na tygodnikpowszechny.pl/podkast oraz m.in. w Spotify, Apple Podcasts i w aplikacji Lecton.

Szahba Szahruchi (31 lat) musiała ostatnio zmienić wiele przyzwyczajeń, by nie narażać się na niebezpieczeństwo. Kabul, luty 2021 r.

Nie możemy się chować

TEKST I ZDJĘCIA
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

Działaczki społeczne, dziennikarki, urzędniczki – w Afganistanie kobiety aktywne w sferze publicznej ciągle padają ofiarami ataków.

Do biura jadę jednym samochodem, a wracam innym. Spędzam dwie noce w moim domu, a kolejne dwie u kogoś z rodziny. To wszystko z powodu zagrożenia – tłumaczy 31-letnia Szahba Szahruchi, aktywistka na rzecz praw kobiet.

W ostatnich miesiącach Szahruchi musiała zmienić wiele ze swoich przyzwyczajeń i codziennej rutyny.

Przestała także informować na bieżąco, gdzie się znajduje. Jeśli idzie na spotkanie, w serwisach społecznościowych pisze o tym nie wcześniej niż następnego dnia. Nie chce, aby ktoś ją namierzył, ustalił jej rytm dnia, jej kalendarz spotkań.

Jeszcze kilka lat temu Szahba Szahruchi mogła bez obaw z wyprzedzeniem publicznie informować o swoich spotkaniach i tematach, które będą podczas nich poruszane. Teraz musi robić to niejawnie, adresując swoje relacje do wybranych osób i w ostatniej chwili, aby nikt nie mógł zawczasu przygotować ataku. To utrudnia jej działania. Jest to jednak konieczne, dla jej bezpieczeństwa.

Od rozpoczęcia rozmów pokojowych między talibami a rządem w Kabulu we wrześniu 2020 r. w Afganistanie wzrosła liczba ofiar cywilnych. Talibowie ograniczyli ataki wymierzone w obecne w kraju siły międzynarodowe (na czele z USA), za to zintensyfikowali akcje, których celem są rodacy – związani z instytucjami państwowymi lub w inny sposób identyfikowani jako przeciwnicy talibów oraz ich wizji świata i społeczeństwa.

Zapanował powszechny strach. Przy czym jego główną przyczyną są teraz nie zamachy na dużą skalę, z użyciem kamizelek lub aut pełnych materiałów wybuchowych, w których ginęły dziesiątki ludzi, lecz precyzyjne ataki z użyciem bomb magnetycznych czy zabójstwa [patrz „TP" nr 10 – red.]. Aktywne kobiety, które także są celem ataków, dziś muszą unikać sfery publicznej – z obawy o życie swoje i bliskich.

Straszny rok dla kobiet

Wprawdzie w raporcie Misji Wsparcia Narodów Zjednoczonych w Afganistanie (UNAMA) za rok 2020 czytamy, że w porównaniu z rokiem 2019 liczba cywilnych ofiar wojny spadła o 15 proc. (zginęło 3035 cywilów, a 5785 raniono). Jak by te liczby nie były przygnębiające, były to najniższe straty cywilne od siedmiu lat.

W zeszłym roku doszło też do przełomowych wydarzeń politycznych. Najpierw talibowie i USA podpisały porozumienie pokojowe, a w jego rezultacie kilka miesięcy później doszło do rozmów między talibami a przedstawicielami afgańskiego rządu. To precedensowe wydarzenie w ostatniej odsłonie konfliktu, która trwa od niemal 20 lat.

A jednak – liczba aktów przemocy wzrosła. Po raz pierwszy od 2009 r. – czyli od momentu, gdy UNAMA zaczęła prowadzić statystyki – liczba ofiar cywilnych była w czwartym kwartale wyższa niż w poprzednich podobnych okresach. Zwykle późna jesień i zima uniemożliwiały bowiem prowadzenie większych operacji (także ze względu na pogodę), a wiosną „tradycyjnie" następowała ofensywa. Jednak rok 2020 był inny: gdy porówna się czwarty kwartał z lat 2019 i 2020, liczba ofiar cywilnych wzrosła aż o 45 proc.

Odkąd UNAMA prowadzi statystyki, miniony rok był też najgorszy, jeśli chodzi o sytuację kobiet: zabito 390, a 756 raniono (łącznie stanowiły 13 proc. wszystkich ofiar cywilnych). Do jednego z najbardziej ponurych ataków doszło w maju w stołecznym Kabulu: nieznani sprawcy zaatakowali szpital położniczy. Zabili 23 osoby i drugie tyle ranili. Wśród ofiar były matki tuż po porodzie i noworodki.

Kobiety i dzieci padły także ofiarą przemocy seksualnej, jak gwałty. Jednak z powodu ograniczonego dostępu do wymiaru sprawiedliwości, a także kulturowego tabu nie da się oszacować jej skali.

Lepiej pracować z domu

Amerykański Komitet Ochrony Dziennikarzy uznał Afganistan za najbardziej niebezpieczny kraj dla pracowników mediów. Według Reporterów bez Granic, w tym roku (do 15 marca) na świecie zabito dziewięciu dziennikarzy, z czego aż czterech w Afganistanie. Trzy z nich to kobiety: Mursal Wahidi, Sadia Sadat i Szahnaz Raofi. Miały od 20 do 25 lat. Pracowały dla Enikass; to rozgłośnia radiowa i telewizja. Zajmowały się dubbingiem. Zostały zastrzelone 2 marca w mieście Dżalalabad we wschodnim Afganistanie. W ten sam sposób pod koniec grudnia zginęła dziennikarka Enikassu Malalaj Majwand i jej kierowca.

42-letnia Makia Munir często ma dosyć dziennikarstwa, bo to niebezpieczny zawód w Afganistanie – ale nie chce z niego rezygnować. Kabul, luty 2021 r.

Po prawej: 40-letnią Roję Dadras próbowano porwać, gdy stała w korku. Mimo tego namawia kobiety, by się nie poddawały i kontynuowały swoje działania. Kabul, luty 2021 r.

Za zamachy odpowiedzialność wzięła lokalna filia Państwa Islamskiego, szczególnie aktywna w tej części kraju.

„Afgańskie kobiety stają się celami i są zabijane zbyt często" – napisała na Twitterze po morderstwie w Dżalalabadzie Szaharzad Akbar, przewodnicząca Niezależnej Komisji Praw Człowieka w Afganistanie.

Szef Enikassu Zalmaj Latifi powiedział dziennikowi „Guardian", że dopóki sytuacja się nie uspokoi, nie jest on w stanie zatrudniać kolejnych kobiet. Mówił, że aż do ostatnich dramatów starał się, aby w Enikassie pracowało jak najwięcej kobiet. Dodał, że pozostałe pracownice firmy zostały poproszone, aby nie opuszczały domów i wykonywały powierzone obowiązki zdalnie.

Dwa dni po zabójstwie pracownic Enikassu, w Dżalalabadzie zginęła ginekolożka Sadaf Eljas – zabiła ją bomba magnetyczna.

Trudna miłość

Także 42-letnia Makia Munir, dziennikarka rozgłośni Voice of America, uważa, że to zły czas dla dziennikarzy. Nie chce jednak rezygnować z zawodu. – Dziennikarstwo to moja miłość. Ta praca jest trudna, szczególnie dla kobiet. Czasami mnie męczy, ale gdy wstaję rano, zabieram się za nią znowu – śmieje się Munir, gdy rozmawiamy w Kabulu.

To weteranka dziennikarstwa. Zajęła się nim tuż po tym, gdy w 2001 r. rządzący krajem talibowie zostali obaleni za sprawą amerykańskiej interwencji wojskowej. Wówczas kobiety mogły nie tylko wyjść swobodnie na ulice, ale też pojawiło się dla nich więcej możliwości: edukacja, działalność publiczna, praca w mediach, w organizacjach pozarządowych i administracji państwowej.

Mimo tych zmian, Afganistan pozostaje jednym z najgorszych krajów dla kobiet, które chcą być aktywne w sferze publicznej. Zresztą nie tylko dla nich – także dla tych, które godzą się ograniczyć swoją przestrzeń życiową do domu i rodziny. Wszystkie muszą mierzyć się z niezliczoną liczbą ograniczeń – w tym tak absurdalnych, jak podjęta niedawno przez władze Kabulu próba zabronienia publicznego śpiewania dziewczynkom powyżej 12. roku życia.

Makia Munir mówi, że zakochała się w dziennikarstwie, gdy miała kilka lat. Jej tata chętnie słuchał radia, zwłaszcza Voice of America i BBC. Ona nasłuchiwała. Wówczas nie mogła nawet marzyć, że po latach sama rozpocznie pracę w Voice of America. – Tato mówił czasami do mnie z wyrzutem: „Idź stąd, czemu tego słuchasz". Ale mnie się to podobało – wspomina.

Jej marzenie o dziennikarstwie stało się powodem sporu między nią a ojcem. On chciał, aby była lekarką. Ona wiedziała, że jej powołaniem jest dziennikarstwo. Postawiła się ojcu i podjęła naukę na Uniwersytecie Kabulskim, a wkrótce potem zaczęła pracować w radio.

Na początku trudno było jej się odnaleźć. – Talibów już nie było, ale mężczyźni wciąż nie chcieli, żeby kobiety chodziły bez burek – opowiada. Burka zakrywa całe ciało i twarz, tak że widać tylko oczy.

Dopiero gdy poszła na Uniwersytet Kabulski, aby przeprowadzić tam wywiad, zdobyła się na śmiałość i w trakcie rozmowy zdjęła nakrycie z głowy. Od tego czasu już nigdy więcej go nie założyła.

Myślałam, że to talibowie

Tamten czas Makia Munir wspomina jako jeden z najtrudniejszych dla niej jako dla dziennikarki. Kurz wojenny ledwie opadł, ład w Kabulu się zmienił, ale wciąż nie było jasne, na co można sobie pozwolić i jak rozwinie się sytuacja w kraju.

Drugi najtrudniejszy czas trwa właśnie teraz. Ze swojego kabulskiego domu Munir nie wychodzi bez potrzeby. Zaprzestała spotkań z koleżankami w kawiarni czy restauracji, nie chodzi na spacery. Gdy opuszcza dom, informuje dokładnie rodzinę, dokąd się wybiera. Zawsze proszą, by wracała szybko. Podobnie jak jej koledzy i koleżanki, większość wywiadów przeprowadza przez telefon. Dziennikarze, w tym ona, coraz częściej gotowi są poddawać się autocenzurze, żeby się nie narazić.

– Wszędzie, dokąd idziemy, mamy z tyłu głowy, że możemy zostać zaatakowani przez talibów. Czekamy na czas, w którym przyjdzie nam umrzeć – stwierdza Munir. Podkreśla jednak, że jej koledzy, nie tylko koleżanki, mierzą się z podobnymi zagrożeniami. Według danych UNAMA, w okresie od początku stycznia 2018 r. do końca stycznia 2021 r. zabito 33 pracowników mediów i 32 obrońców praw człowieka; w ogromnej większości to mężczyźni.

Rodzina i przyjaciele namawiają Makię, aby wyjechała z Afganistanu. Wielu dziennikarzy i aktywistów już opuściło kraj lub to planuje. Jednak ona chce zostać. Przynajmniej na razie. ↦

↦ Ciągłe obawy powodują, że zagrożenie widzi się niemal wszędzie. Niedawno Makia jechała do biblioteki, którą stworzył jej ojciec. Była w drodze, gdy na wysokości jej samochodu zatrzymała się taksówka. Wystraszyła się, że jadący nią mężczyźni chcą ją zaatakować. „Idą po mnie" – rzuciła do siostry. Wstrzymała oddech i wypuściła powietrze dopiero wtedy, gdy dotarło do niej, że mężczyźni pytają, gdzie znajduje się biuro paszportowe.

– A już myślałam, że to talibowie – wspomina dziś, z lekkim uśmiechem.

Ministerstwo jest bezradne

Roja Dadras, 40-letnia rzeczniczka prasowa Ministerstwa Spraw Kobiet, doskonale wie, że takie sytuacje to nie tylko czcze obawy. Dwa lata temu jechała na wywiad do telewizji, stała w korku. Nagle dwóch mężczyzn podbiegło do samochodu i próbowało wyciągnąć ją z pojazdu. Szarpała się z nimi, na ziemię upadł jej komputer i telefon. Uratował ją jej kierowca, który rzucił się na napastników. Po przepychankach tamci uciekli. Nikt inny nie zareagował, choć obok był posterunek policji, a na ulicy wielu przechodniów.

– Wówczas porwania kobiet były częste. Nie miały na celu ich zabicia, tylko zastraszenie, aby zrezygnowały ze swoich działań i posad. Ten cel się nie zmienił do dzisiaj, tylko oni stosują inne metody. Kobiety stały się celem ataków – twierdzi Dadras.

Do napaści, w tym na kobiety, w większości przypadków nikt się nie przyznaje, a organy ścigania nie wszczynają śledztwa lub nie prowadzą go na poważnie. Za niektóre ataki wzięło odpowiedzialność Państwo Islamskie. Talibowie twierdzą, że nie dopuszczają się ataków na cywilów, a jedynie na niektórych przedstawicieli rządu. Jednak, jak podlicza Niezależna Komisja Praw Człowieka w Afganistanie, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zeszłego roku zabito pięciuset przedstawicieli administracji państwowej i aktywistów społecznych. W Kabulu panuje przekonanie, że stoją za tym właśnie talibowie, którzy kontrolują ponad połowę kraju.

– Talibowie to jedyna grupa, która prowadzi działania partyzanckie na tak szeroką skalę i z taką częstotliwością – mówi Roja Dadras.

Ministerstwo jednak pozostaje bezradne wobec fali zamachów i szerzących się gróźb.

– Czasami ktoś na mnie patrzy i boję się, że chce mnie zastrzelić – mówi Dadras. – Nie możemy jednak chować się po domach. Kobiety mające głos powinny walczyć i działać, by usłyszano też te, które mieszkają w prowincjach położonych z dala od dużych miast.

Okiełznać strach

Dla wielu aktywistek problemem nie są tylko talibowie, ale także relacje społeczne między mężczyznami i kobietami, również na terytoriach kontrolowanych przez rząd.

– Większość stanowisk w polityce i administracji jest obsadzona przez mężczyzn. Oni nie chcą stracić władzy ani przekazać jej kobietom, dlatego nie chcą, by dowiedziały się o swoich prawach, biedzie i wykluczeniu – uważa Szahba Szahruchi.

Zna to z doświadczenia. W 2018 r. bezskutecznie ubiegała się o mandat parlamentarny w prowincji Samangan, w północnej części kraju. Oponenci usiłowali przedstawiać ją jako kobietę, która obraża islam i normy kulturowe – np. przeklejając jej twarz na zdjęcia innych osób, gdzie wygląda, jakby nie miała na głowie hidżabu. Do tej pory zdarza się, że nieznane osoby dzwonią do jej ojca i mówią, że zabili mu córkę, albo wypytują, gdzie się znajduje. Z powodu gróźb Szachruchi musiała się przeprowadzić.

Aktywistka ma pretensje do afgańskiego państwa: uważa, że nie robi ono nic, aby zapewnić kobietom bezpieczeństwo. Muszą dbać o nie na własną rękę. Twierdzi, że władze, ale też zagraniczne organizacje tylko mówią, że pomogą, ale ostatecznie nic z tego nie wynika.

Makia Munir twierdzi, że powszechny lęk i poczucie bezradności mają doprowadzić do tego, aby kobiety zamilkły. Ona jednak postanowiła, że tego nie zrobi.

Pytam Makię, czy to najgorszy moment w jej życiu zawodowym. Odpowiada, że tylko bardzo ciężki – najgorszy pewnie dopiero nadejdzie.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca ALISHER SHAHIR

W odbiciu Wodospadów Wiktorii

ALEXIO RASHIRAI Z VICTORIA FALLS, WOJCIECH JAGIELSKI

Graniczna rzeka Zambezi rozdziela bliźniacze rodzeństwo: Zambię i Zimbabwe. Gdyby chciały, służyłaby im też za zwierciadło, w którym mogłyby się przeglądać. I uczyć na błędach.

Pierwszym przybyszem z Europy, który je zobaczył, był David Livingstone, szkocki podróżnik i misjonarz, który przemierzał Afrykę pieszo. Na ich widok oniemiał z zachwytu. Wpatrując się w spadającą w przepaść rzekę miał powiedzieć, że to miejsce jest tak niezwykłe, iż krążące po niebie anioły muszą chyba zatrzymywać się w locie, by nasycić oczy jego pięknem.

Groźny grzmot wodnych mas słychać z daleka, a nad dróżkami wiodącymi nad wodospady wiecznie unosi się mokra chmura, jakby deszcz padał tu bez przerwy. Rzeka Zambezi, przecinająca Afrykę w poprzek, natrafia tu na przeszkodę w postaci wąskiego i głębokiego wąwozu, powstałego wskutek rozdarcia skorupy Ziemi – i wpada z hukiem w stumetrową czeluść.

Chmura, Która Grzmi

Livingstone ujrzał wodospady na Zambezi w 1855 r. i nazwał je imieniem Wiktorii (1837–1901), brytyjskiej królowej i cesarzowej Indii, władczyni najpotężniejszego w dziejach imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodziło. Europejskie mocarstwa zabierały się dopiero do rozbiorów Afryki. Dokonały tego 30 lat później, na konferencji w Berlinie, gdzie wytyczyły granice swoich posiadłości na kontynencie. Jego serce, dorzecze rzeki Kongo, przekazały belgij-

skiemu królowi Leopoldowi, jako prywatną własność.

Wśród łupów, z którymi od berlińskiego stołu odeszli Brytyjczycy, znalazły się ziemie położone na południe od rzeki Kongo, ciągnące się aż do granic dzisiejszej Republiki Południowej Afryki. Nazwali je Rodezją – ku czci Cecila Rhodesa, piewcy imperialnych podbojów, który, jako premier kolonii znad Przylądka Dobrej Nadziei, przyłączył do włości Korony Natal (dziś prowincja KwaZulu/ /Natal) i Beczuanę (dziś Botswana). Rhodes miał ambicje: marzył, by imperialny sztandar, Union Jack, rozpiąć od Kapsztadu po Kair.

Mówi się, że to Livingstone odkrył Wodospady Wiktorii. Jeśli odkrył, to tylko dla takich jak on – przybyszów z daleka. Miejscowi wiedzieli o nich od zawsze i nazywali je po swojemu: „Chmurą, Która Grzmi". Dziś wodospady, uznane za jeden z cudów natury, wyznaczają granicę między Zambią i Zimbabwe. W przygranicznym miasteczku Victoria Falls, na zimbabweńskim (południowym) brzegu rzeki, stoi posąg Livingstone'a – odlany w brązie, naturalnej wielkości. Miasteczko po zambijskiej (północnej) stronie nosi jego imię.

JOSEPH MWENDA / AFP / EAST NEWS

Prezydent Zimbabwe Robert Mugabe i prezydent Zambii Kenneth Kaunda na otwarciu targów rolno-handlowych w Zambii, sierpień 2012 r.

REUTERS / FORUM

Farmerka Pippa van Rechteren z córkami przygląda się grupie osób chcących zająć jej gospodarstwo. Oddziela ich płot pod napięciem. Harare, Zimbabwe, marzec 2000 r.

Na rozstajnych drogach

Tak naprawdę Rodezję stworzył właśnie Rhodes i Brytyjska Kompania Południowoafrykańska, której szefował. I to on podzielił ją w 1911 r. wzdłuż nurtu Zambezi – na Rodezję Północną i Południową – aby 10 lat później odstąpić obie rządowi Wielkiej Brytanii.

W Rodezji Północnej odkryto jedne z najbogatszych na świecie złóż miedzi. Rodezja Południowa, z uwagi na lepszy dla białych klimat (leży dalej od strefy tropiku) i żyzne gleby, stała się miejscem osadnictwa Europejczyków. Sprzyjało temu również sąsiedztwo – przez Limpopo, kolejną graniczną rzekę – z Unią Południowoafrykańską, gdzie Brytyjczycy rozgościli się już dawno, i od której zaczęli podbój tej części Afryki.

W Rodezji Południowej, podobnie jak w Unii Południowoafrykańskiej, Brytyjczycy ustanowili prawa, które odbierały ziemię tubylcom. Zamierzali zamknąć ich wszystkich w rezerwatach. Tylko w nich – zajmujących jedną piątą powierzchni kraju – Afrykanie mogli posiadać ziemię na własność. Poza rezerwatami ziemię mogli mieć tylko biali, nie stanowiący nawet jednej dwudziestej ludności. Podobne porządki zostały oszczędzone Rodezji Północnej.

W latach 60. XX w., okrzykniętych dekadą wolności, drogi obu siostrzanych Rodezji rozeszły się jeszcze bardziej. Europejskie mocarstwa uznały, że zamorskie prowincje nie przynoszą już dawnych korzyści, że są ciężarem. W 1964 r. Wielka Brytania przyznała niepodległość Rodezji Północnej i przekazała ją Afrykanom, którzy przechrzcili ją na Zambię.

Natomiast w Rodezji Południowej biali osadnicy ogłosili samozwańczą niepodległość, której nikt na świecie nie uznał. Było ich tam wówczas ponad ćwierć miliona. Przerażeni pogromami Belgów w Kongu (niepodległym od 1960 r.), postanowili nie dopuścić, aby także w Salisbury (dziś Harare) władzę przejęli czarni. Tych było w Rodezji Południowej 4 mln.

W odpowiedzi Afrykanie skrzyknęli się w partyzantkę i zaczęli zbrojne powstanie. Zambia udzieliła mu pomocy, przez co naraziła się na odwetowe ataki rodezyjskich komandosów (Zambia pomagała też ruchom wyzwoleńczym z RPA, Mozambiku i Angoli). Dopiero w 1980 r. biały rząd z Salisbury zgodził się – pod naciskiem Londynu i afrykańskich sąsiadów – aby przeprowadzono wolne wybory, co oznaczało przejęcie władzy przez czarnych. Rodezja przestała istnieć – w jej miejscu powstało Zimbabwe.

Droga ku przepaści

Pierwszymi prezydentami Zambii i Zimbabwe zostali Kenneth Kaunda i Robert Mugabe. Rówieśnicy (rocznik 1924), obaj z zawodu nauczyciele, obaj zapatrzeni w lewicowe eksperymenty, które miały pomóc w zakopaniu społecznych przepaści i przezwyciężeniu zacofania, odziedziczonego po epoce kolonialnej.

Przejąwszy władzę – Kaunda w 1965 r., Mugabe 15 lat później – wykazali się rozsądkiem i umiarem. Nie ulegli pokusie nacjonalizacji kopalń i ziemi, a także ustanowienia jednopartyjnych dyktatur, zalecanych wtedy przez komunistyczny Wschód. Zrezygnowali z odwetu na białych i pozwolili im zachować majątki. Na początku swoich rządów obaj byli chwaleni na Zachodzie jako przywódcy niemal wzorowi.

Jako pierwszy laur prymusa stracił Kaunda, gdy w latach 70. zaczął upaństwawiać brytyjskie i amerykańskie kopalnie ↦

↦ miedzi i wprowadził w Zambii dyktaturę jednej partii (swojej). Kaunda postawił wszystko na miedź, ale kopalnie, pozbawione zagranicznego kapitału, wydobywały jej mniej. Co gorsza, na światowych rynkach gwałtownie spadły ceny tego surowca. Pozbawiony dochodów, Kaunda zaczął pożyczać pieniądze, aż w latach 80. Zambia stanęła w obliczu bankructwa.

Zimbabwe zbankrutowało 20 lat później. Nieudolne zarządzanie gospodarką, korupcja i ambitne eksperymenty (jak darmowa oświata i lecznictwo, wtedy jedno z najlepszych w Afryce) spustoszyły kasę państwa, które jeszcze w latach 80. uchodziło za najsprawniejsze na kontynencie. Gwoździem do trumny stały się wywłaszczenia białych farmerów, zarządzone w 2000 r. przez Mugabego.

O ile gospodarka Zambii miała opierać się na miedzi, o tyle Mugabe stawiał na rolnictwo. Gdy przejmował władzę, obiecał białym, że zostawi im ziemię pod warunkiem, że nie będą mu się wtrącać do polityki. Jednak pod koniec XX w. biali uznali, że Mugabe prowadzi kraj ku przepaści, i postanowili wesprzeć opozycję. Prezydent wpadł we wściekłość, posłał swoje bojówki partyjne na białe gospodarstwa, a w końcu odebrał ziemię kilku tysiącom farmerów i rozdał ją w dzierżawę milionowi czarnych. Wzorowa niegdyś gospodarka wyzionęła ducha.

Trudne rozstania...

Kenneth Kaunda doprowadził swój kraj do ruiny, ale trzeba przyznać, że z władzą rozstał się z klasą. W 1991 r., po upadku Związku Sowieckiego, pod naciskiem Zachodu Zambia – jak niemal cała Afryka – przywróciła demokrację wielopartyjną i wolne wybory. Kaunda został w nich pokonany – ludzie mieli dość jego prawie 30-letnich rządów, uważali go za winnego biedy, w jakiej się znaleźli. Uznał porażkę, zadowolił się rolą przywódcy opozycji, a dekadę później przeszedł na polityczną emeryturę. Dziś prawie stulatek, cieszy się w Afryce szacunkiem – obok takich postaci jak Nelson Mandela i Julius Nyerere z Tanzanii.

Gdy Kaunda pokornie żegnał się z władzą, Robert Mugabe wywłaszczał farmerów i niszczył gospodarkę, byle tylko władzę ocalić. Nawet schorowany i zniedołężniały, nie chciał się jej wyrzec i pozwalał, by stery państwa przejmowała coraz zuchwalej młodsza o prawie pół wieku żona Grace. Kiedy w 2017 r. wojsko dokonało pałacowego zamachu stanu, był on wymierzony właściwie nie przeciw niemu, ale przeciw Grace. Dwa lata później Mugabe umarł w Singapurze, gdzie się od lat leczył.

...i rozczarowujące skutki

Jednak tych, którzy liczyli, że wystarczy pozbyć się Mugabego, a wszystko będzie dobrze, spotkał zawód. Tylko czy mogło być inaczej? Emmerson Mnangagwa, który przejął władzę po Mugabem, był przecież wcześniej jego prawą ręką, ministrem od bezpieczeństwa, wojny i sprawiedliwości. Ulga i nadzieja, które nastały po obaleniu Mugabego, ulotniły się równie szybko jak słabe oznaki życia, które zaczęła przejawiać gospodarka. Dziś po staremu w Zimbabwe ludzie nie mają pracy, a rząd-bankrut drukuje pieniądze, które z dnia na dzień warte są coraz mniej. Tylko w sklepach półki nie świecą już pustkami, lecz uginają się pod ciężarem towarów, na które stać nielicznych beneficjentów władzy.

Droga Zambii biegła inaczej, choć także ze smutnym finałem. Czterem następcom Kaundy udało się wyciągnąć kraj z zapaści – dzięki miedziowej koniunkturze oraz zaciskaniu pasa, wymuszonemu przez zachodnie rządy i banki. W kłopoty wpędził go kolejny prezydent, panujący od pięciu lat Edgar Lungu. Apodyktyczny, nie znosi sprzeciwu i nikomu nie pozwala zaglądać w rządowe księgi. Nikt nie wie więc, jak bardzo zadłużył Zambię. Szacuje się, że na kilkanaście miliardów dolarów. Weksle są na Zachodzie, a także w Chinach.

Zwłaszcza w Chinach. Opozycja twierdzi, że Lungu cały kraj zastawił u Chińczyków. Oni nie odmawiają pożyczek, nie stawiają warunków, a w końcu, gdy dług jest tak wielki, że niemożliwy do oddania, odbierają należności w portach, budowlanych parcelach, kopalniach.

Jesienią 2020 r. Zambia przestała spłacać odsetki od zachodnich długów, a od początku 2021 r. negocjuje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym nowe pożyczki. Działacze praw człowieka oskar-

Wodospady Wiktorii i rzeka Zambezi na granicy Zimbabwe i Zambii, lipiec 2015 r.

żają wierzycieli Zambii, że pożyczali jej na lichwiarskich warunkach, wiedząc, że nie będzie w stanie oddać, i że na odsetkach zarobili dość, aby stać ich było na umorzenie zaległości. Owszem, zachodni bankierzy umorzyliby Zambii długi, ale tylko mając pewność, że to samo zrobią Chińczycy. Oni jednak nie zwykli tego robić, jak powiedzielibyśmy: wolą spłatę w naturze.

Zachodni bankierzy i politycy chcą też, by w zamian za umorzenie długów i nowe pożyczki Lungu zarządził zaciskanie pasa. Ale jemu nie w głowie oszczędności: w sierpniu czekają go wybory prezydenckie, w których będzie ubiegał się o reelekcję.

Zamiana ról

Gdy Mugabe odbierał ziemię białym i wyganiał ich z kraju – skutecznie: z 4,5 tys. białych farmerów, którzy gospodarzyli tam w 2000 r., dziś pozostało ok. 200 – z otwartymi ramionami witała ich Zambia (a także Malawi, Mozambik, Kongo, Nigeria czy Kenia). Zambijskie władze oddawały im za grosze nieużytki, przyznawały zwolnienia od podatków i tanie pożyczki na rozkręcenie gospodarstw hodowlanych i rolnych. Wielu miejscowych czarnych farmerów chętnie zawiązywało spółki ze sławnymi w Afryce białymi farmerami z Zimbabwe – w nadziei, że nauczą się od nich gospodarzenia, pomnożą zyski.

Plan wypalił i Zambia, która za czasów Kaundy sprowadzała żywność z Zimbabwe, dziś sprzedaje ją sąsiadom albo wysyła jako humanitarne dary. W Zambii zbiera się dziś dwa razy więcej kukurydzy niż w Zimbabwe – tym niegdysiejszym spichlerzu Afryki i dawnej kukurydzianej potędze.

A Zimbabwe? Ono kusi wygnańców, zachęca do powrotu. W sierpniu 2020 r. władze ogłosiły, że wypłacą 3,5 mld dolarów odszkodowania wywłaszczonym farmerom za stracone budynki i sprzęt rolniczy. Grupa ok. 40 farmerów może ubiegać się o zwrot upaństwowionych farm. Jednak wygnańcy obawiają się, że rządzący z Harare znów próbują jedynie wykorzystać ich do kolejnej politycznej rozgrywki. I słusznie się boją, bo prezydent Mnangagwa nie robi tego z dobrego serca. Nie ma pieniędzy na odszkodowania, ale obiecuje je, gdyż tego żądają od niego zachodni przywódcy i bankierzy, którzy od wypłaty odszkodowań uzależniają udzielenie nowych pożyczek.

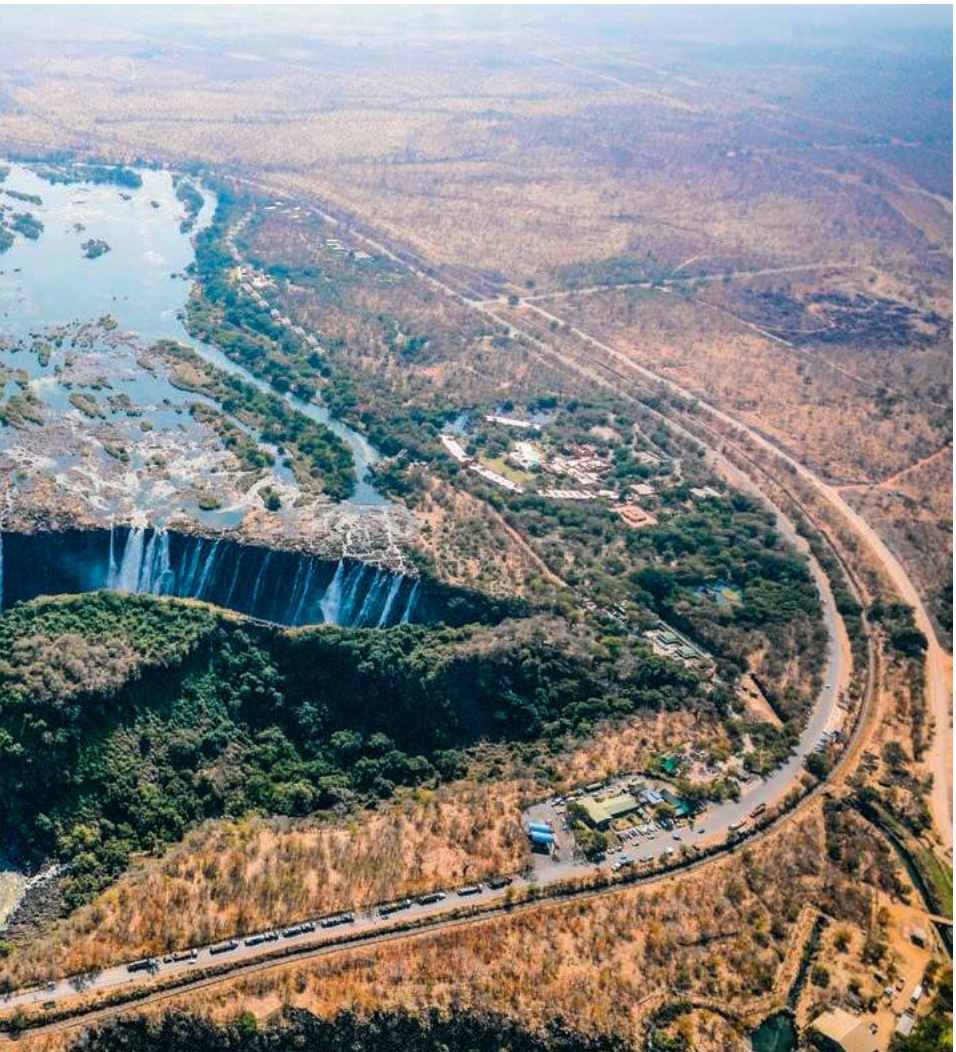

MATTHIAS TODT / AFP / EAST NEWS

Z bezpiecznego brzegu

Zambię i Zimbabwe zbliżyły za to Wodospady Wiktorii, których zazdrości im cała Afryka. Każdy chciałby być obdarowanym przez naturę tak hojnie. Nie trzeba siać i zbierać, wystarczy ustawić kasy i pobierać opłaty od turystów-cudzoziemców. Co roku miliony ludzi z całego świata przyjeżdżały nad wodospady, by napawać się ich widokiem i słuchać opowieści o przygodach Livingstone'a. A tuż obok, w Zimbabwe, zaczyna się najwspanialszy w Afryce park narodowy Hwange i – dzielone z Zambią – największe na świecie sztuczne jezioro Kariba. No i jest rzeka Zambezi, po której można popływać wycieczkowymi statkami o zachodzie słońca i pooglądać dzikie zwierzęta wychodzące przed zmrokiem do wodopoju.

Posyłając bojówki przeciw białym farmerom, Mugabe wystraszył także zagranicznych inwestorów i turystów. Na przełomie stuleci XX i XXI na zimbabweńskim brzegu Zambezi częściej spotykało się antylopy czy pawiany niż cudzoziemców, w pustych hotelach kelnerzy grali z recepcjonistami w karty, a dzieci na próżno wypatrywały białych, którzy ku ich zdumieniu i uciesze gotowi byli płacić, aby pozwolono im z mostu rozpiętego nad Zambezi rzucić się w przepaść, z liną obwiązaną wokół stóp.

Strach przed Mugabem próbowała wykorzystać Zambia, która w rozsyłanych po światowych biurach podróży folderach zapewniała, że z jej bezpiecznego północnego brzegu wodospady wyglądają równie pięknie. W 2020 r. między siostrami-sąsiadkami doszło nawet do dyplomatycznego starcia: Zimbabwe oficjalnie zażądało od Zambii, by przestała wmawiać cudzoziemcom, że Wodospady Wiktorii leżą jakoby na jej terytorium.

Ciekawość znów okazała się bowiem silniejsza od strachu i od kilku lat cudzoziemcy znów odwiedzają Zimbabwe – choć nieufnie i w liczbie mniejszej niż kiedyś. A Wodospady Wiktorii pozostają nie tylko okazją do zarobku, lecz jedynym cudem, jaki się tu wydarzył.

©℗ ALEXIO RASHIRAI, WOJCIECH JAGIELSKI

Portret artysty w czasie marnym

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Ruch „Okupujmy teatry!" ogarnął paryski Odeon i dziesiątki innych scen nad Sekwaną. Jak we Francji ludzie kultury radzą sobie w drugim roku pandemii?

Odeon jest zamknięty, wejścia bronią kraty i ochroniarze. Tego popołudnia spektakl trwa jednak w najlepsze – sceną jest plac przed budynkiem.

Zebrana przed budynkiem publiczność wpatruje się w otwarte okno teatru na piętrze. Pojawia się w nim kolejny mówca: – Dziś mamy 13 marca 2021 r., to smutna rocznica. Dokładnie rok temu, na początku pandemii, we Francji zamknięto miejsca kultury: teatry, sale koncertowe, kina i muzea – słychać z głośników. – Ale nie będziemy się smucić. Przygotowaliśmy dla was dziś nie jeden, ale dwa uliczne koncerty!

Na placu gra orkiestra dęta, płyną dźwięki bałkańskie. Widzowie podrygują, tańczą i nucą, biją brawo, podchodzą i zagadują muzyków. Uśpiony przez pandemię Paryż na chwilę ożywa. Choć protest jest poważny – okupujący domagają się otwarcia teatrów i kin oraz wsparcia państwa dla artystów-prekariuszy.

Co dzień przed Odeonem gromadzą się dziesiątki, a czasem setki osób. Jedni wspierają protestujących swoją obecnością, inni przynoszą im żywność i napoje. Trwa to od 4 marca – tego dnia kilkudziesięciu artystów i osób z personelu technicznego zaczęło okupację słynnego paryskiego teatru w pobliżu Sorbony – jednego z symboli studenckiej rewolty w maju 1968 r. Zaraz potem ruch okupacji objął inne sceny w stolicy, m.in. prestiżowy Théâtre de La Colline, a także w innych miastach: Strasburgu, Tuluzie, Lille czy Montpellier.

Za protestami kryje się pytanie: jaki jest stan ducha – i kieszeni – młodych artystów czasu pandemii?

Pod parasolem państwa

Francuską specyfiką jest uprzywilejowana pozycja artystów scenicznych i personelu technicznego zatrudnionego przy produkcji spektakli. Przysługuje im specjalny status prawny: *intermittent de spectacle*, w skrócie *intermittent*, czyli „pracownik nieregularny". Dzięki niemu ogromna rzesza aktorów, muzyków, tancerzy, ale także techników scenicznych otrzymuje – prócz honorariów za występy – stałe świadczenie z kasy państwa w wysokości co najmniej ok. 1200–1300 euro miesięcznie. W ten sposób państwo zapewnia im godne życie, gdy nie mają zleceń. Ze statusu *intermittent* korzysta, według danych z 2019 r., aż 276 tys. osób.

Aby dostawać te świadczenia, jest jeden warunek – trzeba wyrobić odpowiednią „normę" na scenie, minimalnie 507 godzin rocznie. I tu dziś cały kłopot – bo niemal przez cały ostatni rok, oprócz lata i początku jesieni, teatry, kina i sale koncertowe były zamknięte.

W obliczu pandemii ministerstwo kultury zarządziło w drodze wyjątku, że świadczenia będą automatycznie wypłacane „nieregularnym" do końca sierpnia. Ale co potem? Protestujący obawiają się, że od 1 września 2021 r. stracą swoje prawa.

Czy na naszych oczach skończy się mający długą tradycję – co najmniej od epoki generała de Gaulle'a oraz ministra kultury i pisarza w jednej osobie Andrégo Malraux – państwowy parasol nad kulturą? Przed epidemią wsparcie dla kultury ze środków publicznych sięgało 1,4 proc. PKB (dane Eurostatu z 2018 r.). Francuzi zdecydowanie wyprzedzali pod tym względem swoich sąsiadów: Włochów, Niemców i Hiszpanów. Gdy zaś zaczęła się pandemia, rząd ogłosił nadzwyczajną pomoc dla kultury w wysokości 5 mld euro. Jednak dziś, kiedy gospodarka ledwo zipie, artystom trudno będzie dalej liczyć na specjalne względy.

Aktor sprzeda nerkę

Tancerka, pianista, aktor komediowy: troje artystów, trzy różne losy. I bardzo różne, bardzo osobiste historie na czas lockdownu.

Antoine Lucciardi miał pecha. Showman, stand-uper i filar grupy improwizacji teatralnej Les Z'Indépendants kilka lat temu rzucił wszystko na jedną kartę. Zrezygnował z pracy w szkole, żeby poświęcić się teatrowi. Jego monolog sceniczny zaczął podbijać serca paryskiej publiczności. Artysta liczył, że w 2020 r. wypracuje upragniony status *intermittent*. Wszystko na nic, bo nadeszła pandemia.

Antoine, sceniczny wulkan szalonego humoru i werwy, nie kryje dziś goryczy: – Od marca 2020 r. miałem zagrać 46 razy, ale w końcu udało mi się wystąpić 11 razy, między sierpniem a połową października. Pozostałe spektakle odwołano. To nie wszystko. Spadła na mnie podwójna kara: nie tylko nie gram i nic nie zarabiam, ale w dodatku, jako właściciel firmy produkującej moje spektakle, muszę stale odprowadzać fiskusowi składki – mówi.

Aktor mieszka dziś w Rouen w Normandii, z żoną i dwojgiem dzieci w wieku 10 i 14 lat. – Nadal prowadzę kursy teatralne dla dzieci i młodzieży, a obecnie piszę na zlecenie wydawnictwa biografię rapera Orelsana. To mnie trochę napędza. Gdyby nie to i nie fakt, że moja żona-pisarka ma sporo pracy, to aby wyżywić dzieci, musiałbym sprzedać nerkę lub napaść na bank. A kompletnie nie nadaję się na kasiarza – żartuje Antoine.

Co myśli o okupowaniu teatrów? – Gniew artystów narasta i to normalne. Mamy już dość ciągłych obietnic otwarcia scen, które rząd stale przekłada. A czy okupując teatry, komuś przeszkadzamy? Nikomu. To trochę jak walka Don Kichota z wiatrakami. Czy teatry otworzą się dla publiczności przed sezonem letnim? Jestem pesymistą.

Antoine sądzi, że nawet jeśli miejsca kulturalne znów przyjmą widzów, to bardzo trudno będzie im zachować rentowność. – Jeśli rząd wprowadzi ostre rygory sanitarne, jak ograniczenie liczby widzów do jednej trzeciej miejsc na sali, to się nie utrzymamy. Oczywiście, subwencjonowane teatry, jak Odeon czy Teatr Naro-

LOUIS TERAN / ARCHIWUM PRYWATNE

Silas Bassa, pianista i kompozytor

dowy w Strasburgu, przetrwają burzę. Ale małym kompaniom i teatrom grozi zniknięcie – kończy Lucciardi.

Oswojona samotność

Z pianistą i kompozytorem Silasem Bassą spotykamy się w jego zacisznym mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy nieopodal placu Republiki w Paryżu. Na progu oprócz gospodarza wita gości jego najbliższy kompan, kot Sasza. Idealny towarzysz. – Tylko on nigdy nie przeszkadza mi w pracy – mówi Silas. – Pies by się łasił, hałasował, chciałby wyjść na spacer. A Sasza tylko czasem usiądzie sobie cicho na pianinie, jakby zasłuchany w muzykę.

W salonie stoi pianino, stary czeski Petrof, na którym artysta komponuje. – Kupiłem je z drugiej ręki 10 lat temu, nie lubię nowych instrumentów, bo nie mają duszy – ciągnie Bassa, z pochodzenia Argentyńczyk, od blisko 20 lat osiadły we Francji. Dla niego mieszkanie to główne miejsce pracy. Spędził w nim prawie cały ubiegły rok. Stamtąd w czasie lockdownu nadawał darmowe koncerty przez internet.

Jak przeżył anulowane koncerty i drastycznie ograniczony kontakt z publicznością? – Miałem szczęście, bo gdy nadszedł covid, nagrałem już pierwszą płytę z moimi kompozycjami, zatytułowaną po prostu „Silas". Gdy odwołano koncerty, zajmowałem się jej promocją, kręciłem klipy, udzielałem wywiadów, zamieszczałem posty w mediach. Lubię to robić, choć mam attaché prasowego. I chociaż większość moich koncertów odwołano, dałem kilka występów przed publicznością w Paryżu i Madrycie. Byłem w stu procentach aktywny. Ale wiem, że dla innych artystów covid był wstrząsem – opowiada.

Silas mówi, że w dobrym znoszeniu lockdownu pomogło mu to, iż przez poprzednie lata oswoił się ze swoją samotnością. Tłumaczy, że żyje prawie jak mnich, z tą różnicą, że jego modlitwą jest muzyka: – To nie znaczy, że stronię od kontaktów z ludźmi i od przyjemności. Ale dla komponowania jest bardzo ważne, żeby być w stanie całkowitego połączenia z samym sobą.

Argentyński pianista nie ma statusu *intermittent*. Tłumaczy to potrzebą niezależności i obawą przed staniem się „niewolnikiem" systemu zmuszającego do wyrabiania rocznej „normy". – Dzięki wydaniu płyty miniony rok był nadspodziewanie dobry pod względem finansowym – mówi. I dodaje, nieco tajemniczo, że nie musi martwić się o codzienne troski, bo wspierają go miłośnicy jego muzyki.

Silas zaczął grać na pianinie w wieku pięciu lat, a pierwsze muzyczne kroki stawiał pod czułym okiem matki. Potem w Argentynie i Francji przemierzył mozolną drogę wykształcenia pianisty klasycznego. – Od dawna pragnąłem komponować, a nie tylko być wykonawcą muzyki klasycznej. Zajęło mi wiele czasu, zanim wreszcie się na to ośmieliłem – dodaje. W naszej rozmowie wspomina, że myśli też o komponowaniu muzyki filmowej; wśród swoich inspiracji wymienia polskich mistrzów tego gatunku: Komedę, Kilara i Preisnera.

Kilka tygodni temu w lasach Burgundii nagrał nowy klip do utworu „Letter to Myself" z ostatniego albumu. Scenariusz do klipu napisał ze swoim polskim uczniem z Paryża, 11-letnim Arturem.

Jednak, choć pochłonięty komponowaniem, Silas coraz bardziej tęskni za bezpośrednim kontaktem z publicznością: – Całą nadzieję pokładam w tym, że wkrótce wznowię koncerty.

Jesienią ma wystąpić w rodzinnej Argentynie. Jeśli epidemia pozwoli.

Jak z waty

Jej artystyczne początki przypominają nieco drogę Silasa: od przetartych ścieżek klasyki po podróż w nieznane. Léa Bridarolli wymarzyła sobie od wczesnych lat, że będzie tancerką baletową. Los chciał inaczej.

Naukę baletu zaczęła w wieku 12 lat, potem trafiła pod skrzydła renomowanej profesorki z paryskiej Opery. Po maturze zaczęła podróżować po świecie: pojechała ↦

↦ na trzyletnie studia w Central School of Ballet w Londynie, potem do Portugalii i Nowego Jorku. Ciągle jako baletnica.

Punktem zwrotnym był staż taneczny w Nowym Jorku. Léa otworzyła się tam na taniec współczesny i tango. Po powrocie do Francji nie była już tylko klasyczną tancerką – zapragnęła niezależności i eksperymentowania z różnymi dyscyplinami: teatrem, śpiewem, sztuką cyrkową. Ukończyła też studia z zarządzania w kulturze.

Ostatnie trzy lata przed pandemią spędziła jako tancerka-aktorka w eksperymentalnym Teatrze Elizabeth Czerczuk (T.E.C) w Paryżu, prowadzonym od kilku lat przez polską artystkę pochodzącą z Wrocławia. Repertuar T.E.C nawiązuje do dorobku polskiej literatury, zwłaszcza Witkacego i Gombrowicza. Właśnie tu, w T.E.C, Léa zaprzyjaźniła się z argentyńskim tancerzem żyjącym w Paryżu, Eneasem Vaca Bualo. Tuż przed wybuchem epidemii założyli wspólnie grupę Ensemble /K/inêtikos. Prócz nich dwojga należy do niej kilkunastu innych artystów.

Rok 2020 miał być czasem rozkwitu Ensemble. Plany pokrzyżowała najpierw kontuzja Léi, a potem oczywiście pandemia. – Na początku ubiegłego roku przechodziłam rehabilitację po skręceniu kostki. Ale, paradoksalnie, wspominam ten czas dobrze. Miałam czas na odpoczynek po ciężkim roku i myślenie nad rozwojem naszego zespołu – wspomina Léa.

Latem i jesienią, gdy zawieszono lockdown, Léa i Eneas występowali w duecie we Francji, Barcelonie, w Niemczech. Problemy zaczęły się znów w październiku, gdy zaczęła się nowa fala epidemii i powtórnie zamknięto ośrodki kulturalne.

HANNA BORYS

Aktor Antoine Lucciardi

Gdy rozmawiamy w połowie marca, Léa przyznaje się do zmęczenia: – Siedem miesięcy bez występów dla widzów to bardzo ciężkie. Nasza energia spada. Mam wrażenie, jakbyśmy byli odrętwiali, jakbyśmy mieli ciało z waty. Razem z Eneasem próbujemy śmiać się z tej sytuacji, ale jest nam coraz trudniej. Podobnie jak znajomym artystom.

W przetrwaniu najcięższych momentów pomaga jej samodyscyplina wyniesiona z baletu: Léa ma w mieszkaniu drążek baletowy, więc może ćwiczyć codziennie nie wychodząc z domu. Robi też kurs fitness – zdalnie, bo sale sportowe są zamknięte.

Léa i Eneas mają status *intermittent*, co na razie zapewnia im stałe środki do życia. Na jak długo? Nie wiadomo. Léa: – Poszłam pod Odeon wspierać moich znajomych. Jest ważne, żeby pokazać, że istniejemy, żeby ktoś nas zobaczył. Choć nie mam złudzeń, że władze pozwolą teraz na otwarcie teatrów czy sal koncertowych.

Léa Bridarolli, tancerka baletowa, na stacji metra w Paryżu

LAURA VAN PUYMBROECK / ARCHIWUM PRYWATNE

Z opery do ubera

Może skoro teatry są zamknięte, należy sprzedawać bilety na spektakle w internecie? Niektóre sceny nad Sekwaną właśnie tak walczą o przetrwanie.

Jednak opór jest silny. – Naszą misją jest goszczenie publiczności i tworzenie żywych spektakli, a nie ich nagrywanie i transmitowanie. Nie będziemy ścigać się z kinem czy Netfliksem. Pomysł, żeby teatry przestawiły się na zarabianie w ten sposób, to aberracja – mówi mi Xavier Croci, dyrektor Théâtre du Beauvaisis w Beauvais (na północ od Paryża), mającego status sceny narodowej.

Podobnie uważa Antoine Lucciardi: – Wielu moich znajomych zdecydowało się zarabiać na transmisjach wideo swoich spektakli. Ale dla mnie przekaz internetowy, nawet na żywo, nie ma nic wspólnego z żywym spektaklem. Jeśli tak ma wyglądać świat przyszłości, to odpadam. Ja pochodzę ze świata szaleńców i marzycieli.

Czy francuskich artystów teatralnych i estradowych czeka los prekariuszy? Tak jak pewnego śpiewaka operowego z miasta Blois nad Loarą, o którym mówiła ostatnio chyba cała Francja? Sébastien Soules, artysta operowy z 20-letnim stażem na największych scenach świata, na początku pandemii wrócił z Austrii do rodzinnej Francji. I tu zaczęły się kłopoty: opery zamknięto, a nikt inny nie chciał go zatrudnić. Z powodu długiego pobytu za granicą we Francji mógł liczyć jedynie na najniższy zasiłek dla bezrobotnych. Aby zarobić na życie, Soules przekwalifikował się więc na rowerowego kuriera dostarczającego jedzenie.

Komentując ten przypadek – zaznaczyć trzeba, że mało typowy – Antoine wspomina na swoim facebookowym profilu własne doświadczenia jako bezrobotnego odwiedzającego regularnie urząd pracy. I zastanawia się, z właściwym sobie przekornym humorem, jaką „ścieżkę kariery" wybrać, skoro perspektywa otwarcia teatrów się oddala: „O ile wykluczyć pierwszą opcję, czyli wyrwanie włosów mojej doradczyni w urzędzie pracy, rozważam trzy inne: grabarz-specjalista od osób wagi lekkiej; pieszy kurier rzeczy bezużytecznych; minister kultury. Ta ostatnia opcja wydaje się najłatwiejsza. Z góry dziękuję wam za radę". © SZYMON ŁUCYK

Dziękuję Hannie Borys za pomoc w kontakcie z bohaterami artykułu.

WOJCIECH

Bonowicz:
Spór i zgoda

Nie lubił swoich wczesnych wierszy, „poezji gniewnej", jak ją nazywał, i dziwił się, kiedy w rozmowie przywoływałem „Komunikat" albo „Małą piosenkę o cenzurze". Machał ręką – to nieważne, dawne czasy. Ale ostatecznie przedrukowywał te wiersze w wyborach. Chyba nie można było wtedy pisać inaczej, tłumaczył. Trzeba było bronić się przed napierającym systemem, także wewnętrznie, bo system przenikał i zatruwał od środka. „Ten, kto pisze, powinien uważnie przyglądać się idiotom lewicy i idiotom prawicy. Poeta jest urodzonym centrystą; jego parlament znajduje się gdzie indziej, zasiadają w nim także umarli, nie tylko żywi".

Bardzo lubię jego książkę „W cudzym pięknie", w zasadzie autobiograficzną, choć jednocześnie programową, wykładającą jego poglądy na świat, historię i sztukę. To właśnie z niej pochodzi powyższy cytat. Mój egzemplarz jest pokreślony, bo był czytany uważnie, czasem polemicznie. „Ty przychodzisz od Schuberta, a my od Iggy'ego Popa i Joy Division" – powiedziałem mu kiedyś. Adam uśmiechnął się, choć chyba nie wiedział, o kim mówię. My, pokolenie „bruLionu", przychodziliśmy ze zgiełku i robiliśmy zgiełk. Adam zgiełku miał już dosyć. Z etycznego buntu przeciw totalitaryzmowi zrodziła się postawa, którą – omyłkowo – nazywano olimpijską. Ale to nie było wycofanie, rejterada w elitaryzm; po prostu w pewnym momencie, w odpowiedzi na autorytarny „porządek", Adam zdecydował się stanąć po stronie „ładu". Słowo „ład" zawiera w sobie odwołanie do piękna. Stać po stronie ładu to nie usuwać sprzeczności, ale też nie absolutyzować ich; zaufać intuicji, która każe nam gniew i krzyk przemienić w formę. Mogłem się z nim spierać o kształt tej formy, ale nie o zasadę.

W 2018 r. poprosiłem go o wygłoszenie wykładu podczas Festiwalu Kopernika. Tematem przewodnim imprezy była wolność. I rzecz charakterystyczna – Adam zatytułował swoje wystąpienie, swój esej właściwie, później opublikowany, „O życiu w wolności". Mówił o własnych życiowych wyborach: „Może się mylę, ale wydaje mi się, że nie można być wolnym, jeśli nie stanie się pomiędzy pięknem i złem, jeśli nie będzie się trwało w czujności wobec tych tak bardzo do siebie niepodobnych potęg". Snuć opowieść o jednej z nich, pomijając drugą, byłoby nieuczciwością; o tę jednostronność Adam oskarżał – w innych miejscach – dużą część współczesnej literatury i sztuki, a i sam bywał adresatem podobnych oskarżeń. W wykładzie twierdził, że zło jest demokratyczne, może swoją ofiarą uczynić każdego i każdą, z niejednego zrobić sprawcę, a nawet zbrodniarza, „natomiast wiele wskazuje na to, że zdecydowanie nie wszyscy reagują na piękno". To był dobry punkt wyjścia do dyskusji – zwłaszcza że później złagodził nieco to twierdzenie, nie utożsamiając piękna jedynie z tym, co nazywamy wysoką sztuką – ale poszliśmy na kolację, żeby miło spędzić wieczór, to znaczy dobrze zjeść i napić się wina. Dyskusja się nie rozwinęła, czego oczywiście żałuję, za to dużo się śmialiśmy i to też było jakoś zgodne z tym, o czym była mowa w wykładzie – że śmiech, uśmiech, współradość są być może najwyższym wyrazem wolności.

Ale teraz chcę powiedzieć, że myślę podobnie jak on. Tak, stoimy wobec tych dwóch potęg, zła i piękna. Żadnej nie wolno nam zlekceważyć. I to do nas należy wybór – jak opowiemy świat.

Więc był spór i była zgoda. Ile razy się spotykaliśmy, Adam witał mnie zawsze tak samo, lekko rozchylając usta w uśmiechu i unosząc brwi, jakby chciał powiedzieć: „O! Jesteś!". W książce „W cudzym pięknie" napisał, a ja zakreśliłem ten fragment ołówkiem: „Młodych i starych nie dzieli żadna przepaść. Prawdziwa przepaść rozciąga się między żywymi i umarłymi. A jeszcze większa – pomiędzy tymi, którzy nigdy się nie narodzili, i nami, którzy zaznaliśmy smaku istnienia". ©

POŻEGNANIE

Z głębokim bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Adama Zagajewskiego

artysty, który destylował piękno i zachwyt z szorstkiej materii świata,
który szukał prawdy, ale nigdy dogmatu, który kochał wolność,
a ironia i dobroć zgodnie w Nim mieszkały. Jesteśmy Mu wdzięczni za Jego obecność
wśród nas i za wszystko, czym się z nami dzielił i co nam pozostawił.
Mai składamy słowa najgorętszego współczucia.

Przyjaciele z wydawnictwa Znak

Z ODDECHEM

WDZIĘCZNOŚĆ

Oto, co zdarzyło się z powodu jednej wiosennej nocy nad „Listami" Josepha Conrada pięćdziesiąt jeden lat temu.

MICHAŁ KOMAR

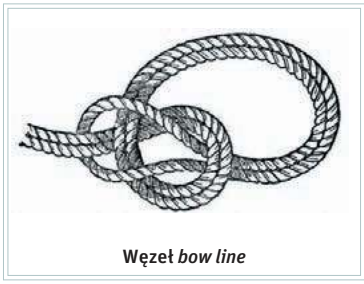

Węzeł *bow line*

Pani O. nastawała, by w trakcie lektury „Lorda Jima" zwrócić nade wszystko uwagę na piękno uczucia łączącego Jima z kobietą imieniem Klejnot. Pani O. była nauczycielką języka polskiego w prestiżowym liceum warszawskim, osobą skłonną do sentymentalnych uniesień.

Dziś wydaje mi się, że sentymentalizm jest jedną z trzech dających się porządnie uzasadnić odpowiedzi na pytanie o los. Dwie pozostałe to rozpacz depresji i terrorystyczna desperacja. Ale wtedy, w 1963 roku, czytając na przemian „Lorda Jima", „Kapitana Blooda" Rafaela Sabatiniego i „Pod wulkanem" Malcolma Lowry'ego, doszedłem do wniosku, że wbrew sugestiom pani O. istnieje różnica między Jimem i Jewel a Filonem i Laurą. W wypracowaniu zająłem się związkiem uczuciowym łączącym Jima z Gentlemanem Brownem i odwrotnie.

Pani O. czyniła mi wyrzuty. W związku z tym maturę zdałem w liceum mniej prestiżowym i w 1964 roku zostałem studentem Szkoły Głównej Planowania i Statystyki.

Opanowanie zasad planowania, statystyki i rachunkowości wymaga odwagi, samozaparcia i niedającej się zachwiać – wbrew światu – nadziei, że na koniec „*credit*" będzie równe „debetowi". Przedzierałem się przez kolący gąszcz kont i subkont, wciąż czując sympatię do doktora Petera Blooda i konsula Firmina, jednocześnie zaś popadając w coraz głębszą niechęć do Josepha Conrada. Tak, niesprawiedliwie, wiem, powinno paść na panią O. z prestiżowego liceum (którego absolwentem, jak się dowiedziałem po latach, jest Zdzisław Najder), ale to byłoby za mało ambitne, cięższą podajcie mi zbroję!

Wiosną 1968 roku, parę tygodni przed obroną pracy magisterskiej, relegowano mnie z uczelni. W wojskowej komisji uzupełnień podstarzały kapitan pytał, co sądzę o trzyletniej służbie w marynarce wojennej, gdzie na pewno oduczą mnie zuchwalstwa. Pomyślałem, że to pozaregulaminowa złośliwość, przecież przydział miałem do piechoty, tam tylko dwa lata, ale z drugiej strony nie wiadomo, co może przyjść do głowy podstarzałemu kapitanowi, który musiał pogrzebać marzenia o pułkownikowskiej emeryturze, bo już za późno na awanse, i teraz szuka sposobności pomsty – a ja akurat pod ręką. W oczekiwaniu na pobór udzielałem korepetycji roztargnionym nastolatkom, czytałem Flauberta i uczyłem się wiązania węzłów żeglarskich *bow line*, *square knot* oraz *round turn and two half hitches*. Opanowałem też nazwy żagli: *fore topgallant*, *main upper topsail*, nie wspominając o *outer jib*. Przyszłość rysowała się w moich oczach niezbyt zachęcająco.

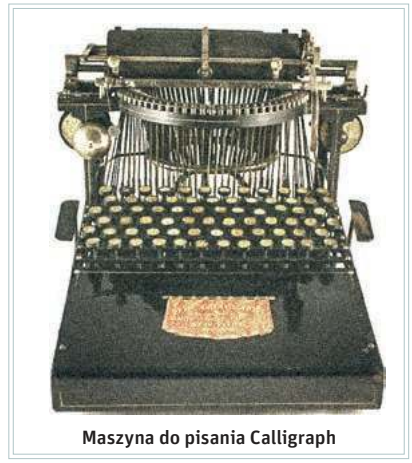

Maszyna do pisania Calligraph

Wiosną 1969 roku nastąpił zwrot akcji, tak jak pisał był o nim Arystoteles w „Poetyce". Mam na myśli zbieg okoliczności, który pcha bohatera w kierunku przeciwnym jego oczekiwaniom i pogrąża go w zdziwieniu o daleko idących konsekwencjach.

W południe odwiedziłem Jerzego Andrzejewskiego, aby się pożegnać przed pójściem w kamasze. Słuchał Vivaldiego w wykonaniu I Virtuosi di Roma i czytał co dopiero

DOMENA PUBLICZNA X2

wydane „Listy" Conrada w tłumaczeniu Haliny Carroll-Najder i opracowaniu Zdzisława Najdera, powtarzając raz po raz: „znakomite... znakomite... znakomite", co mnie zdziwiło, bo z takim zachwytem Andrzejewski mawiał najczęściej o „Czarodziejskiej górze", niekiedy też o „Śmierci w Rzymie" Wolfganga Koeppena. Pogoda piękna, więc z Jagiellońskiej powędrowałem przez most do Śródmieścia. W księgarni PIW-u kupiłem „Listy", sześćdziesiąt złotych, godzina korepetycji z matematyki, rozłożyłem tom na chybił trafił, akurat w miejscu, w którym J.C. informował Karola Zagórskiego, że się żeni: „Jej imię jest Jessie (...) Jest niepokaźna (trzeba prawdę mówić – brzydka, niestety). Gdy ją poznałem – półtora roku temu – zarabiała na życie w City jako typewriter w biurze handlowym amerykańskiej kompanii Calligraph".

Dwie myśli przebiegły mi przez głowę. Pierwsza dotyczyła rewolucji w dziedzinie organizacji i zarządzania, którą spowodowało wprowadzenie w latach 80. XIX wieku maszyny do pisania z układem QWERTY, Calligraph kupił patent na to rozwiązanie od Remingtona, na SGPiS trochę interesowałem się historią maszyn do pisania i liczenia, w miesięczniku „Ameryka" widziałem zdjęcie elektrycznej maszyny IBM z głowicą obrotową, za oknami Komisji Planowania przy placu Trzech Krzyży, na prawo od głównego wejścia, stały szafy z kręcącymi się szpulami: trzydziestosiedmiobitowy komputer Mińsk 22, z „Le Défi américain" Jean-Jacques'a Servan-Schreibera wynikało, że dzięki produkcji układów scalonych już niezadługo każdy będzie miał komputer osobisty – *incroyable! incroyable! impossible!* – pomyślałem o Conradzie, który dorastał w Krakowie, 50-tysięcznym mieście bez wodociągów, kanalizacji i prądu elektrycznego, że w czasie pierwszej wizyty w pięciomilionowym Londynie mógł zwiedzić Crystal Palace i objechać sporą część miasta subwayem, Circle Line, poczuć inną przestrzeń, inny rytm czasu.

Myśl druga: co się da powiedzieć o znękanym przez choroby czterdziestolatku, który pisze o swej narzeczonej, że „brzydka, niestety"? Że przynajmniej miał niezły wzrok, umiał odróżniać brzydką od ładnej, Jewel była ładna, Lena była ładna, Jessie nieładna, niepokojąco ładne były dziewczyny z singapurskich salonów Madame Bland i Mlle Yvonne na Malay Street i te z orkiestry damskiej, która grała w Tingel Tangel przy North Bridge Road. Dlaczego to napisał? Po co? Czego się obawiał? Czego chciał uniknąć? O czym chciał zapewnić adresata? W czym upewnić siebie samego?

Czytałem te listy do rana, do zawrotów głowy i utraty tchu, wydało mi się, że jego gniew jest podobny do mojego: „połowa używanych przez nas słów nie ma żadnego znaczenia, a druga połowa to słowa rozumiane przez każdego człowieka zależnie od jego głupoty i zarozumialstwa. Wiara jest mitem, a przekonania przesuwają się jak mgły wzdłuż brzegów; myśli znikają; słowa ongiś wypowiedziane zamierają; pamięć o dniu wczorajszym jest równie niejasna jak nadzieja na jutro", do utraty tchu, współczułem mu, kłóciłem się z nim; dziś tęsknię za takim bezgranicznym czytaniem. I pamiętam, że na koniec doszedłem do wniosku, że cokolwiek przyniesie mi jutro, to jednak dobrze byłoby porozmawiać z J.C. i ze Zdzisławem Najderem.

Jutro pojawiło się w południe w postaci listonosza. Pokwitowałem przyjęcie poleconego: „Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego wyraził zgodę na skrócenie Obywatelowi kary wydalenia z Uczelni do jednego roku". W związku z tym zasiadłem do „Szaleństwa Almayera", i potem po kolei, tom po tomie, z tekstami towarzyszącymi, rozmawiałem z J.C. przez parę lat. Sporo materiałów znalazłem w bibliotece Instytutu Badań Literackich, bywałem tam – dzięki życzliwości Inki Brodzkiej – na seminarium prowadzonym przez profesora Stefana Żółkiewskiego. W Centralnej Bibliotece Wojskowej (tak! tak!) wyszperałem „W oczach Zachodu". Przydatna okazała się „Meteorologia dla żeglugi morskiej" Bronisława Gładysza (kpt. ż.w.) – podarek od mego przyjaciela Jędrka Kuropieski, który właśnie ukończył studia w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni. Nie pamiętam, komu ukradłem Wita Tarnawskiego „Conrad. Człowiek – pisarz – Polak". Henryk Dasko przysłał mi z Kanady „Conrad. The Critical Heritage" i inne książki Normana Sherry'ego oraz kopię „Some Reflections on the Loss of the Titanic".

W zasadzie mój wyobrażony Conrad mówił spokojnie, rzekłbym nawet – z pewną przesadą – że przyjaźnie. Ataki bólu starał się łagodzić sięgając po butelkę; prawdę mówiąc były dwie butelki, jedna z whisky, druga – wedle lekarskiej recepty – z roztworem opium w alkoholu, a może to było Vin Mariani, nie pamiętam, w każdym razie pomagało na tyle, że panował nad rytmem słów i porządkiem zdań: – Do każdej najszlachetniejszej sprawy ludzie potrafią dodać coś z własnej przyrodzonej gatunkowo podłości. Dlatego ani Jezus ze swoją absurdalną wschodnią bajką, ani Jean Jaurès czy Wilhelm Liebknecht... Każdy kierunek jest skażony. Odrzuca pan jeden, staje się orędownikiem drugiego – jak gdyby pierwszy był zły, a drugi dobry, podczas gdy to to samo zło, tyle że ukryte pod różnymi słowami. Wprowadza pana w błąd pragnienie niemożliwego, bowiem to, co pan chciałby zmienić, to nie instytucje – to natura ludzka. Żadna wiara nie przeniesie tej góry. Nie dlatego, bym uważał ludzkość za immanentnie złą. Jest tylko głupia i tchórzliwa. Wiadomo, że w tchórzostwie tkwi każde możliwe zło – szczególnie okrucieństwo tak charakterystyczne dla naszej cywilizacji. Ale bez tego ludzkość zginęłaby. Należę do tej nieszczęśliwej zgrai. Pan też. Wszyscy do niej należymy. Rodzimy się już wtajemniczeni i następne pokolenia trzymają się dziedzictwa strachu i okrucieństwa – wyzuci z wszelkich myśli, wątpliwości, skrupułów – w imię Boga... Niech mi pan doleje. Na dwa palce. Sobie też... Pokusa powszechnego zniszczenia? To byłoby jakieś rozwiązanie. Przynajmniej szczere. Dajcie mi dźwignię szaleństwa i rozpacz – a ruszę świat z posad! Parę prostych prawd... ba, jeśli sprawa polega na wyborze między dobrem a złem, to cieszmy się jak dzieci. Rzecz w tym, że ze wszystkich sił staramy się uniknąć wiedzy, że w naszym świecie rozmaite Dobra trwają w niepojętym związku nie dającego się usunąć antagonizmu. Trzeźwa dorosłość polega na tym, że wybieramy spomiędzy nich – zdając sobie z tego sprawę.

I tak mówił, notowałem, ułożyło się z tego „Piekło Conrada". Bez „Listów" w tłumaczeniu Haliny Carroll-Najder i opracowaniu Zdzisława Najdera książka by nie powstała. ↦

Wejście do cenzury w Warszawie

↦ Maszynopis „Piekła Conrada” złożyłem w Czytelniku w 1977 roku. Po miesiącu zaprosił mnie prezes wydawnictwa, pan Stanisław Bębenek. Powiedział, że owszem, rzecz ciekawa, ale jego konsultanci twierdzą, że nie przejdzie: – Bo pan pisze o osobach i tytułach podlegających zapisowi – powiedział. Zapytałem, kogo i co ma na myśli. Prezes Bębenek, miły człowiek, wtedy wyraźnie skonsternowany, wyjął z kieszeni kartkę. Dwie linijki maszynopisu. I przeczytał: – Józef Piłsudski, Gustaw Herling-Grudziński, Czesław Miłosz. Wystarczy? – Panie prezesie, jeśli pan pozwoli, to napiszę w tej sprawie list do szefa cenzury. – Nie ma takiego zwyczaju, ale jeśli panu tak bardzo zależy, to niech pan napisze list do mnie – obruszył się troszkę.

Wróciłem do domu i napisałem list do prezesa Bębenka. Że zgadzam się na usunięcie nazwiska Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pod warunkiem, że pozostanie tytuł jego najważniejszej książki, to znaczy „Inny świat” (o czym powiadomiłem Gustawa), że cytat z Piłsudskiego musi zostać, bo inaczej czytelnik nie pojmie stanowiska Conrada w sprawie konspiracji w imperium rosyjskim. I to samo z Miłoszem, bo przecież ja z poglądem poety polemizuję, a bez tego polemika nie ma sensu. Szło o słowa Miłosza dotyczące „Lorda Jima”. Że zatarty napis na statku „Patna” odnosi się do Patrii – Ojczyzny, a skok Jima symbolizuje odskok Conrada od Polski. A przecież wystarczyło sprawdzić w atlasie, że Patna to stolica stanu Bihar. Następnego dnia wręczyłem list prezesowi Bębenkowi – był rozbawiony moją naiwnością.

Minęło pół roku. Prezes Bębenek stawia mi kawę i mówi, zdziwiony: „Jest pozytywna decyzja”. Z radości zakręciło mi się w głowie, bo akurat dzień przedtem w PIW-ie odrzucono mi z pryncypialnym trzaskiem „Czarownice i innych”. I pod koniec 1978 roku dostałem cieplutki egzemplarz, prosto z drukarni. Nazwisko Piłsudskiego wycięli, ale cytat został. Z tym cytatem, w którym Piłsudski pisał o „hańbie 1863 roku”, miałem po latach kłopot, bo pewien krytyk runął na mnie, że jestem pozbawiony uczuć patriotycznych. Gdyby wiedział, że autorem tych słów był Piłsudski...

Modne okulary, 1977 r.

Rozmowa ze Zdzisławem Najderem była o niebo trudniejsza. Po przeczytaniu „Nad Conradem”, po namyśle nad esejem „Conrad a idea honoru” i lekturach dodatkowych zebrałem sporo pytań, ale moje wysiłki, by mu się przedstawić, nie przynosiły rezultatów. Co jakiś czas odwiedzałem w tej sprawie redakcję „Twórczości”. Pani Anna Baranowska obrzucała mnie niechętnym spojrzeniem. – Pan Najder wyjechał. – A kiedy wróci? – Po co to panu wiedzieć? – Bo ja... – i milkłem. Moje natręctwo wzbudzało irytację Andrzeja Kijowskiego, czerwieniłem się, przepraszałem, on machał ręką, żebym się wreszcie odczepił, nic tu po panu. (– Wyglądałeś podejrzanie – wyjaśnił mi w Jaworzu w drugiej połowie grudnia 1981. – Teraz wyglądam tak samo – zaprotestowałem. – Teraz już nie – odpowiedział i machnął ręką, żebym się nie upierał, co uznałem za obcesową formę przeprosin).

Jeden z przyjaciół, wręczając mi publikację Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, szepnął ze znaczącą miną, że Najder ma mało czasu, bo zajmuje się ważniejszymi sprawami. Był 1977 rok – z szeptu przyjaciela zrozumiałem, że Najder działa w sferze sekretnej i ani chybi szlachetnej. W końcu, po miesiącach czyhania, przedstawiłem się mu na podwórku przy ulicy Wiejskiej, u wejścia do redakcji „Twórczości”. Wyglądał jak profesor z angielskiego filmu o przewrotnych urokach życia w All Souls College: angielska fryzura, tweedowa marynarka, angielskie buty, brakowało tylko togi, patrzył na mnie przez modne prostokątne okulary z ironicznym zaciekawieniem entomologa przyglądającego się robalowi. Szło mi nieskładnie, robale tak mają, Najder zniecierpliwiony, wiadomo: miał ważniejsze sprawy na głowie, wręczyłem mu rozdział „Piekła Conrada” z prośbą o ocenę i uciekłem. Parę miesięcy potem ten rozdział został opublikowany w „Twórczości”, zapewne z jego poparciem.

A pytania? Dlaczego Maria Dąbrowska nie umiała zrozumieć „Nostromo”? Czy nie dlatego, że w przeciwieństwie do J.C., który wiedział, że żyje w przestrzeni, tkwiła w świecie dwuwymiarowym, i z tego brało się jej płaskoziemstwo? Dlaczego J.C. zadziwiał i straszył marynarskim „scyzorykiem w kieszeni” nierozgarniętych, a pełnych dlań podziwu rodaków – miast wytłumaczyć, że ich wyobrażenia o żeglowaniu nijak się mają do rzeczywistości? Czy twierdząc, że Conrad przybył do Marsylii jako ukształtowany polski inteligent, Zdzisław Najder znalazłby odrobinę miejsca dla siedemnastoletniego chłopca, który po wypiciu paru szklanek Fée Verte poczuł, że jest (nieźle opłacanym przez wuja) człowiekiem zbędnym; który sięgnął po pistolet, by postrzelić się w ramię, bo jego rozpaczliwego krzyku nikt nie rozumiał; który wywiózł z kraju wiedzę niełatwą do dźwignięcia, że wszystko byłoby inaczej, gdyby ojciec, rewolucjonista, „czerwony” („człowiek wielkiej delikatności uczuć, egzaltowany, marzycielski... mistycyzm zaprawiony rozpaczą”) nie został zdradzony, gdyby wuj Stefan nie został zamordowany przez s w o i c h? Czy nie stąd odraza J.C. do wszelkich konspiracji i spisków – nie tylko rosyjskich? Może warto prześledzić motyw o j c a w dziełach J.C. – od „Lorda Jima” po „Zwycięstwo”? Może warto podjąć spór o to, czy honor dla J.C. miał swe źródła w etosie rycerskim, czy też w etosie master marinera, trzeźwego, odpowiedzialnego za ludzi, cargo i samego siebie? Czy człowiek honoru może zabić, upiec, zjeść i strawić parszywego psa? A jeśli tak, to co z tego wynika? Czy J.C. przeczytał „Trzy po trzy” Aleksandra Fredry? Pytań miałem sto albo dwieście, wciąż chcę je zadać Zdzisławowi Najderowi i wierzę, że to się stanie.

Moskwa nie wierzy łzom

Profesor Alina Brodzka uważała, że jeśli porządnie przysiądę fałdów, to z „Piekła Conrada" zbuduję pracę doktorską. – Ale kto będzie promotorem? – spytałem. – Jak to kto? Zdzisio! – wykrzyknęła. Z.N. zgodził się, a po przeczytaniu pierwszej wersji zauważył, że w tekście za mało powołań na najnowsze zagraniczne prace o J.C. Popadłem w przygnębienie, z którego wydobył mnie dramatyczny zwrot akcji. *Vivat* Arystoteles!

Otóż pan John Kordek, radca ambasady USA w Warszawie, zapytał, czy chciałbym odbyć podróż do New Yorku, Washington D.C., Houston i Los Angeles na zaproszenie United States Information Agency. Wyleciałem z Warszawy dzień po wydarzeniach w Bydgoszczy, 20 marca, pachniało wybuchem wojny domowej. W Waszyngtonie spotkałem Zbyszka Lewickiego, który w Wilson Center pisał książkę o Melville'u. Zaprowadził mnie do Biblioteki Kongresu i wywołał kolejny zwrot akcji – posadził przy terminalu i pokazał, gdzie należy nacisnąć (z lękiem dotknąłem klawisz „enter"), aby wydrukować katalog dzieł tyczących J.C. Inna przestrzeń, inny rytm czasu. Tysiąc pozycji w ciągu dwudziestu minut. Następnie udaliśmy się do McDonald's, aby uczcić sukces szklanką coca-coli i hamburgerem. Niech profesor Zbigniew Lewicki wie, że moja dlań wdzięczność nie zagaśnie do grobowej deski.

W Los Angeles byłem wieziony limuzyną do kina, u którego wejścia rozłożono czerwony dywan. Film pt. „Olimpiada '40" w reżyserii Andrzeja Kotkowskiego (byłem współautorem scenariusza) miał nominację do Oscara, ale przegrał z „Moskwa nie wierzy łzom" , film Kotkowskiego naprawdę ciekawy, eskort z USIA twierdził, że przed głosowaniem Rosjanie poniżali członków Amerykańskiej Akademii Filmowej toną kawioru astrachańskiego i cysterną stolicznej, Polska natomiast nie była zainteresowana wystawieniem bankietu opartego na bigosie, pierogach ruskich i wyborowej. Nie okazałem ani zdziwienia, ani rozczarowania, z uwagi na przepełniające mnie uczucia patriotyczne. Za sute stypendium USIA kupiłem mnóstwo książek o J.C. i mimo kuszących propozycji wróciłem na łono ojczyzny, by – kolejny zwrot akcji – po kilku miesiącach uczestniczyć w interesujących rozmowach o losach inteligencji polskiej z Władysławem Bartoszewskim, Jerzym Jedlickim, Jackiem Bocheńskim i Andrzejem Kijowskim w ośrodku wojsk lotniczych w Jaworzu.

Pod koniec stycznia 1982 dowiedziałem się od Marcina Króla, że Z.N. objął stanowisko dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Moim promotorem został Stefan Żółkiewski. Do obrony pozostało mi zdanie egzaminu z filozofii u profesor Barbary Skargi. Aby ustalić datę egzaminu, zaprosiła mnie do Pałacu Staszica. Rozmowa trwała trzy godziny, najpierw o Brzozowskim, potem o Bergsonie, Sorelu i Nietzschem, wreszcie o „Po wyzwoleniu" Wiktorii Kraśniewskiej. Na koniec Barbara powiedziała, że nie muszę przychodzić na egzamin.

W lutym 1983 otrzymałem wezwanie z Biura Śledczego MSW. Pan podporucznik Stanisław Reszetnikow wypytywał mnie o Polskie Porozumienie Niepodległościowe i znajomość ze Zdzisławem Najderem. Mówił z trudem, bo nękał go straszliwy katar. Spytałem, czy nie cierpi na jakieś uczulenie. – Co pan ma na myśli? – zapytał podejrzliwie. – Mam na myśli alergię z powodu niekorzystnego otoczenia – odpowiedziałem uprzejmie. Tej części naszego dialogu niestety nie zapisał w protokole. Co do Najdera zasłoniłem się brakiem wiedzy. – Poznałem go przez Conrada. – Jakiego Conrada? – Pisarza... – Aha... – tracąc zainteresowanie sięgnął po kolejną chusteczkę. Poradziłem mu inhalacje. Odprowadził mnie do wyjścia. Na półpiętrze zauważyłem duży napis na czarnej kurtynie: „Człowiek – człowiekowi – człowiekiem". – Napar z rumianku! – powiedziałem na pożegnanie. – Koniecznie! Inhalacje! Człowiek człowiekowi człowiekiem, gdy jednemu człowiekowi cieknie z nosa, drugiemu zaś nie cieknie.

„Lord Jim" w reżyserii Laco Adamika

Dwa miesiące po tej rozmowie straciłem stałe źródło utrzymania. Bezrobocie zachęciło mnie do dalszego studiowania dzieł Conrada. Wraz z Edwardem Żebrowskim i Dominique Parent-Altier pracowałem nad scenariuszem serialu telewizyjnego o J.C. dla producenta z Francji; obrzydliwie się to skończyło przez pośrednika o lepkich dłoniach i nikczemnych obyczajach. Po 1989 roku napisałem scenariusz „Lorda Jima" do przedstawienia Teatru TV, które z sukcesem wyreżyserował Laco Adamik, oraz do „Tajnego agenta", którego reżyserem – bez sukcesu – był Krzysztof Zaleski.

I to wszystko z powodu jednej wiosennej nocy nad „Listami" Josepha Conrada w tłumaczeniu Haliny Carroll-Najder i opracowaniu Zdzisława Najdera – przed pięćdziesięciu jeden laty.

Koronawirus sprzyja wdzięcznej pamięci.

© MICHAŁ KOMAR

czerwiec 2020

ZDZISŁAW NAJDER – *znawca twórczości Conrada, edytor jego „Dzieł" i autor fundamentalnej biografii, w 1983 r. przez peerelowski sąd skazany zaocznie na śmierć za szpiegostwo na rzecz CIA (oskarżenie wycofano w 1990 r.) – zmarł 15 lutego 2021 r.*

DOMENA PUBLICZNA X2 // RICHARD CRAWFORD / TWITTER // TEATRTV.VOD.TVP.PL

TYGODNIK POWSZECHNY

Suwerenni

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska, Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch, Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn, Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła, Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz, Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki, Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa, Grażyna Makara, Patryk Stanik, Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet, ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller

1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika" po 76 latach musi opuścić swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. Od pierwszych dni stycznia trwają poszukiwania nowej siedziby, w którym to procesie bardzo Państwo pomagają.

OGŁOSZENIE OPP // FOT. GRAŻYNA MAKARA / POSTPRODUKCJA EDWARD AUGUSTYN

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frołow, Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał, Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak, Wojciech Jagielski, Aleksander Kardyś

Kalina Błażejowska, Andrzej Leśniak, Anna Karolewska, Mateusz Gawron, Gabriela Rosińska, Marek Rabij, Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska, Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk, Maja Kuczmińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski

Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie stawia przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczeniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego" – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania".

Podjęliśmy także kolejną produkcję filmową – „Ukos światła" w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy także przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP", współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik", pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik" jest suwerenny dzięki Wam.

Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego oraz „Tygodnika Powszechnego"

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

Więcej informacji:
powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

1%

FINE ART IMAGES / EAST NEWS

Bitwa pod Legnicą, rycina z „Legendy o św. Jadwidze”

O KROK OD KORONY

Gdyby nie tatarska włócznia,
Królestwo Polskie odnowiliby książęta Śląska
– i to na 80 lat przed Łokietkiem.

MACIEJ MÜLLER

„Gorze się nam stało" – westchnął książę Henryk Pobożny tuż przed tym, jak skinął mieczem i poprowadził do boju odwody swojej armii. Jeszcze przed chwilą wydawało się, że nie wszystko stracone. Awangarda wojsk książęcych, złożona z krzyżowców i rycerzy z Niemiec, trzymała pozycje, choć Tatarzy próbowali wciągnąć ją w pułapkę – zmusić do ataku wprost i otoczyć.

Henryk słyszał o mongolskiej taktyce i odpowiednio ustawił swoich wojowników. Ale wtedy azjatyccy jeźdźcy z piekła rodem przeprowadzili dywersję. Wyłaniając się znikąd, krzyczeli po polsku: „bieżajcie, bieżajcie!". Hufiec księcia opolskiego Mieszka Otyłego „przekonany, że to nie krzyk wroga, ale swojego i przyjaciela", wpadł w panikę i podał tyły.

Wtedy ruszyły do ataku polskie rezerwy pod osobistym dowództwem Henryka. Tatarzy poznali go po zdobnej zbroi i tarczy z czarnym orłem śląskim na żółtym tle – i otoczyli. Książę długo się bronił, walcząc ramię w ramię z trzema innymi rycerzami. Raniono pod nim konia; jednemu z towarzyszy udało się przebić i podprowadzić księciu świeżego rumaka – ale było już za późno. „Ciągle na nowo, z ogromną odwagą walczył z Tatarami, raz z lewej, raz z prawej strony", ale w końcu, kiedy zamierzył się mieczem na jednego z wojowników, inny pchnął go włócznią pod pachę. Henryk runął na ziemię, a Tatarzy „wyciągnąwszy go poza teren walki na odległość dwóch miotów z kuszy, mieczem obcięli mu głowę, a zerwawszy wszystkie odznaki, pozostawili nagie ciało".

Taką opowieść o śmierci pod Legnicą Henryka Pobożnego snuł ponad dwieście lat po bitwie kronikarz Jan Długosz. Według innego źródła, odkrytej w 1965 r. kroniki „Hystoria Tartarorum", powstałej kilka lat po bitwie, wydarzenia wyglądały jeszcze dramatyczniej. Książę nie został od razu zabity. Tatarzy odarli go ze zbroi i ubrań, kazali klęknąć przed zwłokami jednego ze swych poległych dowódców, po czym ścięli. Głowę nabili na pal, pokazali załodze oblężonego grodu w Legnicy, po czym wysłali na Węgry, głównemu wodzowi Batu-chanowi. Zakrwawione, nagie zwłoki Henryka rozpoznano „dzięki wskazówce wdowy, księżnej Anny, że u lewej stopy miał sześć palców".

Gwiżdżące strzały

Od początku XIII w. Mongołowie tworzyli w Azji błyskawicznie rozwijające się imperium. Podbój prowadzili z niesłychaną brutalnością: miasta palili i równali z ziemią, część mieszkańców brali w niewolę, a resztę mordowali, ustawiając piramidy z ich głów. Z czasem dopiero uznali, że opłaca się zachowywać przy życiu uczonych, rzemieślników i kapłanów. W Europie Mongołów nazwano „Tartari" – wysłannicy piekieł (słowo to wzięło się prawdopodobnie ze zniekształcenia nazwy Tatarów, jednego z podbitych plemion azjatyckich).

Mongołowie dysponowali nieznaną w Europie sztuką wojenną. Zgodnie z rycerskim etosem zachodnioeuropejskie bitwy, po pierwszym zderzeniu chorągwi, zamieniały się na ogół w serię pojedynków, których celem nie było zabicie przeciwnika, lecz wzięcie go do niewoli i umówienie okupu. Rzadziej stosowano szyk kolumnowy, pozwalający na manewrowanie oddziałami. Rycerze w starciu z Tatarami mieli jeden jedyny atut – szturm uzbrojonej w długie kopie, zakutej w żelazo jazdy na początku bitwy teoretycznie miał szansę rozbić w puch tatarskie szyki.

Jeźdźcy tatarscy mieli łuki, zakrzywione miecze, topory oraz włócznie z hakiem, służące do zrzucania z koni. Nakładali lekkie, na ogół skórzane zbroje, czasem z elementami pancerza. Każdy wojownik nosił w kołczanie 30 strzał lekkich, służących do ostrzeliwania z dystansu, i tyleż ciężkich, z szerokimi, ostrymi grotami, którymi strzelano z bliska. Stosowali też wydające upiorny odgłos strzały gwiżdżące. Tatarskie oddziały mistrzowsko manewrowały, realizując ustalony zawczasu plan bitwy bądź na bieżąco go modyfikując. Do najskuteczniejszych wybiegów należała pozorowana ucieczka – rycerze rozpraszali się w pogoni, tymczasem Mongołowie nagle zawracali w zwartym szyku, wprowadzali do boju ukryte dotychczas, rozlokowane na skrzydłach oddziały i otaczali wroga. „Konie ich są tak wyćwiczone, że wracają się to tu, to tam, z taką zręcznością, jak psy" – pisał Marco Polo.

Jak chcesz się wymknąć?

W latach 30. XIII w. władca zachodniej części imperium Batu-chan rozpoczął podbój ziem ruskich. Do księstw piastowskich przybywali przerażeni uciekinierzy z Moskwy, Kijowa, Halicza i Wołynia. Do króla węgierskiego Beli IV mongolski chan wysłał list: „Byłoby lepiej i pożyteczniej dla ciebie, gdybyś podporządkował mi się dobrowolnie. Mieszkasz w domu, masz grody i miasta, jak więc chcesz wymknąć się z moich rąk?".

W 1241 r. Batu-chan rozdzielił armię na trzy tümeny (korpusy). Z największym zaatakował Węgry, a pomocnicze najechały Siedmiogród i księstwa piastowskie, z zadaniem związania tamtejszych sił, by uniemożliwić odsiecz dla Beli IV. Władców środkowej Europy łączyła bowiem sieć sojuszy: np. matka Henryka Pobożnego, św. Jadwiga Śląska, była ciotką króla Węgier, a siostra króla czeskiego Wacława I Anna – żoną Henryka. Najeźdźcy doskonale orientowali się w tych zawiłościach: podobną akcją wywiadowczą poprzedzili kampanię na Rusi.

Zwiadowcze zagony tatarskie nękały Polaków od lutego. Mongołowie zdobyli szturmem Sandomierz (którego książę, 15-letni Bolesław Wstydliwy, zawczasu zbiegł na Morawy). Wymordowali mnichów cysterskich i wszystkich, którzy ukryli się w koprzywnickim klasztorze. Urządzili, pisał Długosz „wielką rzeź starców i dzieci, i jedynie kilku młodym darowali życie, ale zakuli ich jak najgorszych niewolników w straszne dyby". Mongołowie dzielili zdobywane miasta na dwie kategorie. „Dobre" to te, które otwierały przed nimi bramy na pierwsze wezwanie; ich mieszkańcy mogli liczyć na ocalenie. Ludność miast „złych", zawzięcie się broniących, czekała zagłada.

Bitwę Mongołom wydał wojewoda krakowski Włodzimierz. Pod Turskiem 13 lutego udało mu się początkowo rozbić szyki tatarskie, ale kiedy rycerze rozpoczęli rabunek wrogiego obozu, przegrupowani Mongołowie wrócili i zmusili Małopolan do odwrotu.

Atak głównych sił zaczął się w marcu. Tatarskiemu tümenowi drogę do Krakowa zagrodzili rycerze małopolscy i sandomierscy. Ich oddziały Mongołowie wciągnęli w pułapkę i otoczyli. Poległ wojewoda Włodzimierz, kasztelan krakowski Klemens i inni wodzowie. Niedobitkom udało się przedostać na Śląsk, do Henryka Pobożnego, a za nimi podążyły tłumy przerażonych mieszkańców księstwa. Inni ukrywali się w lasach, górach i na bagnach.

Kraków padł bez walki – skutecznie bronili się tylko mieszczanie schronieni za wałami otaczającymi okolice kościoła ↦

↦ św. Andrzeja oraz załoga grodu wawelskiego. 31 marca, w Wielkanoc, Mongołowie puścili miasto z ogniem. Archeolodzy badający teren późniejszego Rynku Głównego znaleźli warstwy spalenizny oraz rozrzucone ludzkie szkielety ze śladami wskazującymi na skrępowanie rąk.

O dzień drogi

Henryk Pobożny starał się opóźnić walną rozprawę z wrogiem – oddał na pastwę mongolską nawet stołeczny Wrocław. Rozpuścił wici i czekał na przybywających rycerzy w punkcie zbornym pod Legnicą, w środku dzielnicy. Wysłał do władców Zachodu listy z wezwaniem do obrony chrześcijaństwa, ale ci zawiedli. Cesarz Fryderyk II i papież Grzegorz IX byli zbyt zajęci wojną o przewagę we Włoszech. Przybyły tylko nieliczne oddziały przysłane przez książąt niemieckich, garstka najemników, a także kontyngenty zakonów rycerskich: templariuszy i joannitów (wbrew przekazowi Długosza raczej nie dołączyli do nich krzyżacy). Pod swoim dowództwem Henryk miał nie więcej niż 4 tys. ludzi. Nie była to błaha siła (w wielu bitwach okresu rozbicia dzielnicowego ścierało się po kilkuset ludzi) – ale naprzeciw stanęli Mongołowie w liczbie ok. 6-7 tys.

Na pomoc Henrykowi ruszył Wacław I czeski – zatrzymał się jednak o dzień drogi od Legnicy i postanowił wyczekiwać wyniku bitwy, broniąc przełęczy wiodących do jego kraju. Potem w pewnym liście tak się tłumaczył: „[Henryk], nie zasięgnąwszy naszej rady i nie zapytawszy nas o zdanie, starł się z Tatarami, z którego to powodu został żałośnie zabity". Niewykluczone, że władcy zawarli wcześniej umowę, że nie będą samodzielnie decydować o przyjęciu bitwy; w świetle tego zachowanie Henryka byłoby jej złamaniem.

Wkrótce do obozu czeskiego przybyli rycerze, którym udało się ujść pogoni tatarskiej. Dzięki ich relacji Wacław zyskał szerszy ogląd i w innym liście napisał: „księcia Henryka osaczyli [Tatarzy] w grodzie legnickim". Tak więc – ocenia historyk Tomasz Jasiński – „to nie Henryk wydał Mongołom bitwę pod Legnicą, lecz odwrotnie". Książę mógł się spodziewać, że wrogowie ugrzęzną na długo pod murami Wrocławia, tymczasem ci go zaskoczyli i 9 kwietnia „nie miał innego wyboru, jak w największym pośpiechu wyprowadzić swoje wojska z grodu legnickiego i rozstawić je w szyku bojowym".

DOMENTA PUBLICZNA

Rodzina św. Jadwigi: pośrodku siedzą św. Jadwiga i Henryk I Brodaty, od lewej stoją: Gertruda, Agnieszka, Henryk II Pobożny i Bolesław, rysunek z XIV w.

Dalekosiężny cel

Czy Henryk Pobożny musiał wydać Tatarom bitwę? Żeby zrozumieć, dlaczego to zrobił, przenieśmy się o kilkadziesiąt lat w przeszłość. W 1163 r. władca Krakowa Bolesław Kędzierzawy pozwolił Bolesławowi Wysokiemu, synowi Władysława Wygnańca, wrócić do kraju i objąć dzielnicę śląską. Bolesław Wysoki był znakomitym rycerzem, który odbył wiele wypraw u boku cesarza Fryderyka Barbarossy. Krążyła opowieść, że pod murami Mediolanu pewien olbrzymi rycerz chełpił się, iż żaden z wojowników cesarskich go nie pokona. Wtedy Bolesław dobył miecza i w pojedynku zwyciężył zuchwalca.

Trwał okres rozbicia dzielnicowego – epoka książąt Plątonogich, Wstydliwych, Pobożnych, Łysych i Otyłych, bądź za-

Pocięte ciało biskupa

W PIERWSZEJ POŁOWIE XIII W. polscy biskupi skupiali się na wprowadzaniu (bądź zwalczaniu) reform gregoriańskich, które stawiały wprawdzie trudne wyzwania (jak celibat), ale docelowo zapewniały rosnącą niezależność od władzy świeckiej (wybór biskupów przez kapituły). Hierarchowie kościelni nie byli więc partnerami w dążeniach zjednoczeniowych.
W tamtych czasach Kościół nie operował takimi kategoriami. Wybitny skądinąd arcybiskup Henryk Kietlicz za cenę przywilejów dla Kościoła (jak zwolnienia immunitetowe dóbr czy znoszenie ius spolii, czyli prawa do przejęcia przez władcę majątku zmarłego duchownego) popierał młodych książąt, walczących o uzyskanie własnych dzielnic.
Po klęsce legnickiej i postępach rozbicia dzielnicowego nastąpiła w kręgach kościelnych intelektualna refleksja nad państwem. Jej wyrazem są powstałe w latach 50. i 60. żywoty św. Stanisława autorstwa dominikanina Wincentego. W świetle tego dzieła Polska musi pokutować za grzech króla Bolesława Szczodrego, który zamordował odprawiającego mszę biskupa krakowskiego. Ciało świętego pocięto na części, i tak też rozpadło się państwo polskie.
W przyszłości pojawi się jednak – prorokował Wincenty – król, któremu Bóg pozwoli zjednoczyć kraj i przywrócić sprawiedliwość. Tak jak zrośnie się pocięte ciało męczennika, tak też odrodzi się sprawiedliwe i odkupione królestwo.
Myśl Wincentego, którego dzieła kopiowano i czytano w kościołach wszystkich państewek piastowskich, przyniosła owoce w latach 80. XIII w. Tacy książęta jak Henryk Prawy czy Przemysł II za cel swojej polityki upatrywali zjednoczenie Polski. ©℗ MAM

POLONA

Święta Jadwiga wyprawia syna przeciwko Tatarom, rycina Aleksandra Lessera, 1862 r.

żarcie rywalizujących o przewagę, bądź ograniczających swe horyzonty do granic dzielnicy. Jako syn obalonego princepsa, czyli zasiadającego w Krakowie zwierzchnika wszystkich pozostałych książąt piastowskich, Bolesław uważał, że to jego linii należy się władza. Zagryzł jednak zęby i rozpoczął pracę u podstaw, wyznaczając dalekosiężny cel rozpisany na kilka pokoleń.

Śląsk był jedną z uboższych dzielnic. Bolesław zaczął ściągać z Zachodu osadników, którzy karczowali lasy i zakładali nowe osady, a także górników (na Śląsku odkryto złoża srebra i złota). Osadnikom nadawał prawo zwane później niemieckim – byli osobiście wolni (mogli opuścić osadę), na kilkanaście lat zwolnieni z jakichkolwiek opłat, a później obciążeni ustalonym czynszem. Nadwyżki zboża i innych produktów, które zostawały w ich rękach, mogli wystawić na sprzedaż. Książę stworzył w ten sposób dźwignię dla rozwoju gospodarki towarowo-pieniężnej, a w perspektywie dekady czy dwóch mógł się spodziewać szkatuły pełnej denarów.

Pod klątwą

Tę politykę, ale z większym rozmachem, kontynuował syn i dziedzic Bolesława, Henryk Brodaty. Skromnie ograniczył swą tytulaturę do dux Slezie (książę Śląska), podczas gdy wielu współczesnych mu książąt uzurpowało sobie na pieczęciach czy monetach tytuł władcy Krakowa. Cierpliwie pracował nad wzmocnieniem gospodarczym, politycznym i militarnym swojej domeny.

Ożeniony z Jadwigą, pochodzącą z możnego rodu niemieckiego, budował zagraniczne sojusze, znano go na dworze cesarskim, papieskim, czeskim czy węgierskim. To on zapewne, poznawszy dzięki żonie wielkiego mistrza krzyżackiego Hermana von Salzę, podpowiedział Konradowi Mazowieckiemu, by do obrony swych granic sprowadził ów zakon rycerski. Osadnicy niemieccy i polscy wycinali lasy, osuszali bagna, zakładali nowe wsie, książę lokował na prawie niemieckim stare i zakładał nowe miasta. Śląsk gospodarczo rozkwitał.

Z biegiem lat Henryk Brodaty coraz bardziej angażował się w piastowską politykę. Zawarł sojusz z najpotężniejszymi krewniakami – Władysławem Laskonogim z Wielkopolski i Leszkiem Białym z Małopolski. Z tej trójki tylko on miał syna, co dawało mu naturalną dynastyczną przewagę. W 1227 r. Leszek zginął, zaatakowany podczas zjazdu w Gąsawie przez siepaczy księcia pomorskiego. Obecny tam również Henryk ledwo ocalał: własnym ciałem osłonił go wierny rycerz Peregryn z Wezenborga. Henryka czekały lata wojen o kontrolę nad Małopolską – pełne bitew, zdrad i porwań – z łakomym na tron wawelski, okrutnym Konradem Mazowieckim. Ostatecznie zręczne posunięcia dyplomatyczne i zastępy wiernych wojsk zapewniły mu władzę w prawie wszystkich najważniejszych dzielnicach Polski – poza Mazowszem i Pomorzem.

Książę Henryk, mąż świętej księżnej, fundator klasztoru w Trzebnicy, zmarł pod kościelną klątwą. Biskup wrocławski Tomasz oskarżył go o łamanie immunitetów gospodarczych Kościoła i namówił legata papieskiego do wydania ekskomuniki. „Paradoksem jest, że wyłączono ze wspólnoty chrześcijańskiej władcę, który idee etyczne chrześcijaństwa przenosił do świata polityki" – komentuje historyk Przemysław Wiszewski.

Cesarz czy papież

Władztwo, które w 1238 r. Henryk Brodaty zostawił synowi, Henrykowi Pobożnemu – od lat przygotowywanemu do roli władcy i wodza – nie było jednolite. Na Śląsku książę rządził jako dziedzic, w Małopolsce i Wielkopolsce – jako wyniesiony do władzy przez lokalne elity, w Opolu i Sandomierzu – jako opiekun nieletnich książąt. Ci zaczęli się zresztą szybko emancypować: samodzielne rządy w Sandomierzu przejął młodziutki Bolesław Wstydliwy, w Opolu Mieszko Otyły.

Prawdopodobnie już Henryk Brodaty podjął starania o koronę królewską dla siebie lub syna. Jako władca sporej i potężnej gospodarczo części Polski z pewnością był świadom, że zapewni mu to ↦

SOJUSZ Z DIABŁEM

Po rozgromieniu armii Henryka Pobożnego korpus tatarski plądrujący Polskę zwrócił się na południe, gdzie tymczasem Batu-chan pokonał wojska króla węgierskiego Beli IV – jego również zawiedli zarówno cesarz, jak i papież.
Już w 1242 r. Mongołowie wycofali się jednak do Azji: do Batu-chana doszły wieści o śmierci wielkiego chana i chciał mieć wpływ na sukcesję.
Wkrótce potem na dworze papieskim powstał pomysł... przymierza z Mongołami. Innocentego IV fascynowała łatwość, z jaką pokonywali oni zastępy Seldżuków, i roił sobie, że w sojuszu z „wysłannikami piekieł" mógłby doprowadzić do wyzwolenia Jerozolimy.
W 1245 r. papież wysłał kilka poselstw do samego centrum piekła, czyli tatarskiej stolicy Karakorum w północnej Mongolii. Wielki chan Gujuk wysłuchał propozycji, po czym zażyczył sobie, by papież, skoro czegoś oczekuje, przybył poprosić go o to osobiście. Poselstwa odniosły polityczną klęskę, ale dzięki nim powstało kilka bezcennych źródeł opowiadających o imperium mongolskim (wśród nich wspomniana „Historia Tartarorum"). ©℗ MAM

ogromną polityczną przewagę nad krewniakami. Zasady ustalone przez Krzywoustego już dawno przebrzmiały, panowanie nad Krakowem nie wystarczało. Potrzebna była sakra królewska. Henryk podjął zapewne rozmowy na ten temat z cesarzem Fryderykiem II.

Spór z Kościołem i śmierć starego księcia przerwały te starania. Młody Henryk Pobożny na razie musiał stanąć na czele wojsk i odeprzeć zakusy książąt niemieckich na Santok i Lubusz. Potem dokonał zwrotu w polityce międzynarodowej – sprzymierzył się z papieżem przeciw cesarzowi. Grzegorz IX, dla którego każdy sojusznik był na wagę złota, zdjął klątwę z Brodatego i kazał biskupowi wrocławskiemu wycofać pretensje finansowe. Niewykluczone – choć to znowu spekulacje – że książę śląski badał, na ile papież byłby gotów poprzeć jego pretensje do tronu.

I w tym momencie runęła nawała tatarska. Najpotężniejszy z polskich książąt, pretendujący do korony królewskiej, nie mógł sobie pozwolić na obserwowanie z murów Legnicy, jak Mongołowie plądrują wszystkie podległe mu ziemie, wyrzynają mieszczan i uprowadzają chłopów. Pozbawiłoby go to autorytetu. Musiał wystąpić jako obrońca kraju i chrześcijaństwa.

Wyszedł za mury – i zginął.

Zabrakło 20 lat

Jeden z historyków ocenił, że historia zastosowała wyjątkowo tandetny zabieg typu *deus ex machina*. I to na odwrót. Mądra, przemyślana i konsekwentna polityka Henryków śląskich rozbiła się o najazd tatarski. Wkrótce po Legnicy Konrad Mazowiecki rzucił się na Kraków, potomkowie Władysława Odonica na Wielkopolskę, a synowie Henryka Pobożnego podzielili między siebie Śląsk. Dzielnica ta ulegała coraz większym podziałom. Tamtejsi książęta z czasem weszli w sojusz z królem Czech, a w XIV w. złożyli mu hołdy lenne; procesu tego nie zdołał odwrócić Władysław Łokietek, nawet gdy w 1320 r. na jego skroniach spoczęła korona królewska. Jego państwo – składające się tylko z Małopolski i Wielkopolski – było słabe i kruche, rosło w siłę jeszcze długi czas. Status liczącego się europejskiego gracza Królestwo Polskie zyskało dopiero za Kazimierza Wielkiego.

Czy mogło do tego dojść sto lat wcześniej? Znacząca grupa historyków uważa, że Henrykowie śląscy nie mieli szans na zjednoczenie kraju: ich monarchia była niespójna i politycznie, i gospodarczo, a Henryk Pobożny po trzech latach rządów nie miał wśród Piastów wystarczającego autorytetu. Przeciwko zjednoczeniu działały takie czynniki, jak ambicje młodszych książąt, hierarchów kościelnych i innych możnych. W tym ujęciu najazd tatarski tylko przyspieszył rozkład monarchii. Wybitny mediewista Benedykt Zientara odpowiadał na to: „to wszystko możliwe, ale trzeba też pamiętać, że ewentualne przedłużenie rządów Henryka Pobożnego o dwadzieścia lat, połączone z energiczną działalnością gospodarczą, zwłaszcza osadniczą, mogłoby stworzyć elementy owej brakującej wspólnoty; umiejętne wykorzystanie sojuszu z papiestwem mogło przynieść poparcie Kościoła, a zwłaszcza umocnienie panowania dzięki koronacji”.

Gdyby nie Mongołowie...

©℗ MACIEJ MÜLLER

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Laureaci Nagrody im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego: Marcin Szuster i Małgorzata Łukasiewicz, kwiecień 2019 r.

Fantastyczni tłumacze

Potrzebujemy tłumaczy – bez nich nasz świat byłby ubogi i smutny. Od lat przypomina nam o tym gdański festiwal „Odnalezione w tłumaczeniu".

Tegoroczna edycja, która rusza 15 kwietnia, zabierze nas w fantastyczne rejony literatury. Rozmowy z tłumaczami i pisarzami będą dotyczyć tego, co surrealistyczne, czyli wymykające się naszemu codziennemu doświadczeniu. Bo przetłumaczyć na inny język wyobraźnię wcale nie jest tak łatwo…

Ze względu na pandemię wszystkie wydarzenia festiwalowe odbędą się online. „Mamy nadzieję dotrzeć także do tych miłośników literatury, zwłaszcza tej w przekładzie, którzy nie mieszkają w Gdańsku. Nasz festiwal ma wyjątkową formułę – to jedyne w Polsce tak przekrojowe spotkanie autorów przekładu, pisarzy, kulturoznawców. Liczymy na publiczność, którą w Gdańsku chcielibyśmy gościć na kolejnych edycjach" – mówi Aleksandra Szymańska, dyrektorka Instytutu Kultury Miejskiej, organizatora wydarzenia.

Nad programem tegorocznej edycji czuwają trzy wybitne tłumaczki: Justyna Czechowska, Magda Heydel i Urszula Kropiwiec. Będzie można wziąć wirtualny udział w spotkaniu „Pisarka i jej tłumacze" z udziałem Doroty Masłowskiej oraz osób, które przekładały jej prozę na angielski, czeski, hiszpański i rosyjski. Będzie także dyskusja na temat tłumaczeń literatury fantastycznej na przykładzie twórczości Stanisława Lema, a także o tym, jak szukać pomocy w surrealizmie, gdy świat zwariował. No i bardzo emocjonujący sparing tłumaczy, czyli podpatrywanie w czasie rzeczywistym, jak powstają dwa przekłady tego samego hiszpańskiego tekstu literackiego. Wyzwanie podejmą Wojciech Charchalis i Ewa Zaleska. Można oczekiwać sporów i zaciekłych dyskusji o słowa, interpretacje i konteksty kulturowe.

Podczas każdej edycji festiwalu wręczana jest Nagroda Prezydenta Miasta Gdańska za Twórczość Translatorską im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. W tym roku laureatką za całokształt twórczości została Anna Przedpełska-Trzeciakowska, tłumaczka literatury angielskiej i amerykańskiej. Laureatka wraz z Anną Wasilewską i Janem Zielińskim weźmie udział w panelu „Seminarium, od którego wszystko się zaczęło". Zofia Zaleska poprowadzi rozmowę o słynnym w latach 70. seminarium translatorskim Przedpełskiej-Trzeciakowskiej, które wychowało całe pokolenie wybitnych tłumaczy.

Gościem specjalnym festiwalu będzie Eduardo Mendoza, hiszpański pisarz pochodzący z Barcelony, który podbił serca polskich czytelników i czytelniczek trylogią o przygodach damskiego fryzjera. Spotkanie z pisarzem znanym z ironicznego humoru poprowadzi tłumacz Mendozy – Tomasz Pindel.

Instytut Kultury Miejskiej zaprasza również na spotkanie z tłumaczami kultowych cykli powieściowych i powieści fantastycznych. Będzie to rozmowa nie tylko o przekładzie, ale też o fandomie oraz tłumaczach, którzy na własną rękę i z czystej miłości do literatury publikują w internecie własne przekłady, adaptacje, często nawet kontynuując dzieła ulubionych twórców. Gośćmi spotkania prowadzonego przez Tomasza Pindla będą Piotr W. Cholewa, Stanislav Komárek, José María Faraldo, Ewa Skórska.

Więcej informacji o festiwalu: ***odnalezionewtlumaczeniu.pl***

instytut kultury miejskiej

ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU
GDAŃSKIE SPOTKANIA TŁUMACZY LITERATURY

MATERIAŁ PROMOCYJNY / FOT. BARTOSZ BAŃKA / MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

PROBLEMY Z EKSPANSJĄ

Nowe obserwacje nie pasują do tego, co wiemy o kosmosie. Astronomiczna pomyłka czy zapowiedź naukowej rewolucji?

SEBASTIAN J. SZYBKA

EDWIN REMSBERG / VWPICS / GETTY IMAGES

Namibia – biwak pod Drogą Mleczną, marzec 2020 r.

Wszechświat nie jest niezmienny. Galaktyki oddalają się od siebie wskutek ekspansji przestrzeni. Chociaż Einstein twierdził, iż nikt w to nie uwierzy (był on początkowo zwolennikiem tezy, że wszechświat jest statyczny), to oswoiliśmy się z myślą, że żyjemy w świecie, który nie jest budowlą o niezmiennej architekturze. Idea dynamicznego wszechświata wkroczyła do literatury, kina, seriali telewizyjnych, gier komputerowych. Przywykliśmy do niej.

Fundamentalne prawo kosmologii mówi, że prędkość, z jaką oddalają się od nas stosunkowo nieodległe galaktyki, jest proporcjonalna do ich odległości od nas. Relację tę zadaje jeden parametr, tzw. stała Hubble'a (od niedawna, w imię sprawiedliwego uznania naukowych zasług, określa się ją mianem stałej Hubble'a-Lemaître'a). Przemnażając ją przez odległość do danej galaktyki, otrzymujemy prędkość, z jaką ta galaktyka się od nas oddala. Co ciekawe, prędkość ucieczki galaktyk zmienia się wraz z ewolucją wszechświata. Stała Hubble'a-Lemaître'a nie jest tak naprawdę stała, lecz my jej wartość będziemy zawsze rozważać w odniesieniu do chwili obecnej.

Stała Hubble'a-Lemaître'a

Oszacowanie wartości stałej Hubble'a-Lemaître'a jest jednym z podstawowych problemów astronomii. Pierwsze nieśmiałe próby, podjęte na początku XX w., obarczone były wielkimi błędami. Kosmologię, jako dział nauki, traktowano zaś z przymrużeniem oka: bo cóż to za model wszechświata, którego najważniejszy parametr znany jest tylko co do rzędu wielkości? Mijały lata. Niebywały postęp technologiczny sprawił, iż kosmologia obserwacyjna nabrała precyzji. Współczesna astronomia zna kilkadziesiąt metod pozwalających na oszacowanie tej stałej. Niektóre z nich opierają się o pomiary prędkości ucieczki galaktyk, lecz są i inne. Ponieważ stała Hubble'a-Lemaître'a to jeden z parametrów definiujących standardowy model kosmologiczny (świat wyłonił się w nim z Wielkiego Wybuchu), to od jej wartości zależy ewolucja całego wszechświata – można więc ją oszacować podpatrując, jak wszechświat się zmieniał. Do 2013 r. wszystkie metody zdawały się wskazywać tę samą wartość. Chociaż wyniki różnych zespołów nie były dokładnie takie same, to jednak mieściły się w granicach błędów pomiarowych.

Astronomowie udoskonalali jednak metody obserwacji. Sto lat ciężkiej pracy zaowocowało prawdziwą niespodzianką. W 2019 r. stało się jasne, że niewielka rozbieżność wyników różnych grup nie bierze się z błędów pomiarowych. Obserwacje późnego wszechświata, czyli takie, w których stałą Hubble'a-Lemaître'a wyznacza się z odległości i prędkości nieodległych galaktyk, sugerowały wyższą wartość tej stałej (pomijając jednostki: 73) niż obserwacje, które dotyczyły wczesnego wszechświata (z tych wynika wartość 67). Każda z grup badawczych twierdziła, że liczby te są znane z dokładnością do jednego miejsca po przecinku.

Drabina kosmicznych odległości

Od Wielkiego Wybuchu upłynęło prawie 14 miliardów lat. Żyjemy w późnym wszechświecie. Epoka ta rozciąga się na miliardy lat, lecz w kontekście stałej Hubble'a-Lemaître'a najciekawsze są czasy nam bliższe. Światło podróżuje ze skończoną prędkością, dlatego obserwacja zjawisk, które miały miejsce względnie niedaleko, oznacza, że zaszły one stosunkowo niedawno.

Standardowa procedura wyznaczania stałej Hubble'a-Lemaître'a polega na pomiarach odległości i prędkości ucieczki galaktyk. Jeśli pominąć „ruchy własne" galaktyk, wynikające z wzajemnych oddziaływań grawitacyjnych, i wziąć pod uwagę tylko takie galaktyki, które nie są zbyt odległe w skali kosmologicznej, to stosunek prędkości do odległości powinien dać tę samą liczbę: stałą Hubble'a-Lemaître'a.

Pomiar prędkości obiektów astronomicznych nie nastręcza wielkich trudności, ponieważ światło oddalających się od nas źródeł zmienia swój kolor. Podobne zjawisko odpowiedzialne jest za zmianę dźwięku mijającej nas karetki: można sobie wyobrazić, że jeżeli źródło jakiejkolwiek fali oddala się od nas, to fala owa staje się wskutek tego „rozciągnięta". W przypadku dźwięku oznacza to, że syrena brzmi niżej (ponieważ większej długości fali odpowiadają ↦

niższe dźwięki), gdy karetka mija nas i zaczyna się od nas oddalać. W przypadku światła dochodzi do „przesunięcia ku czerwieni".

Prawdziwą trudność stanowi pomiar odległości, bo trzeba go wykonać, nie ruszając się z miejsca! Na przestrzeni ostatnich stu lat astronomowie opracowali tzw. drabinę kosmicznych odległości. Jest to szereg uzupełniających się wzajemnie metod, dzięki którym, szczebel po szczeblu, znajomość odległości do obiektów bliższych umożliwia kalibrację metod pozwalających wyznaczyć odległości do obiektów dalszych.

Pierwszy szczebel tej drabiny wykorzystuje zjawisko paralaksy. Znamy je bardzo dobrze z życia codziennego – zamykając na przemian prawe i lewe oko, obserwujemy pozorną, zależną od odległości, zmianę położenia obiektów. Ważny szczebel z końca drabiny odległości to z kolei świece standardowe: obiekty astronomiczne, których jasność absolutną można odgadnąć – tak jak odczytuje się jasność żarówki z informacji na opakowaniu. Na podstawie zaobserwowanej jasności jesteśmy więc w stanie dość dobrze ocenić dzielącą nas odległość. Do pomiarów odległości szczególnie dobrze nadaje się pewien typ supernowych – czyli eksplozji gwiazd – zwanych supernowymi Ia.

Drabina kosmicznych odległości zbudowana została w oparciu o olbrzymią ilość obserwacji astronomicznych. Jeśli jednak choć jeden z jej szczebli został wyznaczony niedokładnie, to wszystkie kolejne również będą nieprecyzyjne.

Dwie epoki, dwie wartości

Wczesny wszechświat to epoka bliska początkom, narodzinom czasu i przestrzeni, czyli Wielkiemu Wybuchowi. Właściwie dopiero w XXI w. nauczyliśmy się mierzyć wartość stałej Hubble'a-Lemaître'a w chwili obecnej w oparciu o dane pochodzące z wczesnego wszechświata.

Dla kosmologa jednym z najcenniejszych źródeł informacji o wszechświecie jest tzw. kosmiczne promieniowanie tła. Ta poświata po Wielkim Wybuchu jest tej samej fizycznej natury co zwykłe światło czy fale radiowe, a jej istnienie to dowód na to, że wszechświat był kiedyś gęsty i gorący. Promieniowanie tła zostało wyemitowane około 380 tys. lat po Wielkim Wybuchu. Chociaż równomiernie wypełnia całą przestrzeń, to bardzo dokładne pomiary prowadzone za pomocą satelitów wykazały istnienie drobnych niejednorodności. W obserwowanych odstępstwach od wartości średniej zakodowana jest informacja o pierwotnych zaburzeniach gęstości wczesnego wszechświata oraz jego ewolucji. A ta, jak wiemy, zależy od stałej Hubble'a-Lemaître'a – dlatego na podstawie analizy niejednorodności promieniowania tła można tę stałą wyznaczyć.

Obserwacje promieniowania tła nie są jedynym źródłem wiedzy o wczesnym wszechświecie – wartość stałej Hubble'a-Lemaître'a wyznaczona na podstawie danych z tej epoki jest więc dość dobrze znana. Rzecz w tym, że uzyskana przez badaczy młodego wszechświata liczba jest sprzeczna z wartością wyznaczoną na podstawie obserwacji z „naszej" epoki.

Jeśli dane obserwacyjne z późnego i wczesnego wszechświata zostały zinterpretowane poprawnie, to nasze wyobrażenia na temat ewolucji wszechświata wymagają radykalnej rewizji, a astronomowie zaangażowani w opisywane tu badania mogą marzyć o Nagrodzie Nobla. Jeśli natomiast niezgodność ma charakter bardziej „techniczny" i wynika, przykładowo, z nadmiernego optymizmu przy szacowaniu błędów, to trzeba zakasać rękawy i powrócić do pracy.

W ciągu ostatnich kilku lat napisano setki prac dotyczących niezgodności oszacowań stałej Hubble'a-Lemaître'a. Problem ten nazywany jest czasem „konfliktem Hubble'a" (ang. *Hubble tension*). Żadne z zaproponowanych rozwiązań nie zostało powszechnie zaakceptowane. Aby zrozumieć, jak naukowcy próbują sobie radzić w podobnych przypadkach, należy sięgnąć do podstaw metody naukowej.

Teoria i model

Pojęcia teorii i modelu często są ze sobą mylone. Różnicę pomiędzy nimi łatwo zrozumieć na podstawie analogii do klocków. Teoria to zestaw klocków. Dostarcza ona elementów, z których buduje się model. W skalach astronomicznych kluczowe są oddziaływania grawitacyjne, więc model wszechświata należy skonstruować w ramach teorii Einsteina – najlepszej znanej nam obecnie teorii grawitacji, dla której nie istnieje poważna konkurencja. Z modelu wynikają pewne przewidywania, które porównywać można z rzeczywistymi obserwacjami. Czasem pojawiają się między nimi niezgodności – które mogą mieć różne przyczyny.

Często okazuje się, że niezgodności są pozorne. Stała Hubble'a-Lemaître'a już raz była źródłem podobnych problemów. Wiek wszechświata obliczany na podstawie pierwszych nieprecyzyjnych pomiarów tej stałej był mniejszy niż oszacowany przez geologów wiek Ziemi. Ostatecznie okazało się, że dziesięciokrotnie przeszacowano wartość stałej Hubble'a-Lemaître'a, ponieważ grupy gwiazd pomylono z pojedynczymi obiektami. Przykłady tego typu można mnożyć – nie tylko z dziedziny kosmologii. We wrześniu 2011 r. eksperyment OPERA przedstawił wyniki świadczące o tym, że cząstki zwane neutrinami poruszają się szybciej niż światło. Wynik trafił na pierwsze strony gazet. Jeśli okazałby się prawdziwy, to nasze teorie fizyczne wymagałyby drastycznych zmian. Badacze przez pół roku nie potrafili wskazać błędu w swoim eksperymencie. Winna okazała się niedopchnięta wtyczka.

Drugi możliwy scenariusz to sytuacja, w której niezgodność obserwacji z modelem wynika z niedokładności modelu. Przykładowo, w pierwszej połowie XIX w. model Układu Słonecznego skonstruowany w ramach teorii grawitacji Newtona zakładał istnienie siedmiu planet (obiektów spełniających współczesną definicję planety). Precyzyjne obserwacje Urana pokazały, iż nie porusza się on zgodnie z przewidywaniami modelu. W 1846 r. Urbain Le Verrier wyliczył, iż model Układu Słonecznego może zostać uratowany, jeśli uzupełni się go o dodatkową planetę. Planeta ta zaburzałaby trajektorię Urana. Niedługo później astronomowie, posługując się przewidywaniami Le Verriera, odkryli Neptuna.

Najciekawszy przypadek to ten, w którym niezgodnościom pomiędzy modelem a obserwacjami nie można zaradzić, nie zmieniając teorii. W 1859 r. ten sam Urbain Le Verrier, który 13 lat wcześniej przewidział istnienie Neptuna, zauważył, że ruch Merkurego wokół Słońca również nie pokrywa się z przewidywaniami modelu – i zasugerował istnienie dodatkowej planety, tym razem krążącej jeszcze bliżej Słońca niż Merkury. Bądź co bądź, analogiczna propozycja już raz doprowadziła go do błyskotliwego odkrycia. Chociaż planeta ta otrzymała nawet swoją nazwę – Wulkan – to nikt jej nigdy nie zaobserwował, a na rozwiązanie zagadki trzeba było zaczekać ponad pół wieku. To teoria Newtona, w ramach któ-

rej zbudowano model, zawiodła. Drobna niezgodność z obserwacjami okazała się zapowiedzią einsteinowskiej rewolucji, a jej wyjaśnienie wymagało dramatycznych zmian w naszym pojmowaniu czasu i przestrzeni. Trajektoria Merkurego wyliczona w ramach teorii grawitacji Einsteina jest zgodna z obserwacjami. Przyroda nie pozwala się nam nudzić. Ten sam model, podobna niezgodność, co w przypadku Urana, a drastycznie inne rozwiązanie.

Narodziny nowego paradygmatu

Wydaje się, że niejednoznaczność pomiarów stałej Hubble'a-Lemaître'a nie może mieć tak prostego wytłumaczenia, jak nadświetlne neutrina w eksperymencie OPERA. Jest ona widoczna w wielu niezależnych analizach. Jeśli wina leży po stronie obserwatorów, to wynika raczej z jakiegoś błędnego założenia.

Jeśli błędny jest model kosmologiczny, to nie wiemy, jak go naprawić. W ciągu dwóch ostatnich lat pojawiło się wiele pomysłów pozwalających złagodzić napięcia wewnątrz modelu. Trudność polega na tym, żeby lekarstwo samo nie wywoływało nowej choroby. Standardowy model kosmologiczny jest testowany obserwacyjnie od kilkudziesięciu lat, a każda jego modyfikacja powinna pozostawać w zgodności z wszystkimi wcześniejszymi obserwacjami. Mnogość obserwacji powoduje, że trudno zweryfikować, czy nowy pomysł, zanim zostanie ogłoszony publicznie, jest zgodny z wszystkimi istniejącymi danymi. Stąd duża liczba pomysłów nie przełożyła się jak dotychczas na realne rozwiązanie.

Jeśli natomiast przyczyna niezgodności kryje się w teorii grawitacji Einsteina, to sytuacja jest jeszcze bardziej poważna. Nowa teoria musi być zgodna nie tylko z tym, co wiemy na temat kosmologii, ale z całą naszą wiedzą na temat grawitacji. Za czasów Le Verriera, gdy pojawiły się problemy z trajektorią Merkurego, nie znano rozsądnej alternatywy dla teorii grawitacji Newtona. Podobnie dzisiaj nie mamy rzeczywistej alternatywy dla teorii grawitacji Einsteina. Jedyne, co potrafimy zrobić, to na wzór XIX-wiecznych naukowców zaproponować modyfikacje istniejącej teorii. Historia nauki nie zachęca do takich prób. Strategia ta przeradza się przeważnie w „łatanie dziur" w konstrukcji, która wymaga głębokiej przebudowy.

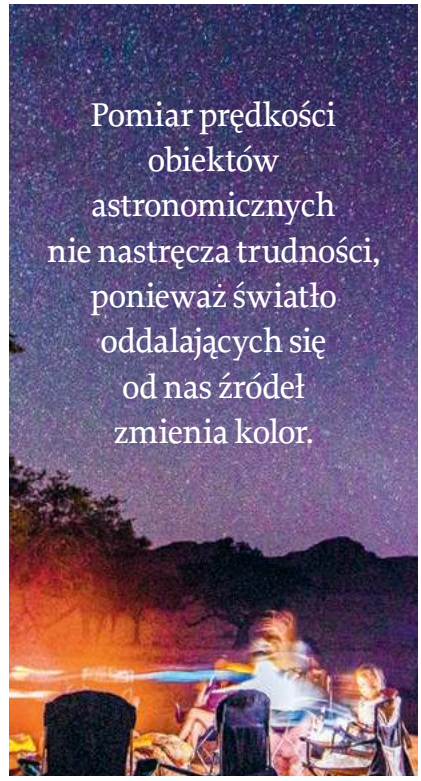

W XIX w. wykazano, że zmodyfikowana teoria grawitacji Newtona dobrze odtwarza problematyczną trajektorię Merkurego. To odkrycie nie przybliżyło jednak badaczy do prawdy. Rzeczywiste rozwiązanie problemu wymagało odkrycia (stworzenia) całkowicie nowej teorii. Sięgając w głąb historii kosmologii, natrafimy na jeszcze inną ilustrację tej samej zasady. Przez dwa tysiące lat dominującym modelem kosmologicznym był model geocentryczny. Wzrastająca precyzja obserwacji wymuszała kolejne modyfikacje modelu, który ostatecznie stał się wyrafinowaną, złożoną i całkiem nieźle funkcjonującą strukturą matematyczną, opartą jednak na zbyt uproszczonym rozumieniu kosmosu. Próby modyfikacji niektórych podstawowych zasad nie mogły tego faktu zmienić. Prawdziwy postęp wymagał nowego paradygmatu. Teoria Newtona nie jest modyfikacją fizyki arystotelesowskiej, tak jak teoria Einsteina nie jest modyfikacją teorii Newtona.

Pomyłka czy rewolucja?

Pomimo niezaprzeczalnych trudności istnieje nadzieja na rozwikłanie zagadki stałej Hubble'a-Lemaître'a. W 2015 r. po raz pierwszy dokonano detekcji fal grawitacyjnych. Fale grawitacyjne to zmarszczki czasu i przestrzeni. Obecnie rutynowo obserwuje się takie fale pochodzące ze zderzeń czarnych dziur lub gwiazd neutronowych. Szczególnie interesujące są zdarzenia, w których oprócz fali grawitacyjnej udaje się zaobserwować samo zderzenie przy użyciu innych metod, np. za pomocą zwykłego teleskopu. Takie podwójne detekcje otwierają przed astronomami zupełnie nowe możliwości, pozwalając m.in. na bezpośrednie oszacowanie odległości, w której została wygenerowana fala grawitacyjna. Tym samym umożliwiają pomiar stałej Hubble'a-Lemaître'a bez konieczności odwoływania się do drabiny kosmicznych odległości. Jeśli zmierzona w ten sposób wartość stałej okaże się zgodna z pomiarami pochodzącymi ze wczesnego wszechświata, to problem niezgodności pomiarów zostanie rozwiązany. W takim przypadku jako przyczynę wcześniejszych trudności będzie można wskazać błędne oszacowanie odległości w późnym wszechświecie. W chwili obecnej znamy tylko jedno takie zdarzenie, zarejestrowane w 2017 r. Wiarygodne oszacowanie wartości stałej Hubble'a-Lemaître'a za pomocą tej metody wymaga większej liczby podwójnych detekcji. Mamy nadzieję dokonać ich w niedługim czasie dzięki udoskonalonym detektorom fal grawitacyjnych.

Ekspansja wszechświata nie pierwszy raz wzbudza wielkie zainteresowanie. Ponad dwadzieścia lat temu wykazano, że tempo ekspansji wszechświata obecnie wzrasta. Za pomiar zmian tempa ekspansji przyznano w 2011 r. Nagrodę Nobla. Nie spodziewano się wtedy, że oszacowanie samego tempa ekspansji stanie się źródłem problemów.

W potocznym języku słowo „problem" niesie w sobie negatywne emocje. W nauce sytuacja wygląda inaczej. Najgorsza jest stagnacja – gdy dostępne dane pasują do naszych niedoskonałych teorii i modeli, gdy przyroda skąpi podpowiedzi, a nam brakuje narzędzi, by przyglądnąć się jej lepiej i pójść o krok dalej. Jak rzekł Einstein, pośród trudności czai się okazja. Jest wielce prawdopodobne, że rozbieżności w pomiarze stałej Hubble'a-Lemaître'a wynikają z nadmiernego optymizmu astronomów co do dokładności własnych pomiarów. Mimo to problemy z ekspansją wszechświata wzbudzają przyjemnie drażniącą niepewność – może to zarzewie naukowej rewolucji? © SEBASTIAN J. SZYBKA

HANNA

Krall:
Parę słów
(Sceny rocznicowe z dygresjami)

Zadzwonił, chce przyjść.

Dobrze, że już telefon miałam. Dawniej wpadał bez uprzedzenia i jak nie było mnie w domu, zostawiał kartkę w drzwiach. Że ma sprawę. Ma pomysł. Ma cytryny. Nic nie ma, tylko trzeba pogadać.

Przyniosłam popielniczkę. Niepotrzebnie, okazało się. Przyrzekł córce, że nie będzie palił.

Wyjął z regału kilka książek i ułożył na stole w spory stosik. Nie lubię pożyczania książek, poprosiłam, żeby odstawił. Odstawiał akuratnie, każdą na swoje miejsce. Głupio mi się zrobiło, człowiek przecież szedł do szpitala. No dobra, to weź, tylko tam nie zostawiaj. A nie, rozmyślił się, zawziął, nie weźmie.

Nie to nie.

Przyniosłam kawę.

Za biała, za dużo mleka.

Odniósł do kuchni, połowę wylał do zlewu.

Do zlewu! Neskę Gold! Z Paryża przyjechała, od Gorbaniewskiej, jak możesz!

Nie była to prawda, Natasza już nie przysyłała kawy. Ani koniaku. Ani zdjęć synów, ani książek. Wszystko przywoził kiedyś zaufany człowiek. Niespecjalnie mu ufałam i dałam to Nataszy do zrozumienia. Obraziła się, zamilkła. Zdaje się, że bardzo się lubili z zaufanym człowiekiem. Było mi przykro.

Jakie książki wyjmował?

Camusa. Sonety Szekspira – w związku z „Ryszardem III" zapewne, miał zamiar go reżyserować. Co jeszcze? Wiem, z których półek wyjmował, ale stoją tam inne książki. Pod ręką miałby teraz wiersze, na przykład amerykańskie. Mógłby sobie coś wybrać. Reznikoffa, poezję faktu, w sam raz dla niego. Co zdarzyło się w autobusie, w pralni, w metrze, za ścianą, co windziarz, co sprzątaczka. Albo Ginsberga, Ciotkę Rose, moją ulubioną. Z kościstymi biodrami i krótszą lewą nogą w ciężkim bucie, zbierającą datki na wojnę hiszpańską. Nie było ich wtedy na mojej półce. Ale i on już nie był od windziarzy i sprzątaczek.

Jeszcze o Nataszy Gorbaniewskiej. Spotkałyśmy się we Wrocławiu na finale Angelusa, była przewodniczącą jury. Rozmawiałyśmy przez cały bankiet, głównie o znajomych. O Sierioży, że świetnie przetłumaczył „Cesarza". (Szukam go w internecie. Pod hasłem Siergiej Łarin są – menedżer piłkarski, prawosławny biskup i rosyjski piosenkarz). O Gali, wspólnej naszej przyjaciółce – że dobrze wygląda. To od niej, Gali Korniłowej, dowiedziałam się w sierpniu w sześćdziesiątym ósmym, że Natasza broni Czechosłowacji przed inwazją: siedzi na Placu Czerwonym na *łobnym miestie*. Na miejscu kaźni, na szafocie. Zanim milicja zwinęła ósemkę demonstrantów, broniła ich przed radzieckimi ludźmi. To nie była bojówka. To byli zwyczajni ludzie, którzy stali w kolejce do mauzoleum Lenina. Zobaczyli hasła, polskie „Za naszą i waszą wolność", które przyniosła Natasza, i rzucili się do bicia. Nataszę chciała uderzyć kobieta z awośką, siatką z zakupami (od *awoś* – a nuż coś do sklepu rzucą). Natasza była z małym dzieckiem, więc kobieta starała się splunąć na nią.

Nie, o tym na bankiecie nie rozmawiałyśmy, wiedziałam, że Natasza nie lubi tego wspomnienia.

Dobrze, że z nią pogadałam. Normalnie, jak kiedyś. Że zdążyłam.

Tadeusz Wojdat, proboszcz największego ursynowskiego kościoła, przywołał go w kazaniu. Bo spytał panią... tu padło moje nazwisko, czy wierzy w Boga. Odpowiedziała, że to Bóg w nią uwierzył, co jest być może jeszcze ważniejsze.

Dalszy ciąg kazania był o Bogu, który wierzy w człowieka, i co z tego wynika dla nas.

Nie mam pojęcia, skąd ksiądz wiedział o naszej rozmowie. Miałam spytać, ale ksiądz już nie żyje.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet
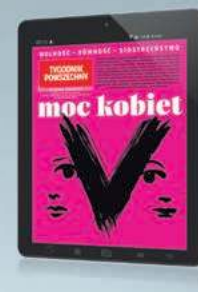

Było to na wsi, nad Narwią. Siedzieliśmy na leżakach i przeglądaliśmy dialogi do „Dekalogu". Ktoś pytał o Boga, ktoś odpowiedział – krótko, za krótko według mnie.

A jak powinien odpowiedzieć? Ty na przykład jak byś odpowiedziała?

Nie wiem, nigdy nikt mnie o to nie pytał.

A wierzysz w Boga?

Zdjął okulary, jakby bez okularów miał lepiej usłyszeć odpowiedź.

W chacie ze starych bali miałam malować drzwi. Na drzwiach było kilka warstw farby olejnej, najstarsza sprzed sześćdziesięciu lat. Należało ją zdjąć i oczyścić drewno.

Przywiózł mi narzędzia – opalarkę, szlifierkę i dłutko.

Udzielił rad.

Opalarkę powinnam trzymać w lewej, a dłutko w prawej ręce. Opalarką nie powinnam się oparzyć, dłutkiem nie wolno mi podważać farby za głęboko. Z wyczuciem trzeba, żeby drewna nie drasnąć. To samo ze szlifierką. Z wyczuciem, bo można zrobić nierówność. Malować czym będziesz, wałkiem czy pędzlem? On osobiście wolał pędzel, wałek to łatwizna...

Nie znałam go w tej roli, fachowca od remontu starych chałup.

Opowiedziałam mu o młodym poecie nowozelandzkim na stypendium w Iowa. Patrzył na mnie rozanielonym wzrokiem, bo przeczytał gdzieś, że się przyjaźnimy.

Opowiedziałam mu o studencie, synu dyrektora opery lipskiej. Chciał być moim niemieckim kierowcą, bo czytał gdzieś...

Opowiedziałam o kinie w Rio de Janeiro, na peryferiach miasta. Kolejka do kas stała przez miesiąc, dzień w dzień, grali „Krótki film o miłości".

Wiesz może, co oni widzą w tych twoich filmach?

Może siebie. Nie przyszło ci to do głowy?

Jakoś nie.

Bolało go gardło.

Był niespokojny, jak się rozchoruje, nie zrobią mu operacji.

Spytał, czy mam oscilo... coś tam, oboje wierzyliśmy w to lekarstwo.

Miałam. Dałam mu.

Po co?

Jakby się rozchorował, może by operacji nie było.

Podrzucił mnie na pocztę. Nie było daleko, mogłam pieszo iść. Nie, nie, podwiezie mnie, ma nowy fantastyczny silnik.

Rzeczywiście, ruszył z parkingu jak rakietą z wyrzutni. Wgniotło nas w fotele, wrzasnęłam, żeby się nie wygłupiał.

Ach, jaki był zadowolony z siebie.

Była sobota, dziewiąty marca.

W poniedziałek poszedł do szpitala.

W środę zadzwonili z gazety. Poprosili o wspomnienie. Krótkie, parę słów. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Z ODDECHEM

KONIEC EPOKI DYSTANSU

Obiektywizm, neutralność, bezstronność – tajemne moce dotychczas gwarantujące powodzenie na społecznym polu walki przestają działać. Dlaczego?

MACIEJ JAKUBOWIAK

JUSTIN SULLIVAN / GETTY IMAGES

Wyobraźmy sobie, że po wielu miesiącach przymusowego postu znów siedzimy w restauracji w towarzystwie ulubionej osoby i zastanawiamy się, co wybrać: gnocchi z pesto jarmużowym czy kotleciki z boczniaka na ziołowym purée. „I na co się zdecydujesz?" – pyta ta osoba, pewnie z myślą o tym, że z naszego talerza coś skubnie. Wyobraźmy więc sobie, że na takie z gruntu niewinne pytanie odpowiadamy: „A co to znaczy decydować? I czemu właściwie pytasz?".

Moglibyśmy się tak odezwać z dwóch powodów. Pierwszy jest szlachetny: bo chcemy zrozumieć, co tu się dzieje. Jaki jest istotny sens sytuacji, w której się znaleźliśmy? Jakiego rodzaju rytuały tutaj odgrywamy? Czym jest komunikacja? Czy istnieje wolna wola? Ale jest i druga możliwość: że wcale nie chcemy tu jeść. Wtedy, wykorzystując repertuar pytań z poprzedniego akapitu, mnożymy wątpliwości i odwlekamy podjęcie decyzji, odsyłając coraz bardziej zniecierpliwionego kelnera aż do momentu, gdy kierownik sali uprzejmie poprosi nas o wyjście albo nasza ulubiona osoba zażąda separacji.

Niełatwo odróżnić jedną z tych motywacji od drugiej – brzmią przecież podobnie, chwilami nawet identycznie,

Monique Gray, uczestniczka demonstracji zorganizowanej po śmierci George'a Floyda, San Francisco, czerwiec 2020 r.

i mają podobne skutki, tak czy inaczej się nie najemy. Jeśli jednak cała ta sztuczka działa, to dlatego, że opiera się na dobrze ugruntowanym przekonaniu: nigdy nie zaszkodzi zrobić kroku wstecz i przyjrzeć się sprawom z dystansu.

Znamy te numery

Literaturoznawca i filozof Timothy Morton w książce „Hyperobjects" (2013) twierdzi: „Przez dwieście lat odgrywanie inteligencji polegało na mówieniu czegoś w rodzaju: »Jestem od ciebie mądrzejszy do tego stopnia, że potrafię spoglądać ponad zwykłymi przedmiotami albo przejrzeć twoje naiwne nastawienie«. Posiadanie racji w filozofii w większości wypadków oznaczało zajęcie pozycji meta". Teraz to już jednak przeszłość. Uprzywilejowana pozycja zdystansowanego obserwatora – przekonuje Morton – jest dzisiaj nie do utrzymania.

W głównej mierze odpowiada za to kryzys klimatyczny. Sprawia on, że nie da się już wskazać takiego miejsca, które nie sytuowałoby się w obrębie świata dotkniętego globalnym ociepleniem – każde stanowisko i każde działanie wlicza się do całościowego rachunku energetycznego. Ale ważna jest też praktyczna kwestia, która ujawniła się przy okazji ↦

↦ dyskusji o klimacie (pisali o niej Naomi Oreskes i Erik M. Conway w książce „Merchants of Doubt" z 2010 r.) – mnożenie wątpliwości, kojarzone dotąd z bezinteresownym poszukiwaniem prawdy, stało się narzędziem w rękach tych osób i instytucji, którym zależało na odwleczeniu, najlepiej do świętego nigdy, działań mogących ograniczyć emisję dwutlenku węgla – oraz związany z nią gigantyczny biznes.

Nie z nami te numery – twierdzi Morton i dodaje: „Ci, którzy ze swoich wysokich wież spoglądają na nas, biednych naiwniaków na nizinach, sądząc, że potrafią wszystko przejrzeć, łudzą się najbardziej". O tym, jak trafna jest ta diagnoza, można się było przekonać w Polsce ubiegłego lata, kiedy najpierw wybuchły protesty po aresztowaniu Margot, a później rozpoczęły się masowe protesty kobiet. Stało się wtedy jasne, że komentowanie wydarzeń z chłodnego dystansu przestało być niewinne, a radykalne hasła wykrzykiwane podczas demonstracji kierowane są nie tylko pod adresem rządzącej prawicy, ale także umiarkowanych, przyzwyczajonych do tego, żeby raczej mnożyć wątpliwości, niż działać pochopnie.

Rok 2020, kiedy na przekór lockdownowi wszystko gwałtownie przyspieszyło, był pewnie przełomowy, ale przecież daje się to odczuć już od dłuższego czasu. Obiektywizm, neutralność, bezstronność, dystans – wszystkie te tajemne moce dotychczas gwarantujące powodzenie na społecznym polu walki – przestają działać. I na niewiele się tu zdadzą liczne zaklęcia – „wojna kulturowa", „konflikty plemienne", „polityka tożsamości", „kultura unieważniania" – jakimi próbuje się zaklinać zmieniającą się rzeczywistość.

Dla mediów prawda nigdy nie była celem samym w sobie, lecz co najwyżej surowcem. Jeśli więc teraz są bardziej stronnicze niż przed półwieczem, **to dlatego, że bardziej im się to opłaca.**

Dosłownie

Najłatwiej to dostrzec w języku. Hasło, które jeszcze wiosną, podczas kampanii prezydenckiej, niektórym wydawało się zbyt radykalne: „***** ***" – zaledwie kilka miesięcy później stało się jednym z dwóch głównych zawołań największej fali protestów w najnowszych dziejach Polski. Przekleństwa – naładowane emocjami, agresywne, otwarcie wrogie – stanowiły dotąd przeciwieństwo cywilizowanego zdystansowania. O tej zasadzie próbowały przypominać głosy niektórych publicystów nawołujące do umiarkowania. Odpowiedzią na nie były hasła w rodzaju „Uprzejmie prosimy uciekać prędziutko" – choć czasem można było odnieść wrażenie, że to raczej ruch wykonywany po to, by zdemontować uwewnętrzniony nakaz zachowywania dystansu.

Podobny proces dotyka struktur wyższego rzędu: fikcji, autonomii sztuki (poważnie nadkruszonej na fali ruchu #MeToo), ironii – wzorcowej figury dystansu – oraz satyry. W jednym z esejów z tomu „Czuły narrator" Olga Tokarczuk nazywa to zjawisko literalizmem i przeciwstawia je czemuś, co nazywa „krainą Metaksy" – rezerwuarowi mitów, archetypów, postaci, metafor, toposów, symboli i opowieści. Przede wszystkim jednak kraina Metaksy, jak już sugeruje jej nazwa zawierająca kluczowe tu słówko „meta", jest bezpieczną przestrzenią, w której literalne pytanie „co?" zmienia się – jak podczas naszego obiadu w restauracji – w złożone „jakie to ma znaczenie?".

Jeśliby jednak sprowadzić metaforę Metaksy na ziemię (czy to oznacza jej zliteralizowanie? być może), dałoby się ją pewnie utożsamić z czymś, co francuski socjolog Pierre Bourdieu nazywał „kapitałem kulturowym" – zasobem wiedzy i kompetencji dotyczących właśnie mitów, archetypów i metafor. Dostęp do niego uzależniony jest zwykle od innego rodzaju kapitału – tego całkiem (znów literalizm!) dosłownego. Gdyby w ten sposób przeczytać esej Tokarczuk, okazałoby się, że ta okropna choroba literalizmu jest w gruncie rzeczy bronią ubogich – czy na inny sposób dyskryminowanych – którzy nie mają dostępu do dziedzictwa globalnej kultury, więc korzystają z tego, co mają akurat pod ręką. Dosłowności (np. w rozumieniu zapisów prawa – bo co innego pozostaje, kiedy nie można sobie pozwolić na skorzystanie z usług prawnika?). Albo dosadności.

Koniec milczenia

Proszę mnie źle nie zrozumieć: sam uwielbiam pławić się w wątpliwościach. Ta sytuacja z restauracją? Robię tak regularnie. Zresztą mało brakowało, a nie powstałby ten tekst – tak wiele miałem zastrzeżeń. I skoro już go piszę, to też dlatego, żeby o kryzysie dystansu opowiedzieć z dystansu, bo jak inaczej opowiadać?

Nie da się jednak nie zauważyć, że zajmowanie pozycji dystansu jest przywilejem, na który mało kto może sobie jeszcze pozwolić. To nie przypadek, że przesilenie dokonuje się za sprawą protestów w obronie praw kobiet i osób LGBTQ+, a w Stanach Zjednoczonych ruchu Black Lives Matter. Grupy dyskryminowane, usiłując wywalczyć dla siebie pełnię praw obywatelskich, nie mają właściwie innego wyboru, jak tylko naruszać aktualny porządek – właśnie ten, który takiej pełni im odmawia. Nie mogą sobie pozwolić na ironiczny dystans, bo żartować z samych siebie mogą ci, którym nic nie grozi (a dopytywać o pozycje w menu ci, którym nie burczy w brzuchu).

To dlatego przyczyn, dla których pozycja neutralnego komentatora przestaje być przekonująca, należałoby raczej upatrywać w rozwoju ruchów emancypacyjnych, a nie – jak często się powtarza – w powstaniu mediów społecznościowych. Pewnie, modele biznesowe takich platform jak Facebook opierają się na emocjonalnym zaangażowaniu użytkowników. Jednak tę zależność można też odwrócić: to skumulowana społeczna energia, która za sprawą internetu wreszcie znalazła dla siebie ujście, umożliwiła sukces Marka Zuckerberga. Tak czy inaczej, komunikacyjne przyspieszenie sprawiło, że abstrahowanie od społecznej różnorodności przestało być możliwe.

Zresztą zapowiedzi kryzysu pojawiały się już wcześniej. Mniej więcej wtedy, gdy Martin Luther King wygłaszał swoje słynne słowa: „U kresu będziemy pamiętać nie słowa naszych wrogów, lecz milczenie naszych przyjaciół", rozwijał

się postmodernizm – najbardziej wyrafinowane estetycznie wcielenie zasady dystansu, jej łabędzi śpiew, a zarazem gwóźdź do trumny. Pisarze, intelektualiści i filozofowie, badając wydolność metajęzyka, jednocześnie dowodzili, że ten właściwie nie istnieje. A gdyby poskrobać bardziej, to pierwsze poważniejsze symptomy dałoby się znaleźć już w początkach XX wieku. Prawdę mówiąc, cały ten dystans zawsze był delikatną konstrukcją.

Przyczyn, dla których pozycja neutralnego komentatora przestaje być przekonująca, należałoby upatrywać **w rozwoju ruchów emancypacyjnych,** a nie powstaniu mediów społecznościowych.

Inne prawdy

Pewnie dlatego tak łatwo się go dzisiaj rozmontowuje. Co najmniej dwóm stuleciom rozwoju nowoczesnej metodologii naukowej towarzyszył mit o naukowcach, którzy dzięki heroicznej obojętności (z jaką np. mordują setki szczurów w laboratoriach albo przeprowadzają próby jądrowe) zyskują uprzywilejowany dostęp do prawdy. Miało to być gwarantem, że wiedzy o świecie nie skalają ani subiektywizm, ani ideologia. Jednak tak wyśrubowanym wyobrażeniom nie sposób sprostać, a każdy kolejny dowód na związki naukowców z jakąś grupą interesu (przemysłem farmaceutycznym, sektorem militarnym, rządami państw) nadkruszał wyidealizowany obraz nauki i dawał asumpt do snucia teorii spiskowych.

Tyle że mitologia badawczego dystansu niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, w której naukowcy są zwykłymi ludźmi. Nauka nie dysponuje żadnym uprzywilejowanym dostępem do prawdy, ale jeśli jej osiągnięcia okazują się solidne, to dlatego – jak przypomina w „Epoce człowieka" Ewa Bińczyk – że przez lata wypracowała kilka prostych zasad pozwalających w możliwie dużym stopniu ograniczyć wyniki fałszywe. Te zasady to: podwójna ślepa recenzja i powtarzalność wyników.

Czasem trudno to wyjaśnić. A czasem po prostu niewygodnie, szczególnie jeśli jest się humanistką. Chyba dlatego, gdy kilka lat temu prawica wraz z Kościołem katolickim przypuściły atak na „ideologię gender", badaczki i badacze pracujący na tym polu, zamiast przyznać wprost, że badania nad kulturową konstrukcją płci mają źródła światopoglądowe (tkwiące m.in. w rewolucji kontrkulturowej lat 60. zeszłego wieku) i cele (budowanie społeczności, która lepiej rozumie własną różnorodność), woleli ukryć się za wygodną opowieścią o bezstronności nauki. Ale to przecież nie mogło zadziałać w przypadku naukowczyń, które po zajęciach na akademii pisały feministyczne felietony. I nie zadziałało: „ideologia gender" wyewoluowała w „ideologię LGBT" i stała się kluczowym elementem kampanii Andrzeja Dudy.

Jeśli nauka potyka się o własne zdystansowanie, to co powiedzieć o dziennikarstwie? W reakcji na ataki prezydenta Donalda Trumpa liberalne media – z „New York Timesem" i „Washington Post" na czele – chętnie chroniły się za mitem bezstronnego dziennikarstwa, którego wyłącznym celem ma być służba prawdzie. Nie wszystkich to jednak przekonywało. W książce „Nienawiść sp. z o.o." amerykański dziennikarz Matt Taibbi twierdzi, że w pogoni za zyskiem media stworzyły przemysł podsycania nienawiści, który gwarantuje zwiększone zaangażowanie odbiorców, choć kosztem nieodwracalnych podziałów społecznych. Stając się tubą poszczególnych grup społecznych, porzuciły dawny etos dziennikarstwa, które ponad zysk i poklask miało cenić prawdę.

Jednak sam autor co rusz podrzuca argument – choć wcale go nie rozwija – który podważa tę logikę. Otóż dawniejsza – a właściwie ograniczona do kilku powojennych dekad – etyka dziennikarska, oparta na bezstronności i unikaniu emocjonalnego zaangażowania, nie wynikała z jakiejś nadzwyczajnej cnotliwości, lecz była skutkiem stosunkowo niewielkiej dostępności mediów, które w konsekwencji musiały zaspokajać oczekiwania wielu grup społecznych jednocześnie. Gdy jednak – za sprawą rozwoju telewizji, a potem internetu – media się cudownie rozmnożyły, tak że każda specyficzna grupa mogła korzystać z własnych – wtedy wszystko się zmieniło.

Dla mediów prawda nigdy nie była celem samym w sobie, lecz co najwyżej surowcem. Jeśli więc współcześnie są bardziej stronnicze niż przed półwieczem, to dlatego, że bardziej im się to opłaca. Zresztą w Polsce ten krótki moment w historii mediów, kiedy wytworzył się etos dziennikarskiego dystansu, po prostu nie zaistniał. I kiedy dziś redakcje praktycznie nie ukrywają swoich preferencji politycznych, przynajmniej nie musimy się otrząsać z mitu.

Kłopoty nauki i mediów odsyłają wreszcie do tego, jak rozumiemy prawdę. W epoce dystansu można było sobie pozwolić na założenie, że jest ona jedna, niepodzielna i tylko czeka na odkrycie. Dziś coraz lepiej zdajemy sobie sprawę z tego, że prawda jest efektem społecznych negocjacji. A ich kształt coraz mniej przypomina elegancki klub dżentelmenów, którzy nie spierają się o fakty.

Wolne żarty

Ten klub to nie tylko metafora. Odseparowane od codziennego zgiełku miejsca, w których wykształceni i pełni ogłady mężczyźni spotykają się, by powściągnąwszy emocje, wysłuchiwać swoich argumentów i wspólnie wykuwać rozwiązania godne oświeconego rozumu – służyły za praktyczny wzór tego, jak powinna wyglądać debata publiczna, kiedy mniej więcej pod koniec XVIII wieku wymyślano nowe kształty życia społecznego w Europie. Taki etos legł u podstaw większości nowoczesnych instytucji społecznych: nauki i prasy, rynku i literatury. Filozofowie pisali o oddzieleniu podmiotu od świata, pisarze praktykowali romantyczną ironię, a pierwsze pokolenia nowoczesnych konsumentów uczyły się, jak bez zbędnego pośpiechu wybierać pozycje z menu.

Jeśli ten model działał, to przede wszystkim dlatego, że był genialnym narzędziem umacniania *status quo*. Gwarantował, że spotkania klubu nie naruszą niepożądani petenci: kobiety, dzieci, służący, chłopi, poddani z kolonialnych ↦

↦ majątków, proletariusze itd. (precyzyjnie tę genealogię nowoczesnych instytucji rekonstruuje Agata Sikora w książce „Wolność, równość, przemoc"). Od samego światopoglądu ważniejsze było to, o czym rozmawiano najmniej: zamykane na klucz drzwi.

Kiedy dziś pomyśli się o tym, że ten model – oprócz tego, że umożliwił loty w kosmos i powieści Gustawa Flauberta – stał również za wyzyskiem kolonii oraz nieposkromioną eksploatacją zasobów naturalnych, chciałoby się krzyknąć po prostu „wypierdalać". Kłopot polega na tym, że w Polsce jednym z pierwszych, którzy wpadli na ten pomysł, był Jarosław Kaczyński. Całą strategię Prawa i Sprawiedliwości w ostatniej dekadzie dałoby się streścić jako kolejne przekroczenia zasady dystansu: od jawnego rozgrywania emocji po katastrofie smoleńskiej, przez otwarcie propagandową strategię medialną, antyszczepionkowe aluzje w kampanii prezydenckiej czy majstrowanie przy procedurach wyborczych, po zerwanie tzw. kompromisu aborcyjnego. Czy kogoś zszokowały „zdradzieckie mordy" i „kanalie" w ustach posła na Sejm? Nie powinny.

Najlepiej widać tę strategię w ataku Prawa i Sprawiedliwości na instytucję, dla której dystans jest fundamentalną zasadą – sądownictwo. Już od zdobycia władzy jesienią 2015 r. partia Kaczyńskiego metodycznie demontowała mit o bezstronności sędziów, a potem zaczęła instalować własnych funkcjonariuszy aparatu sprawiedliwości, którzy nawet nie musieli już niczego udawać.

Protesty w obronie wolnych sądów, choć pełne entuzjazmu, okazały się równie skuteczne, co badacze kulturowej konstrukcji płci twierdzący, że nigdy nie słyszeli o żadnej ideologii. Bo jeśli atak przypuszczony na sądownictwo mógł się powieść, to również dlatego, że już wcześniej mało kto kupował opowieść o bezstronności sędziów.

To nie Jarosław Kaczyński zamknął epokę dystansu, choć to właśnie on – kto by się tego spodziewał po niemłodym już inteligencie z Żoliborza? – najlepiej w Polsce wyczuł globalne nastroje. A jeśli opozycja okazuje się nieskuteczna w sporze z partią rządzącą, to dlatego, że nie zrozumiała charakteru dokonującej się zmiany. Dotyczy to nie tylko Platformy Obywatelskiej – od swoich początków uparcie wierzącej w polityczną sprawczość neutralności – ale też nowych formacji, Wiosny Roberta Biedronia czy ruchu Szymona Hołowni, który z praktykowania dystansu czyni sedno swojego programu politycznego.

Jasne, takie ruchy dysponują pewnym poparciem – żadna zmiana nie dokonuje się momentalnie i bezpowrotnie – ale wciąż znacznie mniejszym niż partia Kaczyńskiego. I to pomimo kolejnych afer – bo też wpadki mogą kompromitować tych, którzy się od nich zdystansują, ale pozostają nieszkodliwe dla tych, którzy dystans mają za nic.

Trudniej

Po końcu epoki dystansu dyskusje o świecie muszą się skomplikować. Kiedy nie sposób już fantazjować o bezpiecznej pozycji, na którą można by się wycofać, w spory trzeba wkładać więcej energii. Większego wysiłku wymaga np. wyjaśnianie, na czym polega przewaga nauki nad innymi sposobami zdobywania wiedzy, niż naśmiewanie się z nieuków, którzy nie chcą się szczepić.

Francuski filozof nauki Bruno Latour w eseju „Telling Friends from Foes in the Time of the Anthropocene" („Jak odróżnić wrogów od przyjaciół w epoce antropocenu") sugeruje, żeby na zarzuty tych, którzy uznają naukę za jakiegoś rodzaju lobby, odpowiadać nie umacnianiem mitu bezstronności, ale uczciwym postawieniem sprawy: „Oczywiście, że jest to lobby, lecz pokażcie nam, ilu was jest, skąd pochodzą wasze pieniądze. A skoro już o tym mowa, skoro oskarżacie nas o podleganie wpływom »ideologii«, wyłóżmy karty na stół: w jakim świecie wy żyjecie, gdzie, dzięki jakim zasobom, jak długo jeszcze, jaką przyszłość wyobrażacie sobie dla waszych dzieci, jaki rodzaj edukacji chcielibyście im zapewnić, jakie chcecie im pozostawić krajobrazy" (uzupełniony przekład Ewy Bińczyk).

Podobnie zamiast oburzać się na słowa, które naruszają dobry smak (to jeszcze jedno określenie ze słownika dystansu), moglibyśmy się skupić na poszukiwaniu języka, który poruszałby emocje, ale nie po to, by kogoś wykluczać, lecz by budować bardziej sprawiedliwe relacje. Media zamiast ukrywać swoje światopoglądowe uwarunkowania, mogłyby uczciwie je deklarować. Nie udawać bezstronności, lecz przyznawać, że próbują np. godzić oczekiwania umiarkowanych konserwatystów i progresywnych liberałów. Zmuszałoby to do większej przejrzystości, ale pozwalało też odróżniać – jeśli byłoby co odróżniać – ich agendę od programów partii politycznych.

Te z kolei nie mogłyby już sobie pozwolić na to, by z ironicznym dystansem rozważać każdą kwestię, tak jakby na żadnej im nie zależało; programy polityczne musiałyby się opierać na wyraźnych stanowiskach, za których rzetelność ręczyłaby gotowość poniesienia politycznego ryzyka. Natomiast energię wkładaną przez sędziów w to, aby separować się od świata, można by z lepszym skutkiem zużytkować na konstruowanie bardziej zrównoważonych zespołów zajmujących się wymierzaniem sprawiedliwości.

Porzucenie fantazji o wielkiej odległości dzielącej nas od (reszty) świata mogłoby wreszcie sprawić, że potrafilibyśmy naprawić system globalnych nierówności odziedziczony po kolonializmie, ale też sformułować na nowo nasze relacje z przyrodą. Granice tego, co uznajemy za swoje, musielibyśmy rozszerzyć na globalny ekosystem – a wtedy pewnie z większym przejęciem troszczylibyśmy się o to, w jakim stanie będzie nasz ogródek.

Koniec epoki dystansu wcale nie oznacza, że nie można już wykonać kroku wstecz. Pewnie, że można. Tyle że to po prostu krok wstecz – jedno z możliwych posunięć, potrzebne być może po to, by złapać oddech, ale tak samo zobowiązujące, jak każde inne. Nie daje dostępu do jakiejś szczególnej mądrości ani nie chroni przed udziałem w społecznych sporach. Po końcu epoki dystansu takich wygodnych pozycji już nie ma. Nie jest przez to łatwiej. Padają przekleństwa. Ale przynajmniej wreszcie możemy zjeść ten obiad.

© MACIEJ JAKUBOWIAK

Autor (ur. 1987) jest redaktorem magazynu „Dwutygodnik". Wydał „Nieuchronny plagiat" (2017), a jesienią, w wydawnictwie Czarne, ukażą się jego „Ostatni ludzie".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 14/2021

POWRÓCIŁY. WIELKA GALA ARRASÓW NA WAWELU

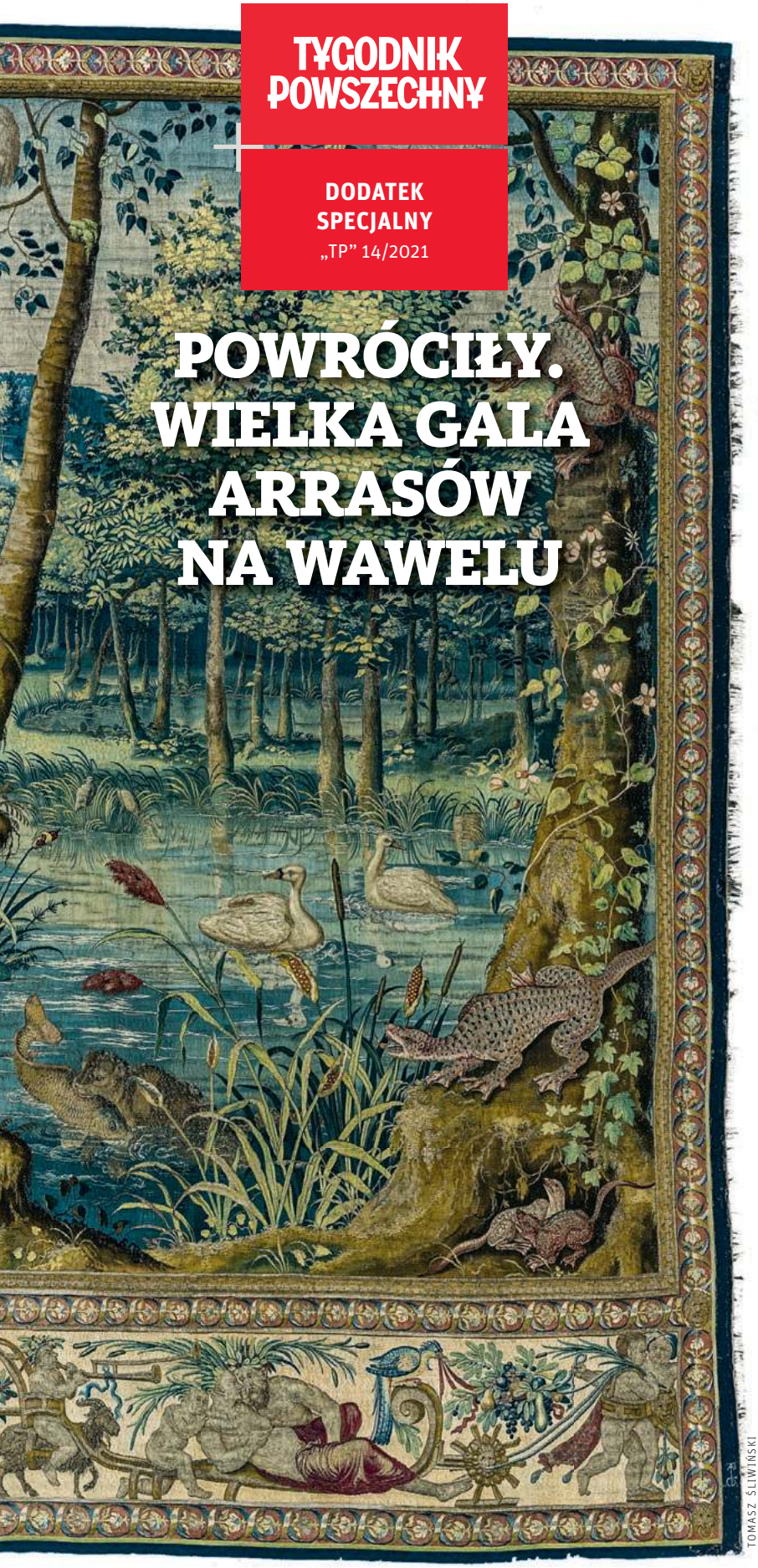

TOMASZ ŚLIWIŃSKI

„Wydra z rybą w pysku", Bruksela, 1550–1560, Zamek Królewski na Wawelu

To wystawa królewska

ANDRZEJ BETLEJ,
DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU:

Szesnastowiecznym odbiorcom imponowały wielkością oraz blaskiem złotych i srebrnych nici. Współczesny widz dostrzeże w nich nawiązania do Rafaela, Michała Anioła i Leonarda.

GRZEGORZ NUREK: Duch króla Zygmunta Augusta powrócił na Wawel? Do 31 października oglądać można na Zamku „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021–1961–1921", największą wystawę arrasów, które ufundował. A niespodziewanie pojawiła się też należąca do niego młodzieńcza zbroja...

ANDRZEJ BETLEJ: Rzeczywiście, doszło do pewnej koincydencji. Powróciły arrasy, co tak naprawdę oznacza, że po raz pierwszy w historii muzeum wszystkie obiekty z tej kolekcji zostały wyeksponowane i udostępnione dla zwiedzających. Można powiedzieć, że w takiej skali jest to pierwszy pokaz od XVI wieku. Pokazujemy także arras należący do Zamku Królewskiego w Warszawie. Niestety, nie udało się sprowadzić trzydziestu czterech fragmentów tapiserii, które znajdują się w Ermitażu – uniemożliwiła to sytuacja pandemiczna i stopień skomplikowania tego wypożyczenia.

Przybyła też na Wawel młodzieńcza zbroja Zygmunta Augusta. Gdy zestawimy kunszt wykonania tego bezcennego obiektu z ujmującym pięknem arrasów, uświadamiamy sobie rangę fundacji związanej z rodem Jagiellonów. I choć zbroja nie została przez nich ufundowana, dla Jagiellona była przeznaczona. Dostrzegamy, jak znaczącym ośrodkiem politycznym i artystycznym był wtedy dwór Jagiellonów. Powstanie unikatowej kolekcji arrasów na zlecenie władcy nie ma precedensu w Europie. To największe tego rodzaju prywatne – królewskie przedsięwzięcie wynikające z kolekcjonerskiego zamiłowania króla Zygmunta Augusta, który kolekcjonował m.in. biżuterię i rzemiosło artystyczne. ↦

↦ Cieszę się, że wróciliśmy do dobrej tradycji organizowania wystaw w przestrzeniach historycznych; reprezentacyjnych komnatach i apartamentach.

Arrasy pokazujecie w komnatach, dla których były projektowane. Skąd jednak wiadomo, gdzie które wisiały? Stanisław Orzechowski w panegiryku weselnym aż tak szczegółowo tego nie opisał.

Wawel do dziś jest przedmiotem badań naukowych, także funkcje i rola poszczególnych sal są przedmiotem dyskusji. Wiadomo o reprezentacyjnym przeznaczeniu sal Senatorskiej i Poselskiej. Choć nie bazowaliśmy na szczegółowym dokumencie, to jednak analizując utwór Orzechowskiego i późniejsze przekazy historyczne, dokonaliśmy pewnego rodzaju rekonstrukcji. Także rekonstrukcji przekazu ideowego. Oczywiście dyskusja naukowa na temat ich rozmieszczenia nadal się toczy w literaturze historyczno-artystycznej.

Twórcy kartonów do arrasów inspirowali się rysunkami Michała Anioła, Leonarda da Vinci i Rafaela?

Uważny widz odnajdzie odwołania do charakterystycznych póz, figur i gestów, które pojawiają się chociażby w dziełach Rafaela czy rzeźbach Michała Anioła. Twórcy arrasów inspirowali się pracami największych artystów, ale także bestiariuszami, kompendiami florystycznymi i zoologicznymi. Michiel I Coxcie, twórca arrasów biblijnych, był nazywany Rafaelem Flamandzkim. Ranga krakowskich arrasów porównywalna była z najsłynniejszymi arrasami wykonanymi według kartonów Rafaela. W przypadku kolekcji wawelskiej należy pamiętać, że była ona tzw. pierwszą edycją dla późniejszych realizacji.

W górnych pasach bordiury znajdują się wersety biblijne... Z kolei zwierzęta pojawiające się na arrasach mają często znaczenie symboliczne.

Arrasy biblijne, herbowe i werdiury roślinno-zwierzęce tworzą całość. Musimy patrzeć na kolekcję jako na mikrokosmos znaczeń, wyobrażony świat, w którym historia, znaczenie dziejów ludzkości oraz otoczenie stanowiły jedność. Jedność, gdzie w centrum znajdowała się domyślnie postać zleceniodawcy – tego, który arrasy zamówił, zakupił i postanowił pokazać w swojej rezydencji. Świat, nad którym, możemy domniemywać, on jako władca panował.

ANNA STANKIEWICZ

DR HAB. ANDRZEJ BETLEJ,
prof. UJ, jest historykiem sztuki. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ, w latach 2016–2020 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, od stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

Pierwsze arrasy przywiozła do Krakowa w 1518 r. Bona. Król Zygmunt August zgromadził ich w sumie 160, co dowodzi jego kolekcjonerskiej pasji. Ile one były wtedy warte? Wspomina się o ponad 79 tys. florenów królewskiego długu, potem jeszcze o kolejnych 12 tys. florenów. Brak jednak faktur. Król po śmierci kazał spalić prywatną korespondencję, a w miejskim archiwum w Brukseli zdarzył się pożar.

Wiadomo również, że proces zakupu, regulowania płatności za wykonane prace był rozłożony na wiele lat. Skala i proces zamówienia spowodowały, że fundator je opłacał niejako w ratach, etapami regulując należności.

Musiał to być niemały wydatek. Także przez to, że arrasy aż lśnią od złota.

Trzeba było na ten zakup zgromadzić odpowiedni fundusz. Łatwiej było królowi zakupić kolejne dzieło złotnicze niż serię arrasów. Spektakularność tej fundacji potwierdzają późniejsze losy arrasów. Stanowiły one najcenniejsze klejnoty zapisane w spadku siostrom króla. Potem stały się cennym zastawem, który trzeba było wykupić. Uświetniały też wiele ważnych uroczystości. Były znakiem splendoru, majestatu i bogactwa władców oraz państwa.

Pytam o ich wartość, bo np. wobec groźby najazdu tureckiego w 1673 r. w parlamencie zapadła uchwała o ich sprzedaży na pokrycie kosztów zaciągu wojska. Uchwała na szczęście niezrealizowana.

W sytuacji kryzysowej ktoś wpadł na taki pomysł. W świadomości rządzących arrasy zawsze przedstawiały coś bardzo cennego. Musiała to być naprawdę trudna sytuacja, bo sprzedaż ich to jak pozbywanie się funduszu założycielskiego lub sreber rodowych.

Podobno było też pięć arrasów ilustrujących dzieje Mojżesza. Nie zachowały się do dzisiejszych czasów. Coś więcej o nich wiemy?

To także przedmiot badań naukowych i studiów kuratorki wystawy Magdaleny Piwockiej – najwybitniejszej obok Marii Hennel-Bernasikowej znawczyni arrasów. Szukamy odpowiedzi, czy arrasy mojżeszowe zostały w ogóle zrealizowane, jeśli tak, to co się z nimi stało... Głosy mówiące o podarowaniu ich Stolicy Apostolskiej nie potwierdziły się. Odkrywanie tajemnicy ich zaginięcia jest nie lada wyzwaniem. Co bardzo ciekawe, istnieją natomiast rysunki i szkice do niezrealizowanych arrasów o dziejach Abrahama.

Co Pana najbardziej fascynuje w arrasach?

Mam do nich szczególny stosunek. W 1988 r. Zamek Królewski na Wawelu organizował konkurs dla licealistów na opis wybranego arrasu. Wziąłem w nim udział. Usłyszałem przy tej okazji wykład Magdaleny Piwockiej o kolekcji. Byłem oszołomiony, jak ogromną wiedzą na ich temat dysponuje kuratorka. Nie sądziłem jeszcze wtedy, że o arrasach można tyle opowiadać.

Wśród studentów historii sztuki funkcjonuje zresztą do dziś powiedzenie: „Każdy widzi tyle, ile wie". Zwiedzając wystawę, studiujemy arrasy, odkrywamy kolejne znaczenia, sensy, poznajemy ukryte symbole... Przyznam, że niektóre arrasy zobaczyłem po raz pierwszy podczas przygotowywania tej wystawy. To naprawdę wyjątkowe doświadczenie i cieszę się, że nasi zwiedzający będą mieli tę niepowtarzalną okazję. Taka możli-

wość pojawia się właściwie raz w życiu. Teraz.

Od 1990 r. były prezentowane naprzemiennie.

Kolekcja składa się nie tylko z pełnych egzemplarzy, także z fragmentów. Możliwość obcowania z całą kolekcją to coś wyjątkowego. Pełen zachwyt gwarantowany. Sala Poselska jest teraz w całości wypełniona, czy nawet, jak niektórzy mówią, „wytapetowana" arrasami. Wejście w tę przestrzeń zapiera dech w piersiach.

Na nas robią wrażenie, cóż dopiero na gościach króla. Przez pierwsze 150 lat ich kolory były nasycone, żywe.

Od powrotu tapiserii z Rosji w 1921 r. rozpoczął się wieloletni proces ich konserwacji. Trwa do dziś. W sali Senatorskiej, gdzie pokazujemy arrasy herbowe, obejrzymy też arras po niedawnej konserwacji. Do pewnego stopnia „odzyskał" on swą barwę, wyróżnia się na tle innych. Przy intensywnych, żywych kolorach arrasów człowiek XVI wieku mógł mieć poczucie obcowania z absolutem. Adam i Ewa naturalnej wielkości, postać Boga robiąca monumentalne wrażenie. Zdradzę, że na wystawie będzie można, dzięki pewnemu zabiegowi, zobaczyć oryginalną kolorystykę niektórych arrasów!

Ukrywane przed Szwedami; zrabowane z polecenia Katarzyny II przez Rosjan; w 1939 r., na trzy dni przed wkroczeniem Niemców na Wawel, transportowane w trakcie bombardowań galarem wiślanym. Aleksander Janta opisując w londyńskich „Wiadomościach" akcję Świerz-Zaleskiego i Krzywdy-Polkowskiego, określił ją jako „szaloną ewakuację". Ostrzał, niski poziom rzeki, chaos. W ostatniej chwili (w nocy z 17 na 18 września) przed napierającymi Sowietami arrasy wywieziono do Rumunii. Potem też nie było łatwo. Z Francji ewakuowane do Anglii. Z Anglii do Kanady. W ciągłym zagrożeniu. W zasadzie to cud, że przetrwały.

Cieszę się, że padły te nazwiska. Wystawę chcemy dedykować właśnie tym, dzięki którym arrasy ocalały i powróciły na Wawel, m.in. Krzywdzie-Polkowskiemu, Świerz-Zaleskiemu, Szablowskiemu, Małcużyńskiemu, także tym, którzy walczyli o ich powrót z Rosji, m.in. Morelowskiemu. Wystawa upamiętni ich ofiarność w poszukiwaniu arrasów, starania o zwrot skarbu, opiekę nad nim. Historia arrasów jest jak scenariusz filmu sensacyjnego. A skoro te osoby traktowały kolekcję jak bezcenny skarb, to dobry powód, aby go ukazać w całości. Wystawa, którą przygotowaliśmy, to jedno z największych wydarzeń logistycznych i konserwatorskich w dziejach muzeum. Pokazuje nam konieczność pracy z własną kolekcją. Ekspozycja potrwa pół roku, ale chciałbym, by została zapamiętana na zawsze: jako pomnik fundacji królewskiej, tych, którzy kolekcję tworzyli, i tych, którzy troszczyli się o nią przez wieki.

Nie pozwolimy o tym zapomnieć. Wydaliśmy specjalnie kilka książek poświęconych arrasom: reedycję katalogu, całkowicie nowy zbiór studiów, ale i album w ośmiu wersjach językowych. Oczywiście jest też katalog wystawy.

Arrasy będą pokazywane poza Polską?

Warto się nad tym zastanowić. Wiemy, że jest zainteresowanie. W 2023 r. odbędzie się uroczystość 700-lecia założenia Wilna, a dla Litwinów arrasy stanowią również ważne historycznie skarby. Z pewnością musimy arrasy jak najlepiej chronić, także przed nadmiernym nasłonecznieniem. Prezentacja choćby części kolekcji poza Polską wymagałaby ustaleń międzypaństwowych. Byłoby to również olbrzymie przedsięwzięcie logistyczne. Liczę, że świadomość wagi wawelskiej wystawy na Zachodzie pozwoli nawiązać kontakty, które zaowocują w przyszłości.

Z okazji tej ekspozycji zaprosił Pan do współpracy współczesnych artystów: Mirosława Bałkę i Marcina Maciejowskiego.

Arrasy inspirują też twórców współczesnych. Pierwszy obraz Marcina Maciejowskiego odnoszący się do arrasów powstał jeszcze w trakcie jego studiów na ASP. Teraz podarował nam kolejne dzieło. A Mirosław Bałka przygotował – z myślą o naszej wystawie – dwie instalacje. Jedną będzie można zobaczyć na dziedzińcu wawelskim, druga wraz z obrazem Maciejowskiego otwiera ekspozycję. Koncept wystawy ujęty w słowie „Powroty" jest więc zaskakujący i nieoczywisty. Podążamy bowiem od współczesności przez kolejne powroty arrasów: rok 1961 i 1921. Na potrzeby wystawy stworzyliśmy również multimedialne widowisko, które chcemy przedstawić zwiedzającym na Dziedzińcu Arkadowym, by za sprawą światła i dźwięku poznawali emocjonującą historię kolekcji.

Aby wydobyć piękno arrasów, trzeba je było też specjalnie podświetlić.

Zobaczymy je – dosłownie i w przenośni – w nowym świetle. W Muzeach Watykańskich widziałem, jak prezentowano arrasy Rafaela projektowane dla kaplicy Sykstyńskiej. Choć obiekty znajdują się na ekspozycji w muzeum, to pokazanie ich na nowo podświetlonych w miejscu, dla którego zostały stworzone, stało się w Rzymie wielkim wydarzeniem. Mam nadzieję, że z naszą wystawą będzie podobnie. Warto dać się ponieść arrasom i zanurzyć w przedstawionym na nim świecie – wtedy uświadomimy sobie, jakie piękno mijaliśmy na co dzień, i wyzwolimy się z przekonania, że mamy do czynienia jedynie ze statyczną ekspozycją. Cieszę się, że pomysł wystawy został dobrze przyjęty przez zespół pracowników Zamku. Pierwszym krokiem była kompleksowa i szczegółowa digitalizacja wszystkich arrasów. Zrobiono to z taką dokładnością, że moglibyśmy je wydrukować w trzykrotnym powiększeniu, nie tracąc żadnego detalu.

Pokazujemy arrasy jako dumę wawelskiej kolekcji. To wystawa totalna, prawdziwie królewska.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 14/2021

REDAKCJA: Grzegorz Nurek
WSPÓŁPRACA ZE STRONY WAWELU: Urszula Wolak-Dudek
OKŁADKA: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

Wielki teatr natury

MAGDALENA PIWOCKA

Wawelskie arrasy krajobrazowe najpełniej zrealizowały i na długo utrwaliły ideał nowożytnej wizji świata roślin i zwierząt.

TOMASZ ŚLIWIŃSKI

„Żuraw z wężem w dziobie" (fragment), Bruksela, 1550–1560, Zamek Królewski na Wawelu

Ludziom renesansu ówczesny świat jawił się jako przestrzeń nieograniczonych możliwości. Otwarcie na intelektualną i artystyczną spuściznę antyku, wiara w siłę rozumu i doświadczenia, w wolność i godność jednostki – były motorami działań wybitnych twórców, uczonych, a także znakomitych mecenasów sztuki i nauki. Obok dziedzictwa, które przejęli z dorobku myślicieli i mistrzów starożytności, jedna sfera stała się dla nich źródłem nieustających fascynacji. Był nią wielki teatr natury.

Studia zwierząt

Pojmowano go, jako „dzieło boskie", w duchu pism chrześcijańskich encyklopedystów, a równocześnie jako wyzwanie dla nowożytnych badaczy fauny i flory. Poznawanie natury było celem, który osiągało się z połączenia wysiłków przyrodników i artystów, ponieważ rysunkowe i malarskie studia roślin i zwierząt stanowiły część procesu badawczego, element naukowej dokumentacji. Zakładane przy europejskich dworach menażerie służyły władcom jako widomy znak prestiżu, a uczonym jako zaplecze studyjne. Podobną funkcję pełniły ogrody botaniczne, swego rodzaju laboratoria dla naukowców i artystów.

Wszystkie te wątki i postawy wobec świata przyrody – delektowanie się nim, naukowa refleksja, religijne i mityczne podteksty – spotkały się w dziele sztuki, które powstało w Brukseli, w latach około 1550–1560, na zlecenie króla Zygmunta Augusta (1520–1572), jako zwarty zespół około pięćdziesięciu arrasów, z uwagi na swą tematykę zwanych werdiurami.

Ikonografia zwierząt, mająca najodleglejsze, prehistoryczne początki, rozwinęła się w połowie XV wieku w kręgu mecenatu książąt burgundzkich Filipa Dobrego i Karola Śmiałego, osiągając wyjątkowy stopień wyrafinowania. Odpowiednikiem tych realizacji na południu Europy, we Włoszech, była twórczość Giovanniego de' Grassi (około 1350–1398), Pisanella (około 1395–1455) i ich następców. Z dworskich centrów Lombardii promieniowała ona na całą Italię, a także na kraje zaalpejskie. Studia zwierząt z zachowanych do dziś lombardzkich szkicowników weszły do arsenału środków animalistów szesnastowiecznych w całej Europie. Świadczy to o sieci kontaktów i roli kopii w procesie edukacji, a także o sile oddziaływania dobrych i nośnych modeli. Wdzięczne jelenie i łanie ze szkiców „szkoły" Pisanella rozpoznajemy też w tłach arrasów króla Zygmunta Augusta. Stało się to za sprawą niderlandzkich projektantów tapiserii, którzy gromadzili „kolekcje wzorów", przydatnych podczas tworzenia kompozycji z udziałem zwierząt. Charakter tych zbiorów był kompilacyjny, sąsiadowały w nich przerysy z plansz Albrechta Dürera, takich jak sławny „Zając" (1503), „Łoś" (ok. 1501–1505) czy „Nosorożec" (drzeworyt, 1515), i z anonimowych niemieckich ilustracji do kompendiów zoologicznych, w rodzaju dzieł szwajcarskiego erudyty Conrada Gessnera (wydawane w latach 1551–1558) czy francuskiego lekarza Pierre'a Belona (z lat 1550–1555). Z grona zapobiegliwych kolekcjonerów wcześniejszych i im współczesnych przedstawień zwierząt wywodzili się artyści, którym zawdzięczamy projekty (tzw. kartony) Zygmuntowskich werdiur.

Majstersztyk gatunku

Piętnastowieczne werdiury przypominały kwiatowe kobierce (stąd ich nazwa: *millefleurs* – tysiąc kwiatów) usiane sylwetkami czworonogów i ptaków. W latach czterdziestych XVI wieku te płaskie, dekoracyjne kompozycje, dziś postrzegane jako „gotyckie", straciły swą atrakcyjność. Wszystko wskazuje na to, że tuż po połowie XVI stulecia to właśnie wawelskie arrasy krajobrazowe mogły być pierwszym krokiem do odnowy tej tematyki. Najpełniej zrealizowały one i na długo utrwaliły ideał nowożytnej wizji świata roślin i zwierząt. Niespotykanych rozmiarów zespół (kiedyś około 50, dziś 44 sztuki), o zróżnicowanych formatach i określonych funkcjach we wnętrzu, wolno uznać za majstersztyk gatunku. Wizerunki zwierząt, wzięte z aktualnych podręczników zoologicznych lub rysowane z natury, umieszczono w głębi pejzażu, który okazał się pod każdym względem odkrywczą scenerią. Są to widoki lasu lub jego skraju, z kilkoma prześwitami odsłaniającymi kolejne plany – dalekie wzgórza, miniaturowe sylwety budowli, słoneczny horyzont. Znakomicie odtworzona perspektywa i gradacja planów należą do zdobyczy flamandzkich pejzażystów z 3. tercji XVI wieku, takich jak Gillis van Coninxloo (1544–1607). Malarskie projekty naszych tkanin wyprze-

dziły te rozwiązania o co najmniej dwa dziesięciolecia.

Odwzorowanie fauny wykazuje najwyższe mistrzostwo. Skala przedstawionych okazów i precyzja detalu nigdzie nie osiągnęły takiego stopnia realizmu. Zestaw kilkuset gatunków zwierząt niesie dodatkowe treści, sięga też poza europejskie granice. Widzimy tu wielbłądy, tygrysy, żyrafy, kilka odmian afrykańskich papug. Z Czarnego Lądu pochodzą cywety – zwinne drapieżniki, które importowano do Europy, by pozyskiwać z nich piżmo, główną substancję zapachową używaną w XVI wieku. W zaginionych dziś werdiurach z tego zbioru znajdowały się wizerunki egzotycznych okazów – słonia i nosorożca. Aktualności z kontynentu amerykańskiego – podobizny indyków i lamy peruwiańskiej – przypominają o podbojach tych ziem przez Corteza, czyli legendarnych sukcesach Hiszpanów za oceanem, będących powodem dumy, a zarazem źródłem złota płynącego z Nowego Świata do skarbców Karola V i Filipa II.

Ukryte znaczenia

Oprócz przyrodniczych i podróżniczych fascynacji „portrety" zwierząt odwołują się do powszechnej wiedzy o charakterach i temperamentach, symbolizowanych przez wybrane okazy. Przykładem są tu dwie pantery o antropomorficznym wyglądzie, których głowy, stylizowane na groźne męskie oblicza, wyzierają spomiędzy zarośli w jednej z werdiur.

Pokaz działań drapieżników – łowy w celu zdobycia pożywienia – może zawierać także ukryty, alegoryczny sens. Skomplikowane akcje czworonogów i ptaków, oparte na tekstach Pliniusza Starszego z I wieku n.e. oraz na dziełach wczesnośredniowiecznych autorów, przedstawiają wątki literackie i podania dobrze znane re-

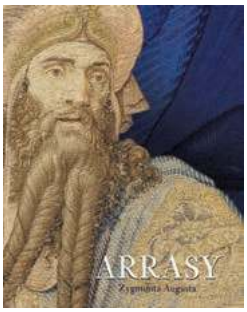

Album **ARRASY ZYGMUNTA AUGUSTA** *Magdaleny Piwockiej w ośmiu wersjach językowych do nabycia na www.wawel.krakow.pl/sklep*

nesansowym odbiorcom. Należy do nich motyw lwa z małpą w pysku (ilustrujący dawne przekonanie o tym, że taki pokarm może uleczyć chorego „króla zwierząt") czy grupa małp zebrana wokół tygrysa. Widzimy w niej fortel drapieżnika, który udaje martwego, by zwabić i upolować naiwne małpy. Z antycznych źródeł wywodzi się też niezwykły temat tapiserii, w której wąż ssie kozę. Osobliwa scena mówi o tym, że okazja i korzyść, które rządzą światem, mogą pogodzić największe nawet sprzeczności. Jednocześnie w grafikach, w których ten epizod zaopatrzono w łaciński napis *Pro lacte veneum* („W zamian za mleko trucizna"), akcja zmienia się w alegorię zdrady. Przejrzystą aluzją do walki dobra i zła jest wizerunek żurawia z wężem w dziobie; u średniowiecznych pisarzy zestawienie szlachetnego ptaka z występnym gadem zawsze obrazowało konflikt dobrych i złych mocy. W tym samym arrasie do pary żurawi zbliża się krwiożerczy lis, identyczny jak w rycinie Marcusa Gheeraertsa do „Bajek" Ezopa, wydanych w Brugii w 1567 r.

Kolejny obraz zmagania jasnych i mrocznych potęg znalazł się w tkaninie „Walka smoka z panterą": w wyobrażonej tu scenie pantera ucieleśnia nadprzyrodzone dobro (!), smok zaś, ów potwór z wielkimi skrzydłami – odwieczne zło.

Wątki moralizatorskie, dydaktyczne, aluzje do treści religijnych (strusie dziobiące winne grona – symbol Eucharystii) splatają się tu z radosnym, wielobarwnym i perfekcyjnym w szczegółach „zapisem" natury, pojętym w duchu odkrywczego, nowożytnego realizmu.

Zespół wawelskich werdiur, czyli ilościowo jedna trzecia całej królewskiej kolekcji, został utkany w latach 1550–1560 w pięciu znakomitych warsztatach czynnych w Brukseli, ówczesnej światowej metropolii sztuki tapiseryjnej. Tkaniny te wykonano z wełny i jedwabiu oraz z nici srebrnych i srebrnych złoconych. Nie znamy nazwisk autorów malarskich kartonów. Przypuszcza się, że byli nimi członkowie flamandzkiej rodziny Tonsów – Jan II lub Willem, pracujący około połowy i w 3. ćwierci XVI stulecia. Arcydzieło, które stworzyli, zrealizowano na zamówienie ostatniego Jagiellona, w ramach zbioru około 160 tapiserii przeznaczonych do dekoracji zamku królewskiego na Wawelu. O powstaniu tak wspaniałej wizji „teatru natury" zdecydowały niewątpliwie osobiste upodobania zleceniodawcy. ©

MAGDALENA PIWOCKA jest historykiem sztuki, doktorem nauk humanistycznych, wieloletnim kustoszem Działu Tkanin w Zamku Królewskim na Wawelu. Bada związki włosko-flamandzkie w XVI i XVII wieku, zajmuje się tekstyliami i klejnotami w okresie renesansu i baroku. Jest współautorką naukowego katalogu kolekcji arrasów króla Zygmunta Augusta (2017, 2020).

MECENASI WYSTAWY:

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Rzeczpospolita Polska Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Canada

PARTNERZY

Kraków

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

XYZ Skanowanie.XYZ

ams

BYTOM Sztuka krawiectwa od 1945

PATRONI MEDIALNI

TVP Kultura

TVP Historia

60 TVP3 Kraków

Gość Niedzielny

Rzeczpospolita

Dziennik Polski

Polskie Radio

Radio Kraków

onet

kraków.pl

Zacznijmy się w Krakowie

Spotkania z Zabytkami

Mówią Wieki

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU

URSZULA DĄBROWSKA DLA „TP"

MISTERIUM MOSTU

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI:

Dobra pamięć nie ma swojego państwa ani lobby, nie stawia się jej pomników ani nie uczy o niej w szkołach. I nie znajdziesz dla niej pewnych dowodów w archiwach.

MARCIN ŻYŁA: Jaki tu piękny horyzont.

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI: Prawda? Niedaleko zaczyna się Puszcza Augustowska, a z nią piaszczysta ziemia i równina, która dalej przechodzi w Mazowsze. Tu, w Krasnogrudzie, lodowiec kończył swoją robotę. Gdzie nie włożysz szpadla w ziemię, tam kamień. Jeziora, moreny. Inne światło. I obłoki – szalenie intensywne, Miłoszowe.

Często o nim myślisz?

Przez twarz starca, którego tu poznałem, dostrzegam sylwetkę młodzianka wtajemniczanego w misteria miłości i śmierci. Dojeżdżał z Wilna pociągiem do Grodna, a dalej żydowską furmanką do Krasnogrudy. Potem Kunatowie, właściciele dworu, sprawili sobie forda, rocznik 1904. Czasem jechał do Suwałk, gdzie mieszkali jego rodzice, a oni go przywozili samochodem.

Dużo ścieżek tu prowadzi.

I one wciąż, mimo granic, otwierają nas na Wschód. Nasza rzeka, Marycha, wpada do Czarnej Hańczy, ta zaś do Niemna. Jest stary trakt grodzieński. Teraz porastają go ostatki dawnej Puszczy Przełomskiej, choć bruk jeszcze widać. Chciałbym dożyć chwili, kiedy znów będzie otwarty. Litwa jest stąd na wyciągnięcie ręki, Białoruś ledwie kilkanaście kilometrów dalej.

Bliżej niż Białystok.

To młoda granica, wytyczono ją po I wojnie światowej. Określiła państwa narodowe, ale też wybory ludzi. W rodzinach trzeba było się decydować na tożsamość – litewską, polską, białoruską, żydowską. Brat prezydenta Narutowicza, Stanisław, został ważnym aktywistą litewskiego ruchu narodowego.

A ponieważ wokół tej granicy, w latach 1919-20, toczyła się sąsiedzka wojna, po której trzeba było żyć dalej obok siebie, rany po niej głęboko ukryto. Tożsamość zawężono do przynależności etnicznej i nie było już w niej miejsca na wujka Litwina czy babcię Żydówkę. Sprawy te stały się rodzinnymi tajemnicami, o których lepiej było nie mówić dzieciom czy wnukom. Jeszcze za PRL-u homogeniczny świat był bezpieczniejszy.

Jak Wam się udało zacząć o tym rozmawiać?

Przysłuchując się milczeniu. Milczenie nie musi być obojętnością wobec innych, może być znakiem, że potrzeba czasu, aby zostało przerwane. Nic nie chce być nagłe, na pokaz. O czymś, co się podoba, nie mówi się tutaj „wspaniałe", lecz „normalne". Czyli takie, jakie ma być.

To jeszcze nie Skandynawia, z inklinacją do dystansu i samotnictwa, ale południowe rozgorączkowanie ustępuje tu już emocjom trzymanym na wodzy.

Tego szukaliście trzydzieści lat temu, gdy tu trafiliście i powstało „Pogranicze"?

↦

Nie tylko. W Sejnach ocalała Biała Synagoga i dawny kwartał żydowski, z jesziwą i gimnazjum hebrajskim, w których teraz mamy siedzibę. Opustoszała po Zagładzie przestrzeń nie jest niema, przemawia głosami nieocalonych i świadczy o obecności innych, którzy mieli tutaj swoje miejsce.

Pojawienie się innych, takiego desantu, jakim był z początku zespół „Pogranicza", oswoiło jakoś pamięć, że w tym miasteczku zawsze było dla nich miejsce. Homogeniczność to ideologia, sztucznie narzucana rzeczywistości, pod powierzchnią której zawsze skrywa się palimpsest. Może nie zostaliśmy specjalnie zaproszeni, jak ongiś Żydzi przez dominikanów, by dodać dynamiki rozwojowi Sejn, ale po roku 1989 otwierało się w Polsce nowe i to ono było jak list inwitacyjny.

A skąd przybyliście?

Po odejściu z Gardzienic przygotowałem monodram „Garść wierzbowych gruszek". Była to właściwie zapowiedź „Pogranicza", opowieść o wielokulturowym miasteczku, opowiedziana poprzez poezję i pieśni różnych języków. Jeździłem z nim po Polsce. Dotarłem do Słupska, gdzie w Teatrze Rondo pracował Wojtek Schroeder. Marzeniem jego i jego żony Bożeny było wyjechanie na wieś i objęcie pieczy nad domem kultury. Co zrobili – Bożena została dyrektorką domu kultury w Czarnej Dąbrówce na Kaszubach. Pod koniec lat 80. tworzyliśmy tam „Wioski Spotkania".

Latem budowaliśmy w lesie miasteczko namiotowe, zapraszaliśmy ludzi teatru, muzyków, antropologów kultury, filozofów, performerów, filmowców. Odbywały się seminaria, koncerty i spektakle. Czwartego roku zdecydowaliśmy, że „Wioska Spotkania" zamieni się w „Podróż na Wschód". Że ruszamy, bo po wygranych czerwcowych wyborach pora wyjść z podziemia i alternatywy. Szukaliśmy dla siebie miejsca na Kaszubach i w Przemyślu, na Łemkowszczyźnie i nad Bugiem – aż w 1989 r. trafiliśmy do Sejn.

Tu otwierały się wtedy stare rany.

Widziałem na murach świeże napisy: „Litwini do gazu". Gdy powstał konsulat, przez pierwsze noce litewski herb obrzucano jajami.

To była nienawiść?

Ludzie z zewnątrz nas żałowali – że zawiesiliśmy ambicje na kołku, poświęciliśmy się jakiejś prowincji. A to nieprawda. **Gdyby tak było, nic byśmy tutaj nie zdziałali.**

Sięgająca wspomnianej już wojny polsko-litewskiej, ale też lat 70. XX w., kiedy Litwini walczyli o mszę w języku narodowym w sejneńskiej bazylice. Kardynał Wyszyński się na nią nie zgadzał, a „ty Litwinie!" stało się w szkole przezwiskiem.

Jednym z pierwszych programów „Pogranicza" było „Spotkanie Innego" przełamane z litewskim „Kitaminciu toleravimas-dorybe". Do dialogu w Białej Synagodze zaprosiliśmy autorytety z Polski i Litwy oraz uczniów, którzy przysłali na konkurs najciekawsze prace o tolerancji. Drugiego dnia wstał pewien chłopak i powiedział, że napisał o tym, jak dobrze się współpracuje przez granicę, ale tak naprawdę to on nienawidzi Litwinów. Bo zabili jego dziadka, bo są nacjonalistami, bo walczyli z Polakami.

Wylało się to z niego jak egzorcyzm. Obrażona delegacja litewska chciała wyjść, zatrzymała ją wspaniała Irena Veisaitė, nasz Człowiek Pogranicza. „Nie możecie go tak zostawić", przekonywała. Dopiero wtedy zaczęła się rozmowa o tolerancji.

Pierwszy etap zbliżenia to wydobycie różnic?

Tak, ponieważ pogranicze ich nie zaciera. Młodzi, którzy przychodzili do naszego ośrodka, stawali się bardziej Polakami, bardziej Litwinami, bardziej staroobrzędowcami, niż byli nimi wcześniej. Na początku transformacji bano się nacjonalizmu i silnie wyrażanej tożsamości. A tutaj wiedzieliśmy, że ludzie zapłacili niemałą cenę za to, że ją w ogóle przechowano.

„Pogranicze" powstało w 1991 r., wtedy też zaczynały się wojny w byłej Jugosławii. Chyba musiało być trudno, tak na starcie, nie stracić wiary we współistnienie, skoro obok działo się Sarajewo?

To była dla nas jedna z najważniejszych lekcji. Również w odniesieniu do bliskich mi kręgów kosmopolitycznego Sarajewa, niemogącego się oswoić z myślą, że rozpad Jugosławii na nowo zawęził wybory tożsamościowe młodych, którzy zaczęli tworzyć teatr muzułmański albo chodzić do cerkwi. To, że z czasem się radykalizowali, wynikało również z tego, że nie było dla nich miejsca w kosmopolis. Zamiast pouczać innych, jacy mają być, należało oswoić, przygarnąć to zróżnicowane nowe, które się rodzi. I zmieniać się razem z nim.

A tak, bardzo szybko, *sarajlija* – ci, których pierwszą tożsamością było wielokulturowe miasto – okazali się przynależeć do grupy właściwie skazanej na wyginięcie.

Tak. Mówiono o nich: „idealiści", „oderwani od rzeczywistości". Język nacjonalisty Karadžicia był, paradoksalnie, bardziej zrozumiały na Zachodzie, w każdym razie dużo bardziej niż tych *sarajlija*, którzy chcieli wspólnej Bośni i uważali, że bronią wartości europejskich. Słusznie czuli się zdradzeni przez Europę i stali się najbardziej tragicznymi, bezdomnymi ofiarami tej wojny. Należę do „pokolenia Bośni", to z jej perspektywy wciąż patrzę na świat. A Bośnia zmienia na zawsze.

I co teraz widzisz?

To, że kryzys wielokulturowości ogarnął już cały kontynent. Płacimy cenę za to, że Unia Europejska nie stała się projektem kulturowym. Dziś najważniejsze konflikty to wojny nie państw, lecz kultur. Nie umiemy ich łagodzić, ponieważ kulturę rozumiemy głównie jako odrębność.

Różnorodność kulturowa nie wyraża w pełni pogranicza, bo istnieje jeszcze jego poziom meta, wspólnotowy. Człowiek pogranicza nie okopuje się na własnym brzegu rzeki ani też nie pretenduje do bycia na właściwym, do którego inni powinni dołączyć. Sam jest w drodze, bo nie sposób zbudować mostu nie przekraczając siebie. Z taką postawą nie było nam łatwo, nie tylko w środowiskach nacjonalistycznych, także liberalno-kosmopolitycznych.

W jakim sensie?

Prowadziliśmy projekt „Cygańska Wiosna Artystyczna", w którym gadziowie, czyli nie-Romowie uczyli się od Romów

ich języka, tradycji czy muzyki. Z największą wrogością wobec pomysłu spotkaliśmy się w szwajcarskim biurze Fundacji Sorosa. „Czemu wy, biali, wtrącacie się w sprawy romskie?" – usłyszeliśmy.

Fundacja Forda przyznała nam grant na znalezienie partnerów w Ameryce. Przejechałem Stany od wybrzeża wschodniego po zachodnie i wszędzie słyszałem: „mamy programy i środki tylko dla swoich: Latynosów, Żydów, Afroamerykanów, Polaków". W takiej wielokulturowości każdy żyje na swojej wyspie – ma na swoje, dba o swoje i swojego broni.

Forma „Pogranicza" okazała się dziwna dla społeczeństwa otwartego. Nam chodziło o sztukę współistnienia ludzi mówiących różnymi językami, ale żyjących w jednej wspólnocie, z granicami biegnącymi w środku.

A kiedy „Pogranicze" stało się częścią pogranicza?

Gdy zaczęliśmy słyszeć od starszych mieszkańców: „My tam swoje wiemy. Ale to, co robicie z naszymi dziećmi, jest w porządku. Pomoże im w życiu". Albo: „Nie wierzyliśmy, że zostaniecie". Bo na peryferiach miarą sukcesu jest to, że wyjeżdżasz w świat. A dla nas najważniejszą rzeczą było zostać, przygotować spektakl z dziećmi stąd. I to mistrzowsko.

Mostu nie zbuduje się z trocin, z byle czego. On musi być piękny naprawdę. Ludzie z zewnątrz czasem nas żałowali – że zawiesiliśmy ambicje na kołku, poświęciliśmy się jakiejś prowincji. A to nieprawda. Gdyby tak było, nic byśmy tutaj nie zdziałali. To wychodzi dopiero wtedy, gdy ludzie czują, że spełniasz swoje marzenia jako artysta czy filozof, gdy nie popuszczasz. Dlatego to normalne, że pracowali z nami Irena Veisaitė, Timothy Snyder, David Krakauer czy Arvo Pärt. Że podziw w Sejnach, zanim jeszcze usłyszał o nich świat, zdobywali Hania Rani, Józek Orliński czy Dominika Korzeniecka.

To jest jeszcze jedno oszustwo, które wkradło się do nas po 1989 r. Nie zaufaliśmy, że z ludźmi miejscowymi można robić najpiękniejsze rzeczy, że warto w nich zainwestować.

Ciągle mówisz o zaufaniu.

Wiesz, miałem przyjaciela, mistrza śpiewu flamenco, który koncertował w największych salach świata. Kiedyś wziął mnie do swojej rodzinnej wsi w Andaluzji. Wchodzimy do tawerny, wszyscy

URSZULA DĄBROWSKA DLA „TP"

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI jest poetą i eseistą, redaktorem. Animator programów dialogu międzykulturowego w Europie Środkowej, na Bałkanach, Kaukazie, Azji Środkowej, Indonezji, Bhutanie i innych pograniczach świata. Współtwórca Fundacji „Pogranicze", Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów" w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w odremontowanym dworze rodziny Czesława Miłosza w Krasnogrudzie. Autor wielu książek, m.in. „W stronę Xenopolis" (2019), za którą niedawno otrzymał tytuł Ambasadora Nowej Europy, przyznany przez Europejskie Centrum Solidarności i Kolegium Europy Wschodniej.

go rozpoznają: „Paco, wspaniale, że wróciłeś, co tam w świecie, może byś nam zaśpiewał wieczorem?". Wracamy do samochodu i widzę, że on cały drży, jest przerażony. Pytam, co się stało, odpowiada: „Ty nic nie rozumiesz – oni wiedzą".

Gdy przyszedłem na występ i siadłem w pierwszym rzędzie, pomiędzy starszymi kobietami, natychmiast wszystko zrozumiałem. Jakie kompetencje ma publiczność Carnegie Hall, żeby poznać się na prawdzie jego flamenco? Tylko tutaj, przed nimi, był kim jest, nagi, bez podpórek promocyjnych, bez bonusu za egzotykę i bez szans na przesłonięcie artyzmem człowieczego. Utracić zaufanie takiej publiczności to jednak co innego niż nieudany koncert czy krytyczna recenzja.

Jaką lekcję możemy brać z pogranicza teraz, gdy prąd kultury oficjalnej płynie w drugą stronę? I właściwie jest przemocowy – jeśli jesteś Polakiem, masz być nim z całym zestawem polskich cech.

Pogranicze uczy, że o tym, kim jesteśmy i co potrafimy z innymi zbudować, nie decydują horyzontalne linie podziałów – i idące za nimi poznawanie innych kultur jako zamkniętych i osobnych całości. Decyduje linia wertykalna.

Dopiero wtedy, gdy schodzimy w głąb, otwiera się i poszerza w nas to, kim naprawdę jesteśmy. Gościnność to lepiej zbudowany dom, nie wykorzenienie. Empatia to nie ucieczka od siebie, tylko praca nad sobą. Wrażliwość na cierpienie zwierząt to nie negacja ludzkiego, lecz uczłowieczenie.

Tylko że podziały są teraz zbyt silne.

Głębokie podziały tworzy, paradoksalnie, powierzchowne życie. Multi-kulti jest jedynie namiastką otwartości. Otwartość to przezwyciężenie lęku przed głębią.

Czyli rzecz już nie w dialogu – żeby jedna kultura dogadywała się z drugą – tylko żeby moja kultura poszerzyła się, otworzyła się od środka?

W „Zimnej wojnie" Pawła Pawlikowskiego lubię scenę, w której zbierając materiał etnograficzny dla swojego zespołu pieśni i tańca, bohaterowie trafiają na pieśni łemkowskie. Zafascynowani ich polifonią, której nie ma w polskim śpiewie, puszczają nagrania w gaziku prowadzonym przez niejakiego Kaczmarka. A ten odwraca się do nich i mówi: „Ładne, szkoda, że nie nasze".

Kaczmarek, który z kierowcy szybko został szefem tego zespołu, rządził w PRL-u, ale i dzisiaj ma się dobrze, nie tylko w Polsce, bardzo wąsko określając to, co „nasze". Dla ludzi pogranicza, tych z „rodzinnej Europy" – niedopuszczalnie wąsko.

Ta rodzinność, ten dom dzisiaj – to co to jest?

Znam domy, w których sercu była tzw. biała izba, niezamieszkana przez gospodarzy, zawsze gotowa na przyjęcie gościa. O tym jest moja opowieść o Xenopolis – o domu czy wspólnocie, które bez gość-inności pozostają niedopełnione, nie-swoje, jak stół wigilijny bez pustego krzesła. To, co wspólnotowe, ma obejmować obcość. Pogranicze uczy tego, że obce jest swoje. Natomiast ceną za sprzeniewierzenie się etosowi pogranicza jest wąsko rozumiana „naszość", wypierająca swoich współobywateli, tych inaczej myślących lub różniących się kulturowo, w sferę nienawistnej obcości.

Gdy wyjdziemy z pandemii, wrócimy do świata, któremu zagraża wielkie, klimatyczne niebezpieczeństwo.

↦

↦ **W „Końcu lodu" Dahr Jamail proponuje, aby na te ostatnie kilkadziesiąt lat zgromadzić się w małych wspólnotach i przeżyć ten czas razem, żegnając się z wszystkim, co wokół.**

Myślę, że naszą naturalną reakcją wobec takich zjawisk jak kryzys klimatyczny, populizm czy „brunatna fala" – czyli wielkoliczbowych i niepokojąco narastających – jest podkopanie wiary w małe. „Fajne rzeczy robicie – słyszę często – ale w takiej małej skali, jakie to ma znaczenie wobec tego, co nam zagraża?". Dostrzegam w tym wielkie niebezpieczeństwo, bo myśląc tak nie dokonamy żadnej zmiany.

Chodzi o to, żebyśmy mądrze inwestowali w tworzenie małych centrów świata. I mieli świadomość, że robi się w nich najważniejsze rzeczy, za które możemy wziąć odpowiedzialność. Wielka liczba zawsze dąży do monopolu i zwycięstwa nad innymi. Małe zaś cieszy się sukcesem innego, jest silne siłą innych i odnajduje siebie w polifonii.

Czysty idealizm!

Widziałem z bliska wojny w Bośni i w Kosowie, na pograniczu abchasko-gruzińskim i w prowincji Aczeh w Indonezji; za mentorów i sprzymierzeńców mamy w „Pograniczu" ludzi ocalałych z Holokaustu, albo ludzi takich jak Miłosz czy Ficowski, którzy przeszli przez piekło XX wieku. I teraz mówi się nam, że jesteśmy idealistami z tym budowaniem mostów, bo rzeczywistość jest inna.

Aż się zacząłem zastanawiać: czy my coś ludziom wmawiamy? Może promujemy jakąś pozytywistyczną ideologię, która tak naprawdę jest wbrew życiu i potrzebom ludzi? I skąd to Miłoszowe „budujcie tkankę łączną", zamiast „okopujcie się w twierdzy"?

I jak brzmi odpowiedź?

Pierwsze, o czym zaczęto mówić w Mostarze po wojnie, to odbudowa Starego Mostu. A święto całego miasta, upamiętniające tamtą wojnę – to rocznica jego zburzenia przez chorwacki czołg. Jest w nas coś takiego, że nie potrafimy na dobre zamieszkać na jednym tylko brzegu.

Pierwsze, o czym zaczęto mówić w Mostarze po wojnie, to odbudowa Starego Mostu. Jest w nas coś takiego, że nie potrafimy **na dobre zamieszkać na jednym tylko brzegu.**

Tu, w Krasnogrudzie, zapragnęliśmy niedawno mieć własny most. Najpierw pomyśleliśmy niemądrze, że zaprosimy wybitnego architekta i cały świat przyjedzie podziwiać jego konstrukcję. W końcu dotarło do nas, że możemy go zbudować tylko z ludźmi stąd. Mało tego – on nie może być skończonym obiektem materialnym. Nie można zakończyć pracy nad budowaniem mostu, można jedynie prowadzić permanentny warsztat, w którym nad nim się czuwa, odbudowuje się go, ulepsza, ucząc przy okazji innych tego rzemiosła. W Krasnogrudzie powstała więc przestrzeń niewidzialnego mostu – nic w niej nie ma, dopiero misterium ten most powołuje.

Przyjechali też ludzie ze świata – z Kolumbii, Ugandy, Norwegii, Izraela czy Litwy. Kilka tygodni pracy skończyło się formą artystyczną, widowiskiem przygotowanym z przywiezionych tu opowieści. Nazajutrz przyszli do nas sąsiedzi, powiedzieli: „Zapiszmy sobie ten dzień, 22 sierpnia, w kalendarzu".

I odtąd jest to święto – Misterium Mostu.

W roku kalendarzowym, w którym każdy świętuje swoje, pojawiło się święto wspólne – w przestrzeni przypominającej „białą izbę", przez nikogo nie zawłaszczoną.

Kiedy pojechaliśmy do Mostaru z naszymi młodymi, zaprosiliśmy na spotkanie starszych mieszkańców miasta z obu brzegów Neretwy. I jedno z pierwszych pytań brzmiało: „A pomagaliście sobie podczas wojny?". Niespodziewanie dla nas w oczach sąsiadów, Muzułmanów i Chorwatów, pojawiły się łzy. Pierwszy raz ktoś ich o to zapytał. Tak, pomagali sobie, ale przecież nie tak się zostaje bohaterem na wojnie, więc lepiej to przemilczeć. Nie było miejsca ani święta, ani języka do tego, żeby to wyrazić.

Jest w nas dobre, które nie ma ujścia. Na różnych pograniczach świata często słyszałem to samo: „Idiotę mam z siebie zrobić? Mam im rzucić się w ramiona?". Co innego z własną krzywdą i cierpieniem – mamy na to rytuały, język, ceremonie.

To tutaj gdzieś sytuuje się praca „Pogranicza" – w tworzeniu warsztatu dla kultury uwalniającej okruchy światła w osobach i społecznościach, które niosą w sobie ciężar nieudanego spotkania z innym. By dotrzeć do tych okruchów, trzeba otworzyć rany, zdobyć się na odwagę poznania ciemnych stron własnej historii. Nie można jednak na tym poprzestać.

Jak to więc można robić?

Mówiłem o otwieraniu od wewnątrz kultury. To samo dotyczy pamięci. Przypomina mi się debata, którą toczyłem na uniwersytecie w Tel Awiwie z Saulem Friedländerem i Pierre'em Nora. Saul jako historyk był strażnikiem pamięci Zagłady. Pierre jest autorem koncepcji tworzenia „miejsc pamięci" i budowania w oparciu o nie tożsamości narodowej Francuzów.

Opowiedziałem wtedy o innych formach pamięci: krytycznej – biegnącej pod prąd apologii własnego cierpienia; wspólnej – dopuszczającej do głosu pamięć innych; oraz dobrej – zaświadczającej temu, co dobrego otrzymaliśmy od innych. I znowu wyszedłem na idealistę. Saul zapytał mnie wprost, jak sobie wyobrażam wspólną pamięć na pograniczu izraelsko-palestyńskim. Odpowiedziałem, że po przyjeździe na tutejszy uniwersytet zrobiłem to samo, co po pierwszym przyjeździe do Sejn. Wtedy przed budynkiem, w którym mieścił się magazyn nawozów sztucznych – zapytałem, co tu było wcześniej. Okazało się, że tak jak w moim mieście była to dawna synagoga, tak tutaj – wioska palestyńska. I że pojawił się ostatnio ruch studentów, który domaga się od rektora dwujęzycznych tablic i dawnych arabskich nazw ulic.

Od samego stawiania takich pytań daleko jeszcze do wspólnej pamięci, ale niepostrzeżenie podważają one nienaruszalność monolitu „swojej" opowieści o historii.

A dobra pamięć?

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Jest najtrudniejsza. Nie ma trudniejszej rzeczy w mojej pracy od wydobycia na światło dzienne dobrej pamięci. Dokonanie tego w taki sposób, by zachowała swoją wiarygodność, bez osadu kiczu, propagandowej łatwizny i taniego pocieszenia.

Dobra pamięć, inaczej niż wina, nie chce się ukrywać, nie potrafi tylko wyjść z ukrycia. Wydaje się nieprawdziwa, jak raj na średniowiecznych tryptykach ołtarzowych, na których artyści ukazywali swoje mistrzostwo malując piekło, a już czyściec sprawiał wrażenie mniej rzeczywistego. Bardzo niewygodnie jest się nią zajmować. Oddając się zgłębianiu traumy konfliktów, ukazywaniu zbrodni i win, spotkasz się z krytyką jednych i wdzięcznością innych, ale stał będziesz na w miarę pewnym gruncie. Dobra pamięć nie ma takiego gruntu, nie znajdziesz dla niej pewnych dowodów w archiwach, nie ma swojego państwa, specjalistów w naukowych laboratoriach ani innego lobby, nie stawia się jej pomników ani nie uczy o niej w szkołach.

Jak do niej docierałeś?

Przez lata pracy na pograniczach słuchałem opowieści o ciemnej stronie natury człowieka, o krzywdach, cierpieniu i o tym, że historia stawiała ludzi w sytuacjach wymagających nadludzkiego heroizmu, którym tylko bardzo nieliczni potrafili sprostać. Brzmiały szczerze i wiarygodnie. Jedno tylko nie dawało mi spokoju – że nie wyrażają całej prawdy.

Wyczuwam, że dotknęliśmy teraz jakiejś osobistej struny w Tobie, czy tak?

Tak. Być może dobra pamięć najbardziej zbliża nas do prawdy o moich poszukiwaniach, do mojego Xenopolis. Nasza rozmowa cały czas wokół niej krążyła. Zaufać, że w każdym człowieku, choćby ślepo zawładniętym nienawiścią, jest okruch dobrej pamięci – czy nie jest to istota zaufania w ogóle? Dobra pamięć pamięta całość, choćby nigdy nie ujrzała jej na oczy. A ponieważ wie, że w głębi mamy wspólny korzeń, potrafi pomóc nam w poszerzaniu „naszego". I wreszcie, gdy się uwalnia, wyzwala dobro u innych, daje szansę transgresji.

Ważniejsze od tego, czy kultura zamyka się, czy otwiera, jest to, że nas zmienia. Tak jak most, po przejściu którego jesteśmy inni, niż byliśmy.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

POŻEGNANIA

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Adama Zagajewskiego

Mistrza słowa, piewcy wolności,
jednego z najwybitniejszych polskich poetów.
Człowieka niezwykłej wrażliwości i mądrości,
potrafiącego znakomicie uchwycić istotę naszej codzienności.
Jako konsekwentny obrońca podstawowych wolności i praw obywateli,
był jednym z sygnatariuszy „Listu 59".
Mieliśmy zaszczyt gościć Go i wsłuchiwać się w Jego słowa
podczas III Kongresu Praw Obywatelskich.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składamy serdeczne wyrazy współczucia.

ADAM BODNAR
RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH
I PRACOWNICY BIURA RPO

Droga Maju

łączymy się z Tobą w smutku po stracie

Adama

TWOI WSPÓŁPRACOWNICY Z ZIELONEGO DOMKU
ORAZ FUNDACJI PROMYK

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
w Wiedniu dnia 16 marca 2021 r.

Ś.† P.

Lonny Glaser

założycielki Fundacji „Janineum".

Działalność Fundacji umożliwiła wielu młodym naukowcom
z Polski i innych krajów Europy Wschodniej
kontakt z kulturą i nauką świata zachodniego.

Składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia córce Annie

RODZINA KAISERÓW Z WROCŁAWIA I KRAKOWA

Płomień, wysoki, jasny

EDWARD HIRSCH

Wysiadł z samolotu w Houston, z czerwonym szalikiem na szyi, migreną oraz słownikiem niemiecko-angielskim pod pachą. Był bardzo uprzejmy, ale zmęczony i zdezorientowany, a ja zacząłem się zastanawiać, co też najlepszego narobiłem.

In memoriam Adam Zagajewski

Był człowiekiem wielkiej prawości i charakteru. Był moim bliskim przyjacielem, a przyjaźń z nim zmieniła moje życie, dlatego tak trudno mi teraz, po jego nagłej śmierci, przezwyciężyć smutek i uporządkować myśli. Nie jestem gotowy, by Adama podsumować i pozwolić mu odejść, ale to dobrze, że mogę o nim napisać, ponieważ dla mnie i dla wielu innych ludzi był wzorcową obecnością. Wiem dobrze, że żal, który osobiście odczuwam, podziela bardzo wiele osób; ból po jego stracie rozchodzi się z krakowskiego szpitala promieniście po świecie. Adam był raczej skrytym człowiekiem, ale nasz lament jest jak rwąca rzeka, która występuje z brzegów. Nic jej nie zatrzyma; ten smutek jest jak powódź.

Przez ponad trzydzieści lat byliśmy bliskimi współpracownikami, więc trudno mi mówić o nim w czasie przeszłym, rana jest na to o wiele za świeża, ale myślę, że jest w tym jakiś sposób godzenia się z katastrofą. Adam był człowiekiem życzliwym, zawsze myślącym o innych, prawym, nieco introwertycznym, z natury cichym, skromnym, lubiącym samotność, miał skłonność do melancholii, choć posiadał także talent do przyjaźni, cienki dowcip, niesłychane poczucie humoru i szczególny dar radości. Lubiłem go rozśmieszać i obserwować, jak te jego gąsienicowe brwi wyginają się w górę. Miał jasne, przenikliwe oczy. Nienaganne maniery, wielką godność postawy; uważam, że należał do duchowej arystokracji, był czystym artystą, takim jak Tomasz Mann czy Rainer Maria Rilke, czy Zbigniew Herbert. Niewątpliwa była jego nieugięta wola – nic nie mogło go odwieść od pisarskiego życia – oraz żywe powołanie poetyckie. Adam patrzył wprost w płomień.

Gość w Teksasie

Jako intelektualista znał na wyrywki historię, co szczególnie imponowało Amerykanom – jesteśmy narodem wybitnie ahistorycznym. Nie ulega wątpliwości, że zawsze był zaangażowany w polską politykę, która stanowiła jego nieustanną troskę, ale jednocześnie wsłuchiwał się uważnie w rytmy swojego życia wewnętrznego. Uwielbiał długie samotne południowe spacery w parku. Lubił podróżować, najbardziej w te miejsca, gdzie mógł wybrać się do muzeów, by kontemplować obrazy, które kochał, zwłaszcza malarstwo holenderskie Złotego Wieku; ale bardzo chętnie wracał też do swojego gabinetu w Krakowie.

Uwielbiał muzykę klasyczną – „Muzyka przypomina nam, czym jest miłość – pisał. – Gdyby ktoś zapomniał, niech słucha muzyki" – i wiele poranków spędził w zachwyceniu,

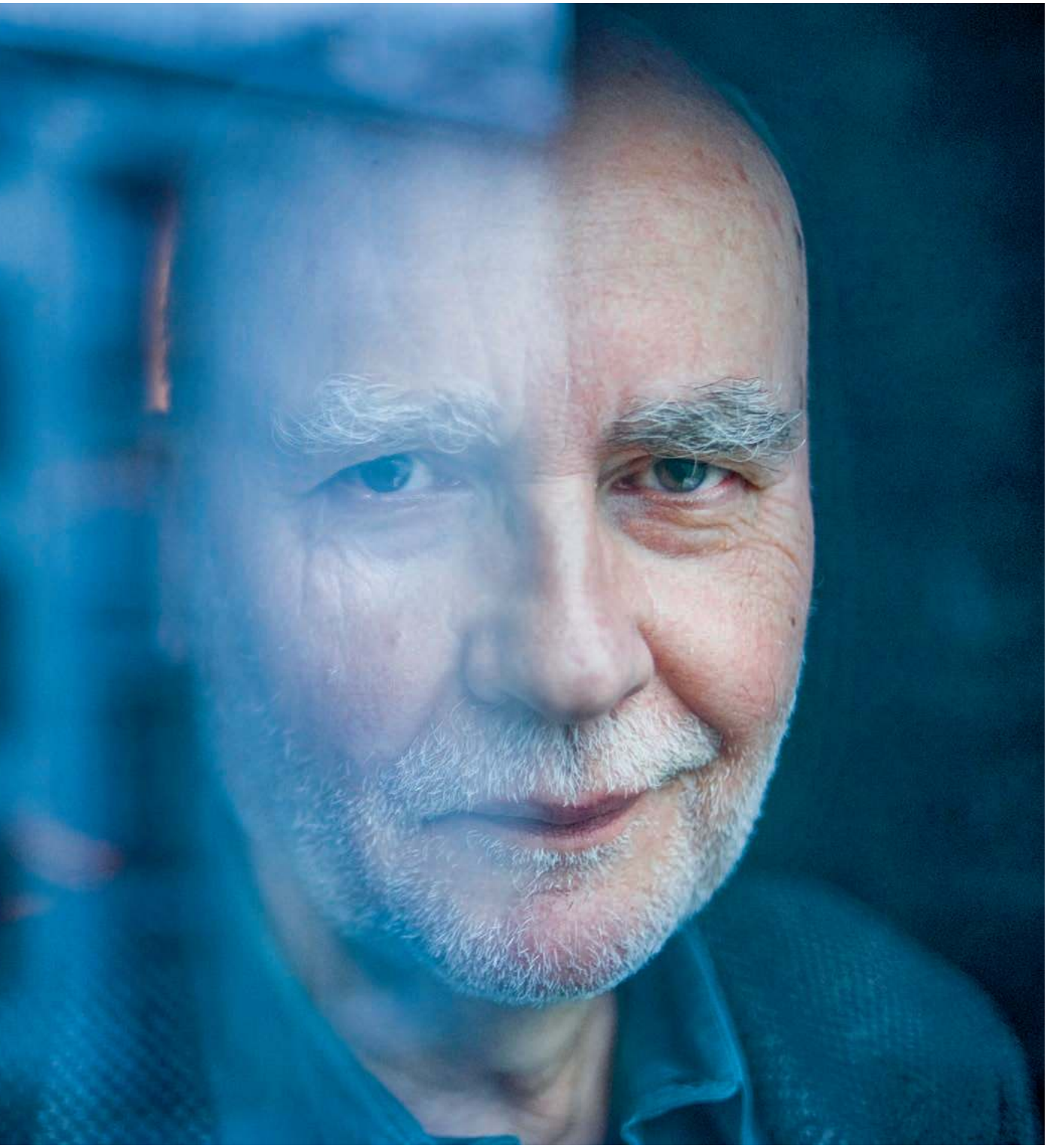

BOGDAN KRĘZEL DLA „TP"

Adam Zagajewski w oknie swojego mieszkania, Kraków, styczeń 2010 r.

wsłuchany w ballady Chopina, sonaty Schuberta czy symfonie Mahlera. Jego wiersze dowodzą, że dobrze znał filozofię, na przykład Schopenhauera i Nietzschego, przemawiających do jego precyzyjnej inteligencji i wrodzonego sceptycyzmu, ale muzyka oddziaływała na niego bardziej trzewiowo, głębiej. Stanowiła nieodłączną część jego edukacji emocjonalnej. Zawsze byłem przekonany o tym, że Adam ma potężne życie wewnętrzne.

Zakochałem się w wierszach Adama, zanim jeszcze poznałem i mogłem pokochać jego samego. Doskonale pamiętam wstrząs i uniesienie, narastające przejęcie, które czułem czytając jego wczesny wybór wierszy „Tremor", pierwszą książkę wydaną po angielsku, w przekładzie Renaty Gorczyńskiej. Natychmiast postanowiłem, że muszę zrobić wszystko, by ściągnąć go na uniwersytet w Houston, gdzie sam od niedawna zacząłem pracować, jako wykładowcę w programie

↦

↦ *creative writing*. Nie miałem pojęcia, czy w ogóle mówi po angielsku i czy ma doświadczenie jako nauczyciel akademicki – nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia, do tego stopnia zakochałem się w jego poezji – i ta moja namiętność zwyciężyła. Argumentowałem, że mamy oto jedyną i niepowtarzalną okazję, by zatrudnić spadkobiercę Czesława Miłosza i Josifa Brodskiego, europejskiego poetę najwyższej klasy.

W tym okresie Adam mieszkał w Courbevoie na przedmieściach Paryża i szukał pracy – Francuzi nie umieli docenić tego wyrafinowanego flâneura, przechadzającego się pomiędzy nimi. I tak w 1988 r. Adam wysiadł z samolotu w Houston, z czerwonym szalikiem na szyi, migreną oraz słownikiem niemiecko-angielskim pod pachą. Był bardzo uprzejmy, ale zdawał się zmęczony i zdezorientowany, a ja zacząłem się zastanawiać, co też najlepszego narobiłem.

Houston było absurdalnym miejscem dla Adama, ale już następnego dnia znaleźliśmy jakąś kawiarnię i zaczęliśmy rozmawiać o poezji – a rozmowa ta trwała przez trzydzieści lat. Nieodmiennie bawiła go amerykańska otwartość, która była dla niego męcząca, ale w końcu skruszyła starannie przez niego wznoszoną fasadę. Zaaklimatyzował się zaskakująco dobrze, częściowo dlatego, że odkrył bibliotekę uniwersytecką, Rice Library, gdzie zachwycił go wolny dostęp do półek, zresztą znakomicie zaopatrzonych w nowe w znacznej części książki. Trochę się martwiłem, że podkradnie nam Adama jakiś inny program *creative writing* (przez te lata nieraz podejmowano takie próby), dlatego nie chciałem mu zdradzić, że ciche biblioteki z wolnym dostępem do półek występują powszechnie także na innych amerykańskich uniwersytetach. Kiedy z wizytą do Houston przyjechała żona Adama, Maja, postanowił, że po pierwsze pokaże jej Rice Library.

Przez kolejnych piętnaście lat Adam spędzał jeden semestr w roku w Houston, pisał tu, uczył na naszych studiach, gdzie był uwielbiany, i jeździł po całych Stanach Zjednoczonych, by czytać wiersze. Przeżyliśmy razem niejedną przygodę – miał podstępny sposób wchodzenia ze mną w polemiki w trakcie dyskusji, podcinał moje argumenty ze znawstwem przybysza ze Starego Świata, zaczynając ripostę od frazy: „Mój dobry przyjaciel Eddie uważa..." – a nasze wyobraźnie iskrzyły w rozmowie. Jego dzieło wywarło na mnie osobiście ogromny wpływ, który od pewnego momentu był odczuwalny również szerzej na amerykańskiej scenie poetyckiej.

Nieskrzyżowane drogi

Zdaje mi się zresztą, że był to wpływ dwukierunkowy. Kiedy Czesław Miłosz przeprowadził się do Krakowa, brakowało mu kontaktów z amerykańskimi poetami, nieodłącznej części jego kalifornijskiego życia, więc Adam wpadł na pomysł, żeby pocieszyć Miłosza organizując poetyckie kolokwium ku jego czci. Razem stworzyliśmy Krakowskie Seminarium, które przez dziesięć lat było okazją do spotkań polskich, europejskich i amerykańskich luminarzy literatury – uczestnikami bywali Tomas Venclova, Seamus Heaney, Eavan Boland, W.S. Merwin – którzy dyskutowali o fundamentalnych kwestiach dotyczących poezji, polityki i historii. Miłosz przekonał nawet Wisławę Szymborską, żeby wystąpiła w trakcie jednego z wieczorów w kościele – w kościele polskiej poezji. Adam z pewnością należał do grona jego arcykapłanów.

Nie ma chyba lepszej charakterystyki Adama niż jego wiersz „Autoportret", który chwyta zarówno jego życie codzienne, jak i to, co kochał ponadczasowo. Napisał go w latach 90., kiedy wciąż jeszcze mieszkał w Paryżu, przed powrotem do Krakowa. Przypomnienie tego wiersza sporo mnie kosztuje, bo Adam jest w nim sportretowany tak niesłychanie żywo – znał siebie samego bardzo dobrze! – że zaraz po jego śmierci nie mogę tego utworu czytać bez emocji. Czas teraźniejszy jest tak przejmujący:

Między komputerem, ołówkiem i maszyną do pisania
schodzi mi pół dnia. Kiedyś zrobi się z tego pół wieku.
Mieszkam w obcych miastach i niekiedy rozmawiam
z obcymi ludźmi o rzeczach, które są mi obce.
Dużo słucham muzyki: Bacha, Mahlera, Chopina,
Szostakowicza.
W muzyce znajduję siłę, słabość i ból, trzy żywioły.
Czwarty nie ma imienia.
Czytam poetów, żywych i umarłych, uczę się od nich
wytrwałości, wiary i dumy. Próbuję zrozumieć
wielkich filozofów – najczęściej udaje mi się
uchwycić tylko strzępy ich drogocennych myśli.
Lubię chodzić na długie spacery paryskimi ulicami
i patrzeć na moich bliźnich, ożywionych zazdrością,
pożądaniem lub gniewem; obserwować srebrną monetę,
która przechodzi z dłoni do dłoni i powoli traci
swój okrągły kształt (zaciera się profil cesarza).
Tuż obok rosną drzewa, niewyrażające nic,
jeśli nie liczyć zielonej, obojętnej doskonałości.
Po polach kroczą czarne ptaki,
które wciąż na coś czekają, cierpliwe jak hiszpańskie
wdowy.
Nie jestem już młody, ale wciąż są starsi ode mnie.
Lubię głęboki sen, kiedy mnie nie ma,
i szybką jazdę rowerem wiejską szosą, gdy topole i domy
rozpływają się jak cumulusy na pogodnym niebie.
Czasem przemawiają do mnie obrazy w muzeach
i nagle znika ironia.
Uwielbiam przyglądać się twarzy mojej żony.
Co tydzień, w niedzielę, telefonuję do ojca.
Co dwa tygodnie spotykam się z przyjaciółmi,
w ten sposób dochowujemy sobie wierności.
Mój kraj wyzwolił się od jednego zła. Chciałbym,
żeby za tym poszło jeszcze jedno wyzwolenie.
Czy mogę być w tym przydatny? Nie wiem.
Nie jestem wprawdzie dzieckiem morza,
jak napisał o sobie Antonio Machado,
ale dzieckiem powietrza, mięty i wiolonczeli,
i nie wszystkie drogi wysokiego świata
krzyżują się ze ścieżkami życia, które, na razie,
należy do mnie.

Oto niezwykła autocharakterystyka poety, który stawia nas wobec wielkich tajemnic. Wiersze Zagajewskiego wiodą ku czemuś, co jest głębokie i dziwne, i być może bezgraniczne w nas samych. Są blisko spokrewnione z modlitwą, z paradoksalnym wyczuciem prawdy, żarliwą potrzebą poszukiwania i silną tęsknotą za jasnością. Wystarczy przeczytać „Płomień":

Boże, daj nam długą zimę
i cichą muzykę, i usta cierpliwe,
i trochę dumy – zanim
skończy się nasz wiek.
Daj nam zdziwienie
i płomień, wysoki, jasny.

Czytając teraz na nowo wiersze Adama dostrzegam, że śmierć zawsze rzuca na nie cień i jest w nich ostra świadomość ludzkiego okrucieństwa. Dają świadectwo powracającemu barbarzyństwu – tej kostnicy, historii, która stale nam uprzytamnia, co ludzie zdolni są robić sobie nawzajem. „To może być Bośnia, dzisiaj, / Polska we wrześniu 39, Francja – / osiem miesięcy później, Turyngia w 45, / Somalia lub Afganistan, Egipt" – powiada w wierszu „Uchodźcy". „W parku Saint-Cloud (...) Myślałem o twoich słowach: / Świat jest okrutny, pożera się / nawzajem, jest okrutny, okrutny" – napisał w wierszu dedykowanym Józefowi Czapskiemu.

A jednak wiersze Zagajewskiego przepełniają również cudowne momenty duchowego blasku. „Przeszył mnie ostry harpun zachwytu" – stwierdza w wierszu „Okrutny". „Wiem, że jestem sam i jednocześnie złączony / z tobą, trwale, szczęśliwie i boleśnie – notuje w „Obecności". – Wiem, że tylko tajemnice są nieśmiertelne". Dla Adama nawet pływanie było jak modlitwa: „dłonie łączą się i rozdzielają, / łączą i rozdzielają, / nieomal bez końca". Zdumiewam się tym, jak jego wiersze przenoszą nas w obszary majestatyczne, bezgraniczne i nieznane.

Trzy miasta

Adam Zagajewski napisał wiele wierszy poświęconych podróży i przemieszczaniu się, ale naprawdę ważne są u niego trzy miasta: średniowieczny Lwów, gdzie się urodził („Zawsze było za dużo Lwowa – wyznaje – nikt nie umiał / zrozumieć wszystkich dzielnic"), brzydkie, przemysłowe Gliwice, gdzie dorastał („...rozmawiają ze sobą dwa miasta" – powiada. – „Dwa miasta, różne, lecz skazane na trudną miłość, jak mężczyźni i kobiety"), oraz Kraków, gdzie studiował i gdzie rozbudziła się w nim fascynacja poezją, muzyką i filozofią. Był poetą o rilkeańskiej wyobraźni, który wierzył, że poezja ma moc przenoszenia nas ku temu, co w nas samych najwznioślejsze.

A jednak w początku lat 70. ruszył zupełnie inną drogą, pisał bowiem wiersze spod znaku organizującego się ruchu opozycyjnego. Było w nim silne poczucie, że na pisarzu ciąży społeczna odpowiedzialność, oraz jasne przekonanie, że „zbiorowość (narodu, społeczeństwa, pokolenia) jest zasadniczym bohaterem i adresatem prac twórczych, artystycznych". W jego wczesnych wierszach jest surowa, krzepka energia, ale te utwory nie przekroczyły swojego momentu historycznego. Jednakże od połowy lat 70. Zagajewski stopniowo przechodzi na drugą stronę swojej natury. Daje upust potrzebie estetyki i oddaje się (wieczystym) wartościom sztuki. Jak sam mówi: „Odkryłem, że istnieje też »metafizyczna« strona mojego »ja«, która jest raczej anarchiczna – niezainteresowana polityką czy historią, ale poezją i muzyką".

Pielgrzym

Zagajewski nigdy nie zapomniał, jak ważne jest odnoszenie się do problemów społeczeństwa, potrzeba *civitas*, zarazem jednak nauczył się, jak fundamentalną wartość mają prywatność i moralność mówienia tylko we własnym imieniu. Wiersz „Ogień" jest punktem zwrotnym w przemianie, jaką przeszedł poeta-dysydent:

Jestem chyba zwykłym mieszczańskim
obrońcą praw jednostki, słowo wolność
rozumiem bez nadzwyczajnych klasowych
ograniczeń, naiwny politycznie, przeciętnie
wykształcony (krótkie chwile jasności
to jego główne pożywienie), pamiętam
płomienny apel tego ognia, który wysusza
spragnione wargi tłumu a potem pali
książki i zwęgla skórę miast, śpiewałem
także te piosenki, wiem jakie to wspaniałe
biec razem z innymi, później zostaję sam,
w ustach mam smak popiołu i słyszę
kłamstwa ironiczny głos, krzyczy chór
a ja dotykam głowy, tam pod palcami
wypukła czaszka ojczyzny mojej twardy brzeg.

Owe sprzeczne żądania wobec uwagi poety doprowadziły do powstania jeszcze głębszych metafizycznych podziałów. Zagajewski zawsze był poetą nieodpartych dualizmów („Świat jest rozdarty. Niech żyje dualizm! Trzeba go chwalić, skoro nie można się bez niego obejść" – głosił.) W jego dziele odbywa się potężny dialektyczny ruch między rzeczywistością i wyobraźnią, między historią i filozofią, między tym, co czasowe, a tym, co wieczne.

„W poezji spotykają się dwa sprzeczne pierwiastki, ekstaza i ironia – stwierdza Zagajewski w „Dwóch miastach". – Pierwiastek ekstatyczny wiąże się z bezwarunkową akceptacją świata, nawet tego, co w nim okrutne i absurdalne. Ironia natomiast jest artystyczną reprezentacją myślenia, krytycyzmu, wątpienia". Sam starał się wyważyć między tymi dwoma żywiołami, a jednak najsilniejszym impulsem była u niego potrzeba opiewania okaleczonego świata, tak, opiewania tajemnic świata, a nawet zaświatów.

W pewnym sensie był pielgrzymem, szukającym, celebransem dążącym do tego, co boskie, niezmienne, absolutne. W jego wierszach tak wiele jest promiennych momentów pełni. Są duchowymi znakami, hymnami do tego, co nieznane, dźwigniami przenoszącymi nas w sferę transcendencji. Niepojęta i nieznośna jest świadomość, że Adama nie ma, ja jednak czuję wdzięczność za naszą długą przyjaźń i wiem, że jego wiersze będą ze mną do końca życia.

© EDWARD HIRSCH

Przełożyła MAGDA HEYDEL

EDWARD HIRSCH *(ur. 1950) jest amerykańskim poetą i krytykiem, prezesem fundacji John Simon Guggenheim Memorial, publikuje w „The New York Times Book Review" oraz „The Washington Post Book World". Jest autorem bestsellerowej książki „How to Read a Poem and Fall in Love with Poetry", w której tłumaczy, jak czytać poezję i dlaczego jest ona kluczowa dla rozwoju kultury. W Polsce ukazał się tom jego wierszy „Dzika wdzięczność" w przekładzie Mai Wodeckiej.*

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Efekt motyli

MAREK RABIJ

O tym, jak na kanwie filmu uznanego za dokument o pewnej wyprawie powstał reportaż udający powieść. O drugiej ekspedycji sprawdzającej osiągnięcia poprzedniej – i o wyroku sądu, który zdemaskował książkę o kulisach powstania filmu.

Stefan. A raczej David Kaszlikowski – bo takim imieniem od lat sygnuje relacje ze swoich wspinaczek – rozkłada na stole kilkadziesiąt karteczek.

– Rozpisałem w hasłach ostatnie dziesięć lat życia, które zmarnowaliśmy na tłumaczeniu, że nie jesteśmy wielbłądami. Odchorowaliśmy to, dosłownie i w przenośni. A dla ciebie to tylko jeszcze jeden temat. Dlatego wybacz, ale wolę założyć, że chcesz nam zaszkodzić. Albo dokopiesz niechcący.

Liza. A właściwie Eliza Kubarska. Reżyserka i scenarzystka filmowa. Żona Davida i jego partnerka wspinaczkowa: – Żal mi każdego dnia poświęconego tej sprawie, a przecież było mi łatwiej, bo poza wspinaniem już wtedy funkcjonowałam w środowisku filmowym. David, który realizował się przede wszystkim jako wspinacz i fotograf, został sam. Stracił kontrakty reklamowe. Czasopisma, do których pisał, zerwały z nim współpracę. W pewnym momencie zorientowałam się, że ludzie, którzy go nawet nie spotkali, zaczynają się go bać. Wystarczyło im to, co było w książce i co doczytali sobie o nas w internecie.

Książka

Na okładce jest fotografia: szczupła sylwetka przywarła do skalnej formacji w pozycji, która zapowiada dynamiczny przeskok do kolejnego chwytu.

„Liza i jej partner Stefan – głosi zapowiedź – to pasjonaci i zdobywcy niedostępnych szczytów. Kiedy postanawiają nakręcić film o swojej wyprawie, zabierają ze sobą przyjaciół – Norę i Alka. (...) Okazuje się jednak, że ich oczekiwania są różne. Nora chce przeżyć przygodę swojego życia, Alek marzy o wspinaniu. Liza chce nakręcić film, a Stefan... zdobyć sławę. Nie zawaha się ani przed kłamstwem, ani przed zaryzykowaniem życia Lizy. Ich toksyczne uczucie komplikuje relacje między przyjaciółmi".

Książka „Sekretne życie motyli" ukazuje się nakładem wydawnictwa Znak Literanova w sierpniu 2011 r. Jej autorką jest Joanna Krośkiewicz (posługuje się panieńskim nazwiskiem Onoszko). Tytuł zaanonsowano jako fikcję literacką, ale niemal każdemu, kto śledzi scenę polskiego wspinania, rzuca się w oczy podobieństwo książkowych postaci do Elizy Kubarskiej i Davida Kaszlikowskiego, pary utytułowanych podróżników, wspinaczy i fotografów. Autorka nazywa tymczasem swoich bohaterów „toksycznym związkiem", „katem i ofiarą", „parą pozorantów". Oskarża o manipulacje zdjęciami, narażanie życia współpracowników. Wspomina choroby w rodzinie, a nawet omawia szczegóły ich budowy anatomicznej.

– Podobno zrobiłem się blady jak trup, kiedy przeczytałem kilka pierwszych fragmentów „Sekretnego życia motyli" – wspomina David.

Eliza: – Po minucie lektury było jasne, że ta książka podszywa się pod nasze życie.

Droga

Cztery lata wcześniej, w lipcu 2007 r., Eliza i David stają na szczycie klifu, który okoliczni Inuici nazywają Maujit Qaqarssuasia. Wyprawę w ten rejon Grenlandii wspinacze finansują częściowo z dotacji Polskiego Związku Alpinizmu. Projekt jest ambitny. Zakłada m.in. pokonanie kilkudziesięciu ostatnich kilometrów kajakami, założenie bazy na wyspie oddalonej kilkanaście kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby i poprowadzenie na klifie nowej drogi w stylu klasycznym (czyli bez użycia haków jako punktów podparcia).

D. KASZLIKOWSKI / VERTICALVISION.PL

Droga Golden Lunacy, którą Eliza i David wytyczają na szczyt Maujit Qaqarssuasia, powstaje rzeczywiście w takim stylu, choć autorom nie udaje się pokonać jej w jednej próbie. Po powrocie do Polski Kaszlikowski zamieszcza w magazynie „Góry" relację z wyprawy, w której barwnie opisuje tygodnie spędzone u stóp wysokiego na półtora kilometra klifu, perypetie podczas kajakowych rekonesansów okolicznych fiordów, a nawet boje z rojami uciążliwych muszek. W tej relacji – jak i w oficjalnym sprawozdaniu z wyjazdu dla PZA – nie brakuje oczywiście danych topograficznych i opisu trudności nowej drogi. Całość robi wrażenie poważnej wspinaczki, do tego poprowadzonej w niezłym stylu i na wyprawie realizowanej bez wsparcia logistycznego. Zatory lodowe na morzu nie pozwalają jednak alpinistom – co też od razu wyjaśniają – dotrzeć w rejon Maujit Qaqarssuasia na kajakach.

– Wszystkie wydarzenia opisałem rzetelnie. W pewnych fragmentach powinienem był się jednak ugryźć w język – przyznaje dziś David. – Pisałem tuż po powrocie, emocje buzowały i palnąłem z rozpędu o 1500 metrach pionowej skały na naszej drodze, podczas gdy chodziło mi o wysokość całego klifu. Trzeba było wystudzić emocje. Przeprosiłem za to. Wycena trudności drogi podana w tamtych publikacjach była jednak szczerym odzwierciedleniem tego, jak je wtedy odczułem.

Film

Po powrocie z Grenlandii o Elizie i Davidzie robi się bardzo głośno – choć już wcześniej byli rozpoznawalni w światku polskich wspinaczy. Sugestywne relacje z ich ekspedycji, okraszone świetnymi zdjęciami Davida, odbiegają stylem od buchalterii klasycznych sprawozdań wyprawowych. Za serię dokonań z 2007 r. zespół otrzymuje „Jedynkę", najwyższą nagrodę polskiego środowiska wspinaczkowego. Eliza przygotowuje się do filmu poświęconego złożoności i zmienności relacji w zespole, który w górach łączy lina, a na co dzień także miłość.

– Od początku mówiłam o dokumencie na temat naszego uczucia i emocji, nie ↦

Biwak 700 metrów nad wodą podczas prac nad filmem. W niemal identycznych warunkach autorzy drogi spędzili noc podczas wspinaczki w 2007 r.

VERTICALVISION.PL

Pierwsze wejście na klif w roku 2007 i start drogi Golden Lunacy. Transport sprzętu potrzebnego do wspinaczki zajmie kilka dni.

↦ wytyczania Golden Lunacy – zapewnia reżyserka. – Dla operatora Łukasza Gutta potrzebowaliśmy kogoś do asekuracji. Zaproponowaliśmy to naszym przyjaciołom: Zbyszkowi Krośkiewiczowi i jego żonie Joannie.

Pięcioosobowy zespół latem 2009 r. wraca na Grenlandię. Owocem tego wyjazdu będzie film „Co się wydarzyło na wyspie Pam?" w reżyserii Kubarskiej. Tytuł nawiązuje do głośnego wówczas obrazu „Co się wydarzyło w Madison County", ale nabierze symbolicznego znaczenia w kontekście dalszych wydarzeń. Pewne jest bowiem tylko to, że pod koniec prac nad dokumentem obie pary rozstają się w atmosferze wzajemnych pretensji. O tym, co naprawdę miało miejsce na wyspie Pam między byłymi już przyjaciółmi, będzie wkrótce dyskutować niemal cała wspinaczkowa Polska.

Wyprawa

Z raportu zespołu Polskiego Związku Alpinizmu do sprawy drogi Golden Lunacy: „Podsumowując, uważamy, że zespół Kaszlikowski–Kubarska w rażący sposób zawyżył trudności techniczne (...). Nie chcemy jednak całkowicie potępiać przejścia (...). Uważamy, że pokonali długą drogę na poważnej ścianie, nie ukrywając najważniejszych faktów istotnych dla oceny stylu przejścia".

Oficjalny zespół do zbadania przebiegu drogi wspinaczkowej to nowość w świecie polskiego alpinizmu, lecz pod koniec 2011 r., kiedy PZA postanawia go powołać, sprawa Golden Lunacy rozpala i dzieli środowisko. W popularnym serwisie wspinanie.pl część użytkowników zarzuca wręcz autorom zmyślenie całego przejścia. Padają oskarżenia o poprowadzenie drogi terenem, gdzie nie trzeba się nawet asekurować. Inni piszą o przekręcaniu zdjęć względem linii horyzontu, żeby wyglądały na zrobione w pionie lub nawet w przewieszeniu. Kapituła „Jedynki" dostaje kolejne apele o zbadanie sprawy i we wrześniu 2011 r., po spotkaniu z autorami drogi i wątpiącym w jej trudności Zbigniewem Krośkiewiczem, podejmuje (niejednogłośnie) decyzję o odebraniu zespołowi prestiżowej nagrody. W uzasadnieniu jury podkreśla jednak, że „nie posiada dowodów, aby autorzy Golden Lunacy dopuścili się oszustwa. Istnieją (...) rozliczne znaki zapytania".

Na kilka godzin przed ogłoszeniem tej decyzji Eliza i David publikują oświadczenie, w którym sami zwracają „Jedynkę" – jak mówią, w proteście przeciwko działaniom jurorów.

Ludwik Wilczyński, członek kapituły: – Decyzję o przyznaniu „Jedynki" podjęliśmy w oparciu o relację Kaszlikowskiego, który przedstawił drogę Golden Lunacy jako poważne sportowe przedsięwzięcie. Cieszyłem się wtedy, że wreszcie możemy nagrodzić coś, co mieści się w nurcie wspinaczki sportowej. Zdjęcia, które dostarczył potem Krośkiewicz, uświadomiły nam jednak, że na tej drodze nie może być 1500 metrów pionowego terenu. Zespół sam przyznał się do czegoś, co nazwał przejęzyczeniem, choć moim zdaniem było to typowe górskie kolorysowanie. Doszliśmy do wniosku, że już to degraduje powagę drogi tak bardzo, iż uzasadnia odebranie nagrody. Zaapelowaliśmy też o wysłanie wyprawy, która zweryfikuje wycenę drogi, co do której też mieliśmy wątpliwości, oraz inne zarzuty ze strony środowiska. Jednocześnie poprosiliśmy o powstrzymanie się od ataków personalnych wymierzonych w autorów Golden Lunacy. Książka, która wtedy wyszła, bardzo podgrzała atmosferę wokół tej drogi, chcę jednak podkreślić, że na naszą decyzję nie miała żadnego wpływu. A wyprawa weryfikacyjna, która zdementowała zarzuty pochodzące z internetu, potwierdziła nasze wątpliwości co do klasy Golden Lunacy. W alpinizmie wiarygodność relacji i wzajemne zaufanie to zasady fundamentalne.

David: – Osądzono nas na podstawie zdjęć i opinii kogoś, kto nie był z nami na wyprawie w 2007 r. i nie przeszedł nawet metra naszej drogi. Jego zdjęcia nie były chyba bardziej czytelne, skoro w końcu to moich fot użył PZA do opracowania topografii drogi. Wreszcie, kapituła najpierw uznała nas winnymi, a potem poparła wysłanie na Grenlandię zespołu, który dopiero zweryfikuje nasze dokonania. Czy to ma sens?

Eliza: – Kapituła na naszą wyprawę patrzyła przez pryzmat świeżo wydanej książki Onoszko, o której szybko zrobiło się bardzo głośno. W 2014 r. zdobyliśmy wewnętrzną korespondencję tego jury. Zobaczyliśmy, jak organizowano przeciw nam apel kopiujący pomówienia z książki, tym razem już jako głos środowiska. Komunikat o odebraniu nagrody zawierał nieprawdziwe informacje o wyprawie. Na zdjęciach wrysowali nieistniejące formacje skalne.

Latem 2012 r. na Grenlandię rusza pierwsza w dziejach PZA wyprawa weryfikacyjna, która ma zbadać, czy autorzy Golden Lunacy zdobyli szczyt Maujit Qaqarssuasia faktycznie pokonując opisane trudności. Trzech doświadczonych wspinaczy dochodzi na miejscu do wniosku, że większość zarzutów stawianych autorom drogi jest nietrafiona. Na miejscu nie dostrzegają choćby formacji skalnych, które kapituła wypatrzyła na zdjęciach. Takie półki, zwane zachodami, biegnące w poprzek ściany, pozwoliłyby alpinistom bezpiecznie przerwać wspinaczkę w niemal dowolnym momencie. Tymczasem na klifie jest tylko jeden taki zachód – opisany przez Kaszlikowskiego. Weryfikatorzy potwierdzają też,

że stromy żleb, którym Eliza i David wracali ze szczytu, w trudnych warunkach atmosferycznych istotnie może być poważnym wyzwaniem. Krytycy autorów drogi twierdzili, że miejscowi chodzą po nim w gumiakach.

Marcin Księżak, szef wyprawy weryfikacyjnej: – Golden Lunacy nie jest ekstremalną drogą, ale autorzy nigdy jej tak nie nazywali. To poważne wspinanie, porównywalne z alpejskim klasykiem, jakim jest filar Walkera na Grandes Jorasses. Gdyby to było pastwisko, jak pisano w internecie, przejście całości nie zajęłoby nam półtora dnia.

Księżak twierdzi jednak, że w kilku miejscach autorzy faktycznie zawyżyli trudności drogi Golden Lunacy: – Trudno udowodnić złą wolę. Ocena trudności jest rzeczą subiektywną. Mogę też wskazać na nawyki, które David wyrobił sobie pisząc do kolorowych magazynów podróżniczych, gdzie przedstawiał swoje wyprawy w taki sposób, by robiły na czytelnikach jak największe wrażenie. Z przyzwyczajenia przeniósł tę narrację do sprawozdania dla PZA i to był błąd, bo do fachowców powinien pisać konkretnie.

> Latem 2012 r. na Grenlandię rusza pierwsza w dziejach Polskiego Związku Alpinizmu wyprawa weryfikacyjna, która ma zbadać, **czy wspinacze zdobyli szczyt faktycznie pokonując opisane przez siebie trudności.**

David: – Tylko że weryfikatorzy w ogóle nie przeszli kilku fragmentów naszej drogi. Także tych, których wycenę degradowali. PZA przyznało to dopiero w uzupełnieniu raportu w listopadzie 2012 r., kiedy niewiele osób było już tym zainteresowanych. Okazało się, że nasze „zawyżanie trudności" to zaledwie kilka krótkich odcinków drogi. Zwykle przeszacowanych o pół stopnia albo stopień.

Ustalenia zespołu – jak zauważa współautor Golden Lunacy – nie miały jednak większego wpływu na to, co o tej drodze myśleli wspinacze w Polsce: – Zrozumieliśmy, że środowisko miesza pomówienia Onoszko dotyczące wyprawy filmowej z 2009 r. z wyjazdem z 2007 r., podczas którego powstała Golden Lunacy. Jeden z członków kapituły zarzucał nam, że zdjęcie z nowej drogi skałkowej wytyczonej w 2009 r. wprowadziło kapitułę w błąd podczas przyznawania nagrody w roku 2007.

Eliza: – Jeszcze przed publikacją maszynopis książki krążył wśród wspinaczy. Znali go nawet ludzie, z którymi pracowałam na ściance wspinaczkowej przy Obozowej w Warszawie i uważałam za kolegów. Nikt słowa nie powiedział, choć przecież wszyscy wiedzieli, że to o nas. Kiedy się o tym dowiedziałam, nigdy więcej tam nie wróciłam. ↦

REKLAMA

ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU
EDYCJA FANTASTYCZNA

NAGRODA PREZYDENTA MIASTA GDAŃSKA ZA TWÓRCZOŚĆ TRANSLATORSKĄ im. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO

GDAŃSK, 15-17 KWIETNIA 2021
ONLINE

Laureatka Nagrody za całokształt twórczości:
Anna Przedpełska-Trzeciakowska, tłumaczka literatury angielskiej i amerykańskiej.

Nominowani za przekład dzieła:
Wawrzyniec Brzozowski (język francuski), Olga Czernikow (język czeski), Leszek Engelking (język czeski), Hanna Igalson-Tygielska (język francuski), Maciej Płaza (język angielski), Teresa Tyszowiecka blasK! (język angielski), Ryszard Wojnakowski (język niemiecki).

Transmisję oglądaj online:
16 kwietnia, godz. 20:00 na Youtube.com/ikm_gdansk

ORGANIZATORZY: GDAŃSK, Instytut Kultury Miejskiej, #wolnosc kultury
PARTNERZY: Instituto Cervantes Varsovia, Embajada de España en Polonia, Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, Tygodnik Powszechny, Czeskie Centrum České Centrum
PATRONI MEDIALNI: Książki, Pismo, TOK FM, wyborcza.pl Trójmiasto, trojmiasto.pl, Codesigrane
www.odnalezionewtlumaczeniu.pl

Proces

↦ Książkowa Liza panicznie boi się lodowatej grenlandzkiej wody, ale Stefan upiera się przy nakręceniu sceny, w której jego partnerka podczas przeprawy pod ścianę wypada z kajaka. Kiedy Liza odmawia, wywraca ją z kajakiem.

– W moim filmie jest zbliżona scena, ale kiedy ją kręciliśmy, Krośkiewiczów już z nami nie było – mówi Eliza. – Joanna przepisała część z artykułu Davida, ale zakłamała bieg wydarzeń. W rzeczywistości było tak, że faktycznie bałam się tej wywrotki. Wtedy David sam wszedł do kajaka i przewrócił się, żeby mi pokazać, że to nie takie straszne.

W sierpniu 2011 r. Kaszlikowski i Kubarska składają pozew o ochronę dóbr osobistych. Już kilka dni po wydaniu książki – w trybie zabezpieczenia powództwa – Sąd Okręgowy w Warszawie zakazuje jej sprzedaży, a następnie jej dystrybucji i reklamy. Sąd apelacyjny utrzymuje zabezpieczenie w mocy.

Kilka miesięcy później, w rozmowie z „Dużym Formatem" Joanna Onoszko sama przyznaje, że „początkowo wraz z wydawnictwem chcieliśmy przedstawić książkę jako powieść opartą na faktach. Jednak po namyśle wydawnictwo zdecydowało się na formułę, że wszelkie podobieństwo do osób żyjących jest przypadkowe. Byłam debiutantką, zgodziłam się. Trzymałam się tej formuły lojalnie, ale teraz, gdy jestem pozwana do sądu, gdy wszyscy, na czele z pierwowzorami, rozszyfrowali, o kogo chodzi, gdy moja książka została aresztowana, zdecydowałam się ujawnić prawdę".

David: – Podczas procesu zdobyliśmy dokumenty potwierdzające, że Znak wykupił w Google kampanię promocyjną książki Onoszko i otagował ją naszymi nazwiskami. A jeszcze przed publikacją prosiliśmy o wycofanie tytułu tłumacząc, że taki paszkwil zniszczy nam życie.

D. KASZLIKOWSKI / VERTICALVISION.PL

Eliza Kubarska i David Kaszlikowski na szczycie klifu Maujit Qaqarssuasia. Sierpień 2007 r.

Znak nie był jedynym wydawnictwem, do którego wpłynął maszynopis „Sekretnego życia motyli". Tuż po premierze książki redakcja serwisu wspinanie.pl poinformowała czytelników, że jesienią 2010 r. „otrzymała egzemplarz autorski z prośbą o opinię i rozważenie wydania tej pozycji. (...) Po lekturze zdaliśmy sobie sprawę, że książka w takiej postaci jest niedającym możliwości sensownej obrony atakiem na Elizę i Davida. Zasugerowaliśmy autorce, oprócz zmiany oczywistych realiów historii, aby w oficjalny sposób (w formie artykułu, oświadczenia lub wywiadu) wyszczególniła wspinaczkowe zarzuty dotyczące przejścia drogi Golden Lunacy. Autorka pozostała jednak przy swojej wizji książki, a wspomnianych zarzutów nie udało się zgromadzić i opublikować w konkretnej formie".

– Po decyzji o zabezpieczeniu powództwa część środowiska uznała naszą obronę za próbę cenzury – ciągnie Kubarska. – Do zarzutów o zawyżenie powagi Golden Lunacy doszły oskarżenia o manipulację przy produkcji filmu.

W rozmowie z dziennikarzem „Newsweeka" Joanna Onoszko mówiła: „Byłam świadkiem robienia zdjęć do filmu dokumentalnego w innych miejscach niż na drodze wspinaczkowej, którą dokumentowano. Bo, jak powiedzieli ludzie z ekipy filmowej, na drodze nie osiągnie się odpowiedniego efektu ekstremalności".

Eliza: – Nic takiego jej nie mówiliśmy. Pani Krośkiewicz od początku wiedziała, że to nie będzie film o drodze Golden Lunacy, tylko o naszej relacji z Davidem. Przed wyjazdem wysłałam jej scenariusz, który komentowała. Wiedziała, że na początku z braku pieniędzy część ujęć zamierzam nakręcić w Alpach, a zdjęcia podwodne na basenie w Gdańsku.

David: – Gdyby chodziło tylko o obraźliwe wycieczki osobiste, które zajmują w tej książce dziesiątki stron, sprawa nie byłaby tak poważna. Ale to dotyczy każdego aspektu naszego życia. Zostałem odmalowany jako szaleniec, który dla sławy gotów jest zaryzykować nawet życie najbliższych. Nasza praca jest opluwana, przebieg naszych wypraw zakłamywany. Zarzutu manipulowania zdjęciami, który dla zawodowego fotografa jest wyrokiem śmierci, pani Krośkiewicz również nie potrafiła udokumentować przed sądem.

Eliza: – Miała to być opowieść nie tylko o „toksycznym związku", ale też „o kobietach, które nie potrafią znaleźć sobie miejsca w życiu". Nie wiem, co ja tam robię?

29 stycznia 2021 r. Sąd Okręgowy w Warszawie zakazał Joannie Onoszko oraz wydawnictwu Znak publikacji i rozpowszechniania całej książki „Sekretne życie motyli". Mają oni również opublikować przeprosiny za to, że „pod pozorem fikcyjności bohaterów naruszyli ich dobra osobiste poprzez rozpowszechnianie fałszywych informacji o ich wyprawie, kwalifikacjach moralnych i zawodowych". Sąd zasądził też na rzecz każdego z powodów po 80 tys. zł zadośćuczynienia. Wyrok nie jest prawomocny.

Wydawnictwo Znak nie odpowiedziało na prośbę o kontakt z autorką „Sekretnego życia motyli" i komentarz do sprawy. W wynikach wyszukiwania Google „afera Golden Lunacy" wyświetla się nadal tuż poniżej hasła „afera Amber Gold".

©℗ MAREK RABIJ

POŻEGNANIE

Ze smutkiem informuję o śmierci mojego Ukochanego Męża

Ś.† P.

Mieczysława Pieronka

Zmarł 21 lutego 2021 r.,
w 88. roku życia i w 64. roku naszego małżeństwa.
Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Radziechowach.

Barbara

TOBIASZ PAPUCZYS / MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Czarnik (Newton) i Klaudia Waszak (Girl) w spektalu „Lazarus" w Teatrze Muzycznym „Capitol" we Wrocławiu, luty 2021 r.

Tryzna

DARIUSZ KOSIŃSKI

Klata nie rezygnuje z punkowego aktu niezgody na wciąż odnawiającą się polską nieautentyczność. Choć nosi żałobę po naszej wolności, walczy. Jego teatr nie jest już narodowy, ale polski z pewnością: realnie i do bólu.

Jakże łatwo ułożyć opowieść niesamowitą! Odkąd w praskim „Fauście" (Divadlo pod Palmovkou, premiera 2 marca 2019), krakowskim „Długu" (Teatr Nowy „Proxima", premiera 14 września 2019) i warszawskiej „Matce Joannie od Aniołów" (Nowy Teatr, premiera 30 listopada 2019) Jan Klata wyzwał na deski sceny Przeciwnika, jego kolejne przedstawienia nie mają szczęścia.

„Zemsta rosyjskiej sieroty" Henriego Rousseau, nad którą zaczął pracować wiosną 2020 r. z zespołem Teatru im. Jaracza w Łodzi, została odwołana, bo marszałek województwa postanowił wymienić dyrektora. Premiera „Lazarusa" Davida Bowiego i Endy Walsha w Teatrze Muzycznym „Capitol" we Wrocławiu (26 września 2020) skończyła się zarażeniem części zespołu i gości, i niemal natychmiastowym zamknięciem teatru na kolejne miesiące. Do premiery „Czerwonych nosów" Petera Barnesa w Teatrze Nowym w Poznaniu (12 lutego 2021) wprawdzie doszło, ale po bodaj trzech prezentacjach kolejne za każdym razem w ostatniej chwili odwoływano z winy choroby. A potem nastąpił trzeci ogólnokrajowy lockdown...

W wirze łódzkiej afery Klata udzielił wywiadu, w którym sugerował, że odwołanie dyrektora Waldemara Zawodzińskiego to kara za zaproszenie do współpracy reżysera znajdującego się na ministerialnej czarnej liście. A co, jeśli domniemanej czarnej listy nie trzyma w dłoniach żaden „miełkij bies", ale ten najważniejszy?

Przy drzwiach zamkniętych

Na opowieść Klaty o czarnej liście minister Piotr Gliński odpowiedział we właściwy sobie lekceważący sposób, dając do zrozumienia, że nie ma czasu i głowy, by zajmować się przerośniętym ego jakiegoś artysty. Zapewne dostał oklaski nie tylko od swojego otoczenia. Nic tak nie cieszy, jak upadek kogoś, kto ma wysoką samoocenę i nie zwykł przepraszać, że żyje. Zresztą: ileż można o tym Klacie?! Co się stało, to się nie odstanie, życie toczy się dalej i nie ma co wracać do tamtej sprawy.

Dobrze wiem, że upominanie się o sprawiedliwą ocenę zniszczenia dyrekcji Jana Klaty w krakowskim Starym Teatrze w 2017 r. nie każdego podnieca. Ale powracam do tego przy każdej okazji, także dlatego, że w sprawie tej ujawnił się model działania rządzącej obecnie, pożal się Boże, prawicy. Głoszony przez nią oficjalnie projekt „wymiany elit" w praktyce polega na unieważnianiu kryteriów kul- ↦

↦ turotwórczych i artystycznych. Ministerstwo Piotra Glińskiego nie prowadzi żadnej konsekwentnej „wojny kulturowej". Klaty przecież nikt nie atakował wprost jako ideologicznego wroga, nikt mu nie zarzucił, że jest „lewakiem", że niszczy narodową kulturę itd. Zamiast tego poniżono go unieważniając znaczenie jego wieloletniego dorobku i wyników jego pracy w Starym, wkładając na jego miejsce groteskowych następców.

Twierdzenie, że wiedza, osiągnięcia i program Marka Mikosa oraz Michała Gielety były pod jakimkolwiek względem porównywalne z wiedzą, osiągnięciami i programem Klaty, było oczywistym kłamstwem. Przyznał to sam Piotr Gliński wyrzucając w końcu wykreowanego przez siebie „dyrektora". Ale co z tego, skoro w ten sposób realnymi decyzjami zanegowano pozornie oczywiste kryteria i jasno pokazano, że żaden dorobek i autorytet, niczyja praca nie mają znaczenia. Skoro dyrektorem Narodowego Starego Teatru w Krakowie mógł zostać Marek Mikos, a osoby, które do tego doprowadziły, nie palą się ze wstydu, nie przepraszają, nie wycofują się z życia choćby teatralnego, to znaczy, że żadne kryteria nie mają znaczenia. Jakiś artysta ma przerośnięte ego, jakiś krytyk obsesję – i tyle. Liczy się pragmatyczna realność decyzji, a na nią żadne wartości artystyczne i merytoryczne nie mają już wpływu.

Chodzi po prostu o to, żeby mieć lojalnych „swoich", obajtków. I właśnie sprawa Klaty to ujawnia. Skoro kryteria zostają zanegowane i jedynym, co się liczy, jest skuteczne pozycjonowanie możliwe dzięki sieci kontaktów, to osoby raz uznane za niepożądane nie mogą zrobić nic, by oddana im została elementarna sprawiedliwość. Nawet nagroda Nobla nie sprawi, że sprawujący władzę uznają „nieswoją" pisarkę za wybitną, a cóż dopiero mówić o jakiejś Europejskiej Nagrodzie Teatralnej, na dodatek wręczonej w Rosji!

Każdy sądzi według siebie, więc przekonanie, że wszelkie kryteria są wyrazem partyjno-środowiskowych gier, ma się świetnie. Sferą wolnych od nich wartości są tylko dogmaty narodowej wiary, nic więc dziwnego, że wzorem wspieranej przez tę władzę kultury są projekty ojca Rydzyka. Kultura, która wątpi, nawet w samą siebie (a więc każda żywa), nie jest rządzącej „prawicy" do niczego potrzebna. Co innego ideowy przeciwnik – ten jest tak pożądany, że trzeba go nieustannie wytwarzać haniebnymi kampaniami oraz likwidowaniem wszystkich tych, którzy zaburzają wyrazistość różnicy.

A Klata to wręcz modelowe uosobienie tego zaburzenia. Wyrzucony przez prawicę, nie jest wcale kochany przez środowiska kulturowej lewicy. Wprost przeciwnie: gdyby nie wymuszona politycznie fałszywość polskich sporów, byłby teraz zapewne jednym z najzajadlej atakowanych twórców polskiego teatru jako symbol silnej i instytucjonalnie gwarantowanej władzy reżysera, która jest osią kluczowej teatralnej dyskusji, jaka się dziś w Polsce toczy. Bo to nie wydumana wojna kulturowa jest dla teatru najważniejsza, ale zachodząca w nim fundamentalna zmiana systemowa, która dąży do zniesienia hierarchii wynoszącej na szczyt reżysera jako „właściwego twórcę przedstawienia". W jej efekcie teatr, który Klata uznaje za swój, który umacniał, a który w zamian wytworzył go jako postać, zaczyna tracić moc. Nie znika i na pewno nie zniknie, ale przestaje odgrywać żywotną rolę w świecie przedstawień.

Twarz owinięta chustą

Życie jest gdzie indziej. To może najbardziej dojmujące i oczywiste doświadczenie, jakie można wynieść z ostatnich przedstawień Jana Klaty. Środowiskowo, zawodowo, kulturowo i artystycznie jego teatr znalazł się na pustyni. Został zatrzymany w sferze pomiędzy. Z czegoś zostało się wyłączonym, ale obrzęd włączenia do nowego nie nastąpił. Zamiast tego otworzyła się wielka i pusta przestrzeń, którą wypełniają groteskowe i niesamowite postacie oraz działania bez trudu dające się uznać za absurdalne.

Uosobieniem i centralną figurą tej, niestety nie tylko teatralnej, sceny jest postać umieszczona w tytule musicalu Bowiego i Walsha – Łazarz. Ten, który umarł, ale został wskrzeszony i teraz stoi na progu

Janusz Andrzejewski i Łukasz Schmidt w spektaklu „Czerwone nosy", Teatr Nowy w Poznaniu, luty 2021 r.

MARCIN BALIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

grobu, nie przynależąc w pełni ani do życia, ani do śmierci. Łazarz Klaty w Teatrze Muzycznym „Capitol" to nie ewangeliczna postać odzyskanego na nowo życia, ale żywy trup, który nie może i nie chce umrzeć, ale też nie może i nie chce żyć, bo ma wszystko i właśnie to wszystko mu nie wystarcza. Jest tak radykalnie i całkowicie „nie stąd", że „tu" zamieniło mu się w „nigdzie".

W oryginalnym „Lazarusie" taka diagnoza, także przez oczywiste odwołania do szczególnej biografii i sytuacji Bowiego, mogła być odnoszona do napiętnowanej przedrostkiem „post-" kultury euroamerykańskiej, opisywanej jako kultura nadmiaru i wyczerpania. Ale w wersji Klaty to rozpoznanie powraca (już nie tylko na scenie „Capitolu") w swoim szczególnym, polskim wydaniu. Słuchając, jak Marcin Czarnik w roli Thomasa Newtona śpiewa finałowe „Heroes", nie mogłem opędzić się od obrazu jego Hamleta z wściekłością walącego kijem w turbogolfową piłeczkę na nabrzeżu zrujnowanej Stoczni Gdańskiej.

Bo tak naprawdę to już od wtedy, od „H.", od (mój Boże!) siedemnastu lat (premiera 2 lipca 2004), Polska powraca u Klaty jako Łazarz – wskrzeszona, wywiedziona z grobu, ale nie zmartwychwstała. Zmartwychwstanie zapowiadane od wieków jako przemiana w ciało chwalebne („Kiedy prawdziwie Polacy powstaną...") nie dokonało się. Zamiast niego nastąpiło wskrzeszenie i z grobu wyszedł żywy trup, który nie zdobył nowego życia. Dręczą go groteskowo patetyczne figury przeszłości i pamięć niespełnionych szans oraz paniczny lęk przed rewolucją, która zamienia się w wielką rzeź albo w trampolinę dla kolejnych elit uczących się, jak opisywać smak francuskiego wina i elegancko jeść ostrygi.

Nie ma powrotu i nie ma kroku naprzód. Trwa wielkie raz dokoła – taniec Chochoła. Narodowe pogo, w którym wyładowuje się bezsilna wściekłość. Jedyny głos buntu: „Mamy dość! Wyp...lać!" – natychmiast negowany w swojej skuteczności. I dojmujące, rodzące autentyczną rozpacz poczucie, że „mogliśmy być bohaterami", ale w jakimś nie do końca sprecyzowanym i uświadamianym momencie utraciliśmy swoją szansę.

Załóż kostium

Co można robić, skoro nic zrobić nie można? Zagrać. Wystąpić. Thomas Newton ożywia się, tylko gdy może zaśpiewać i przedstawić swoje progowe uwięzienie w kolejnym musicalowym numerze (świetnie zainscenizowanym, zagranym i zaśpiewanym). Bohaterowie „Czerwonych nosów" Petera Barnesa w Teatrze Nowym w Poznaniu wyruszają w środku szalejącej zarazy w drogę ze spektaklami wywracającymi świat na taki opak, że spadające z ołtarzy i cokołów symbole sypią iskry bluźnierstwa.

MICHAŁ SZLAGA

Klata jest naznaczony piętnem lat 80. i 90. Pamięcią etosu, który eksplodował w sierpniu 1980 r. i porwał miliony. Zepchnięty w podziemie, przetrwał, ale gdy wyszedł z grobu, wyrzekł się własnej drogi, znaczenia, siły i wartości.

Przedstawienia wkomponowane w „Lazarusa" i „Czerwone nosy" to jakby dwa przeciwległe bieguny teatru Klaty, kiedyś już zestawione w krakowskiej dylogii królów – Leara i Ubu. Połyskliwe, niemal glamourowe klipy z piosenkami Bowiego to obrazy wysmakowane, zainscenizowane z precyzją i dbałością. Reżyser zdaje się respektować estetyczne przyzwyczajenia widzów, by w ten sposób wciągnąć ich w niemal transową podróż po fantazjach. Dramat Barnesa osadzony jest w świecie świadomie odartym z wszystkiego, co mogłoby zadowolić publiczność. Wszystko tu wydaje się tanie i w złym guście, niesatysfakcjonujące i nieprzyjemne.

Czerwone nosy Klaty mają mało wspólnego z radosnymi bożymi kuglarzami oryginału. Trupa brata Flote'a posługuje się nie żartami, ale świadomą prowokacją i profanacją. Dotyka ona ikonografii i repertuaru katolickiego, ale nie tylko. Bezczelnie wystawiane i „niewłaściwie" używane są też schematy rasistowskie (Trzej Królowie jako przedstawiciele trzech ras) i seksistowskie, a także stabuizowane znaki Zagłady. Ubranie moralitetowego Każdego w oświęcimski pasiak, danie mu żydłaczącej żony i esesmana jako towarzysza ostatniej drogi, czy przerobienie pogrzebowej pieśni „Przybądźcie z nieba na głos naszych modłów..." na radosną wersję dansową to nie są żadne kuglarskie sztuczki, ale poważna karnawałowa jazda po bandzie. Teatr Flote'a wywraca świat do góry nogami nie tylko tam, gdzie zazwyczaj się tego chce i temu kibicuje – w obszarze władzy i podtrzymywanych przez nią hierarchii – ale także tam, gdzie zaboli każdego, kto żegnał pieśnią ukochanych zmarłych.

W tym sensie jest to teatr bezkompromisowy. Ale politycznie i społecznie – nieskuteczny. Newton może śpiewać najpiękniej, ale nic go nie ocali. Flote Łukasza Schmidta jest pełen gorączkowego zapału, ale nawet przez moment nie gaśnie w nim autentyczna rozpacz i wściekłość. Nie ma w przedstawieniu ani okruszka wiary, że działania wywrotowej trupy przyniosą trwałą zmianę, a ona sama przetrwa kres przerwy na wolność.

W przedstawieniu Barnesa tę przerwę wymusza zaraza, którą w spektaklu Klaty natychmiast utożsamia się z pandemią. Ale to uproszczenie. Wiele znaków użytych przewrotnie w spektaklu sugeruje, że ta „przerwa", która się właśnie kończy, obejmuje okres o wiele dłuższy. Nie bez kozery „Czerwone nosy" powracają na tę samą scenę, gdzie 19 kwietnia 1993 r. odbyła się polska prapremiera sztuki Barnesa wystawionej przez Eugeniusza Korina. Nie widziałem tego przedstawienia, ale pamiętam, jak czytałem dramat w „Dialogu", a wcześniej jeszcze oglądałem inspirowane tym tekstem przedstawienie Teatru KTO „Do góry nogami" (1988). Wtedy wydawało się, że bunt kuglarzy bożych, choć z doraźną polityką przegrywa, jest skuteczny w planie etycznym, ↦

↦ że zapowiada przyszły tryumf ludzkiej radości, wolności i solidarności. W roku 2021 nikt takich złudzeń nie ma. Obiecany wolny kraj właśnie wrócił do normalności, którą – oczywiście nie przypadkiem – ogłasza u Klaty finałowa pieśń kołobrzeskiego oratorium Katarzyny Gaertner. Nawet jeśli żałobną modlitwę przearanżować na disco polo, to i tak bierzemy udział w pogrzebie.

Teatr Jana Klaty jest naznaczony piętnem polskich lat 80. i 90. Jest w nim trwale i silnie obecna zmitologizowana pamięć solidarnościowego (bez cudzysłowu, dużej litery i zastrzeżonego kroju pisma) etosu, który eksplodował w sierpniu 1980 r. i porwał miliony w karnawałową rewolucję wytwarzania zupełnie nowego świata. Zepchnięty w podziemie, zakazany i zagrożony, przetrwał, ale gdy wyszedł z grobu, natychmiast wyrzekł się własnej drogi, uznając, że to, w co wierzył przez dziesięć lat, nie ma znaczenia, siły, wartości. Że nadszedł czas na „normalność". Więc żyje, żyje o wiele lepiej, dostatniej, wygodniej. Tylko że nie żyje własnym życiem. Niezależnie, czy udaje Europejczyka, czy dawnego Polaka – żyje życiem pożyczonym, fałszywym.

Klata z uporem i w narastającej rozpaczy zrywa ten wciąż odrastający pawio-papuzi kostium, choć wcale nie wydaje się wiedzieć, jak może wyglądać życie własne i polskie. Ba, nie wie chyba nawet, czy w ogóle coś takiego jeszcze jest możliwe. Ale nie potrafi zrezygnować z rzeczywiście punkowego aktu gniewnej niezgody na odnawiającą się w wielu barwach i kolorach polską nieautentyczność. Choć nosi żałobę po naszej wolności, walczy.

Na słowiańskich pogrzebach przed nastaniem chrześcijaństwa nie tylko pito i płakano. Odbywały się też igrzyska nazywane tryzna. Nie wiemy do końca, jak wyglądały, ale kronikarze wspominają, że obejmowały inscenizowane walki i tańce w maskach. Polski teatr swoją wyjątkowość zawsze zawdzięczał relacjom ze zmarłymi. Mówi się, że jego matecznikiem są dziady, na które w końcu przychodzi niedający się wygnać upiór. Na pewno. Ale jest nim też tryzna. Niekończąca się walka i taniec z nieumarłymi.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Złoty kołowrotek

ANITA PIOTROWSKA

Twórcom „Sweat" udaje się uczłowieczyć mechaniczną doskonałość influenserki. A gdy wydaje się, że proces ocieplania zakończył się sukcesem, następuje kolejna wolta.

Podczas pandemii wielu z nas na dobre zamieszkało w internecie i stało się własnymi awatarami. Ciekawe, że u źródeł, czyli w hinduizmie, słowo to ma znaczenie zgoła odmienne, bo nazywa się nim ziemskie, a więc znacznie mniej doskonałe, wcielenie bóstwa. Tymczasem w przypadku głównej bohaterki „Sweat" (i poniekąd nas wszystkich w sieci) jest na odwrót. Sylwia, instagramowa gwiazda fitnessu, właśnie w sieci i dzięki sieci stała się istotą zgoła półboską. Wszak status influenserki, obserwowanej przez setki tysięcy ludzi, zobowiązuje do bycia ideałem. Tylko jakie mogą być koszty takiej nieustającej kreacji? Jak długo da się w niej wytrzymać?

Magnus von Horn, polski reżyser szwedzkiego pochodzenia, autor znakomitego „Intruza" (2015), w swoim drugim filmie przebija się przez wyświetlacz smartfona, którym jego bohaterka każdego dnia transmituje na żywo najbardziej fotogeniczne momenty swego życia. Po drugiej stronie znajdziemy wiadomo co: banalne didaskalia, morderczy wysiłek, samotność i lęk przed utratą popularności. Obsypany gdyńskimi nagrodami film, na szczęście, nie traktuje tego zderzenia jako ostatecznego punktu dojścia. Dzięki brawurowej roli Magdaleny Koleśnik, zajmującej tutaj sto procent czasu ekranowego, i za sprawą kamery Michała Dymka, wręcz przyklejonej do aktorki, obserwujemy narastające pęknięcia w wizerunku i niezgrabne próby odnalezienia własnej twarzy.

Już pierwsza scena, podczas treningu z fankami w centrum handlowym, pokazuje wyraźnie, że awatar Sylwii znalazł swoje rozwinięcie w realnym życiu. Po czym – trzask! – następuje gwałtowne rozładowanie baterii. Nakręcona instruktorka fitnessu potrafi bowiem zarażać swą energią całe tłumy, ale na zapleczu natychmiast gaśnie, zapada się w sobie, dziobiąc z pudełka dietetyczne jedzenie. Sylwia jest zakładniczką własnej marki, sponsorów, sztabu współpracowników, nieodłącznego w jej fachu mikroportu i różowego kostiumu do ćwiczeń. Robione „z kija" selfie zastępuje jej lustro. Lecz choć von Horn zaczyna od znanych schematów – typu: „smutne życie singielki w zimnym apartamentowcu, z cateringiem i rasowym pieskiem" albo „krew, pot i łzy na siłowni kontra sztuczny uśmiech na sprzedaż" – bohaterka „Sweat" (czyli „Potu" właśnie) co chwila robi coś, czym wyłamuje się ze stereotypowych wyobrażeń.

A to podczas streamingu wyrwie się z osobistym wyznaniem, obniżając komercyjny potencjał przekazu, to znów przypadkowo spotkanej koleżance ze szkoły powie o czymś, czego nie wiedzą nawet jej bliscy. Za to kiedy podczas rodzinnej imprezy zwierzy się, że ktoś ją śledzi, nie zdoła przebić się ze swym niepokojem przez sałatkę jarzynową, wódeczkę i pogwarki przy stole. Jest to niewątpliwie najlepsza scena filmu, zawierająca sugestię, skąd na poziomie emocjonalnym wzięło się wirtualne uzależnienie bohaterki. Bo również dla własnej matki (świetna Aleksandra Konieczna) bohaterka przestała być Sylwią z krwi i kości, zamieniając się w medialną supertrenerkę, trochę nierzeczywistą postać z DVD dołączanego do sportowych magazynów. I jeszcze te kłujące drobiazgi: zanim dłonie celebrytki ozdobi perfekcyjny manicure, widać w zbliżeniu mało ponętny proces obróbki, z suchym drażniącym, mocno przesterowanym dźwiękiem piłowania paznokci. Trudno o bardziej wymowną figurę rozdwojenia, w jakim znalazła się idealna dziewczyna z Instagrama.

Von Horn nie poprzestaje na diagnozie zjawiska, jakim są wirtualne byty

GUTEK FILM / MATERIAŁY PRASOWE

Magdalena Koleśnik jako Sylwia Zając w filmie „Sweat”

konkurujące o naszą uwagę, a następnie monetyzujące ją poprzez pełnienie roli ambasadorów znanych marek. Wypracowane ciało Sylwii, jej umiejętności trenerskie i talenty motywacyjne, choć mają przecież jakąś wartość same w sobie, traktowane są przez postronnych niczym zaledwie reklamowy słup. Ale w pierwszej kolejności to ciało stanowi po prostu przedmiot pożądania – kobiet marzących o tak nieskazitelnej sylwetce i mężczyzn widzących w niej seksualny obiekt. I ów estetyczno-erotyczny potencjał przekłada się wprost na wymiar merkantylny, czyli mówiąc wprost, na prezenty od sponsorów. Dlatego coraz bardziej wyobcowana bohaterka „Sweat” rozpoczyna w końcu walkę o siebie, o swoją podmiotowość, acz zrazu po omacku, nieśmiała i bierna w swoim oporze. Najciekawsze, że sprężyną tej przemiany okazuje się w scenariuszu von Horna postać stalkera – otyłego mężczyzny w średnim wieku, śledzącego Sylwię w sieci i w realu. To najbardziej tajemniczy i dwuznaczny wątek „Sweat”, mowa w końcu o przemocy wobec kobiety. Jednakże film próbuje dopisać tej brudnej historii zaskakującą puentę, być może moralizatorską, acz wiarygodną. I na tym opowieść się nie kończy.

Twórcom i aktorce udaje się uczłowieczyć mechaniczną doskonałość influenserki. Obiektyw rejestruje najdrobniejsze drgnienia jej twarzy; z równą uwagą przygląda się jej profesjonalnej masce i publicznej nadaktywności, co domowemu spowolnieniu. I gdy wydaje się, że proces ocieplania zakończył się sukcesem, przesłanie filmu zaś zaczyna ocierać się o zbytnią dosłowność, następuje kolejna wolta. Albowiem oparty na transakcji świat, który pokazuje von Horn, nawet ze słabości potrafi uczynić chodliwy towar. Przed kamerami (dziś czytaj: online) szczerość i ekshibicjonizm stają się tym samym. I okazuje się, że też nie do końca. Można by zapytać twórcę, dlaczego tak niestrudzenie wystawia na próbę naszą wiarę i niewiarę w bohaterkę.

Można także zarzucić mu, że w sumie nie mówi niczego odkrywczego o samej naturze mediów społecznościowych i ich użytkownikach. Chyba jednak nie tylko o samotności w sieci jest to film. Jeśli już, to raczej o uwięzieniu tamże, również w samym obrazie – w tych wszystkich klaustrofobicznych miejscach, w których Sylwia kręci się w kółko, zgodnie z rytmem swojej codziennej rutyny. Nie wiadomo, czy to ona, zafiksowana na swojej „misji” i w gruncie rzeczy zamknięta we własnej głowie, bardziej wypełnia te miejsca sobą, czy to one ją osaczają. Wystudiowany chłód i fabularna zdawkowość „Sweat” nie sprzyjają odpowiedziom. Jedyne, co nam w tym filmie pozostaje, to podążać za Sylwią na dobre i na złe. Nawet jeśli jej życiowa trajektoria miałaby się okazać jedynie złotym kołowrotkiem zdyszanego, zamkniętego w klatce chomika. ©

SWEAT – *reż. Magnus von Horn. Prod. Polska/Szwecja 2020. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 9 kwietnia.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Jeździec

Western, reż. Chloé Zhao, USA 2017, CHILI, iTunes Store

Reżyserka „Nomadland” w swoim wcześniejszym filmie również sięga po naturszczyków (tym razem z indiańskiego rezerwatu Pine Ridge) i ich doświadczenia. Opowiada przejmującą historię zawodnika rodeo, który po wypadku nie przestaje walczyć o swoje marzenia. W epickich pejzażach Dakoty Południowej Zhao przywołuje obraz życia współczesnych kowbojów i ich ginącej kultury.

2. Andriej Tarkowski. W świątyni kina

Dokumentalny, reż. Andriej A. Tarkowski, Włochy/Rosja/Szwecja 2019, mdag.vod

W oryginale film nosi podtytuł „Modlitwa”, bo tak właśnie twórca „Andrieja Rublowa” traktował swoją pracę. Po latach jego syn zbiera najciekawsze wypowiedzi reżysera oraz znane i nieznane archiwalia filmowe, składając je w pogłębiony portret artysty, który zadaje ciągle aktualne pytania na temat roli sztuki i jej miejsca w społeczeństwie.

3. Saint Maud

Horror, reż. Rose Glass, Wielka Brytania 2019, Rakuten

Dojrzały debiut Glass to jeden z najlepszych filmów grozy ostatnich lat, podejmujący z samym gatunkiem śmiałą grę. Jest w nim miejsce na cielesność i metafizykę, a także na refleksję o tym, gdzie przebiega granica między obsesyjną religijnością a czystym szaleństwem. Wewnętrzny świat nawiedzonej dziewczyny uobecnia się na ekranie w wyrafinowanej wizualnie formie.

4. Dobre rady Johna Wilsona

Serial dokumentalny, reż. John Wilson, USA 2020, HBO GO

Poczucia humoru mógłby mu pozazdrościć Martin Scorsese, który nakręcił niedawno swój nowojorski serial. Dla Wilsona „Wielkie Jabłko” to przede wszystkim miasto paradoksów, absurdów i dziwaków, podpatrzone bystrym (ale i czułym) okiem dokumentalisty. Dołóżmy do tego błyskotliwy komentarz, a dostaniemy jedyną w swoim rodzaju instrukcję obsługi Nowego Jorku – i nie tylko.

JAN

Klata:
Trzydzieści i osiem

Lockdown nie lockdown, a rzutki wójt Obajtek nie zasypia gruszek w popiele. Krzepko szefuje polskiemu Gazpromowi, stanowiąc zarazem nadzieję Prezesa jako człowiek, który wszystko może – dla po prostu Polski, nowej, prawej i sprawiedliwej Polski, oczywiście. Obrotny Obajtek jest okrutnie, jak zadekretował Prezes, „zupełnie niezwykły człowiek" – co brzmi odrobinkę jak tytuł nowego hitu zespołu Niwea. Na czym polega magia Obajtka? On wszystko skupuje, po prostu. Co jak co, ale kupować Daniel Obajtek lubi pasjami, on kupuje wszystko, co się rusza, zwłaszcza nieruchomości. Modelowy przykład bizneskariery *à la* PiS nieco ostatnio się potknął o swoje działki, ale z drobną pomocą CBA i ziobrowej prokuratury dalej ciągnie Polskę w lepszą przyszłość. Orlen jest jak hurtownia śniegu na Antarktydzie – tutaj naprawdę trudno się skompromitować...

I będę go bronił, bronił, bo coś wiem, wiem, ale nie powiem... albo powiem: każda, nawet najbardziej kuriozalna rewolucja potrzebuje swoich Robespierre'ów (w tej roli pan Antoni) oraz swoich Dantonów. Rewolucjonista Danton – jak powszechnie wiadomo – namiętnie inwestował w nieruchomości. „Lubił czuć swe bogactwo pod stopami", konstatowali zawistnicy. Jeśli pan Daniel potraktowałby owo zdanie dosłownie, nieźle by się nachodził, chroniąc się przed inflacją.

Wiele zasłużonych dla Polski postaci łamie sobie głowę, dlaczego Obajtek kupił owych nieruchomości akurat 38. Skąd ta liczba?! Zanalizujmy sprawę numerologicznie: może urodził się 7 lutego, i chciał to uczcić? Czy też raczej idzie o atomową liczbę strontu, pierwiastka z grupy berylowców? Pan Antoni powinien to wyjaśnić, podkomisja działa pełną parą, a zaraz 132. miesięcznica, będzie jakiś konkret. „Stront" brzmi dość przekonująco.

P.S. *Breaking news:* dalej nie wiem, dlaczego akurat 38, ale już mi świta, dlaczego tak dużo. W świetle mrożących krew w żyłach medialnych enuncjacji, że Artur Barciś musiał jechać aż 140 km od domu, żeby się zaszczepić, 38 nieruchomości Obajtka wydaje się bardzo rozsądne: on zawsze będzie mieć bliżej na zastrzyk. ©

Lektor:
Powrót po półwieczu

▪ *Zyta Oryszyn*
NAJADA
Posłowiem opatrzyła Inga Iwasiów.
Wydawnictwo Drzazgi,
Czersk 2021, ss. 178.

Nowe wydawnictwo debiutuje debiutem wybitnej pisarki – tyle że debiutem sprzed ponad półwiecza. A pisarka na wiele lat niemal zniknęła ze świadomości czytelników i krytyków. Najpierw więc o przyczynach tego zniknięcia.

Zyta Oryszyn (Bartkowska) urodziła się w 1940 r. w Zagórzu pod Sanokiem, po II wojnie przeniosła się z rodziną na Dolny Śląsk. Ukończyła filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1962-72 była żoną Edwarda Stachury, w 1996 r. poślubiła dziennikarza Andrzeja Kaczyńskiego. „Najada" została najpierw (1969) wydrukowana na łamach redagowanej przez Iwaszkiewicza „Twórczości", co w tamtych latach było niemałym wyróżnieniem, uhonorowano ją też Nagrodą im. Wilhelma Macha za najlepszy debiut powieściowy i doczekała się szybko wznowienia. Potem ukazały się „Melodramat" (1971) i „Gaba-Gaba, czyli 28 części wielkiego okrętu" (1972) – po czym nazwisko Zyty Oryszyn przestało się pojawiać w oficjalnym obiegu, wyjąwszy pierwszy „Tygodnik Solidarność", ten z roku 1981. Kolejne powieści – „Czarna iluminacja" (1981), „Madam Frankensztajn" (1984), „Historia choroby, historia żałoby" (1990) – wyszły w oficynach podziemnych (NOWA, Przedświt i PoMost), a ich autorka redagowała podziemne pisma, m.in. „Wezwanie" i „Kulturę Niezależną". Teraz kolejna, jeszcze dłuższa przerwa – i książka ostatnia, „Ocalenie Atlantydy" (2012). Zdumiony zachwyt krytyków, dwie ważne nagrody, Gdynia i Gryfia. I w 2018 r. śmierć.

„Najadę" można by zaliczyć do prozy „nurtu wiejskiego", jak Myśliwskiego, Pilota czy Tadeusza Nowaka, z tym że wyjątkowo mocno wybrzmiewa w niej perspektywa kobieca, rozpisana na kilka postaci. Włącznie z babką Ganowską, która wychowuje Sawkę-podrzutka, zajmuje się spędzaniem płodów i popełnia samobójstwo po tym, gdy kolejna klientka umiera podczas zabiegu. Ten wiejski świat (jego pejzaż nosi pewne rysy Kujaw Stachury) sportretowany został wyraziście i sensualnie, z użyciem stylizacji językowej, która jednak nie ma budować jakiejś idylli. Klimat „Najady" jest mroczny, pełen tajemnic i niedopowiedzeń, jej bohaterowie – pisze Inga Iwasiów – „żyją w długim cieniu wojny, o której starają się już nie pamiętać i milczeć". I niech was nie zwiedzie przywołana w tytule mityczna nimfa – ona jest, owszem, jednym z kluczy do tej powieści i ewokuje nastrój ludowej legendy, tyle że ta legenda ma tutaj podłoże bardzo realne. I – ostatecznie – krwawe. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Srebrnik Codzienny

Myślami już przy pasztetach, jak co roku u progu Wielkiego Tygodnia trochę fukam na myśl o czasie, który zejdzie mi na staniu po surową kiełbasę. Tę jedną jedyną najlepszą w mieście – a jeśli to przesada, na pewno najlepszą w dzielnicy. Tak rzadko jadam przetworzoną wieprzowinę, że gdy już robię wyjątek, to niech będzie porządna. Skądinąd nie zauważam z upływem lat, żeby ludzi w ogonku ubywało. Wegetarian z pewnością jest wśród nas więcej niż u progu stulecia, może się nawet ich liczba podwaja co parę lat, ale nadal są to wzrosty w jednocyfrowym przedziale skali.

Do radosnej powtarzalności rozmów o tym, kto i kiedy jakiego mazurka szykuje, doszło nowe uczucie, wzięte raczej z „Dnia Świstaka" niż z książek o znaczeniu cyklicznych świąt w kulturze i odrodzeniu natury. Łazimy po globalnym miasteczku jak nieszczęsny Bill Murray – tylko gdzie Andie MacDowell, żeby się w niej zakochać? Druga już Wielkanoc przyduszona, nietowarzyska, zdystansowana, dręcząca przez radio drętwym głosem ministrów i premierów. Wynajmujemy ich na służbę nie po to, żeby byli dla nas sympatyczni, tylko skuteczni i roztropni, więc to w sumie bez znaczenia, że gadają jak cyborgi. Chociaż kiedy słyszałem, jak nie bardzo przecież serdeczna kanclerz Merkel potrafi powiedzieć zwyczajnym tonem: „Przepraszam – kiedy robi się błąd, trzeba umieć to przyznać, biorę go na siebie" (chodziło o niewczesne i niespójne restrykcje na święta), to zatęskniłem za czymś takim po polsku.

Głowa już w wielkanocnym trybie, jednak kalendarz podrzuca łaskawie kluczyki do furtek prowadzących do zgoła innych pór roku. W zeszły czwartek, kiedy pisałem te słowa, przypadało święto Zwiastowania, przedsmak najbliższego Bożego Narodzenia, obietnica, że cokolwiek złego dzieje się w marcu, za dziewięć miesięcy będzie jakiś, może weselszy, grudzień. Nie pomyślcie tylko, że jestem aż tak biegły w liturgicznej chronologii – pamiętam o 25 marca, bo to dzień szczególny, gdy budzi mnie ryk lwa świętego Marka, chociaż dla postronnych to tylko żebracze mruczenie mojej namolnej kotki o szóstej rano.

W święto Zwiastowania roku 421, czyli tysiąc sześćset lat temu, konsekrowano kościół świętego Jakuba Apostoła w Rialto, co przyjmuje się za umowną datę założenia Wenecji. Miasta, do którego odwołane wyjazdy, nie-pobyty, wyznaczają mi rytm wyrzeczeń ostatnich parunastu miesięcy. Ilekroć od zeszłego lutego przymierzałem się do podróży, nadchodził szczyt kolejnej fali choroby. Roztrząsałem tu często wkład Wenecji w kulturę stołu, rzeczy wyrafinowane jak carpaccio i plebejskie jak sardele z cebulą na kwaśno, oraz obyczaje biesiadne, krążące wokół wina, którego kieliszek po miejscowemu zwany jest „cieniem". *Basta*, są granice karmienia się nostalgią, nawet jeśli ktoś żyje z opowiadania o jedzeniu.

W kwestii słów Wenecja odciska zresztą piętno równie globalne, jak w kwestii stołu i baru. Nie tylko *ciao* pochodzące od dialektalnego *scia'o*, czyli *schiavo*, czyli sługi, czyli Słowianina (zabawne, że w austriackiej części Polski analogiczne pozdrowienie „sługa uniżony" jest z kolei romańskim „servusem"). Nie tylko *getto* i nie tylko *kwarantanna*, powracające w różnych momentach i kontekstach zaklęcia-zamknięcia. Ale także – co dla nas szczególnie ważne – gazeta. *Gazzetta* to była srebrna wenecka moneta, którą się płaciło za drukowany przez sekretariat dożów biuletyn wiadomości bieżących, od XVII wieku weszła do nazwy publikacji, coś jak „Srebrnik Codzienny".

Dobrze o tym korzeniu słowa pamiętać, dziś kojarzy się przeważnie z czymś niskim i mało wartościowym. Około 400 lat przed tym, jak garstka rybaków poświęciła mu na bagnach kościół, dając początek najdziwniejszemu z ludzkich miast, apostoł Jakub pisał w Liście (Jk 3, 9) o języku: „Mały ogień, a jaki wielki las podpala (...) Przy jego pomocy wielbimy Boga i Ojca, i nim przeklinamy ludzi, stworzonych na podobieństwo Boże. Z tych samych ust wychodzi błogosławieństwo i przekleństwo. Tak być nie może, bracia moi! Czyż z tej samej szczeliny źródła wytryska woda słodka i gorzka? Czy może, bracia moi, drzewo figowe rodzić oliwki albo winna latorośl figi?".

Tak, za dobre i rzetelne słowo trzeba i warto płacić kruszcem. Uczciwy człowiek też musi czasem zjeść obiad. ©℗

Mamy na rynku ostatnie z ostatnich cytryn dobrych do kiszenia – te niepryskane, z ekologicznych upraw, przywiezione na świeżo, nie z chłodni. Prostota tego procesu zawsze mnie powala w porównaniu z obłędnym smakiem na koniec. Porady i filmiki znajdziecie jak internet długi i szeroki, w zasadzie kroki są dwa: nacinamy głęboko, ale nie na wylot cytryny na cztery, zasypujemy rozcięcia obficie solą, upychamy maksymalnie ciasno w wyjałowionym słoju, na którego dno nasypaliśmy nieco soli, dodajemy liść laurowy (ja daję też goździki), dociskamy tak, żeby wypuściły trochę soku, po czym uzupełniamy sokiem wyciśniętym osobno (musi przykryć owoce). Zakręcamy słój, odstawiamy w chłodne ciemne miejsce na ok. 3 tygodnie, co dzień lekko nim potrząsając. Przy tej okazji nauczyłem się kiedyś sposobu, jak łatwiej wycisnąć sok – jeśli nie musimy go zużyć na surowo: otóż wystarczy pogotować w nieosolonym wrzątku cytrynę z kwadrans i wystudzić. A przy okazji spróbowałem kiedyś zjeść taką gotowaną cytrynę – jest też pyszna, o czym nikomu nie mówiłem, sądząc, że to jakieś moje dziwactwo, ale ostatnio pisali na ten temat w „Guardianie", zaczem czuję się upoważniony, by was do tego zachęcić.

ELENA ZAJCHIKOVA / ADOBE STOCK

MICHAŁ ADAMOWSKI / REPORTER

WIĘCEJ LUDZI NIŻ GÓR

PAWEŁ SKAWIŃSKI, BYŁY DYREKTOR TPN:

Nasz sposób bycia w Tatrach może je obrażać. Co by się stało, gdybyśmy urządzili turniej ping-ponga w kościele Mariackim? Piłeczka nie uszkodzi ołtarza Wita Stwosza, ale po prostu nie wypada.

BARTEK DOBROCH: Minął rok od początku lockdownu Tatr. Przeżyły przez ten czas całkowitą pustkę i rekordowy tłum.

PAWEŁ SKAWIŃSKI: Nie pamiętam takiej pustki poza stanem wojennym, choć wówczas można było iść do Kuźnic, a gdy szedłem tam rok temu, policja pytała przez megafon, dokąd idę, sądząc, że zmierzam do zakazanego lasu. Ale lockdown nie sprawił, że niedźwiedź odzwyczaił się od ludzi, a jeleń przestał wchodzić do Zakopanego.

Gdy kiedyś poszedłem wyrzucić śmieci do kontenera, w ruchliwym miejscu niedaleko granic Parku, łania z cielakiem nie rozpoznała we mnie przyjaciela zwierząt, dyrektora, który tyle lat je chronił, i mnie nie puściła. Musiałem wrócić ze śmieciami do domu. Nawet jeśli u zwierząt były pozytywne skojarzenia – „oto wreszcie dla nas Park, nie dla ludzi" – stłamsiło je pełne obecności człowieka lato. Coraz częściej spacerowicza, a nie turysty.

Doliny tatrzańskie stały się przedłużeniem Krupówek.

Jest wiosna, okres lęgowy ptaków, a ktoś ma w uszach słuchawki – zamiast śpiewu ptaków słyszę anglosaski łomot. Masowość dzisiejszej turystyki ma więcej cech plaży czy deptaku. Ale w strefie wysokogórskiej nadal istotną grupę stanowią ci, dla których ważny jest kontakt z przyrodą. Choć są też osoby, które szlak traktują jak bieżnię.

Sport jest obecny w Tatrach niemal od zarania turystyki.

Jednak Mariusz Zaruski, gdy wspomina wycieczkę na Giewont, nie mówi tak, jak powiedziałby współczesny skiturowiec: „zjechałem z Giewontu", ale „odbyłem wycieczkę na Giewont".

Na skutek zamknięcia wyciągów popularność skitouringu eksplodowała.

Zaskakując nas wszystkich. Gdy zaczynałem uprawiać turystykę narciarską w latach 60., szło się z Doliny Pięciu Stawów na Kozi Wierch z nartami przyczepionymi do plecaka. Pojawienie się w połowie lat 80. pierwszych wiązań skiturowych oraz klejonych fok do nart rozpoczęło rozwój takiego

Widok na Tatry z parkingu na drodze do Morskiego Oka, styczeń 2021 r.

narciarstwa, choć najpierw wśród ludzi związanych z górami zawodowo. W TPN ten sprzęt przydał się do głębszych obserwacji przyrodniczych, choćby prawie niemożliwych wcześniej do odszukania miejsc gawrowania niedźwiedzi.

Prowadzenie na skiturach pojawiło się potem także w ofercie przewodnickiej. Nie wspominało o nich jednak – od 1960 r. aż do czasu, gdy zostałem dyrektorem – zarządzenie o ruchu turystycznym w Tatrach. Gdy kiedyś szedłem w maju z nartami na Halę Gąsienicową, legendarny strażnik Marian Weron zatrzymał mnie słowami: „Stop turysto, o tej porze na nartach jeździć nie wolno". Sam się zastanawiałem dlaczego, bo nie byłem jeszcze pracownikiem Parku. Zanim się nim stałem, byłem instruktorem narciarskim, przewodnikiem, ale najpierw turystą.

Czyli stosując Pana określenie – „konsumentem Tatr"?

Konsumentem nie, ale pasjonatem, który zastanawia się nad granicami konsumpcji. Czy istotne jest, co kto ma na nogach, gdy idzie do góry? Do góry nie, ale poruszając się w dół – owszem. Dopuściliśmy zasadę, że można korzystać na nartach ze szlaków letnich lub w nawiązaniu do nich, ale z odstępstwem wszędzie tam, gdzie wymaga tego teren i zasady bezpieczeństwa. Na Karb od Czarnego Stawu idzie się żlebem wprost na przełęcz, a nie szlakiem przez Mały Kościelec.

Pokutuje jednak przekonanie, że poruszając się po śniegu głęboko kryjącym jeszcze w kwietniu wysokogórską przyrodę, nie szkodzimy.

Nie oddziałujemy na pokrywę roślinno-glebową tak jak w lecie, choć wtedy ma to charakter liniowy. Istotne są dopiero oddziaływania w sytuacji zanikania pokrywy śnieżnej. Widać to szczególnie na Kasprowym w długi majowy weekend, gdy turyści, chodząc po miejscach przesączonych świeżo stopniałym śniegiem, gdzie roślinność się budzi, gleba jest rozmiękła, powodują największe zniszczenia erozyjne. Oddziaływanie skiturowe to raczej problem fauny. W lecie wpływa na nią głównie celowe lub bezwiedne dokarmianie, oswajanie z obecnością człowieka, utrata bojaźni, która jest potrzebna, bo zwierzęta muszą mieć zapis ucieczki jako element reguły przetrwania. Ale nie powinniśmy udawać wilka, przepłaszać i ćwiczyć w uciekaniu zwierzęta, które szykują się do snu. W odleglejszych miejscach świstaki budzą się dopiero na przełomie kwietnia i maja, a w rejonie Kasprowego już na początku kwietnia. Według jednej hipotezy ta różnica wynika z tego, że niepokojone zwierzęta przed zapadnięciem w zimowy sen mają mniejsze zasoby tkanki tłuszczowej i wcześniej się wybudzają. Według innej świstaki, podobnie jak kozice, trzymają się Kasprowego, bo nie podejdą ich tam ryś czy wilk, które ciągle bardzo boją się ludzi. Przepłoszenie kozicy, która nie zasypia i zaszła w ciążę jesienią, jest dla niej ogromnym wydatkiem energetycznym. Choć w styczniu ma jeszcze pełną wydolność, to w kwietniu jest rzeczywiście ciężarna, bo w maju rodzi.

Szansą łagodzenia tych relacji ze zwierzętami jest dotarcie z wiedzą do turystów narciarskich. Byłem pełen nadziei jako dyrektor, gdy około 5 tys. ludzi w Polsce uprawiało ten sport, ale w tym roku tylko w styczniu weszło do TPN-u dwa razy tyle skiturowców.

Sprzedawcami wrażeń w internecie nie są już przyrodnicy, ale inni turyści. Jedno zdjęcie przyciąga dziesiątki kolejnych – tej zimy jednego dnia do Doliny Pańszczycy weszło 400 skiturowców.

I tego nie przewidzieliśmy. Bo relacje między człowiekiem a fauną na Kasprowym Wierchu jakoś się układają, ale my byśmy chcieli chronić zwierzęta razem z ich dzikością, zwierzęta, które się nas boją i uciekają. My wchodzimy do domu zwierząt.

Są jeszcze dzikie Tatry?

Zastanawiałem się, czy te moje 44 lata poświęcone ochronie przyrody nie są porażką. Jednak ciągle jeszcze mamy to, co możemy nazwać dzikością, bo Tatry są miejscem bytowania wilka, rysia, niedźwiedzia – drapieżników niespotykanych w wielu obszarach chronionych Europy Zachodniej; oraz świstaka i kozicy, choć ona nie ma alternatywy, bo nie przekroczy kotlin podtatrzańskich i nie pójdzie w inne góry albo w las. Bytuje w tak wysokiej przestrzeni, bo może dostrzec drapieżnika.

W Szwarcwaldzie, gdzie przenoszono kozice na zalesione tereny górskie, nauczyły się one być zwierzętami leśnymi, ale tam 400 lat temu wytępiono niedźwiedzie i wilki. A fenomenem pasterstwa karpackiego jest hodowla zwierząt pośród drapieżników.

W przeciwieństwie do innych krajów karpackich, u nas nie strzela się do niedźwiedzia.

↦

↦ W polskich Tatrach w ogóle się nie strzela, także do zwierzyny płowej. W 2002 r. skończyliśmy z odstrzałami redukcyjnymi. Wcześniej w TPN uważano, że jeleni było tak dużo, iż zakłócały przebudowę drzewostanu polegającą na wprowadzaniu – w miejsce obcego w dolnym reglu świerka – buka i jodły, chętnie przez jelenie zgryzanych. Zmiana jest jednak zasługą wilków. Ale musimy bardzo pilnować, żeby nie zakłócić ich behawioru. Niestety u niedźwiedzi widać pewne uzależnienia pokarmowe. Próbujemy je przepłaszać gumowymi kulami, ogradzamy obiekty elektrycznymi pastuchami. Nie powinniśmy tolerować rozpełznięcia się ruchu turystycznego, bo może ono powodować wypchnięcie zwierząt z ich ostoi. Nie mamy takiej przestrzeni jak na filmach z Kanady, gdzie gór jest ciągle więcej niż ludzi. U nas odwrotnie – ludzi więcej niż gór.

Obecność człowieka w Tatrach rozciągnęła się na miesiące, które były wcześniej martwym sezonem. Wyraźne różnice są między tygodniem a weekendem.

Gdy zostawał Pan w 2001 r. dyrektorem, Park notował ponad 2 mln tzw. osobowejść rocznie. Dziś jest ich 4 mln. Gdzie jest granica?

Istnieją trzy mechanizmy regulowania obecności człowieka w górach. Jednym jest przestrzeń – tę pomiędzy szlakami, których nie powinniśmy dogęszczać, udaje się zachować dla zwierząt. Drugą regulacją jest czas. Nie możemy sobie wyobrazić sytuacji, że w poniedziałki góry są nieczynne, jak muzeum. Ale obowiązuje zamknięcie Tatr w nocy poza okresem zimowym, w końcu aktywność drapieżników jest nocna. Słowacy zamykają szlaki powyżej schronisk od listopada do czerwca. Park nie powinien jednak wprowadzać przepisów, których nie jest w stanie egzekwować. Słowacy mają alternatywę, bo 70 proc. powierzchni ich kraju to góry, a u nas tylko 2 proc.

I w każdej dyskusji o udostępnianiu polskich Tatr pojawia się hasło „dobro wspólne".

Tatry były postrzegane jako ołtarze wolności, przestrzeń swobody, w której nawet w czasie zaborów można było więcej powiedzieć, spotkać się, działać. Dopiero później stały się parkiem narodowym. Gdy przez prawie 14 lat byłem jego dyrektorem, nigdy się nie zdarzyło, żeby zadzwonił jakiś ważny polityk i coś na mnie wymuszał. Ochrona przyrody była apolityczna, choć były naciski, które odczuwałem np. przy modernizacji kolejki na Kasprowy. Nie miałem żadnych wątpliwości, że krzyż postawiony *ad hoc* na Rysach nie powinien tam stać. Usunęliśmy go, przekazując dominikanom na Wiktorówki.

Patrząc z dystansu myślę, że pomysł Jacka Kurskiego zorganizowania sylwestra pod Krokwią był pierwszym wielkim mieszaniem się polityki, próbą wywierania nacisku na dyrektora Parku. Skończyło się dobrze, ale jest coraz trudniej. Oczywiście, Kasprowy zawsze będzie w jakimś stopniu zależny od polityki. Ale w 2007 r. udało się zawrzeć kompromis w kwestii modernizacji kolejki i jej przepustowości. I on ciągle się broni.

Wzrost ceny biletów wstępu do Parku – w tym roku o złotówkę do 7 zł – jest symboliczny w zestawieniu z cennikiem parkingów, kolejek itd. Wyższa cena nie byłaby formą regulacji ruchu?

Myślę, że nie. A jeżeli dla kogoś jest to ograniczenie, to zawsze może pójść na Halę Gąsienicową nie o dziesiątej rano, ale o szóstej, kiedy kasa jest nieczynna. To nie podpowiedź występku, a raczej propagowanie prawdziwej turystyki, bo w góry powinno się wychodzić wcześniej.

Tu warto powiedzieć o trzecim mechanizmie regulacji ruchu, jakim jest liczba wchodzących. Regulowana nie poprzez cenę, ale limity wejść. Arbitralna i ciężko akceptowalna decyzja, do której nie wiem, czy kiedyś nie dojdzie. Do kina wpuszczamy tyle osób, ile jest miejsc. Gdy zaczynałem być dyrektorem, w lecie do Doliny Kościeliskiej wchodziło 2 tys. osób, teraz – 7 tys. Ta różnica dla samej doliny nie ma wielkiego znaczenia. To bardziej kwestia komfortu, radości odbierania gór. Inaczej będę je postrzegał płynąc z rzeką ludzi niż idąc tamtędy samemu o szóstej rano.

Widzę tłumy w Tatrach i na okładce powojennego magazynu, i w albumie z lat 80.

Gdy w 1969 r. zostałem przewodnikiem, masowość była olbrzymia, ale sztucznie napędzana i jednak nie w takiej skali, co dzisiaj. Były rajdy leninowskie, traktowane nie jako wydarzenie ideologiczne, ale wspaniała ucieczka z pracy, np. z Huty Lenina. Podobnie słowacki *národný výstup* na Krywań. Dominowała zorganizowana turystyka masowa, a dziś dominuje turystyka indywidualna. Rodziny, grupy znajomych. Ten indywidualizm tworzy tłum.

Zniknęły barwne wycieczki zakładowe z panami z fabryki mebli komentującymi opowieść przewodnika o wiatrołomie w Dolinie Roztoki: „Wiela by tu drewna było".

Pojawiła się turystyka konferencyjna z krótkimi wycieczkami w góry, które windują frekwencję w listopadzie. Oczywiście mówimy o czasie przed covidem. Dawniej w październiku i listopadzie było kompletnie pusto, a wrzesień był czasem studentów. Obecność człowieka w Tatrach rozciągnęła się na miesiące, które były wcześniej martwym sezonem. Nie ma już sezonowości. Są za to bardzo wyraźne różnice między środkiem tygodnia a weekendem.

Dobra przewidywalność pogody, szybkie komunikowanie między ludźmi sprawiają, że decyzje co do wypadu w góry można podjąć w piątek po południu. Dawniej, gdy wczasy trwały dwa tygodnie, ludzie nie byli tak łakomi na zaliczanie celów. Dzisiaj, gdy przyjeżdżają na dwa, trzy dni, muszą na siłę zaliczyć Rysy, Giewont. Panuje styl chodzenia niezależnie od pogody. To wynik wielkiego postępu w ubiorze i sprzęcie, choć ludzie nie zawsze umieją go używać. Widzę, jak brną w śniegu ze składanymi kijkami przy plecaku. Jak przepinają narty skiturowe na Kasprowym i okazuje się, że w ogóle nie umieją jeździć.

Dobrze, że chcą się ruszać. Tylko że Tatry są za małe.

I pomniejsza je jeszcze zamknięcie granic.

A potężne przestrzenie górskie na Słowacji mogłyby być remedium na ten ruch w Tatrach. W Górach Strażowskich przez cały dzień nikogo nie spotkamy. Nie ma takiej edukacji turystycznej, w której piękno przestrzeni nieuczęszczanej przez turystów byłoby magnesem. Część osób nie musi wejść na Rysy, chociaż niektórym takiego wyczynu nic nie zastąpi.

Tłum ciągle zostawia po sobie śmieci. Dla nas to wizualny dyskomfort, dla zwierząt potencjalna pułapka. Znalazł Pan kiedyś jej ofiarę.

Łasicę, która weszła do półtoralitrowej plastikowej butelki. Było w niej trochę wody i owady, które się utopiły. Nie była w stanie z niej wyjść. Butelki, puszki po piwie to pułapki dla zwierząt, które oddziałują na drobne bezkręgowce, owady, ale i nęcą niedźwiedzia. W jego odchodach znajdujemy plastik, zawleczki od puszek, groźne rzeczy.

Turystyka jest jak nowe górnictwo? Albo pasterstwo?

Zarówno wyrąb lasu dla potrzeb górnictwa, jak i pasterstwo działały wielkopowierzchniowo. Pasterstwo w Dolinie Goryczkowej – na 200 hektarach, podczas gdy narciarstwo działa na 12. Dzisiaj ruch turystyczny odbywa się wzdłuż korytarzy, jakimi są szlaki o łącznej długości 275 km. Owce były wszędzie. W czasie okupacji pasło się ich 30 tys., dzisiaj 1600. Wyniszczenia wynikały z przepasienia. Porośnięte dziś lasem i kosodrzewiną stoki były gołe, zjedzone, wydeptane przez owcze racice.

Największymi zdarzeniami przemiany krajobrazowej Tatr były likwidacja górnictwa w XIX wieku, a potem, w latach 60., wycofanie pasterstwa. Nastąpiła silna, spontaniczna sukcesja roślinności. Tatry się zazieleniły, ich kolorystyka, kiedyś popielato-szarawo-biała od ruchomych kamieni, dzisiaj jest zielona od muraw i kosówki, które je opanowały.

Zarastanie ma też związek z ociepleniem klimatu. Piętra roślinne przesuwają się, górne granice lasu i kosodrzewiny się podnoszą. Świerki prześcigają i ocieniają wybitnie światłożądną kosodrzewinę. Ta rośnie do góry, ale nie daje rady, bo ma w genach zapisane bycie krzewem, w związku z tym usycha.

Nie idealizujemy tatrzańskiej przeszłości?

Jest zdecydowanie lepiej niż było. W czasach Tytusa Chałubińskiego Tatry były bardzo zniszczone. Nawet Stanisław Staszic, opisując je na początku XIX wieku, zwraca uwagę na wypalanie, a Ludwik Zejszner w połowie XIX wieku opisuje łuny i dymy nad wielkim piecem w Kuźnicach. Druga połowa XIX wieku przyniosła totalne wyniszczenie lasów, świerkomanię w górach, a w Polsce nizinnej – sosnomanię.

Górnictwo w Dolinie Jaworzynki pozostawiło zniszczony poprzemysłowy krajobraz z hałdą powstałą w wyniku oddzielania na miejscu rudy żelaza i skały płonej. W tej hałdzie dzisiaj żyją świstaki. To chichot historii.

Trzeba wziąć pod uwagę nie tylko wpływ człowieka na przyrodę, ale popatrzeć na Tatry jako na sanktuarium.

Co oznacza tu to słowo?

To przestrzeń powyżej górnej granicy lasu, ale może nim być także droga do Morskiego Oka wcześnie rano, kiedy nie ma ludzi. Myślę, że całe Tatry są sanktuarium, ale są momenty, w których nie jesteśmy w stanie tego poczuć. Gdy w kościele Mariackim w Krakowie jest pełno ludzi, czuję się inaczej niż wtedy, gdy jestem tam sam. Sam sposób bycia człowieka w górach może te góry obrażać. Co by się stało, gdybyśmy urządzili turniej ping-ponga w kościele Mariackim? Piłeczka nie uszkodzi ołtarza Wita Stwosza, ale po prostu tego nie wypada. Wierzę, że części osób, które znalazły się w Tatrach z przypadku, góry otworzą nowe spojrzenie na świat. Tak jak kiedyś Włodek Cywiński, będąc na szkolnej wycieczce na Babią Górę, zobaczył Tatry. I stało się. Został jednym z ich największych znawców.

A jak to się stało w Pana przypadku?

Dzięki babci i mamie. Babcia w okresie międzywojennym chodziła po Tatrach z Tadeuszem Smoluchowskim. Potem zabierały mnie. Podczas pierwszej wycieczki na Trzydniowiański Wierch pobłądziliśmy w kosodrzewinie. Potem Tatr i jazdy na nartach uczył mnie poznany przez mamę przewodnik, Paweł Vogel. Ale miłość do przyrody wzięła się z wrażliwości mamy i babci. Nie trzeba być przyrodoznawcą, wiedzieć, że to śledziennica skrętolistna, a to rutewka orlikolistna, żeby się zachwycić.

Emerytura nie spowodowała zmiany behawioru i Tatry pozostały Pana środowiskiem naturalnym. Co jeszcze w nich zachwyca?

Choćby taki krajobraz, jak wczoraj na Polanie Kondratowej, bajkowy, monochromatyczny, w którym czułem się jak w świecie czarno-białej fotografii: okiść śnieżna, ośnieżone świerki, czapa chmur nad lasem. „To nieprzemijająca miłość do gór" – powiedziałem do moich towarzyszy. Ona się nie wypala, nie zużywa. A ponieważ moje physis nie jest już takie, bym mógł ot tak wybiec na Kopę Kondracką, wczytuję się w przestrzeń poniżej wysokich grani. Moje tury się powtarzają, ale zawsze jest inaczej: inny śnieg, inne światło, inny wiatr. Nawet gdy się wydaje, że jest tak samo, to spotykam inną osobę. Wczoraj młodą przewodniczkę idącą też na fokach. Widzę kontinuum tych emocji. Moją pasją jest zarażanie swoimi pasjami innych.

Na pytanie tytułowe z webinaru, „Czy Tatry są już zadeptane?", odpowie Pan zatem przecząco.

One sobie dadzą radę. Jest dużo zakamarków, nisz ekologicznych. Człowiek nie jest w stanie w nie wejść, ani dostrzec piękna tych wielu przestrzeni, pokoi, komnat, jakie w Tatrach posiadają zwierzęta. Niektóre uważa, że nie istnieją, innych nie zauważy, jeszcze inne nie są dla niego interesujące.

©℗ Rozmawiał BARTEK DOBROCH

BARTEK SOLIK

PAWEŁ SKAWIŃSKI był dyrektorem TPN w latach 2001-2014. Naukowiec, przyrodnik, w Tatrach pracował także jako przewodnik tatrzański, instruktor narciarski i ratownik TOPR.

STANISŁAW

Mancewicz:
Duch serialu

Zawsze z uwagą i zainteresowaniem czytamy recenzje z seriali. Jest w kraju kilku wielkich, bardzo utalentowanych recenzentów, którzy swymi chyżymi piórami potrafią wzbudzić w nas pragnienie posiadania telewizora.

Niemal zawsze i niemal natychmiast po lekturze tych świetnych artykułów zaczynamy się doktoryzować z przekątnych ekranów, ich rozdzielczości i z wszelkich technologicznych wodotrysków, w jakie wyposażane są dziś urządzenia transmitujące obraz w parze z dźwiękiem. Przewodowi doktorskiemu towarzyszy pragnienie natychmiastowego wskoczenia do studziennego świata kina w odcinkach, ale i chęć konfrontacji własnych odczuć z odczuciami a to umiłowanych mas, ale i owych bardzo uzdolnionych pisarzy. Gdy zamiar zakupu telewizora zostaje odarty z najdrobniejszych wątpliwości, zarówno intelektualnych, finansowych i ekologicznych, gdy powab syreniego głosu wiedzie nas krętymi uliczkami miasta do najbliższego supermarketu elektronicznego, gdy wiemy już wszystko o dobroci marek, wklęsłości i wypukłości ekranów, o zdolności głośników do odtwarzania diabelskich szeptów w jakości lepszej niż oryginały, gdy to wszystko osiąga apogeum, to oto wtedy duch nasz nagle oddziela się od naszego olimpijskiego ciała i zawisa nad nim trzepocząc białymi skrzydłami. Trzepocze i pyta: „Chcesz – powiada – oglądać orędzia polityków polskich? Chcesz oglądać mecze i skoki? A zwłaszcza skoki? Chcesz słuchać komentatorów politycznych i sportowych? Chcesz, by ich wokabularz niepostrzeżenie zastąpił twój własny? Chcesz cudnie schudnąć? Chcesz cudnie zgrubnąć? Chcesz, żeby ktoś zmusił cię do śmiechu? Do płaczu? Do jedzenia? Do tańca? Do śpiewu? Chcesz, by twoja twarz przypominała czyjąś twarz? Chcesz być nieustająco zszokowany? Skrajnie pobudzony patriotycznie, kibolsko, zakupowo i płciowo?”. Chcesz.

„A więc – powiada srogo – oto ja, duch twój, oświadczam: kup sobie telewizor, a obiecuję, że nigdy już nie wlecę do ciała twego”. I duch ów nader arogancko, tuż nad naszą głową trzepocze śnieżnie białymi skrzydłami, jak za przeproszeniem bocian odlatujący do Afryki, skąd już niebawem, co wiemy z polskich akademickich podręczników do medycyny, przyniesie tu malutkiego Polaka w zawiniątku. Powiadamy więc do naszego ducha, że jest szantażystą emocjonalnym, że jest duchem niemile niespokojnym, ale nie chcemy mu podcinać skrzydeł. I wobec – przyznajmy – strasznej groźby bezduchowości pasja do mienia telewizora w nas obumiera tak prędko, jak wiara mas w p. Budkę bądź to p. Biedronia. Słowem, nie kupujemy telewizora, ale – co wychodzi niezmiernie taniej – kupujemy sobie gazety.

Oczywiście, doznania z czytania gazet nie mogą się równać z doznaniami wynikłymi ze śledzenia ruchomych obrazów. Ktoś także doda, że w gazetach nie ma seriali. Słusznie, bo na ogół nie ma. Nie te czasy. Tak się jednak składa, że akurat teraz najlepszy serial leci w gazetach, nie w telewizji, a jego końca nie widać. Jest to tasiemiec o mesjaszu polskiej prawicy. Odcinki są niedługie, ale smaczne, ot ten, w którym mesjasz powiada, że czuła mama dała mu w prezencie liczne i śliczne nieruchomości, jest naszym ulubionym. Łza się w oku kręci, chusteczki mamy mokre. No więc dla własnej rozrywki, czytając to wszystko, sporządziliśmy sobie roboczą listę tytułów odcinków przyszłej adaptacji owego serialu gazetowego na potrzeby przyszłej telewizji. Ufamy, że serial taki powstanie. Oto ta lista tytułów od odcinka pierwszego do ostatniego: „Wystarczy nie kraść”, „Kradną, ale się dzielą”, „Za dużo kradną, za mało się dzielą”, „Kradną i się nie dzielą”. Tylko pierwszy jest cytatem, reszta wynikła z kontekstu. Łatwo się zorientować, że fabuła ma solidny ładunek nieuchronności, i że serial skończy się happy endem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Skoncentrowani
na potrzebach biznesu

Wesołych Świąt Wielkanocnych

s-net.pl

W tym niezwykłym czasie
pragniemy życzyć wszystkim czytelnikom,
aby Święta Wielkanocne
obudziły uśpione marzenia,
a czas spędzony w gronie najbliższych
obfitował w wiarę, nadzieję, miłość.

Oferta na s-net.pl

S-NET
GRUPA TOYA

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

REKLAMA

PRZE
KRÓJ

WIOSENNY PRZEKRÓJ!

JAK MOŻNA GO NIE KUPIĆ?!

KUP
na
przekroj.pl

M. RACZKOWSKI